

MISTRZYNI BRYTYJSKIEGO KRYMINALU

ELLY
Griffiths

Puste
jest
piekło

Wszystkie diabły są tutaj.

ALBATROS

ELLY
Griffiths

Puste
jest
piekło

Z angielskiego przełożył
ŁUKASZ PRASKI

ALBATROS

Wydanie elektroniczne

POWIEŚĆ UHONOROWANA EDGAR ALLAN POE AWARD!

KRYMINAŁ IDEALNY DLA WIELBICIELI TWÓRCZOŚCI AGATHY CHRISTIE ORAZ
MIŁOŚNIKÓW MROCNZYCH POWIEŚCI WIKTORIAŃSKICH.

Oto co wie detektyw Kaur:

Ella, samotna atrakcyjna nauczycielka angielskiego, została brutalnie zamordowana. Obok ciała znalazła się wiadomość, cytat z Burzy Shakespeare'a. Podejrzanych jest wielu. Rick, przełożony Elli i wzgardzony przez nią kochanek. Daisy, jego zazdrosna żona. Patrick, uczeń, któremu Ella się podobała. A także Clare, jej koleżanka z pracy, która wydaje się sporo ukrywać i wyjątkowo działa policjantce na nerwy.

Oto co wie Clare:

Wiadomość zostawiona obok zwłok to nie tylko fragment słynnego dramatu, ale też cytat z Nieznajomego, pełnego grozy opowiadania R.M. Hollanda, którym Clare jest zafascynowana i które zaczyna mieć coraz więcej wspólnego z rzeczywistością. Zaraz potem z nieznaną korespondencją tego pisarza zgłasza się tajemniczy profesor, wyraźnie zainteresowany Clare. A gdy w prowadzonym przez nią dzienniku ktoś zaczyna dopisywać enigmatyczne notki, staje się jasne, że w jej życie wkradł się intruz i zna jej najskrytsze myśli. I raczej nie ma dobrych zamiarów...

**Teraz Clare ma już pewność:
Nieznajomy istnieje naprawdę.**

ELLY GRIFFITHS

Tak naprawdę nazywa się Domenica de Rosa i zanim stała się jedną z najbardziej znanych brytyjskich autorek kryminałów, pracowała jako bibliotekarka, dziennikarka i redaktorka prowadząca w wydawnictwie HarperCollins, gdzie zajmowała się literaturą dziecięcą. Pod prawdziwym nazwiskiem opublikowała cztery powieści z akcją osadzoną we Włoszech.

Sukces odniosła jednak dopiero jako Elly Griffiths, autorka bestsellerowego cyklu kryminałów z archeolożką doktor Ruth Galloway. Jest laureatką przyznawanej przez Stowarzyszenie Autorów Powieści Kryminalnych nagrody CWA Dagger in the Library, była też kilkakrotnie nominowana do nagrody głównej tego konkursu, CWA Gold Dagger.

Puste jest piekło, pierwsza część nowego cyklu jej powieści z detektyw Harbinder Kaur, zdobyła cenioną amerykańską Edgar Allan Poe Award. Kolejne odsłony ukażą się wkrótce nakładem Wydawnictwa Albatros. Elly ma dwójkę dorosłych dzieci i mieszka w pobliżu Brighton z mężem archeologiem.

ellygriffiths.co.uk

Tej autorki w Wydawnictwie Albatros

PUSTE JEST PIEKŁO

Już wkrótce

PS. DZIĘKI ZA ZBRODNIE

Tytuł oryginału:
THE STRANGER DIARIES

Copyright © Elly Griffiths 2018

All rights reserved including the rights of reproduction in whole or in part in any form

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2023

Polish translation copyright © Łukasz Praski 2023

Redakcja: Marek Ostrowski

Projekt graficzny okładki: Kasia Mieszka

Zdjęcia na okładce: © Magdalena Wasiczek/Arcangel (*kwiaty*);

Le Panda/Shutterstock (*pismo odręczne*)

ISBN 978-83-6775-718-8



ALBATROS

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa

wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Konwersja do formatu EPUB oraz MOBI

Katarzyna Rek

woblink

woblink.com

Spis treści:

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

CZĘŚĆ PIERWSZA. Clare

Rozdział 1

Dziennik Clare

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Dziennik Clare

Rozdział 5

Dziennik Clare

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

CZĘŚĆ DRUGA. Harbinder

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

CZĘŚĆ TRZECIA. Georgia

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

CZĘŚĆ CZWARTA. Clare

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

CZĘŚĆ PIĄTA. Harbinder

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

CZĘŚĆ SZÓSTA. Georgia

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

CZĘŚĆ SIÓDMA. Clare

Dziennik Clare

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Dziennik Clare

CZĘŚĆ ÓSMA. Harbinder

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

CZĘŚĆ DZIEWIĄTA. Georgia

Rozdział 43

CZĘŚĆ DZIESIĄTA. Harbinder

Rozdział 44

CZĘŚĆ JEDENASTA. Georgia

Rozdział 45

CZĘŚĆ DWUNASTA. Harbinder

Rozdział 46

CZĘŚĆ TRZYNASTA. Harbinder i Clare

Rozdział 47

Epilog

R.M. Holland Nieznajomy

Podziękowania

Dla Alexa i Juliet. I dla Gusa, mojego czworonożnego towarzysza.

CZĘŚĆ PIERWSZA

Clare

Rozdział 1

– Jeśli pan pozwoli – rzekł Nieznajomy – chciałbym opowiedzieć pewną historię. Przed nami przecież długa podróż, a sądząc po kolorze nieba, przez dłuższy czas nie opuścimy wagonu. Możemy więc sobie uprzyjemnić czas opowiadaniem, prawda? Doskonała rzecz na wieczór pod koniec października.

Jest panu wygodnie? Herbertem proszę się nie przejmować. Nie robi panu krzywdy. Po prostu denerwuje go ta pogoda. Na czym to ja skończyłem? Może odrobinę brandy na rozgrzewkę? Nie przeszkadza panu, że częstuję z piersiówki?

Ta historia przydarzyła się naprawdę. Nie uważa pan, że to najlepszy rodzaj opowieści? Co więcej, przydarzyła mi się, gdy byłem młodym człowiekiem. Mniej więcej w pańskim wieku.

Byłem studentem w Cambridge. Studiowałem oczywiście teologię. Moim zdaniem żaden inny kierunek nie jest istotny, może z wyjątkiem literatury angielskiej. Sen i my z jednych złożeni pierwiastków[1]. Spędziłem na uniwersytecie prawie cały trymestr. Byłem nieśmiałym chłopakiem z prowincji i czułem się samotny. Nie należałem do elegantów, do tych młodzieńców z białymi muchami na szyjach, którzy kroczyli przez dziedziniec, jak gdyby cieszyli się przywilejami samego Boga. Trzymałem się z boku, chodziłem na wykłady, pisałem prace i zaprzyjaźniłem się z innym stypendystą na moim roku, cichym chłopakiem, który, nie uwierzy pan, miał na imię Gudgeon[2]. Co tydzień pisałem do matki. Chodziłem do kaplicy. Tak, w tamtych czasach byłem wierzący. Można było nazwać mnie wręcz dewotem – „dewem”, jak wtedy mówiliśmy. Dlatego zdziwiłem się, że

otrzymałem zaproszenie do Piekielnego Klubu. Zdziwiłem się i ucieszyłem. Oczywiście wcześniej dużo o nim słyszałem. O nocnych orgiach, o tym, jak posługaczki traciły przytomność na widok tego, co zastawały w pokojach, o tajemniczych śpiewach z Księgi umarłych, o pogrzebanych kościach i otwartych grobach. Słyszało się też inne historie. W Piekielnym Klubie zaczynało wielu ludzi, którym potem powiodło się w życiu: przewinęli się przez niego politycy – w tym chyba dwóch ministrów – pisarze, prawnicy, naukowcy, magnaci biznesu. Zawsze można ich było poznać po dyskretnej odznace: małej czaszce wpiętej w lewą klapę. Zgadza się, takiej jak ta.

No więc cieszyłem się, że zaproszono mnie na ceremonię inicjacji. Wyznaczono ją na trzydziestego pierwszego października. Oczywiście, w wigilię Wszystkich Świętych. Tak, dzisiaj też jest ten dzień. Jeśli ktoś wierzy w zbiegi okoliczności, ten mógłby uznać za nieco ponury.

Wracam do historii. Otóż ceremonia była prosta i odbywała się o północy. Jakżeby inaczej. Trzej nowicjusze mieli iść do zrujnowanego domu, który stał tuż obok uczelnianego parku. Po kolei zawiązywano nam oczy i wręczano świecę. Kazano nam wejść do domu, wspiąć się po schodach i zapalić świecę w oknie na podeście piętra. Potem mieliśmy krzyknąć, ile sił w płucach: „Puste jest piekło!”. Po wypełnieniu zadania wszyscy trzej mogliśmy zdjąć opaski z oczu i dołączyć do kolegów. Potem był czas na hulanki i swawole. Gudgeon... czy wspominałem, że jednym z tej trójki był biedny Gudgeon? Bał się, bo bez okularów prawie nic nie widział. Powiedziałem mu jednak, że przecież i tak wszyscy mamy opaski na oczach. Człowiek może widzieć, jak świat ten idzie, bez pomocy oczu[3].

– No więc co się tu dzieje? – pytam.

– Coś złego – mówi Peter.

– Masz całkowitą rację – przyznaję, licząc w myślach do dziesięciu. – Dlaczego tak sądzisz?

– Po pierwsze, z powodu czasu i miejsca akcji – odzywa się Una. – Północ, Halloween.

– To trochę banalne – zauważa Ted.

– Banalne, ale się sprawdza – odpowiada Una. – Kiedy jeszcze dodamy pogodę, jest naprawdę strasznie. O co się założymy, że pociąg utknie w śniegu?

– To plagiat z *Morderstwa w Orient Expressie* – mówi Peter.

– *Nieznajomy* ukazał się wcześniej niż książka Agathy Christie – wyjaśniam. – Z czego jeszcze wnioskujecie, jaki to rodzaj opowieści?

– Od tego, co mówi narrator, ciary chodzą po plecach – rzuca Sharon. – Na przykład: *niech się pan poczęstuje z piersiówki i nie przejmuję Herbertem*. Kto to w ogóle ten Herbert?

– Dobrze pytanie – stwierdzam. – Jak myślicie?

– Głuchoniemy.

– Jego służący.

– Jego syn. Trzeba go pilnować, bo jest niebezpiecznym szaleńcem.

– Jego pies.

Śmiech.

– Zdziwicie się, ale Ted ma rację – mówię. – Herbert to pies. Czworonożny towarzysz to ważny trop gatunkowy w opowieści o duchach, ponieważ zwierzę wyczuwa rzeczy, których człowiek nie potrafi pojąć. Czy jest coś bardziej przerażającego niż pies wpatrzony w coś, czego nie widać? Oczywiście to koty słyną ze zdolności do budzenia grozy. Weźmy na przykład Edgara Allana Poe'go. Często uważano zwierzęta za chowańców czarownic, pomagających im w uprawianiu czarnej magii. Ale zwierzęce postacie mogą być użyteczne także z innego powodu. Ktoś się domyśla jakiego?

Nikt się nie domyśla. Jest popołudnie, tuż przed przerwą, więc grupa myśli raczej o kawie i ciastkach niż o literackich archetypach. Spoglądam przez okno. Chociaż dopiero czwarta, drzewa przy cmentarzu są ciemne. Powinnam zostawić to opowiadanie na wieczorną sesję, gdy zapadnie zmrok, ale na krótkim kursie trudno jest omówić wszystko. Pora kończyć.

– Zwierzęta można poświęcić – wyjaśniam. – Często się zdarza, że autorzy skazują je na śmierć, by stworzyć napięcie. Nie ma to takiego znaczenia jak zabicie człowieka, ale bywa wyjątkowo przygnębiające.

Grupa słuchaczy kursu kreatywnego pisania z tupotem zbiega po schodach w poszukiwaniu kofeiny, a ja jeszcze przez chwilę zostaję w sali. Dziwnie się czuję w tej części szkoły. Prowadzi się tu tylko zajęcia dla dorosłych; pomieszczenia są zbyt małe i dziwne, by mogły się w nich odbywać regularne lekcje. W tym jest kominek i dość niepokojący obraz olejny, który przedstawia dziecko trzymające coś, co przypomina martwą fretkę. Bez trudu potrafię sobie wyobrazić dwunastolatki próbujące wleźć do kominka podczas zabawy w kominiarzy. Szkolne życie w Talgarth toczy się w Nowym Budynku, potworku ze szkła i kolorowych cegieł z lat siedemdziesiątych. Stary Budynek, nazywany kiedyś Domem Hollandów, w rzeczywistości jest tylko przybudówką. Znajdują się w niej kuchnie, jadalnia i kaplica, a także gabinet dyrektora. W salach na pierwszym piętrze urządzi się czasem próby muzyczne i teatralne. Jest tam również stara biblioteka, dziś odwiedzana tylko przez nauczycieli, ponieważ uczniowie korzystają ze współczesnej wersji w Nowym Budynku, z komputerami, fotelami i obrotowymi stojakami z książkami w miękkiej oprawie. Na ostatnim piętrze, gdzie uczniowie nie mają wstępu, znajduje się gabinet R.M. Hollanda, zachowany w takim stanie, w jakim go zostawił. Wiadomość, że autor *Nieznajomego* naprawdę tu mieszkał, zawsze wywołuje dreszcz emocji u uczestników kursu kreatywnego pisania. Właściwie Holland prawie w ogóle stąd nie wychodził. Był staroświeckim typem samotnika, który mieszkał z gospodynią i służbą. Nie wiem, czy sama wychodziłabym z domu, gdyby ktoś mi gotował i sprzątał, prasował „Timesa” i kładł na tacy obok porannej herbaty. Mam jednak córkę, więc musiałabym się w końcu ruszyć. Georgie pewnie nigdy nie wstałaby z łóżka, gdybym nie wołała z dołu, która jest godzina. R.M. Holland nie musiał się mierzyć z takim problemem, choć mógł mieć córkę. Zdania w tej kwestii są podzielone.

Trwają jesienne ferie; kiedy nie ma uczniów i spędzam cały czas w Starym Budynku, mogę sobie wyobrazić, że uczę na jakimś wiekowym i szacownym uniwersytecie. Fragmenty Domu Hollandów przypominają nawet jeden z oksfordzkich college'ów, jeśli nie zwraca się uwagi na Nowy Budynek i zapach sali gimnastycznej. Cieszę się, że mam czas dla siebie. Georgie jest u Simona, Herbert w psim hotelu. Nie muszę się o nic martwić, a po powrocie do domu nic nie powstrzyma mnie od nocnego pisania. Pracuję nad biografią R.M. Hollanda. Interesuję się nim od zawsze, odkąd jako nastolatka w jakiejś antologii opowiadań grozy przeczytałam *Nieznajomego*. Kiedy starałam się o pracę w tej szkole, nie wiedziałam, że był z nią związany. W ogłoszeniu w ogóle o tym nie wspomiano, a rozmowa kwalifikacyjna odbywała się w Nowym Budynku. Gdy w końcu się dowiedziałam, uznałam, że to znak. Za dnia będę uczyć angielskiego, a wieczorami, zainspirowana otoczeniem, będę pisać o Hollandzie, o jego dziwnym samotniczym życiu, tajemniczej śmierci żony, zaginionej córce. Początek był całkiem udany; udzieliłam nawet wywiadu lokalnej telewizji, przechadzając się zmieszana po Starym Budynku i opowiadając o jego poprzednim lokatorze. Ostatnio jednak – nie wiem dlaczego – straciłam wenę. Powtarzam uczniom: Piszcie codziennie. Nie czekajcie na natchnienie, może się nie pojawić. Muza zawsze zastaje was przy pracy. Sięgnijcie do swoich serc i piszcie. Ale, jak większość nauczycieli, niezbyt pilnie słucham własnych rad. Najczęściej robię zapiski w dzienniku, ale to się nie liczy, bo nikt oprócz mnie nie będzie ich czytał.

Pewnie powinnam zejść na kawę, dopóki jeszcze mam chwilę przerwy. Wstaję i spoglądam przez okno. Zapada zmierzch i nagły podmuch wiatru kołysze drzewami. Patrząc na tuman liści przetaczający się przez parking, widzę to, co powinnam zauważyć już wcześniej: nieznajomy samochód, w którym siedzą dwie osoby. Nic szczególnie dziwnego. W końcu to szkoła, tyle że w trakcie ferii. Goście nie są zupełnie nieoczekiwani. Być może to nawet członkowie grona pedagogicznego, którzy przyjechali przygotować klasy i zaplanować pracę na przyszły tydzień. Ale w aucie i tych ludziach jest coś, co budzi mój niepokój. To nijaki szary pojazd – w ogóle nie znam się na markach, ale Simon by ją rozpoznał.

Wygląda na solidny i wytrzymały, mógłby służyć jako taksówka. Tylko dlaczego pasażerowie wciąż w nim siedzą? Nie widzę twarzy tych osób, ale obie są ciemno ubrane i podobnie jak wóz wyglądają prozaicznie i równocześnie groźnie.

Niemal spodziewam się jakiegoś wezwania, więc wcale nie dziwi mnie dzwonek telefonu. To Rick Lewis, szef mojego zespołu przedmiotowego.

– Clare – mówi – mam straszną wiadomość.

[1] William Shakespeare, *Burza*, akt IV, scena 1, przekład Leona Ulricha.

[2] *Gudgeon* (przest.) – naiwniak, jeleni.

[3] William Shakespeare, *Król Lear*, akt IV, scena 6, przekład Leona Ulricha.

Dziennik Clare

Poniedziałek, 23 października 2017

Ella nie żyje. Gdy Rick mi o tym powiedział, nie mogłam uwierzyć. A kiedy słowa zaczęły docierać, pomyślałam: kraksa, nieszczęśliwy wypadek, może nawet przedawkowanie. Ale gdy Rick dodał „zamordowana”, zabrzmiało to tak, jakby zaczął mówić w innym języku.

– Zamordowana? – powtórzyłam tępo.

– Policja twierdzi, że wczoraj wieczorem ktoś się włamał do jej domu – wyjaśnił Rick. – Rano zapukali do mnie. Daisy myślała, że mnie aresztują.

Ciągle nie potrafiłam tego pojąć. Ella. Moja przyjaciółka. Koleżanka z pracy. Sojuszniczka w zespole anglistów. Zamordowana. Rick powiedział, że Tony już wie i zamierza jeszcze dziś rozesłać wiadomość do rodziców uczniów.

– Napisz o tym w gazetach – dodał Rick. – Dzięki Bogu, że są ferie.

Pomyślałam to samo. Dzięki Bogu, że są ferie, dzięki Bogu, że Georgie jest u Simona. Zaraz jednak ogarnęły mnie wyrzuty sumienia. Rick chyba zdał sobie sprawę, że przyjął niewłaściwy ton, bo dodał: „Przykro mi, Clare”, jakby mówił szczerze.

Przykro mu. Chryste.

A potem musiałam wrócić do sali i dalej uczyć o opowiadaniach grozy. To nie były moje najlepsze zajęcia. Ale Nieznajomy nigdy nie zawodzi, zwłaszcza gdy kończymy już po zmroku. Una wręcz krzyknęła. Na ostatnią godzinę wyznaczyłam

im zadanie: „Napiszcie opowiadanie rozpoczynające się od otrzymania złej wiadomości”. Patrzyłam na ich pochylone głowy, gdy pracownicy skrobali swoje arcydzieła (Telegram przyszedł o wpół do trzeciej...), i pomyślałam: gdybyście tylko wiedzieli.

Zaraz po powrocie do domu zadzwoniłam do Debry. Wyjechała z rodziną i nic nie wiedziała. Rozpłakała się, powiedziała, że nie wierzy, i tak dalej. I pomyśleć, że wszystkie trzy widziałyśmy się jeszcze w piątek wieczorem. Rick mówił, że Ella zginęła w niedzielę, nie wiadomo, kiedy dokładnie. Pamiętam, że wysłałam jej wiadomość o wynikach Tańca z gwiazdami i nie dostałam odpowiedzi. Czy już wtedy nie żyła?

Gdy prowadziłam zajęcia, a potem rozmawiałam z Debrą, nie było tak źle, ale teraz jestem sama. Mam takie poczucie... hm, grozy?... że prawie sztywnieję ze strachu. Siedzę z dziennikiem na łóżku i nie chcę zgasić światła. Gdzie jest Ella? Zabrali jej zwłoki? Musieli ją zidentyfikować rodzice? Rick nie zdradził mi żadnego z tych szczegółów, a w tym momencie wydają mi się niesłychanie ważne.

Po prostu nie potrafię uwierzyć, że już nigdy jej nie zobaczę.

Rozdział 2

Pojawiam się w szkole wcześnie. Prawie nie spałam. Miałam koszmary, choć nie o Elli: śniło mi się, że szukam Georgie w miastach spustoszonych wojną, że Herbert zaginął, że z drugiego pokoju woła mnie zmarły dziadek. Herbert nocował w Doggy Day Care, ośrodku opieki nad psami – zapewne między innymi stąd wzięły się dręczące sny – bo nie chciałam, żeby budził mnie, domagając się jedzenia, spacerów i rozrywki. Wstałam o szóstej, a do Talgarth dojechałam przed ósmą. W szkole było już kilka osób, które popijały kawę w jadalni i próbowały nawiązać rozmowy. Podczas ferii zawsze odbywa się tu kilka kursów, a ja staram się rozpoznać ich uczestników: kobiety z nietypową biżuterią zwykle biorą udział w zajęciach z garncarstwa albo tkania gobelinów, mężczyźni w sandałach i z długimi paznokciami zwykle przychodzą ćwiczyć na instrumentach strunowych. Najtrudniej jest zidentyfikować moich uczniów. To jedna z miłych stron uczenia kreatywnego pisania – w grupie zdarzają się emerytowani nauczyciele i adwokaci, kobiety, które wychowały już dzieci i mają ochotę zrobić coś dla siebie, dwudziestoparolatki przekonane, że drzemie w nich talent na miarę J.K. Rowling. Najbardziej lubię ludzi, którzy zaliczają po kolei wszystkie kursy i zapisują się na mój, bo jest następny na liście, zaraz po „Krawiectwie”. Ci słuchacze zawsze mnie zaskakują – podobnie jak samych siebie.

Biorę czarną kawę z automatu i siadam przy samym końcu jednego ze stołów. Dziwnie się czuję, jedząc i pijąc, wykonując rutynowe czynności, układając sobie w głowie plan dzisiejszych zajęć. Wciąż nie mogę oswoić się z myślą, że żyję w świecie bez Elli. Choć prawdopodobnie za najlepsze przyjaciółki uznałabym Jen

i Cathy z uniwersytetu, to nie ma wątpliwości, że z Ellą spotykałam się częściej – w ciągu trymestru widywałam się z nią codziennie. Opowiadałyśmy sobie o naszych rozczarowaniach uczniami, a także Rickiem i Tonym, o naszych nieczęstych sukcesach, dzieliłyśmy się pikantnymi plotkami na temat pedagożki i jednego z asystentów w laboratorium. Nawet teraz mam ochotę do niej napisać, chociaż to niedorzeczne.

– Nie uwierzysz, co się stało. – To Ted z kursu kreatywnego pisania. – Mogę tu usiąść?

– Oczywiście. – Zdobywam się na życzliwy uśmiech.

Ted jest dobrym przykładem na to, jak trudno sklasyfikować moich słuchaczy. Z ogoloną głową i tatuażami bardziej przypomina uczestnika kursu „Rzeźby w drewnie dla początkujących” albo nawet „Tajemnic japońskiej ceramiki”. Wczoraj usłyszałam od niego jednak kilka celnych spostrzeżeń i, Bogu dzięki, chyba nie zamierza rozmawiać ze mną o tym, co pisze.

– Podobały mi się wczorajsze zajęcia – informuje, wyjmując opakowanie ciastek, z tych, które można znaleźć w pokojach hotelowych.

– To dobrze – odpowiadam.

– Całą noc myślałem o tym opowiadaniu.

– Działa na wyobraźnię, prawda? R.M. Holland nie był najwspanialszym pisarzem, ale na pewno wiedział, jak straszyć ludzi.

– I naprawdę tu mieszkał? W tym domu?

– Tak. Mieszkał tu do tysiąc dziewięćset drugiego roku. Na piętrze, gdzie wczoraj mieliśmy zajęcia, były sypialnie, a na strychu gabinet.

– Dzisiaj to szkoła, prawda?

– Zgadza się, gimnazjum Talgarth. Po śmierci Hollanda w budynku otwarto szkołę z internatem, potem elitarne liceum, do którego można się było dostać po zaliczeniu egzaminu. Rejonowe gimnazjum działa tu od lat siedemdziesiątych.

– I tu pani uczy?

– Tak.

– Czyta pani z uczniami *Nieznajomego*?

– Nie. Hollanda nie ma w programie nauczania. Ciągłe królują w nim *Myszy i ludzie* i *Okruchy dnia*. Kiedyś prowadziłam zajęcia z kreatywnego pisania w jedenastej klasie i czasem czytałam im *Nieznajomego*.

– Dzieciaki musiały mieć po nim koszmary.

– A skąd, bardzo im się podobał. Nastolatki uwielbiają opowieści o duchach.

– Ja też. – Uśmiecha się szeroko, ukazując dwa złote zęby. – W budynku jest jakaś dziwna atmosfera. Pewnie tu straszy.

– Krąży parę historii. Rzekomo jakaś kobieta spadła z ostatniego piętra. Niektórzy mówią, że była to żona Hollanda. Albo córka. Paru uczniów twierdzi, że widziało kobietę spływającą po schodach w białej koszuli nocnej. Czasem można też dostrzec kątem oka spadającą postać. Podobno plama krwi jest widoczna do dziś, przed gabinetem dyrektora.

– Stosowne miejsce.

– To młody człowiek, zna się na modzie. Zupełne przeciwieństwo pryncypałów z Dickensa.

– Szkoda.

Ted zanurza ciastko w herbacie, ale okazuje się zbyt miękkie i połowa wpada do kubka.

– Jaki jest temat na dzisiaj? – pyta. – Wczoraj zostawiłem program zajęć w sali.

– Tworzenie postaci, które zapadają w pamięć – odpowiadam. – Po południu czas i miejsce akcji. A potem do domu. Przepraszam, lepiej pójdę się przygotować.

Idę do sali sprawdzić, czy wszystko jest gotowe na dzisiejsze zajęcia, ale gdy wchodzę, siadam przy biurku i chowam twarz w dłoniach. Jak, do cholery, mam przetrwać ten dzień?

Poznałam Ellę pięć lat temu, podczas rekrutacji na posady nauczycielek w Talgarth. Przywitał nas Rick, który próbował udawać, że jedna trzecia anglistów wcale nie zrezygnowała z pracy po zakończeniu wiosennego trymestru i nie zostawiła mu

raptem kilku miesięcy na znalezienie dwójki doświadczonych nauczycieli angielskiego. Niedawno przeglądałam dziennik, by znaleźć notatki opisujące pierwsze wrażenie, jakie zrobił na mnie Rick, ale z rozczarowaniem zobaczyłam same banały. *Wysoki, szczupły, wymięty i potargany*. Rick jest typem człowieka, którego czar – jeśli można to tak nazwać – ujawnia się stopniowo.

– To naprawdę dynamiczny zespół – oznajmił, kiedy oprowadzał nas po budynkach. – A szkoła jest świetna, zróżnicowane środowisko, mnóstwo energii.

Zdążyłyśmy już ustalić, że są dwie wolne posady i nie konkurujemy ze sobą. Wymieniłyśmy spojrzenia. Wiedziałyśmy, co to znaczy „dynamiczny zespół”. Szkoła znalazła się na skraju anarchii. Po ostatniej kontroli dostała ocenę „wymaga poprawy”. Poprzednia dyrektorka, Megan Williams, zachowała stanowisko, ale dwa lata później została z niego wyrugowana przez Tony’ego Sweetmana, który miał zaledwie dziesięcioletnią praktyką pedagogiczną. Dziś szkoła szczyli się notą „dobra”.

Po rozmowie rekrutacyjnej Ella i ja wymieniłyśmy wrażenia w pokoju nauczycielskim, ponurym pomieszczeniu w Nowym Budynku, gdzie na różnych urządzeniach przyklepiono pasywno-agresywne komunikaty w rodzaju: *Proszę pomagać w opróżnianiu zmywarki. To nie może być zawsze mój obowiązek!* Zostałyśmy same przy kawie, herbacie i ciastkach, podczas gdy „panel” podejmował decyzję. Obie wiedziałyśmy, że usłyszymy ofertę pracy. Perspektywa była mniej przygnębiająca dzięki kobiecie siedzącej naprzeciwko mnie: miała długie blond włosy i dość ostry nos; nie była piękna, ale wyjątkowo atrakcyjna. Później dowiedziałam się, że Ella, wielbicielka Jane Austen, identyfikowała się z Elizabeth Bennet, w moich oczach zawsze była jednak Emmą.

– Dlaczego chcesz tu pracować? – spytała, mieszając herbatę długopisem.

– Jestem świeżo po rozwodzie – odparłam. – Chcę się wyprowadzić z Londynu. Mam dziesięcioletnią córkę. Pomyślałam, że spodoba się jej mieszkanie na prowincji. I blisko morza.

Szkoła znajdowała się w West Sussex, zaledwie piętnaście minut drogi od Shoreham-by-Sea, a od Chichester pół godziny, gdy nie było korków. I Rick, i Tony mocno to podkreślali. Staralam się skupić raczej na zielonych krajobrazach na trasie niż pracowniach plastycznych z wybitymi oknami i ponurym dziedzińcu, gdzie wszystkie rośliny wyżarł słony wiatr.

– Ja też uciekam – przyznała się Ella. – Uczyłam w Walii, ale miałam romans z szefem zespołu anglistów. To nie był dobry pomysł.

Pamiętam, jak się wzruszyłam, nieco zszokowana, że zwierza mi się na tak wczesnym etapie znajomości.

– Nie wyobrażam sobie romansu z Rickiem – powiedziałam. – Przypomina stracha na wróble.

– *Gdybym tylko miała rozum...* – zanuciła Ella, świetnie naśladując Stracha na Wróble z *Czarnoksiężnika z Krainy Oz*.

Rozumu jej jednak nie brakowało, więc powinna się wtedy poznać na Ricku. Powinna mnie posłuchać.

Dzisiaj już na to za późno.

Rano rozmawiam z grupą o *Nieznajomym*.

– W opowiadaniach grozy często spotykamy określone typy postaci – mówię. – Niewinnego młodego człowieka, postać, która mu pomaga, postać, która mu przeszkadza, obmierzłą damę.

– Znam takich kilka – wtrąca Ted z nieco prostackim rechetem.

– Nie wiem, co to znaczy – odzywa się Una. – „Obmierzła dama”. – Rozpoznaję w Unie typ, od którego takie sprawy wymagają sporego wysiłku.

– To postać, która pojawia się w licznych gotyckich powieściach i opowiadaniach grozy – wyjaśniam. – Weźmy na przykład *Kobietę w czerni* albo panią Rochester z *Dziwnych losów Jane Eyre*. Wywodzi się z legend takich jak w *Opowieści damy z Bath* Chaucera, gdzie piękna kobieta zmienia się we wstrętną wiedźmę albo odwrotnie.

– Na pewno ją spotkałem – rzuca Ted.

Nie zamierzam dać się sprowokować. Przez ostatnie dwa dni nasłuchaliśmy się dość o jego życiu miłosnym.

– Oczywiście, mamy też historie takie jak w poemacie *Lamia* Keatsa, gdzie wąż naprawdę przepoczwarza się w kobietę.

– Przecież w *Nieznajomym* nie ma kobiety-węża – zauważa Una.

– Nie ma – przyznaję. – R.M. Holland w swojej prozie raczej w ogóle unika kobiet.

– Ale mówiła pani, że ten dom jest nawiedzany przez ducha jego żony – przypomina mi Ted, a ja przeklinam się w myślach za naszą sympatyczną pogawędkę przy ciastkach.

– Proszę opowiedzieć – odzywa się kilka osób. Te wrażliwsze drżą z ekscytacji, ale gdy przez okna wpadają promienie jesiennego słońca, trudno wierzyć w duchy.

– R.M. Holland ożenił się z Alice Avery – mówię. – Mieszkali tu, w tym domu, i Alice zginęła, prawdopodobnie spadając ze schodów. Jej duch podobno snuje się po korytarzach na pierwszym piętrze, a nawet spływa po schodach. Niektórzy twierdzą, że jeżeli ktoś go zobaczy, oznacza to, że śmierć jest blisko.

– A pani kiedyś ją widziała? – pyta ktoś.

– Nie. – Odwracam się do tablicy. – Zróbmy teraz ćwiczenie z tworzenia postaci. Wyobraźcie sobie, że jesteście na stacji kolejowej...

Ukradkiem zerkam na zegarek. Zostało tylko sześć godzin.

Dzień wydaje się ciągnąć bez końca, trwać stulecia, milenia. Wreszcie jednak żegnam się ze słuchaczami i obiecuję, że będę szukać ich książek w dziale kulturalnym „Sunday Timesa”. Zbieram papiery i zamykam salę na klucz. Potem prawie sprintem pokonuję wysypany żwirem parking, zmierzając do samochodu. Jest piąta, ale mam wrażenie, że minęła północ. W szkole pali się tylko kilka świateł, w drzewach szumi wiatr. Nie mogę się doczekać powrotu do domu, żeby usiąść z kieliszkiem wina, pomyśleć o Elli, a przede wszystkim zobaczyć Herberta.

Gdyby ktoś pięć lat temu powiedział mi, że do tego stopnia uzależnię się od psa, wybuchłabym śmiechem. Nigdy nie należałam do dzieci uwielbiających zwierzęta. Wychowałam się w północnym Londynie, rodzice wykładali na uczelniach, a naszym jedynym zwierzęciem był kot Meduza, który bezceremonialnie okazywał obojętność wszystkim oprócz mojej matki. Ale gdy się rozwiodłam i przeprowadziłam do Sussex, uznałam, że Georgie potrzebuje psa. Miał być motywacją do wyjścia z domu, do spacerów i ograniczenia godzin spędzonych na gapieniu się w ekran telefonu. Georgie mogła wylewać swoje nastoletnie lęki do cierpliwego psiego ucha. Ja też miałam na tym skorzystać; wyobrażałam sobie mgliście, że pies pomoże mi utrzymać formę i poznawać ludzi wyprowadzających psy. To o wiele lepsze od klubu książki, gdzie zawsze ktoś mógłby zaproponować *Dziewczynę z pociągu*.

No więc poszliśmy do schroniska i wybrałyśmy Herberta. A raczej to on wybrał nas, bo przecież na tym to polega, prawda? Chciałam psa na tyle małego, żebym w razie niebezpieczeństwa mogła go wziąć na ręce, ale nie tak małego, żeby przestano uważać go za psa. Rodowód Herberta jest niejasny, ale zdaniem pracowników schroniska mógł być krzyżówką cairn terriera i pudla. Właściwie wyglądał jak z ilustracji w książce dla dzieci. Biały Hairy Maclary, stworzenie przypominające kleks białej farby z domalowanymi nogami.

I oczywiście to ja straciłam głowę dla Herberta. Zgoda, Georgie też go kocha. Wyprowadza go na spacer i przypisuje mu wszelkie ludzkie emocje. „Herbert wstydzi się innych psów. To dlatego, że jest jedynakiem”. Ale to ja świata poza nim nie widzę, zwierzam mu się ze wszystkich kłopotów i pozwalam spać w swoim łóżku. Tak bardzo go kocham, że gdy na niego patrzę, czasem nie mogę wyjść ze zdumienia, że jest pokryty sierścią.

Andy, właściciel ośrodka Doggy Day Care (wiem, nie osądzajcie mnie), cieszy się na mój widok. To sympatyczny facet, który bardzo lubi pogadać. Ale gdy tylko pojawia się kudłaty pyszczek Herberta o pogodnym i wyrozumiałym wyrazie, mam ochotę się rozplakać. Biorę go w ramiona, płacę Andy’emu i prawie biegiem wracam do samochodu. Chcę po prostu jak najszybciej jechać do domu ze swoim

chowańcem. Po drodze wstępuję po wino i czekoladę, a Herbert dyszy mi prosto w ucho.

Mieszkam w domu szeregowym z dwoma pokojami na parterze i dwoma na piętrze, czarnymi drzwiami wejściowymi i ogrodzeniem z kutego żelaza. Tyle że rząd segmentów stoi niemal w szczerym polu, osłonięty z tyłu kredowym urwiskiem. Powstał dla robotników z cementowni, z której zostały tylko ruiny (ślepe okna, rdzewiejące maszyny, wiatr tłukący w nocy w żelazny dach). Domy jednak przetrwały, całkiem ładne i zrewitalizowane, i stoją naprzeciwko łąki pełnej pasących się krów, niezwracających najmniejszej uwagi na koszmarną opuszczoną budowlę za nimi. Przyzwyczyliśmy się już do naszego; blisko stąd do szkoły i niedaleko do Steyning, gdzie jest parę miłych kawiarenek i świetna księgarnia. Ale raz na jakiś czas mój wzrok pada na cementownię, na te ziejące pustką okna, i wtedy myślę: kto chciałby tu zamieszkać z własnej woli?

Droga dojazdowa prowadzi tylko do szeregówek, dlatego dziwi mnie widok samochodu zaparkowanego przed moim wejściem. Ale czy naprawdę jestem zaskoczona? Przez cały dzień towarzyszyło mi przecucie. Szczerze mówiąc, rozpoznaję auto z tęnym ukłuciem pewności, że się nie mylę. Gdy parkuję i biorę na ręce podekscytowanego Herberta, z pojazdu wysiada kobieta.

– Dzień dobry – mówi. – Pani Clare Cassidy? Jestem detektyw sierżant Kaur. Mogę na chwilę wejść?

Rozdział 3

Detektyw sierżant Kaur jest niewysoka i ma ciemne włosy związane w kucyk. Jest pewnie z dziesięć lat młodsza ode mnie, czyli ma około trzydziestu pięciu. Mimo drobnej, niemal dziewczęcej sylwetki wyczuwa się jej autorytet, jak u niektórych nauczycieli. Za sierżant Kaur stoi starszy od niej mężczyzna, siwiejący, o raczej niedbałym wyglądzie. Przedstawia się jako detektyw sierżant Neil Winston. Para śledczych, jak w telewizji.

Herbert próbuje skoczyć na Kaur, ale go odciągam. Po tylu sesjach szkolenia ciągle zależy mu na tym, żeby wprawić mnie w zakłopotanie.

– Nic nie szkodzi – mówi policjantka. – Lubię psy.

Mimo to otrzepuje ubranie. Herbert jest półpudłem, więc nie linieje zbyt intensywnie, ale sierżant Kaur nie może o tym wiedzieć. Ma czarne spodnie, białą bluzkę i ciemny żakiet. Cywilny strój, ale na tyle bezosobowy, że wygląda jak uniform. Jestem pewna, że dwie osoby, które widziałam wczoraj na parkingu, to byli ona i Winston.

– Proszę wejść – mówię.

Pokonujemy ścieżkę i otwieram lśniące czarne drzwi domu. Jedną ręką zbieram z podłogi pocztę i wskazuję gościom salon. Puszczony wolno Herbert wpada do kuchni i obszczekuje coś niewidzialnego.

– Napiją się państwo herbaty? – proponuję.

– Nie, dziękuję – odpowiada Kaur dokładnie w chwili, w której Winston mówi:

– Z mlekiem i dwiema łyżeczkami cukru.

Gdy stawiam torbę z zakupami na podłodze w kuchni, rozlega się oskarżycielski brzęk butelki. Mam nadzieję, że Kaur tego nie słyszała. Już wiem, że to z nią należy się liczyć. Parzę herbatę i kładę na talerz ciastka. Idę do salonu z Herbertem, który bryka u moich stóp.

– Prowadzimy śledztwo w sprawie zabójstwa Elli Elphick – informuje mnie Kaur, gdy siadam. – Domyślam się, że już panią o tym zawiadomiono?

– Tak. Wczoraj dzwonił do mnie Rick Lewis, szef mojego zespołu przedmiotowego.

– Przykro mi – mówi Kaur. – Wiem, że to musi być dla pani straszny szok, ale chcemy jak najszybciej porozmawiać ze wszystkimi znajomymi i kolegami Elli z pracy. Chcemy dowiedzieć się jak najwięcej o jej życiu, żeby ustalić, kto mógł dokonać tego strasznego przestępstwa.

– Sądziłam...

– Co pani sądziła?

– Myślałam... to znaczy, zakładałam, że zamordował ją ktoś obcy. Że to przypadkowa napaść. Napad rabunkowy, który zakończył się tragicznie.

– Większość ofiar zabójstw ginie z ręki ludzi, których znają, i mamy powody przypuszczać, że podobnie było w tym przypadku.

– Rick mówił, że Ella została pchnięta nożem...

– To prawda – potwierdza Kaur. – Wielokrotnie.

– O Boże...

Zapada milczenie. Winston popija herbatę, Herbert cicho skomle.

Kaur wyjmuje notes.

– A więc uczyła pani z Ellą w gimnazjum w Talgarth. Zgadza się?

– Tak. Obie uczymy angielskiego. Uczyłyśmy. O Boże...

Czeka, aż wezmę się w garść.

– Odpowiadam za etap trzeci, a Ella za czwarty.

– Etap trzeci to...?

– Trzeci etap kształcenia to klasy od siódmej do dziewiątej. Od jedenasto- do czternastolatków. Etap czwarty to klasy dziesiąta i jedenasta. Ostatnie przed egzaminem GCSE[4]. Dzieciaki od czternastu do szesnastu lat.

– Czyli współpracowałyście dość blisko?

– Tak, to mały zespół anglistów, tylko sześć osób. Raz na tydzień mamy spotkania, opracowywałam z Ellą plany zajęć, formularze oceny postępów, cele, tego rodzaju rzeczy.

– Współpraca dobrze się układała? – pyta Kaur. Nie ma żadnego problemu z użyciem czasu przeszłego, ale przecież nie znała Elli, kiedy ta istniała w czasie teraźniejszym.

– Bardzo dobrze.

– Czy poza pracą utrzymywała z nią pani kontakty towarzyskie?

Kontakty towarzyskie. Dziwne określenie, zbyt oficjalne, żeby oddać charakter naszej relacji: spacerzy z Herbertem, wspólne posiłki, kiedy jadłyśmy i piłyśmy odrobinę za dużo, długie rozmowy na Messengerze o *Tańcu z gwiazdami*.

– Tak.

– Kiedy ostatni raz widziała pani Ellę?

– W piątek wieczorem. Byłyśmy w kinie, a potem poszłyśmy coś zjeść.

– Tylko we dwie?

– Była z nami jeszcze Debra Green. Uczy u nas historii.

– Jaki to był film?

– Nowy *Blade Runner*.

– Chcę to obejrzeć – odzywa się chyba po raz pierwszy sierżant Winston. – Dobry?

– Trochę za długi – odpowiadam – i nie tak dobry jak pierwszy. – Większość drugiej połowy przespałam i pamiętam tylko Ryana Goslinga, który bardzo powoli idzie przez śnieg, a po jego policzku spływa jedna jedyna łza. Nie mogę uwierzyć, że dyskutujemy o filmie, podczas gdy Ella leży gdzieś martwa.

– Odzywała się do pani w niedzielę? – kontynuuje przerwany wątek Kaur.

– Nie. Wysłałam do niej wiadomość przed ogłoszeniem wyników *Tańca z gwiazdami*, ale nie dostałam odpowiedzi.

– Która to była godzina?

– Koło siódmej.

– I w ten sposób spędziła pani cały wieczór? Na oglądaniu telewizji?

– Część wieczoru. Przygotowywałam się też do poniedziałkowych zajęć. Do kursu kreatywnego pisania.

– Była pani sama?

– Nie, była ze mną moja córka Georgia.

– Przez cały wieczór?

– Tak. Wprawdzie prawie nie wychodziła ze swojego pokoju, ale była w domu.

– W poniedziałek prowadziła pani zajęcia z kreatywnego pisania? Też odbywają się w szkole Talgarth?

– Tak. W czasie ferii organizuje się kursy dla dorosłych.

– Gdzie teraz jest pani córka?

– Pojechała odwiedzić swojego tatę. W poniedziałek rano odwiozłam ją na stację. Wraca jutro. – Dobrze, że mój były mąż przywiezie ją samochodem. Tyle że będę musiała się z nim zobaczyć. To już gorzej.

Policjanci wymieniają spojrzenia. To musi być sygnał zmiany tonu, bo Kaur odchyła się na moim wysiedzianym fotelu i pyta:

– Jaką kobietą była Ella?

Wydaje mi się bardzo ważne, by odpowiedzieć we właściwy sposób. Ella jest ofiarą; nie chcę, by została oskarżona o to, że przyczyniła się do własnej śmierci, o co często obwinia się kobiety. Co prawda sierżant Kaur sprawia wrażenie osoby, która chętnie włożyłaby T-shirt z napisem TAK WYGLĄDA FEMINISTKA, ale nie ufam jej. Pytanie ma mnie zachęcić do przyznania, że Ella miała życie intymne, musiała więc ponosić część odpowiedzialności za to, że została zamordowana. Pchnięta nożem. Wielokrotnie. Przeglądam w głowie wspomnienia o Elli: niektóre kopiuję, inne odtwarzam ponownie, część kasuję.

– Była cudowną osobą – oświadczam. – Bardzo inteligentną, zabawną. Wszyscy ją lubili.

Tyle że ktoś najwyraźniej żywił wobec niej inne uczucie.

– Była wspaniałą nauczycielką – brnę dalej. – Dzieci ją uwielbiały. Kiedy się dowiedzą, będą zdruzgotane...

Kaur nie zwraca na to większej uwagi.

– Czy Ella miała chłopaka? – pyta.

Wiedziałam.

– Nic mi o tym nie wiadomo – odpowiadam.

– A o jej byłych?

– To dawne dzieje – mówię niepewnie. – Ostatnio z nikim się nie spotykała.

– Wspominała o kimś konkretnym?

– Mówiła o kimś ze swojej dawnej szkoły w Walii. O jakimś Bradleyu.

Kaur notuje tę informację.

– I nigdy nie wspominała o nikim, kto ją niepokoił? Może prześladował na Facebooku albo coś w tym rodzaju?

Będę musiała przemóc się i zajrzeć na profil Elli na Facebooku. Najpierw jednak wypiję co najmniej dwa kieliszki wina.

– Nie.

Spodziewam się kolejnych pytań, więc jestem zaskoczona, gdy nagle równocześnie wstają, jakby na jakiś tajny sygnał.

– Dziękuję – rzuca Kaur. – Bardzo nam pani pomogła.

– Proszę przyjąć wyrazy współczucia – dodaje Winston w drodze do wyjścia. Brzmi to jak kwestia z amerykańskiego serialu o gliniarzach.

Kaur przystaje, żeby pogłaskać Herberta stanowczym ruchem, który nie pozwala mu się zbliżyć do jej spodni, ale nie odzywa się ani słowem.

Po ich wyjściu wracam do kuchni i nalewam sobie kieliszek wina. Mój wzrok pada na plik listów, które wcześniej podniosłam z podłogi. Jest kilka brązowych kopert o urzędowym wyglądzie – nie zwracam na nie uwagi – i jedna, która wyraźnie się od nich różni, z grubego kremowego papieru i z wytłoczoną pieczęcią St Jude College w Cambridge.

Wiem, że to niedorzeczne, ale w pierwszej chwili myślę o Georgie. Ma dopiero piętnaście lat, nie zdała jeszcze żadnych egzaminów, po co więc college z Cambridge pisałby do mnie w jej sprawie? I choć moja córka bez wątpienia jest inteligentna, ewidentnie ma zamiar prześliznąć się przez szkolne lata przy jak najmniejszym nakładzie pracy. Zdążyłam już zrewidować oczekiwania wobec jej edukacji: zaczęłam od Oksfordu i Cambridge, potem przeszłam do jednego z uniwersytetów stowarzyszonych w Russell Group, teraz liczę już po prostu na porządną uczelnię z własnymi akademikami. Mimo to, jak gdybym już otworzyła kopertę, miałam przed oczami słowa: *Zostaliśmy poinformowani... niezwykle utalentowana uczennica... proponujemy skorzystanie ze stypendium...*

List nie jest jednak ofertą miejsca w Girton College dla Georgie. Mimo to okazuje się interesujący.

Szanowna Pani Cassidy,

o ile mi wiadomo, jest pani w trakcie pisania książki o życiu i twórczości R.M. Hollanda. Niedawno wszedłem w posiadanie pewnych listów, które być może panią zainteresują. Bardzo chętnie je pani pokażę, jeśli zechce pani mnie odwiedzić. Dysponuję wolnym czasem w tygodniu, który zaczyna się 23 października.

Z poważaniem

Henry H. Hamilton

Starszy wykładowca angielskiego

Bardzo długo wpatruję się w treść. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że dostałam list z dziewiętnastego wieku, niczym od samego Hollanda. W sztywnym i wytwornym H oznaczającym drugie imię jest coś wiktoriańskiego. Skąd w ogóle

ten Henry Hamilton wziął mój adres? Z adresem mailowym to co innego, jest na stronie internetowej szkoły, zresztą bez trudu można się go domyślić. Czy w ten sposób znalazła mnie ta dostojna persona? Boże, mam nadzieję, że nie oglądał tamtego programu w telewizji. Czyżby HHH widział mnie na YouTubie? I cóż to mogą być za listy, zbyt cenne, żeby wysłać je pocztą albo przynajmniej zeskanować?

Wibruje mój telefon. Mam nadzieję, że dzwoni Georgie, ale to Debra.

– Jesteś w domu? – pyta.

– Tak, wróciłam godzinę temu.

– Przed chwilą zadzwoniłam do rodziców Elli.

Też powinnam to zrobić, ale się boję. Poznałam Nigela i Sarah Elphicków i wywarli na mnie wrażenie uroczej, łagodnej pary. Ella była ich jedynym dzieckiem.

– To było straszne – wyznała Debra. – Co można powiedzieć w takiej chwili? Nic nie można powiedzieć. Człowieka nie może spotkać nic gorszego niż strata dziecka.

– To prawda – przyznaję.

– Rozpłakałam się i skończyło się na tym, że to jej mama mnie pocieszała. Czuję się okropnie.

– Na pewno miło z twojej strony, że zadzwoniłaś.

– Sama nie wiem. – Słyszę, jak Debra zaciąga się papierosem. A to oznacza, że na pewno stoi w ogrodzie. Leo nie pozwala jej palić w domu. – Ale co można zrobić? Widziałaś jej profil na Facebooku?

– Nie.

– Roi się tam od postów w rodzaju *spoczywaj w raju* albo *następny anioł w niebie*. Większość tych ludzi w ogóle jej nie znała. Chryste.

Myślę o pytaniu detektyw sierżant Kaur, czy któryś z byłych chłopaków Elli nie prześladował jej na Facebooku.

– Właśnie była u mnie policja – mówię.

– Policja? Po co?

– Podobno rozmawiają ze wszystkimi znajomymi Elli. Pewnie jesteś następna na liście.

– Boże. Chłopcy będą zachwyceni. Odwiedzą nas prawdziwi policjanci.

– Jeden to kobieta. I to dość groźna.

– Podejrzewają, kto mógł to zrobić?

– Pytali o jej byłych chłopaków.

– I co powiedziałaś?

– Że ostatnio nikogo nie miała.

– Nie wspomniałaś o Ricku?

– Nie.

Znowu słyszę, jak zaciąga się papierosem. Przygotowuję się na następne pytanie, ale Debra mówi tylko:

– Ciągłe nie mogę w to uwierzyć. Ella nie żyje. Zamordowana. Jak z jakiegoś koszmaru.

– Albo książki – dodaje. – Mnie się ciągle wydaje, że jestem w książce.

– Zawsze ci się tak wydaje – stwierdza Debra. – Chcesz wpaść?

– Nie. Poradzę sobie. Mam butelkę wina. I Herberta.

– W takim razie niczego ci nie brakuje. Muszę za chwilę odebrać chłopców ze zbiórki skautów, potem zrobić kolację. Leo poszedł grać w piłkę halową.

– Obowiązki domowe, co?

– Aha. Z tej pułapki nie ma ucieczki. Może jutro się zobaczymy?

– Jutro wraca Georgie.

– To przedzwoń. Może uda się nam umówić na kawę.

– W porządku – mówię. – Na razie. Trzymaj się. Jedź ostrożnie.

Na stojąco wypijam kieliszek wina i zaraz nalewam następny. Potem otwieram profil Elli na Facebooku.

[4] General Certificate of Secondary Education – egzamin kończący naukę w gimnazjum, ostatni etap obowiązkowej edukacji w Anglii.

Rozdział 4

Simon pojawia się nazajutrz o czwartej, trzy godziny później, niż się spodziewałam. Georgie wysłała mi z drogi wiadomość, więc nie czekałam w oknie, ale to mimo wszystko irytujące. Rano zobaczyłam się z Debrą i byłam na zakupach, mogłabym jednak po południu zrobić mnóstwo rzeczy, gdyby nie przedziwne przekonanie Simona, że odległość z Londynu do West Sussex można pokonać w dwadzieścia minut.

– Spodziewałam się was o pierwszej. – Tak brzmią pierwsze słowa, jakie kieruję do byłego męża.

– Georgie wysłała ci wiadomość – odpowiada.

– Cześć, kochanie. – Przytulam córkę. – Dobrze się bawiłaś?

Odwzajemnia uścisk, ale zaraz mnie puszcza, by ze znacznie większym entuzjazmem przywitać się z Herbertem.

– Jak się miewa mój pieseczek? Och, biedactwo. Pokaż no pyszczek.

Bierze go na ręce i obsypuje pocałunkami. Przyglądamy się jej z Simonem. To jedna z chwil, w których – choć nie chcę przyjąć tego do wiadomości – na pewno myślimy o tym samym (dlaczego nam nie okazuje takiej czułości?).

– Szczęściarz z tego Herberta – odzywa się wreszcie Simon i wyjmując z bagażnika torbę Georgie.

– Chcesz wejść na herbatę? – pytam.

Waha się. Nie chce dać się uwięzić ze mną w domu, ale pewnie musi skorzystać z toalety (właśnie wkroczył w wiek, gdy zaczynają się kłopoty z prostatą).

– Może na chwilę – mówi. – Dziękuję.

A jak długo jego zdaniem to potrwa? Nie zamierzam urządzić japońskiej ceremonii picia herbaty. Wchodząc za nim do domu, zdaję sobie sprawę, że zaciskam zęby.

Natychmiast skręca do toalety, ale szybko wychodzi, żeby zabawiać mnie rozmową, podczas gdy krzątam się przy żmudnym i czasochłonnym zadaniu włożenia torebek z herbatą do wrzątku. Georgie z Herbertem zniknęli na górze.

– Ładna ta kuchnia – stwierdza Simon.

Kiedy się wprowadziłam, zmieniłam kuchnię i ta nowa rzeczywiście jest ładna: lśniące fronty, granitowe blaty, świetlik i widok na ogród. Ale Simon ciągle o tym wspomina – na pewno nie może znieść, że mam kuchnię, o jakiej zawsze marzyłam. Po rozwodzie sprzedaliśmy dom w Londynie, ale Simon ożenił się ze stosunkowo zamożną kobietą, więc było go stać na kupno nowego lokum w stolicy. Mnie pozostało wygnanie na prowincję, więc moim zdaniem granitowe blaty to minimum, na jakie zasługuję.

– Co u Fleur? – odparowuję. Nie mam nic przeciwko jego żonie. Właściwie często jej współczuję, wyszła za człowieka, który układa kolorami skarpetki w szufladzie. Jest prawniczką, tak jak on, teraz jednak opiekuje się dwojgiem ich dzieci, trzyletnim i dwudziestomiesięcznym. Niezbyt pasjonujące zajęcie, zwłaszcza że Simonowi (który uważa się za nowoczesnego mężczyznę) nigdy nie przyszłoby do głowy wziąć urlop ojcowski.

– W porządku – odpowiada. – Jest trochę zmęczona. Ocean nie przesypia jeszcze całych nocy.

Nie dziwię się. Zapewne pod wpływem traumy spowodowanej idiotycznym imieniem.

– To niedobrze. – Idę o zakład, że Simon zwinął się i schronił w pokoju gościnnym. Wygląda na wypoczętego.

Bawi się kluczami, a to wyraźny znak, że jest zdenerwowany.

– Przykro mi z powodu twojej koleżanki – mówi wreszcie. – Georgie pokazała mi jakąś wiadomość w internecie.

Wszędzie huczy o śmierci Elli. Informacje o niej płyną eterem w gazetach, telewizji, internecie. Podobno można „upamiętnić” konto na Facebooku (Debra twierdzi, że powinniśmy to zaproponować rodzicom Elli), żeby zmarli mogli istnieć na zawsze w cyberprzestrzeni.

– To dla mnie szok – przyznaję.

– Georgie mówi, że ta Ellie ją uczyła.

– Ella. Tak, uczyła ją angielskiego w dziesiątej klasie.

– Dla niej to też wstrząs. Bez przerwy o tym mówi.

– To chyba jej pierwszy kontakt ze śmiercią. – Simon wygląda na urażonego. – Oprócz twojego taty – dodaję szybko. – Nie zapomniałam. Ale kiedy Derek umarł, miała tylko trzy lata. Dzisiaj jest nastolatką z burzą hormonów.

– Skoro mowa o hormonach... Ona ciągle utrzymuje kontakt z Tyem.

– Wiem – odpowiadam.

To kolejny moment, kiedy czuję, że myślimy tak samo, po czym Simon dodaje:

– Chyba nie możemy jej zabronić się z nim widywać.

– Wydaje mi się, że to by przyniosło więcej szkody niż pożytku – zgadzam się.

– To już dość długo trwa, nie sądzisz?

– Od wakacji. Kiedy człowiek ma kilkanaście lat, to szmat czasu.

– Poznałaś go, prawda?

Już mu o tym mówiłam, ale z nieskończoną cierpliwością powtarzam:

– Tak. Był szalenie miły. Bardzo uprzejmy i tak dalej. Chodzi po prostu o to, że ma dwadzieścia jeden lat.

– Dlaczego ona nie może spotykać się z kimś ze szkoły? Z jakimś rówieśnikiem? Tak powinno być.

– Przypuszczam, że Ty wydaje się cool. Mieszka sam, ma własny samochód. Takie rzeczy mają znaczenie dla piętnastolatki. – Poza tym jest przystojny

i obdarzony muskulaturą, która rozsadza koszulę. Tego już jednak Simonowi nie mówię.

– W każdym razie spróbuj trzymać ich z dala od siebie.

Wkurzają mnie te słowa – jakby łatwo było trzymać z dala od siebie dwoje ludzi, którzy w każdej sekundzie mogą się porozumiewać elektronicznie. Ale znajduję chyba idealną ripostę.

– W piątek zabiorę ją do Cambridge – mówię. – Mam spotkanie w związku z moją książką i pomyślałam sobie, że to może być przyjemna wycieczka.

Poznaliśmy się z Simonem na studiach. Dopiero po kilku miesiącach związku ze wstydem wyznaliśmy sobie, że należymy do dużej grupy bristolskich studentów nazywanej „odrzutami z Oksfordu i Cambridge”. Odbyłam rozmowę wstępną, ale nie zaproponowano mi miejsca na tych uczelniach, mimo że uzyskałam wymagane oceny. Simon dostał ofertę, nie osiągnął natomiast odpowiednich wyników. Trudno powiedzieć, co było gorsze. Z początku wcale się nie przejmowałam. Uwielbiałam Bristol i te części uniwersytetu, które w odpowiednim świetle prezentowały się całkiem oksfordzko i cambridge’owo, zwłaszcza budynek Willsa. Dopiero niedawno, podczas pracy nad książką, zauważyłam, ile osób – pisarzy, aktorów, wykładowców – niby mimochodem wspomina o tym, że studiowali w Oksfordzie czy Cambridge. R.M. Holland mówi o tym już na pierwszej stronie *Nieznajomego*. Zasada brzmi: jeżeli byłeś na jednej z tych szacownych uczelni, musisz podać nazwę, w innym wypadku można tylko wspomnieć: „gdy byłem na studiach”.

Simon poszedł na prawo, więc przez większą część pierwszego roku nie zwracałam na niego uwagi. Prawnicy trzymali się razem, podobnie jak medycy. Ja studiowałam anglistykę i zaangażowałam się w kółko teatralne, klub dyskusyjny oraz fascynujący i zarazem toksyczny związek ze studentem filozofii o imieniu Sebastian. Simona poznałam w trakcie zimowego trymestru na drugim roku. Mieszkałam wtedy z Jen i Cathy. To były cudowne osoby, z którymi bardzo się zaprzyjaźniłam, ale jak na tamte czasy można byłoby je nazwać panienkami

z dobrych domów, które chodziły z postawionymi kołnierzami i trzymały przy łózkach zdjęcia swoich labradorów. Najlepszą zabawą było dla nich urządzenie kolacji: wieprzowina z oliwkami według Delii Smith, świece w butelkach po chianti, krążące tu i tam skręty z trawką. Bardzo im zależało na utrzymaniu parytetu, więc zaprosiłam Sebastiana, choć nasz płomienny romans znacznie ostygł. Simon przyszedł z dziewczyną z języków nowożytnych. Rzucił okiem na misternie przygotowane nakrycia na laminacie kuchennego stołu i wybuchnął śmiechem. Zwrócił moją uwagę i to wystarczyło. Gdy impreza weszła w fazę porto, skrętów i gry w „prawda czy wyzwanie”, wymknęliśmy się i nad ranem bieглиśmy przez Bristol, przystając przy Bordeaux Quay, żeby się pocałować, podczas gdy na przystani kołysały się i pobrzękiwały łodzie. Poszliśmy do mieszkania Simona w Clifton i kochaliśmy się w czarnej pościeli w jego łóżku, nad którego wezglowiem wisiał plakat z Che Guevarą. Przez resztę studiów byliśmy nierozłączni. Pobraliśmy się, mając po dwadzieścia trzy lata, gdy Simon zdał egzaminy adwokackie, a ja zrobiłam kurs nauczycielski. Wzięliśmy ślub jako pierwsi z grona naszych znajomych i gdyby ktoś powiedział mi wtedy, że kiedyś nie będę mogła opanować irytacji, patrząc, jak Simon pije herbatę, roześmiałabym mu się w nos.

Jak się spodziewałam, wzmianka o Cambridge go intryguje.

– O, ciągle pracujesz nad tą książką? – Na więcej nie potrafi się zdobyć.

– Owszem – odpowiadam. – Całkiem nieźle mi idzie.

– To o tym autorze horrorów?

– O R.M. Hollandzie. Pisał opowiadania grozy, tak.

– Facet zamordował żonę, prawda? – Simon najwyraźniej uważa, że to szalenie błyskotliwa uwaga.

– Nikt nie wie, czy naprawdę ją zamordował. Być może rozwiążę tę zagadkę w książce. Są też wątpliwości co do jego córki.

– Nie wiedziałem, że miał córkę.

– Nie ma pewności. W dziennikach wspomina o jakiejś M i przypuszczam, że chodzi o jego nieślubną córkę. Ona też umiera, bo jest wiersz zadedykowany *nieodżałowanej pamięci M*.

Simon wzdryga się w teatralny sposób, który mnie denerwuje.

– Cholera jasna, czarujący gość, nie ma co. Nie wierzę, że w szkole do dzisiaj są jego rzeczy. Na strychach. Nic dziwnego, że to takie pokręcone miejsce.

Gdy przeniosłam się do Sussex i dostałam pracę w Talgarth, Simon nalegał, żeby Georgie poszła do działającej niedaleko prywatnej szkoły. Mimo zastrzeżeń natury ideologicznej (które, nawiasem mówiąc, Simon kiedyś podzielał) zgodziłam się. Przyjęłam pracę w Talgarth, wiedziałam jednak, że panuje tam kryzys. Tamtego roku Georgie przeżyła mnóstwo wstrząsów w związku z naszym rozwodem i wyprowadzką z Londynu, uznaliśmy więc, że najlepszym rozwiązaniem będzie St Faith, mała elitarna szkoła dla dziewcząt. Georgie jej nienawidziła. Nie znosiła dziewczyn – większość z nich skończyła sąsiednią prywatną podstawówkę – nie znosiła mundurka, drobiazgowego regulaminu, wszystkiego. Już po pierwszym trymestrze stała się przygnębiona i wycofana i niepokojąco schudła (sportem, w którym szkoła St Faith osiągała najlepsze wyniki, było wyczynowe stosowanie diet). W ósmej klasie przeniosłam ją do Talgarth i wtedy w zasadzie odżyła. Ma mnóstwo koleżanek i całkiem nieźle radzi sobie z nauką. Simon wciąż skrycie żałuje, że jego córka nie nosi żakietu i futerału z fletem. Jeżeli zechce, może wybrać tę drogę dla Tigera i Ocean (z biegiem lat zmieniła się też jego tolerancja na egzotyczne imiona, przypuszczam, że pod wpływem Fleur). Ale nie może zaprzeczyć, że Georgie dobrze się czuje w szkole, więc ogranicza się do nazywania Talgarth „ściekiem ogólnokształcącym” i uwag o panującej tam podobno niezdrowej atmosferze.

– Uczniowie nie mają wstępu na najwyższe piętro – informuję go – a wyniki egzaminów w tym roku były naprawdę nieźle. Należały do najlepszych w kraju.

– Georgia musi się porządnie przyłożyć do pracy przed egzaminami – oświadcza Simon – i przestać prowadzić się z dwudziestojednoletnimi obibokami.

Wprawdzie dzielam tę opinię, ale złości mnie, że to on ją wygłasza. A poza tym „obiboki”?! Czyżby Simon został postacią z sitcomów z lat siedemdziesiątych? Wyrwam mu kubek z rąk i zacznę go myć.

– Nie pora, żebyś już wracał?

Później, gdy oglądamy z Georgie *Chirurgów* na DVD (ostatnio chwilom naszej największej bliskości towarzyszą trepanacje czaszki i wszczepienia bypassów), pytam:

– Masz ochotę pojechać w piątek do Cambridge?

Georgie nie odrywa oczu od ekranu, na którym Meredith i Derek z egzaltacją przeżywają cierpienia nastolatka chorego na białaczkę.

– Po co?

– Muszę się spotkać z kimś w sprawie książki, ale mogłybyśmy zjeść lunch i pochodzić po mieście. Jest piękne.

– Z kim się musisz spotkać?

– Z kimś, kto ma jakieś listy R.M. Hollanda. – Georgie wie, o kim mowa, jak wszyscy uczniowie szkoły, ale nigdy nie zdradzała zainteresowania pisarzem.

Wpatruje się w ekran jeszcze przez minutę, po czym pyta:

– Ale nie chcesz mnie męczyć, żebym starała się o miejsce w Cambridge albo Oksfordzie?

– Czy kiedyś coś takiego robiłam?

– Subtelnie – odpowiada Georgie, pisząc na telefonie bez patrzenia. – Słyszałam historie o tym, jak to czyjaś córka tam poszła i jak jej było super. O balach na koniec roku w każdym college’u i tak dalej.

Nie zdawałam sobie sprawy, że raczę ją takimi opowieściami, chociaż chyba wszyscy moi londyńscy znajomi mają dzieci w Oksfordzie albo Cambridge. Czasem zastanawiam się, czy przeprowadzka do Sussex nie zrujnowała nam obu przyszłości.

– Ani razu o tym nie wspomnę – obiecuję.

- W takim razie okay. Czy Ty też może jechać?
- Nie. To ma być wyjazd matki i córki.
- Ble – rzuca skrzywiona Georgie, ale się nie sprzeciwia.

Dziennik Clare

Środa, 25 października 2017

Dziś rano zebrałam się na odwagę, by zadzwonić do rodziców Elli. Nie sądziłam, że to zrobię. Układałam sobie w głowie tłumaczenie: „Próbowałam. Pewnie na razie nie odbierają telefonów. To raczej nietaktowne z mojej strony. Chyba wystarczy, jak wyślę kartkę”. Ale już po drugim dzwonku ktoś odebrał. Matka Elli, Sarah. Gdy tylko się przedstawiłam („Clare ze szkoły”), zaczęła płakać. „Och, Clare, jak to się mogło stać?” To było straszne. Próbowałam powiedzieć to, co trzeba, ale co należy powiedzieć w takich okolicznościach? Nie ma takich słów. Ella nie żyje, a jej rodzice stali się bezdziejni. Wszystkie ich nadzieje – na narodziny wnuków, zestarzenie się w otoczeniu kolejnych pokoleń – legły w gruzach. Powiedziałam tylko, że bardzo mi przykro, i zapytałam o pogrzeb. Sarah wyznała, że chce, by uroczystość odbyła się w kaplicy w Talgarth, co trochę zbiło mnie z tropu. Odpowiedziałam, że oczywiście przyjdę, spytałam, czy mogłabym coś dla nich zrobić, i tak dalej. Ale nic nie mogę zrobić. W tym cała rzecz.

Wcześniej byłam w miasteczku na kawie z Debrą. Jest bardzo przybita tym, co się stało z Ellą, ale też dziwnie zafascynowana; dopytuje się o sekcję zwłok i śledztwo, jak gdyby chodziło o historię z serialu. Wciąż myślę o dwójce detektywów, którzy tu przyszli, Kaur i Winstonie. Nie okazywali mi jawnej wrogości, ale nie zachowywali się też życzliwie. „Większość ofiar zabójstw ginie z ręki ludzi,

których znajdą – powiedziała Kaur – i mamy powody przypuszczać, że podobnie było w tym przypadku”.

Kogo podejrzewają?

Nic na tym świecie nie pozostaje w ukryciu na zawsze^[5] – *Wilkie Collins, Córki niczyje.*

[5] Przekład Magdaleny Hume.

Rozdział 5

Odstawiamy Herberta do ośrodka Doggy Day Care i wcześniej rano ruszamy w drogę do Cambridge. Jest piękny dzień, rześki i słoneczny, przy polach i łąkach rosną płomienne jesienne drzewa. Nawet na autostradzie M25 nie jest najgorzej. Georgie założyła słuchawki, ja nastawiłam Radio 4. Audycję o napastowaniu seksualnym. Próbuję sobie przypomnieć, ile razy wygłoszono pod moim adresem niestosowne uwagi w szkole, na studiach i w pracy. Rezygnuję, kiedy dochodzę do dwucyfrowego wyniku. Georgie wyjmuję słuchawki i pyta, czy jesteśmy już na miejscu.

– Niedługo. – Spod przymrużonych powiek zerkam na ekran nawigacji, gdzie wyświetla się zawsze optymistyczny przewidywany czas przyjazdu. – Jeszcze mniej więcej godzina.

Georgie odchyła się z powrotem na oparcie. Zatrzymujemy się na stacji, żeby się napić, skubnąć coś słodkiego i skorzystać z toalety, a potem ruszamy w dalszą drogę. Jedziemy M11, później drogą o cudownej nazwie Fen Causeway[6]. Teren się obniża; widzę przed nami tylko niebo i drogę. Przypominam sobie, jak kiedyś usłyszałam od pewnego amerykańskiego pisarza: „W Kansas, kiedy ktoś ucieka, widać go przez wiele dni”. Tu może nie są to dni, ale uciekająca postać potrzebowałaby kilku godzin, by zniknąć za horyzontem. Moja babcia mieszka na górzystej północy Szkocji, ale jej dom stoi w wiosce rybackiej, gdzie są sklepy i normalna społeczność. Tata uciekł stamtąd, jak mógł najszybciej; ewakuował się do Edynburga na studia, a potem do Londynu, gdzie znalazł pracę. Mimo to

uwielbiam Szkocję; z domem w Ullapool wiążą się moje najszcześniejsze wspomnienia. Tutaj jest zupełnie inaczej. Dziwny, ponury krajobraz, nawet w taki dzień jak dziś. Miejsce, które lepiej nadawałoby się na dno morza.

Kłopoty zaczynają się w samym Cambridge. Nie mogę znaleźć St Jude College, a nawigacja kapituluje, mrużąc do siebie „przy najbliższej okazji zawróć”. W końcu muszę się zatrzymać, żeby spytać o drogę, a Georgie jeszcze głębiej zapada się w siedzenie. Kolejna runda siecią jednokierunkowych ulic, podczas której mijamy wiekowe portale i bramy, zaglądając do innego świata.

St Jude ukazuje się nagle, w niemal nadnaturalny sposób. Gdy hamuję, samochody za mną trąbią, a skręcając w niską łukową bramę, o mały włos nie potracam rowerzysty. Z portierni wyłania się ogromna groźna postać, ale chyba figuruję na jakiejś liście, więc dostaję pozwolenie, by jechać dalej; mijam szmaragdowozielony dziedziniec i docieram na niewielki parking.

– Profesor Hamilton spotka się z panią przy schodach do biblioteki – słyszę, więc parkuję niedaleko, obok pojemników na śmieci, i obie wysiadamy z samochodu.

Georgie rozgląda się. Z trzech stron otaczają nas budynki w stylu Tudorów, które w październikowym słońcu błyskają szybami w witrażowych oknach.

– Mam ciary – mówi Georgie.

– Ale chyba w pozytywnym sensie – odpowiadam. Na więcej nie mogę sobie pozwolić.

Biblioteka znajduje się po przeciwnej stronie dziedzińca. Okrążamy trawnik i dochodzimy do niskich drzwi. Muszę się odrobinę pochylić. Może i dobrze, że tu nie studiowałam. Miałabym co chwilę wstrząśnienie mózgu. Przed sobą widzimy kamienne schody, ciemne i dziwnie złowrogie, ale po lewej wisi napis *Biblioteka*, na szczęście sporządzony krojem czcionki z dwudziestego pierwszego wieku. Gdy wyciągam rękę, by otworzyć drzwi, rozlega się głos:

– Pani Cassidy?

Odwracam się. Jeśli ja musiałam się schylić, ten człowiek musi się niemal zginać w pół, by nie uderzyć głową we framugę. Mam sto siedemdziesiąt osiem centymetrów wzrostu, muszę jednak zadrzeć głowę, by spojrzeć na jego twarz, prawie niewidoczną w półmroku korytarza.

– Henry Hamilton. – Widzę wyciągniętą dłoń.

– Clare Cassidy.

Gdy mój wzrok przyzwyczaja się do mniejszej ilości światła, dostrzegam, że Henry Hamilton ma ciemne, dość długie włosy, które nadają mu wygląd kompozytora albo poety. Prawdopodobnie jest po czterdziestce; szczupła twarz zdradza wrażliwość. Ma około stu dziewięćdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu.

– To moja córka, Georgia.

Georgie udaje się podać mu rękę i wykrztusić jakieś słowo.

– Bardzo mi miło – mówi do niej Hamilton. – Pierwszy raz jesteś w Cambridge?

– Tak.

– Mam nadzieję, że uda ci się zobaczyć jeszcze inne budynki. W porównaniu z King's College czy Trinity College St Jude to betka.

– Bardzo ładna betka – stwierdzam.

– Mnie się podoba – przyznaje Hamilton. – Wstąpi pani do mojego gabinetu? Zaparzyłem kawę. Georgio, chciałabyś, żeby jakiś student cię oprowadził?

Córka piorunuje mnie wzrokiem, ale się nie odzywa. Hamilton bierze jej milczenie za zgodę.

Wszyscy wspinamy się po schodach i wchodzimy do pokoju, na którego drzwiach widnieje tabliczka *Profesor H.H. Hamilton*. Zastanawiam się, czy znajomi zwracają się do niego „HH”. Pokoik jest ciasny, ale z okna rozpościera się widok na dziedziniec i otaczające go złote budynki. Gdyby nie to, gabinet wyglądałby szaro i pospolicie: metalowy regał, komputer, biurko najprawdopodobniej z Ikei. Na tacy stoi jednak zaparzaczk tłokowy i talerz ciastek.

Hamilton wciska tłok z sitkiem, po czym przeprosza nas na chwilę. Wraca w towarzystwie tyczkowatego młodzieńca o rudych włosach, na którego twarzy lekko połyskują trądzikowe pryszczki.

– To jest Edmund. Chętnie oprowadzi Georgię po college’u, gdy ja będę pokazywał pani dokumenty.

Kiedy moja córka wychodzi z gabinetu, powstrzymuję nedorzeczną chęć, by ją ostrzec. Czy nic jej nie grozi w tym niesamowitym gotyckim świecie? Jestem też nieco rozczarowana, że Edmund nie wygląda na kogoś, kto wzbudziłby w Georgie entuzjasm dla życia w Cambridge.

– Mam nadzieję, że to był dobry pomysł – mówi Hamilton. – Pomyślałem, że listy mogłyby ją znudzić.

– Wszystko w porządku – zapewniam go. – Chcę, żeby zobaczyła, jak wygląda uniwersytet. Chodzi dopiero do jedenastej klasy, ale na to nigdy nie jest za wcześnie.

– Chce studiować w Cambridge?

– Nie sądzę, żeby się nad tym zastanawiała.

Hamilton się uśmiecha.

– O uniwersytecie zacząłem myśleć dopiero wtedy, gdy skończyłem szkołę i pracowałem w smażalni. Nikt w mojej rodzinie nie studiował. Przeczytałem o Cambridge w gazecie, w którą miałem zapakować kawałek dorsza i frytki. Artykuł zachęcał dzieciaki z klasy robotniczej do starania się o miejsce na uczelni. Pomyślałem sobie: gorzej niż teraz nie może już być. – Ma lekko wyczuwalny akcent z północnej Anglii, na który wcześniej nie zwróciłam uwagi. Nie z Newcastle, jak Simon, trochę delikatniejszy.

– Moi rodzice są wykładowcami – informuję go. – Bez przerwy mówili o uniwersytecie. Naprawdę trudno o złoty środek.

Po chwili milczenia pyta:

– Jak to się stało, że zainteresowała się pani Hollandem?

– Mieszkał w szkole, w której uczę. Oczywiście, wcześniej czytałam *Nieznajomego*, ale wejście do jego domu coś we mnie zmieniło. Zaczęłam mieć coś w rodzaju obsesji. Holland jest ciekawą postacią, która nie doczekała się jeszcze biografii.

– *Nieznajomy* to wspaniałe opowiadanie.

– Tak, świetnie działa na uczniów.

– Z pewnością. Kiedy odnalazły się te listy, sam niewiele wiedziałem o Hollandzie, więc zacząłem szukać o nim informacji. Znalazłem fragment wiadomości telewizyjnych, w których pani o nim opowiadała.

Krzywię się.

– Nie znoszę oglądać siebie na ekranie. Nie żebym wcześniej występowała w telewizji.

– Brałem kiedyś udział w teleturnieju *University Challenge* – wyznaje Hamilton. – Przegraliśmy, a potem jeszcze dostało mi się od mamy za to, że nie założyłem krawata.

– Jak te listy się tutaj znalazły? – pytam. – Wiem, że Holland poszedł do Peterhouse.

– Są adresowane do Williama Pethericka. Wie pani, że to na nim była wzorowana postać Gudgeona w *Nieznajomym*?

– Biedny Gudgeon.

– Owszem. Ale w przeciwieństwie do Gudgeona Petherick nie zmarł przedwcześnie. Zatrudnił się tu, w St Jude, jako wykładowca teologii. College zawsze cieszył się popularnością wśród młodych ludzi, którzy chcieli przyjąć święcenia. Petherick także komponował i gdy niedawno nasi chórzyci przeglądali jego partytury, znaleźli te listy. – Podsuwa mi na stole przezroczystą kopertę. Natychmiast rozpoznaję zwarte pismo Hollanda. Biorę papiery drżącymi rękami. – Z początku nie wiedzieliśmy, kim jest Roland – ciągnie Hamilton – ale potem przypomniałem sobie związek z R.M. Hollandem.

– Roland Montgomery Holland – mówię. Nie mogę się doczekać lektury tych listów. Hamilton najwyraźniej to rozumie.

– Ma pani czas. Muszę odpisać na kilka maili. – Odwraca się do komputera.

Listopad 1848 roku

Mój drogi Pethericku,

dziękuję Ci za list z trzeciego listopada. Przyjaźń to istotnie wolno dojrzewający owoc, a nasza kołysze się na gałęzi wielka i soczysta. Po śmierci Alice byłem bardzo przygnębiony, ale, jak mówisz, otuchy stale dodaje mi Mariana. Mimo to martwię się o nią. To nie jest życie dla niej, kiedy tkwi w pustym wielkim domu stojącym w szczerym polu, a jej jedynym towarzystwem jest zrzędlawy starszy pan. Biedna Mariana. Proszę Boga, by jej imię nie okazało się złowróźbne. M naprawdę jest jednak łagodnym i dobrym aniołem. Mimo to obawiam się, że mogła odziedziczyć skazę matki. Nie zatrzymam jej przy sobie jak samolubny stary tyran. Wyślę ją do siostry i jej rodziny w Shropshire, lecz jeszcze nie teraz. Chcę, by była przy mnie trochę dłużej.

Dziękuję Ci za słowa współczucia, stary przyjacielu. Ogromnie tęsknię za murami Cambridge.

Twój Roland

Następny arkusz najwyraźniej jest fragmentem dłuższego listu.

...imbecyli w świecie wydawniczym. Nienasycona bestia to oczywiście mocna rzecz, lecz niepozbawiona walorów literackich i artystycznych. Oni po prostu życzą sobie więcej opowiadań w rodzaju Nieznajomego, a dobrze wiesz, jak bardzo załuję tej jeu d'esprit. Mariana uważa, że nie napisałem niczego lepszego od Bestii, choć trudno ją nazwać krytykiem literackim. Mam jednak z niej wielką pociechę.

Zaciekawiła mnie wiadomość o nowej aranżacji Kyrie eleison. Bardzo chciałbym przyjechać do Cambridge i posłuchać tego wykonania. Jak ci jednak wiadomo, ostatnimi czasy niewiele podróżuję. Gdybym tylko...

Nie ma nic więcej. Czytam te stronicie jeszcze raz, a potem unoszę wzrok i widzę utkwione we mnie oczy Hamiltona, bardzo ciemne i głęboko osadzone.

– To... interesujące – bąkam.

– Miałem nadzieję, że tak pani pomyśli.

– Wspomina o Marianie i daje do zrozumienia, że to córka Alice...

– Proszę mi opowiedzieć o Marianie.

Niemal spodziewam się, że Hamilton złoży palce w piramidkę, jakby to były indywidualne konsultacje.

– Holland ożenił się z Alice Avery, aktorką – mówię. – Nie wiem, jak się poznali, bo prawie w ogóle nie opuszczał Sussex, a po śmierci Alice rzadko wychodził z domu. Pisze o żonie w dzienniku. Z początku był nią olśniony, ale wkrótce zaczęła zdradzać oznaki niezrównoważenia. Holland nazywał to histerią. Na pewno pan wie, że to była dość częsta diagnoza w czasach wiktoriańskich, zresztą stawiana wyłącznie kobietom. Kiedy Alice zmarła, byli małżeństwem zaledwie od czterech lat. Holland mówi o jej *śmiertelnym upadku*, a ja zawsze przypuszczałam, że spadła ze schodów w jego domu, gdzie teraz znajduje się stara część szkoły. Ożenek Hollanda i śmierć Alice odnotowano w rodzinnej Biblii, ale nie ma w niej wzmianki o Marianie. W innym liście Holland pisze jednak *Mariana, moje kochane dziecko*. Jest też wiersz dedykowany *nieodżałowanej pamięci M*, o jego rozpaczach po śmierci Marynary. Mogła mieć około trzynastu lat. Prócz tego nigdzie indziej się o niej nie wspomina i nie została pochowana na cmentarzu w Talgarth.

– Przy pani szkole jest cmentarz?

– Tak. Uczniowie nie mają tam wstępu, ale jak się pan domyśla, bardzo lubią tam chodzić.

– Idealne miejsce na wypalenie zakazanego papierosa.

– I inne niedozwolone rzeczy. Ale w tym liście Holland pisze, że Mariana odziedziczyła *skazę matki*. To sugeruje, że była córką Alice.

– Może rzeczywiście wysłał ją do swojej siostry w Shropshire?

– Niewykluczone. Siostra Hollanda, Thomasina, wyszła za duchownego i nie przepadała za pisaniem listów i dzienników. Mieli natomiast rodzinną Biblię, w której wymieniono wszystkie dzieci Thomasiny, w tym dwoje zmarłych w niemowlęctwie, ale nie ma ani słowa o Marianie.

– Kiedy się czyta, jak bardzo była mu potrzebna, ciary chodzą po plecach – mówi Hamilton.

Zaskakuje mnie słowo „ciary” w jego ustach, nie tylko dlatego, że jest zdecydowanie nieakademickie, ale też dlatego, że Georgie użyła go, mając na myśli college.

– Rzeczywiście, bardzo dziwne – przyznaję. – Ale Holland w ogóle był dziwny. A pod koniec życia zażywał ogromne ilości opium.

– Wszyscy się tym raczyli – zauważa Hamilton. – Wilkie Collins pił tyle laudanum, że gdy jego służący chciał uczcić zapis na swoją rzecz w testamencie pana i wypił jedną ósmą porcji, którą co dzień przyjmował Collins, nie przeżył.

– A panna Gwilt w *Armadale*’u mówi: *Kim był człowiek, który wymyślił laudanum? Dziękuję mu z głębi serca*[7].

– Nie czytałem *Armadale*’a.

Ta informacja daje mi pewne poczucie wyższości, chociaż profesor mówi to takim tonem, jakby przeczytał wszystkie inne książki na świecie.

– Powinien pan – sugeruję. – Są tam świetne czarne charaktery. Słyszałam już tę historię o służącym. Ciekawe, czy to prawda. Za bardzo brzmi jak wymyślona przez Collinsa.

Hamilton parska śmiechem.

– Słusznie. A *Nienasycona bestia*? To niewydana powieść?

– Tak. W dziennikach Hollanda są notatki na jej temat. Opowiada o bestii, która mieszka w lesie. Czasem napada na wioskę w odludnej okolicy i porywa z niej młode kobiety, zabija je i pożera. Nie jest jednak całkowicie jasne, czy to zwierzę, czy szaleniiec, a może nawet sam narrator.

– Rękopis przetrwał?

– Nie ma go w papierach w Domu Hollandów, ale cytaty pojawiają się w jego dziennikach. Holland był mistrzem cytowania. Zachowało się natomiast kilka odmownych listów z wydawnictw.

– O tym pisał w drugim liście?

– Tak. Książka na pewno wygląda na *mocną rzecz*. Widziałam kilka dość drastycznych fragmentów. Te, które czytałam, sprawiają wrażenie długiej koszmarnej wizji wywołanej przez opium. Ale, jak twierdzi Holland, wydawcom zależało tylko na opowiadaniach w stylu *Nieznajomego*.

– Którego stworzenia żałował.

– Zgadza się. Napisał go, gdy był jeszcze młodym człowiekiem. Właśnie skończył studia w Cambridge i mieszkał na stacji w Londynie. Jeszcze nie odziedziczył Domu Hollandów. *Nieznajomy* ukazał się w pewnym tygodniku, a potem wszedł do zbioru opowiadań grozy. Hollanda irytowało, że ten tekst zdobył taką popularność. Może było mu też przykro, że zabił Gudgeona, zwłaszcza że dalej przyjaźnił się z Petherickiem.

– *Przyjaźń to wolno dojrzewający owoc* – mówi Hamilton. – Nawiasem mówiąc, to z Arystotelesa. Sprawdziłem.

– Dość nieprzyjemny obraz. Na końcu owoc albo więdnie, albo gnije.

Hamilton ma nieco zdziwioną minę, jakby nie spodziewał się krytyki literackiej ze strony skromnej absolwentki Bristolu. Wtedy otwierają się drzwi i Edmund wprowadza do gabinetu Georgie. Bąka jakieś słowa pożegnania i wycofuje się. Moja córka spogląda za nim w zamyśleniu.

– Bardzo dziękuję, że poświęcił mi pan czas. – Wstaję. – Mogłabym dostać kopie tych listów?

– Oczywiście – mówi Hamilton. – Nasza rozmowa sprawiła mi wielką przyjemność. Da mi pani znać, jeżeli ustali pani prawdę o Marianie?

– Przyślę panu egzemplarz gotowej książki – odpowiadam nieco żartobliwie.

– Bardzo chętnie ją przeczytam.

Jemy lunch w wegańskiej knajpce i wałesamy się po publicznie dostępnych częściach niektórych college'ów. Georgie mówi, że dziedzińce inaczej nazywa się podwórcami i to chyba jedyna informacja, jaką usłyszała od Edmunda.

– To naprawdę kaplica kolegiarna? – Wpatruje się w jej smukłe gotyckie okna. – Wygląda jak katedra.

– Jest trochę większa od kaplicy w szkole Talgarth. – Kiedy to mówię, przypominam sobie, że rodzice Elli chcą tam odprawić uroczystości pogrzebowe. Talgarth jest szkołą bezwyznaniową, ale z kaplicy nadal się korzysta, głównie jako miejsca ślubów. Mimo szkaradności współczesnych budynków są ludzie, którzy naprawdę chcą się pobrać w szkole, a dla niej jest to cenne źródło dochodów. Nie wyobrażam tam sobie natomiast pogrzebu, trumny wnoszonej po głównych schodach, żałobników kroczących korytarzami, których ściany są udekorowane egzaminacyjnymi pracami plastycznymi. Nie potrafię o tym myśleć. Nie będę o tym myśleć.

W drodze do domu Georgie zaskakuje mnie pytaniem, co było w listach. Nigdy wcześniej nie przejawiała zainteresowania Hollandem.

– Były ciekawe – odpowiadam. – I znalazła się tam wzmianka o tajemniczej córce, Marianie. Martwił się, że odziedziczyła skazę po matce.

– Jak myślisz, co to było?

– Przypuszczam, że szaleństwo.

– To znaczy, że jego żona była wariatką?

– Prawdopodobnie nie. W tamtych czasach kobiety trafiały do zakładów dla obłąkanych, gdy cierpiały na depresję poporodową albo nie były posłuszne mężom. Zdarzały się nawet przypadki zamykania kobiet za „zbyt namiętną lekturę powieści”.

– No to miałybyś przekichane.

Śmieję się.

– U kobiet często diagnozowano histerię. To określenie powstało od łacińskiego słowa oznaczającego macicę...

Ale Georgie patrzy w telefon i wyczuwam, że właśnie straciłam słuchaczkę. Gdy wjeżdżamy na M25, pytam od niechcienia:

– Jak ci się podobał St Jude College?

– W porządku. Trochę dziwny typ z tego Edmunda. Studiuje filologię klasyczną i wioskuje. W sensie że startuje w regatach, które pokazują w telewizji, wiesz.

– Wiem.

Nagle Georgie chichocze.

– Ale spodobał mi się profesor Henry. A ty spodobałaś się jemu.

Lawiruję między trzema zatłoczonymi pasami ruchu, a kiedy już mogę wrócić do rozmowy, pytam:

– Co masz na myśli?

– Te wszystkie „bardzo chętnie przeczytam” – wyjaśnia głębokim arystokratycznym głosem. Zresztą w ogóle niepodobnym do głosu Henry’ego Hamiltona. – Chce się znowu z tobą spotkać.

– Bzdura – rzucam. Mimo to nie mogę się oprzeć zadowoleniu. Myślę o założeniu Hamiltona, że któregoś dnia moja książka ukaze się w druku. Pewnie żyje w takim świecie. Pisze się książkę, a potem się ją wydaje. Rzeczywistość wygląda inaczej. Gdy wpadłam na pomysł pisania o R.M. Hollandzie, zwróciłam się do kilku agentów i jeden z nich był zainteresowany. Nie doprowadziło mnie to jednak do podpisania umowy i czasem wydaje mi się, że nigdy nie skończę tej książki. Napisałam około sześćdziesięciu tysięcy słów i bywają gorsze dni, gdy dochodzę do wniosku, że pięćdziesiąt tysięcy z nich to kompletne badziewie.

Parę kilometrów dalej Georgie pyta:

– Czy Ty może dzisiaj wpaść?

Staram się zachować lekki ton.

– Myślałam, że spędzimy spokojny wieczór. Może zamówimy pizzę.

– Ty lubi pizzę.

Nie odpowiadam.

– Jutro nie możemy się zobaczyć, bo ma zmianę.

Ty pracuje w pubie w miasteczku. Powinna się chyba cieszyć, że coś robi (i nie jest „obibokiem”), ale to mi przypomina wyłącznie o tym, że wiek nie tylko pozwala mu legalnie pić, ale i pracować w barze.

– Mamo, proszę.

– No dobrze – mówię.

Przecież nie ma sensu psuć tego dnia.

Ty przychodzi punktualnie o siódmej. Gdy w drzwiach rysuje się jego sylwetka w skórzanej kurtce, doskonale widzę, dlaczego podoba się Georgie. Jest przystojny w bardzo dorosły sposób: ciemne włosy, cień zarostu na twarzy, wyraźnie zarysowane mięśnie. Ukradkiem przyglądam się córce, gdy bierze od niego kurtkę i prosi o wybór pizzy. Nie wygląda na zadurzoną, ale mam nadzieję, że nawet jeśli jest, uzna okazywanie tego za mało cool. Drwi z niego, że chce pizzę z ananasem (ma rację!), ale Ty tylko leniwie się do niej uśmiecha i nie daje się sprowokować. Podoba mi się to, podobnie jak to, że dziękuje za wino i wybiera szklankę wody. Kiedy czekamy na pizzę, pytam go o rodzinę. Pochodzi z Kent i po śmierci rodziców, którzy zginęli w wypadku samochodowym, wychowywali go dziadkowie (Georgie chyba mówiła mi już o tym smutnym fakcie).

– Ale babcia jest super – ciągnie Ty. – Ma internet i tak dalej. Jest senior surferką. Chodzi na zajęcia do biblioteki.

– Ile ma lat? – pyta Georgie.

– Jeszcze nie tak dużo. Siedemdziesiąt pięć. – Punkt dla Tya.

– O, to wiekowa. – Georgie traci punkt. – Mówię w pozytywnym sensie – broni się, kiedy protestuję. – Starsi ludzie mają w sobie... no, mądrość.

– Babcia ciągle mi powtarza, żebym jej słuchał, bo jest mądra – oznajmia Ty. – Ale śledzi na Snapchacie Kim Kardashian.

Jestem pod wrażeniem. Mam tylko mgliste pojęcie, co to jest Snapchat.

Przywożą pizzę i zjadamy je przed telewizorem. Jak zwykle w piątek wieczorem leci teleturniej na aktualne tematy i choć Ty nigdy nie słyszał

o Michaelu Govie (szczęściarz), to stroi sobie dość zabawne żarty z Iana Hislopa i jego dwutygodnika „Private Eye”. Widać, że nie jest głupi. Siedzą z Georgie na kanapie, ja natomiast dzielę fotel z Herbertem. Mój pies zawsze nieufnie odnosi się do odwiedzających nasz dom mężczyzn i obserwuje gościa spod grzywki. Ty natomiast wyraźnie się go obawia.

– W dzieciństwie nie mogłem mieć psa z powodu alergii – wyjaśnia i kicha, jakby na potwierdzenie swoich słów.

– Pudle są dobre dla alergików – mówi Georgie. – Ich sierść bardziej przypomina wełnę.

– Herbert jest tylko częściowo pudlem – zauważam.

Pod koniec *Have I Got News For You* Herbert pozwala mu się pogłaskać.

Georgie chce obejrzeć *Graham Norton Show*, bo ma w nim wystąpić jakaś bezmyślna celebrytka. Jestem rozdarta. Po podróży czuję się zmęczona, chcę coś napisać w dzienniku i przemyśleć ten dzień, listy od R.M. Hollanda i spotkanie z Henrym. Ale czy powinnam zostawiać tych dwoje bez przyzwoitki? Simon definitywnie stwierdziłby, że nie. Chciałby, żebym została i gapiała się na nich, może nawet w koronkowym czepku. Ten argument przeważa. Nie zamierzam odwalać za Simona brudnej roboty. Mówię im „dobranoc” i idę na górę. Co ciekawe, tym razem Herbert nie rusza za mną. Zostaje w salonie, może dlatego, że jeszcze pali się w kominku. Tak czy inaczej, to dobrze, bo na pewno zaszczeka, jeżeli Ty rzuci się na Georgie i zacznie ją obściskować. Nie mam ochoty myśleć ani o tym, ani o innych formach nastoletnich czułości. Nie chcę wyjść na bezdusznego rodzica albo – co gorsza – zazdrosnego. Ale odkąd odszedł Simon, nie całowałam się z żadnym mężczyzną. Wiem, to mój wybór, ale akurat w tym momencie nie przynosi mi to to żadnej ulgi. Przypominam sobie pytanie sierżant Kaur, czy Ella miała chłopaka. Czy powinnam odpowiedzieć inaczej? Wyjawić prawdę o Ricku?

W każdym razie obecność Herberta działa: Ty wychodzi przed końcem programu Grahama Nortona. Słyszę krótkie pożegnanie w korytarzu, a potem

Georgie wyprowadza psa na ostatnie siusiu. Później dwoje moich dzieci idzie na górę położyć się spać.

Myślę, że szybko zasnę, ale w głowie wciąż układają mi się wydarzenia tego dnia: podróż, stare budynki otaczające dziedziniec (podwórzec), gabinet z tabliczką *H.H. Hamilton* na drzwiach, listy, Mariana, *Nienasycona bestia*. Po jakimś czasie daję za wygraną i zapalam światło. Szukam na regale czegoś krzepiącego do czytania – P.G. Wodehouse’a albo Georgette Heyer – aż w końcu zatrzymuję wzrok na sfatygowanym tomiku Tennysona. Holland pisał, że modli się, by imię Mariany nie okazało się złowróżbne. Kartkuję książkę, by znaleźć ten wiersz.

*Gdy się zbudziła o północy,
Słyszała krzyki ptaków; potem
Koguty piałły z całej mocy.
Pomruki bydła, co za płotem
Drzemało, już się ku niej niosą.
Majacząc, szła przez śnieg głęboki
Samotna. Świt ją szarooki
Ocucił – w dworze tym tuż za fosą.
„Dzień jakże straszny tu.
Nie przyjdzie on, daleki!
O, gdybyż spokój snu
Ogarnął mnie na wieki”.[8]*

Sceneria przywodzi mi na myśl Cambridge i jazdę po grobli, która była najwyżej położonym punktem krajobrazu, a po jej obu stronach rozpościerały się płaskie łąki. Z tego fragmentu wieje grozą: krzyki ptaków, północ, głęboki śnieg i szarooki świt. Czy Mariana Holland też tak się czuła? Pragnęła zasnąć na wieki? Muszę dowiedzieć się o niej czegoś więcej. To może być punkt zwrotny, powód,

dla którego książka powinna zostać wydana. Co więcej jednak, mam dziwnie dużo zrozumienia dla tej dziewczyny, która zdaje się istnieć tylko w słowach. Holland najwyraźniej ją kochał, ale równocześnie traktował protekcjonalnie („trudno ją nazwać krytykiem literackim”). Może jednak Mariana była nie tylko *łagodnym i dobrym aniołem*, ale też rozgarniętym człowiekiem, może nawet niedoszlą pisarką...

Zasłony w oknie są odrobinę rozsunięte i nad starą cementownią widzę księżyc, który oświetla wybite okna i widmową wieżę. Wstaję, by zasunąć zasłony, i przez sekundę światło odbija się od szkła, jakby wysoko na murze błysnął płomyk świecy. Po chwili znowu jest ciemno. Przychodzi mi na myśl inny wers z Tennysona: *Czworobok murów, cztery wieże*[9]. Mam idiotyczne uczucie, że ktoś mnie obserwuje. Szczelnie zasłaniam okno i znowu spoglądam na regał. Siedzący na łóżku Herbert cicho warczy.

– Nie zaczynaj – ostrzegam go.

Wybieram *Jeevesa na wiosnę* i wracam do łóżka. Herbert wciąż patrzy w okno i irytuje mnie numerem w stylu „zwierzę o zdolnościach parapsychicznych”. Czasem żałuję, że dałam mu imię psa z opowiadania Hollanda. Przypominam sobie, co mówiłam słuchaczom w poniedziałek. „Zwierzęta można poświęcić”. Dlaczego coś takiego powiedziałam?

– Wszystko w porządku, Herbert – uspokajam go. – Tam nikogo nie ma. – Głaszczę mojego czworonożnego towarzysza i pozwalam się ukołysać do snu Jeevesowi i Woosterowi w kapeluszach homburg, którzy jedzą lunch w Ritzu i układają plan, jak uratować „Binga” Little’a przed wydziedziczeniem za to, że chce się ożenić z kelnerką.

[6] Fen Causeway – droga na grobli przez mokradła.

[7]Przekład Joanny Wadas.

[8] Wiersz *Mariana* w przekładzie Zygmunta Kubiaka.

[9] Wiersz *Pani z Shalott* w przekładzie Anny Bańkowskiej.

Dziennik Clare

Niedziela, 29 października 2017

Boję się jutrzejszej szkoły. Wszyscy uczniowie będą histeryzować z powodu Elli – część będzie naprawdę przybita, innym atmosfera tragedii po prostu będzie się podobać. Przez kilka ostatnich dni – Cambridge, sobota z G. – udało mi się odsunąć myśli o Elli na dalszy plan, ale znowu pojawia się na pierwszym miejscu. Nie śni mi się, ale wróciły koszmary. Dziś w nocy zgubiłam Georgię w lesie i żeby wytyczyć do niej drogę, musiałam wyrywać sobie włosy z głowy. Nie potrzebuję Freuda, by mnie przekonał, że doszły tu do głosu głęboko skrywane macierzyńskie lęki. To chyba pelikany karmią pisklęta, wyrywając sobie kawałek własnej piersi? Zrobiłabym to dla Georgie, ale wątpię, czy byłaby zachwycona ludzkim mięsem na grzance. Zresztą ciągle się odgraża, że zostanie wegetarianką.

Zadzwoiłam do mamy i taty, żeby przeprowadzić tradycyjną niedzielną rozmowę. Nie chciałam mówić im o Elli, ale pomyślałam, że może przeczytali o niej w gazetach (choć w „Guardianie” czytają tylko strony poświęcone sztuce). Mama wyraźnie miała kłopoty ze zrozumieniem słowa „zabójstwo”. „Czyli ona nie żyje?”, pytała mnie kilka razy. „Tak, mamo. Nie żyje”. „Ale była tak cudowną dziewczyną”, powiedziała, jakby nie zdawała sobie sprawy, że cudowne dziewczyny często padają ofiarą morderców. Żadne z nich nie pomyślało, jaki wpływ na mnie będzie miało to, że jedna z moich najlepszych przyjaciółek i najbliższych koleżanek z pracy została zamordowana. Tata stwierdził, że to „wstrząsające”, ale w sposób

sugerujący, że chciałby zamknąć temat. Mama powiedziała, że to bardzo smutne, ale natychmiast zaczęła mówić o planowaniu Bożego Narodzenia. Odpowiedziałam, że spędzimy u nich tylko jedną noc. Więcej nie wytrzymam, poza tym G. na pewno będzie chciała zobaczyć się z koleżankami w drugi dzień świąt. Mój brat Martin będzie z nami jeszcze krócej. Przypuszcza, że będzie „pod telefonem”. Nic nowego. Według moich obliczeń dyżuruje pod telefonem w każde święta od pięciu lat.

Odłożyłam słuchawkę, z niewiadomego powodu czując się niemile dotknięta, jak zawsze zresztą. Ale mimo wszystko przeżyłam kilka dobrych dni. Wczoraj wieczorem wpadła koleżanka G., Tash, i razem obejrzałyśmy halloweenowy odcinek Tańca z gwiazdami. Wtedy rzeczywiście myślałam o Elli, bo w trakcie tego programu często ze sobą pisałyśmy. Ale było bardzo miło, gdy siedziałyśmy na kanapie we trzy plus Herbert, wykrzykiwałyśmy obelgi pod adresem Craiga i wiwatowałyśmy na cześć Jonniego i Susan. Dziewczyny są bezlitosne – „w cza-czy muszą się więcej obracać” – ale uwielbiam ten program, ten błysk i blichtr, bigbandowe wykonania popowych piosenek. Zastanawiałam się przez moment, co pomyślałby o tym Henry Hamilton. Dla niego to zapewne zbyt niewyszukana rozrywka, chociaż wcale nie okazał się siwobrodym profesorem, jakiego sobie wyobrażałam. Georgie powiedziała, że mu się „spodobałam”. A czy on podobał się mnie? Pewnie trochę tak. Jest atrakcyjny jak Abraham Lincoln, poza tym miło spotkać osobę, która słyszała o Hollandzie i nawet się nim interesowała.

Dziś wieczorem Georgie wyszła z domu z Tyem. Mieli jakiś bliżej niesprecyzowany plan „odwiedzenia znajomych w Brighton”. Nie było sensu jej zabraniać, chociaż bąknęłam coś o zadaniu domowym i wymogłam na niej obietnicę, że wróci przed dziesiątą, bo jutro idzie do szkoły. Wyznaczona godzina minęła i chcę, żeby już wróciła. Przynajmniej Ty ma samochód i Georgie nie dygocze z zimna na przystanku. Z drugiej strony samochód rodzi nowe obawy. Ty może być przecież pijany albo odurzony narkotykami. Naćpany nowoczesnym odpowiednikiem opium, jak Wilkie Collins. Dlaczego ciągle jestem tak podejrzliwie nastawiona do tego chłopaka? Jasne, jest za stary dla Georgie, ale wydaje się

rozsądny – w piątek wieczorem nie pił – i inteligentniejszy, niż z początku sądziłam. Po prostu jest w nim coś niejasnego; wydaje mi się, że za przyjemną i ładną maską nie widzę prawdziwego człowieka. Nie jest jednak typem kogoś, kto prowadziłby pod wpływem narkotyków. Jego rodzice zginęli w wypadku, więc pewnie jest superostrożnym kierowcą. Mimo to wyobrażam sobie, jak z fantazją bierze wiraże na nadbrzeżnej drodze, muzyka dudni, Georgie się śmieje i żadne z nich nie patrzy, dokąd jadą. Może powinnam włączyć lokalne radio albo wpisać do Google'a wypadek samochodowy West Sussex? Nie. Dzięki Bogu. Słyszę chrobot jej klucza w zamku.

Rozdział 6

Gdy tylko przejeżdżam przez bramę, wyczuwam panującą w szkole atmosferę. Z czasów Domu Hollandów przetrwała imponująca brama z furtą z kutego żelaza i kamiennymi lwami po obu stronach; dziś na podjeździe kłębią się nastolatki w niebieskich bluzach: dziewczyny w szkolnych spódnicach podwiniętych w pasie, by zamienić je w niezbyt korzystne dla ich figur mini, chłopcy w czarnych dżinsach, wbrew regulaminowi. Rozstępują się przed moim samochodem, ale wydaje mi się, że gapią się dłużej niż zwykle, trącają się łokciami i pokazują na mnie. Przypuszczam, że mówią jedno do drugiego: „Patrz, pani Cassidy. Najlepsza przyjaciółka pani Elphick”.

Georgie niemal leży na przednim fotelu.

– Wysadź mnie tu – prosi.

Kiedy się zatrzymuję, wyskakuje z auta. Parę sekund później wtapia się w niebieski tłum. Jadę dalej, na parking przed Starym Budynkiem. Rick zwołał zebranie zespołu anglistów, ma się odbyć jeszcze przed lekcjami. Wiem, że musiał to zrobić, mimo to boję się tego spotkania. Zabieram torbę wypchaną poprawionymi pracami i szybkim krokiem przestępuję próg głównego wejścia, nie rozglądając się na boki.

Pokój anglistów znajduje się na pierwszym piętrze Starego Budynku, obok biblioteki. Latem jest w nim gorąco, a zimą lodowato, ale przynajmniej ma wysoki sufit i przesuwne okna, w odróżnieniu od pomieszczeń przyrodników, które znajdują się w suterenie i nigdy nie zagląda tam światło dzienne. Dziś jednak, gdy

otwieram drzwi, w sali czuć smutek i szok. Vera i Alan w milczeniu siedzą na kanapie, Anoushka tonie we łzach, a Rick z rozpaczą w oczach stoi pośrodku pokoju, jakby właśnie skończył mówić. Na niebieskim fotelu siedzi jakiś nieznajomy. Nie widzę jego twarzy, ale przypuszczam, że to nauczyciel sprowadzony do szkoły w zastępstwie Elli, który ma poprowadzić jej lekcje.

Na mój widok Vera podchodzi i bierze mnie w objęcia. Dziwnie się czuję, bo jest niska, więc mam jej głowę pod brodą, a kosmyki z jej koka łaskoczą mnie w nos. Poza tym nasz zespół raczej unika kontaktu fizycznego. Lubimy się i na koniec trymestru wychodzimy razem coś zjeść i wypić, ale nie przytulamy się, nie mamy zajęć integracyjnych, nie rozmawiamy o emocjach. Dlatego wydaje mi się dziwne, że stoję pod tablicą informacyjną w objęciach drobnej Very, a w tle rozbrzmiewa szloch Anoushki, która ma dopiero dwadzieścia pięć lat. Wreszcie Vera mnie puszcza i siadamy na kanapie obok Alana. On nie płacze, ale wyraźnie drżą mu dłonie, w których trzyma kubek z nadrukiem *Starzy nauczyciele nie umierają*.

– Co zamierza zrobić Tony? – pyta Ricka. – Zorganizuje nam sesję terapii grupowej? – Alan jest tradycjonalistą i nie przepada za Tonym. Ton jego głosu wskazuje, że wszystko, co Tony robi, będzie niewłaściwe.

– Chce dzisiaj powiedzieć coś dzieciakom na apelu – mówi Rick. – Zapewni pomoc psychologów.

– Psychologów! – prychnął Alan. Ale wiem, że lubił Elle. Mieli swoje prywatne dowcipy, łączyła ich też jawna pogarda wobec newage'owej, nastawionej na samorozwój kultury, której hołduje Tony.

– Myślę, że to dobry pomysł – odzywa się Anoushka. – Dzieci będą załamane. Uwielbiały Elle.

– Wszyscy jesteśmy załamani – oznajmia Rick. – Ale musimy jakoś sobie z tym poradzić. Chciałbym przedstawić wam Dona, który w tym tygodniu poprowadzi lekcje Elli. Może się pochwalić sporym doświadczeniem, więc mamy wielkie szczęście, że do nas dołącza.

Don z pewnością wygląda na człowieka ze sporym doświadczeniem, niekoniecznie dobrym. Jest chyba po pięćdziesiątce, ma przerzedzone włosy o podejrzanie ciemnym odcieniu i obwisłą skórę.

– Przykro mi, że pojawiając się tu w takich smutnych okolicznościach – mówi. Ma głos, który uczniowie natychmiast uznają za „jaśniepański” i najprawdopodobniej „gejowski” (choć stale wbijam im do głów, że to orientacja seksualna, a nie obelga).

– Clare. – Rick odwraca się do mnie. – Przejmujesz czwarty etap kształcenia, ze skutkiem natychmiastowym. W tym tygodniu spotkamy się, żeby omówić prognozy wyników egzaminów.

Już mnie o tym uprzedził, więc mogę zareagować tylko lekkim skinieniem głowy. W rzeczywistości to awans, ale trudno mi się z niego ucieszyć.

– Za etap trzeci będzie odpowiadać Vera – ciągnie Rick. – Wiem, że wszyscy połączymy siły w tym trudnym czasie.

– Czy możemy... hm... zrobić coś dla Elli? – pyta Anoushka. – Zasadzić drzewo albo ustanowić jakąś nagrodę jej imienia? Żeby jakoś ją upamiętnić.

– Tony otworzy księgę kondolencyjną – informuje nas Rick. – Rodzice Elli chcą odprawić uroczystości pogrzebowe tu, w szkolnej kaplicy, więc możemy uczcić jej pamięć. Ale rzeczywiście byłoby dobrze, gdybyśmy zrobili coś jako zespół. Zastanówmy się.

– Co z przedstawieniem? – pyta Vera.

Ella zawsze zajmowała się bożonarodzeniową inscenizacją. W tym roku jest to *Krwiożercza roślina*. Rick robi jeszcze bardziej żalospną minę.

– Zastanawiałem się, czy go nie odwołać, ale Tony uważa, że musimy w jakiś sposób wzmocnić morale. Clare, myślisz, że mogłybyście wziąć to z Anoushką na siebie?

Anoushka nieco się ożywia.

– Urządzimy wspaniały show dla upamiętnienia Elli – oznajmia. – Prawda, Clare?

Nagle widzę jasno jak na dłoni Ellę, która stoi przede mną z rękami na biodrach i włosami opadającymi na twarz. „Dostałaś moją pracę – mówi – i moje przedstawienie. Chcesz przejąć po mnie życie?”. Wizja jest tak rzeczywista, że muszę przetrzeć oczy, by zniknęła.

– Clare? – Rick patrzy na mnie.

– Przepraszam. Tak, przygotujemy tę sztukę dla upamiętnienia Elli.

– Nigdy jej nie zapomnimy – dodaje Vera. – Zawsze będzie z nami.

Zaczynam wierzyć, że to może być prawda.

Kiedy kieruję się do wyjścia, zatrzymuje mnie Rick. Wygląda okropnie: blady, z zaczerwienionymi oczami i wysypką, która z szyi wpełza mu na twarz.

– Jak się czujesz? – pyta.

– Jak... no... – Zawsze powtarzam siódmoklasistom, żeby nie używali „no” jako znaku przestankowego, ale czasem się przydaje.

– Rozmawiałaś z policją?

– Tak, we wtorek. Przyszli do mnie do domu.

– A czy... – Rick rozgląda się po pokoju, jakby chciał pokazać na migi słowo „potajemny”. – Czy wspomnieli o Hythe?

Patrzę na niego. Nie mogę uwierzyć, że o to pyta.

– Nie.

Przejeżdża dłonią po włosach, które sterczą jak ptasi czub.

– Jeżeli będą pytać, proszę cię, nie mów o Elli i o mnie. Wiem, że ci się zwierzała. Nie miałyście przed sobą tajemnic, prawda?

Och, mam ochotę mu powiedzieć, że było mnóstwo tajemnic. Ale oczywiście wiedziałam o jego romansie z Ellą – jeśli można to tak nazwać.

– To, co zaszło między tobą a Ellą, to wasza sprawa – stwierdzam. – Nikomu nie powiedziałam.

– Dziękuję. – Czuję się zażenowana, gdy widzę ulgę w jego oczach. – Po prostu... Daisy bardzo łatwo można teraz zranić.

Argument wydaje mi się wredny, nawet jak na Ricka.

– To było skończone – dodaje. – Między mną a Ellą. Skończyło się jeszcze latem.

Lato nie było tak dawno, a wcześniej Rick powtarzał mi, że się zabije, jeżeli nie pójdę z nim do łóżka. Zaskakuje mnie, że nagle czuję złość.

– Skoro tak mówisz... Muszę już iść na apel.

– Clare... – Rick wyciąga rękę, ale ją ignoruję.

Wychodząc z pokoju anglistów, słyszę, jak raptownie nabiera powietrza. Brzmi to jak szloch.

W szkole nie ma takiego miejsca, gdzie mogliby się zebrać wszyscy, więc Tony przemawia do uczniów na dwóch turach apelu. Idę na ten dla starszych klas. W sali gimnastycznej tłoczy się pięciuset nastolatków, a obręcz kosza unosi się nad głową Tony'ego jak aureola.

Nasz szef dobrze sobie radzi. Mówi, że nigdy nie zapomnimy Elli i że nasze życie zmieniło się na lepsze dzięki temu, że ją poznaliśmy. Że zginęła tragicznie, ale musimy zapamiętać blask i śmiech, jakie wniosła do szkoły.

– Wyruszając w podróż przez życie, pamiętajcie o pani Elphick i wartościach, jakie reprezentowała – głosi.

Alan obok mnie przewraca oczami na słowo „wartości”, ale wielu uczniów popłakuje i ja też mam wilgotne oczy.

Kiedy klasy od dziewiątej do jedenastej opuszczają gęsiego salę gimnastyczną, Alan mówi:

– Cholera, nie mogę już dłużej słuchać o tym, jak wszyscy wyruszają w podróż. Dlaczego nikt nigdy nie dociera na miejsce?

– Moim zdaniem wyszło całkiem okay – odpowiadam. – To trudne.

Tony schodzi ze skleconego naprędce podium i zbliża się do nas. Ma czterdzieści kilka lat i dba o linię, regularnie ćwicząc i stosując diety. Sądząc po graffiti na szkolnych murach, część uczennic uważa go za „słodziaka”. Jest też sporo kalamburów zbudowanych na jego nazwisku, Sweetman. Ale moim zdaniem ma oczy osadzone zbyt blisko siebie i za często się uśmiecha. Teraz jednak jest przygnębiony.

– Świetne przemówienie – mówię. – Na pewno nie było ci łatwo.

Tony przeciera oczy.

– Koszmar. Od paru dni nie śpię. Dzisiaj ma przyjść policja. Chcą porozmawiać z klasą Elli. Muszę zebrać zgody od rodziców, a wielu z nich nie chce na to pozwolić.

– Dlaczego? – dziwię się.

– Wiesz, jacy są tutejsi rodzice. Jeżeli chodzi o kontakty z policją, niektórzy mają doświadczenia z pierwszej ręki.

Ma rację. To okolica zamieszкана przez klasę średnią, ale większość zamożnych rodzin wysyła dzieci do szkół prywatnych, takich jak St Faith. Wielu naszych uczniów ma, jak to nazywamy, „skomplikowaną sytuację w domu”.

– Spora część tych ludzi pewnie została kiedyś skrzywdzona przez policję – mówi Alan, połykając haczyk. – Trudno się dziwić, że nie chcą, żeby ich dzieci były przesłuchiwane.

– To śledztwo w sprawie zabójstwa – zauważa Tony. – Spodziewałbym się, że będą chcieli pomóc.

– A po co? – pyta Alan. – Dlaczego mieliby wspierać system?

– Bo ich nauczycielka została zamordowana. – Tony podnosi głos i zaraz rozgląda się ze skruszoną miną. – Oszczędź mi tego naiwnego marksizmu, Alan.

– Przesłuchanie to dość traumatyczne przeżycie – mówię. – Zdziwiłam się, jak bardzo mnie to wytrąciło z równowagi.

– Mamy gotowych do pomocy psychologów – oznajmia Tony.

– Dla nauczycieli też?

Tony posyła mi spojrzenie pod tytułem „tylko nie próbuj mi się załamywać”.

– Wszystko w porządku, Clare?

– Jakoś się trzymam – zapewniam go. Będę się trzymać. Muszę. – Lepiej już pójdę na lekcje.

Pierwszą mam z dziesiątą klasą, która zaczęła w tym roku przygotowania do egzaminów końcowych. Powinniśmy omawiać *Myszy i ludzi*, ale jak było do przewidzenia, kończy się na tym, że rozmawiamy o Elli. Nie realizuję zaplanowanej lekcji ani nie osiągam zakładanych celów dydaktycznych, na pewno jednak spełniamy życzenia i potrzeby uczniów.

– Pani Elphick była dla mnie bardzo miła, kiedy zaczęłam chodzić do Talgarth.

– Pamiętacie, jak przebrała się za Wonder Woman na mecz netballu nauczycieli z uczniami?

– Albo jak na konkursie talentów śpiewała *Somewhere Over the Rainbow*?

– Była taka ładna.

– I dobra.

– Te jej włosy...

– I głos...

– Była najlepszą nauczycielką w tej szkole.

Mówiliście jej te rzeczy, kiedy jeszcze żyła? – zastanawiam się. Ale wiem, że na swój żarliwy nastoletni sposób są szczerzy. W tym momencie naprawdę kochają Ellę, naprawdę za nią tęsknią, naprawdę myślą o niej ze smutkiem. Ale jak mówił Tony, są dopiero na początku drogi. To minie, zresztą tak powinno być. Dla tej grupy młodych ludzi, w tym momencie rozrzuwionych, z zaczerwienionymi oczami, ważna jest terażniejszość. Za parę lat, może nawet parę miesięcy, będą mieli trudności z przypomnieniem sobie nazwiska Elli.

Wreszcie wracamy do rozmowy o żonie Curleya. Ona też, jak sądzę, padła ofiarą zabójstwa, a Steinbeck nawet nie zdradza nam jej imienia.

– Jakie jest znaczenie czerwonej sukienki? – pytam ich.

– Czerwony to niebezpieczeństwo – mówi ktoś.

– To kolor namiętności – podsuwa ktoś inny i odpowiada mu kilka gwizdów.

– Jest wystrojona – oznajmia Josh Brown, poważny chłopak w okularach. – Zwłaszcza jak na osobę, która mieszka na ranczu. Może to nam sugerować, że prowokuje mężczyzn.

– Co masz na myśli, Josh, mówiąc „prowokuje mężczyzn”? – pytam.

Przypomina mi się sierżant Kaur wypytująca o chłopaków Elli. Tak to właśnie wygląda: kobieta zostaje zamordowana, a ludzie sugerują, że przyczyniła się do własnej śmierci, bo miała życie erotyczne i była posiadaczką niebezpiecznej pary piersi. Ella z pewnością miała w szafie sporo czerwonych sukienek, ale to nie znaczy, że zasłużyła na to, by zginąć. Przygotowuję się na dyskusję o odpowiedzialności i przyzwoleniu, ale oddycham z ulgą, gdy otwierają się drzwi i staje w nich jakaś siódmoklasistka. Pełni dziś funkcję gońca – ten pomysł ma pomóc nowym uczniom poznać układ budynku.

Dziewczynka jest niska i wystraszona, nosi warkocze.

– Jaka urocza – mówi jedna z dziesiątoklasistek, zaledwie trzy lata od niej starsza.

Warkoczykowa podaje mi kartkę.

Policja chce z tobą pogadać – brzmi wiadomość. – Możesz zajrzeć do mnie na przerwie? T.

Oddaję kartkę.

– Powiedz panu Sweetmanowi, że przyjdę.

Detektyw sierżant Kaur i detektyw sierżant Winston czekają w gabinecie Tony’ego, w którym wyraźnie się już zadomowili. Przed nimi stoją styropianowe kubki z kawą, na biurku leży też pudełko pączków, jak na filmach. Tony został odesłany do sekretariatu. Drzwi do sąsiedniego pomieszczenia są szczelnie zamknięte.

– Dzień dobry, Clare – wita mnie Kaur. – Dziękuję, że przyszłaś.

– Skoro mamy mówić sobie po imieniu – odpowiadam – to jak brzmi twoje?

Rzuca mi zagadkowe spojrzenie.

– Harbinder.

– No więc, Harbinder, mam niewiele czasu. Za piętnaście minut zaczynam lekcję.

Wiadomo, że jest przerwa, bo uczniowie z tupotem przemieszczają się tam i z powrotem po korytarzach. Jeśli nie pada, powinni spędzać ten czas na zewnątrz, ale najwyraźniej dyscyplina uległa dzisiaj rozluźnieniu.

– To nie potrwa długo – obiecuje Harbinder. Podsuwa mi plastikową kopertę. – Przeglądaliśmy profile Elli w social mediach i chciałabym ci zadać kilka pytań.

Tego akurat zupełnie się nie spodziewałam. Co mają oznaczać „profile w social mediach”? Jestem na Facebooku, ale nigdzie indziej. Korzystam przede wszystkim z grupowych czatów – nawet nasz zespół anglistów ma swoją grupę. Georgie używa Snapchata i Instagrama, ja jednak czułabym się jak idiotka, wysyłając w eter zdjęcia własnej twarzy albo swojej kolacji. Nie mam konta na Twitterze, bo nie jestem sławna ani stuknięta.

– W lipcu ty i Ella pojechałyście do Hythe na kurs dla nauczycieli – ciągnie Harbinder. – Coś się tam stało. Wiem o tym z jej wpisów na Facebooku. Co to było?

A więc o tym mówił Rick. Policja wie, że coś się stało w Hythe. Być może wie nawet, że Ella z kimś spała, ale nie zna nazwiska kochanka. Myślę o żonie Curleya i czerwonej sukience. Nie zamierzam im pomagać. Tu nie chodzi o Ricka; chodzi o Ellę.

– To znaczy?

– Wiemy, że w Hythe stało się coś, co zdenerwowało Ellę – wyjaśnia Harbinder. – Byłaś tam, byłaś jej przyjaciółką. Pomyślałam, że możesz wiedzieć, co to było.

– Nie – oświadczam. – Działy się normalne rzeczy, jak zwykle na szkoleniu. Wiadomo jakie.

– Nie, nie wiadomo – odpowiada z kamienną twarzą. – Policja w Sussex nie prowadzi wyjazdowych kursów. Co się stało w Hythe?

Wiem, że nie mogę mrugnąć ani odwrócić wzroku.

– Nic – powtarzam. – Działo się to samo co zwykle. Dużo rozmów, zajęcia grupowe, wieczorem wyjście na drinka.

– Na drinka?

– Tak. – Staram się panować nad głosem. – Jest też towarzyska strona takich kursów. Ludzie idą razem coś wypić i zjeść.

– Z kim chodziłaś na drinka?

– Z różnymi osobami.

– Z Ellą?

– Tak.

– I Rickiem? Szefem twojego zespołu?

– Tak, raz czy dwa.

– Był tam ktoś jeszcze z Talgarth?

– Anoushka. Wtedy była NMN.

– En-em-en?

– Nowo mianowaną nauczycielką.

– Tu... – Harbinder stuka palcem w kartki w kopercie – Ella wspomina, że chce zapomnieć o Hythe. Jak sądzisz, co miała na myśli?

Próbuję zachować nieprzenikniony wyraz twarzy.

– Nie mam pojęcia.

– Pisze o doktorze Jekyllu i panu Hythe – ciągnie Harbinder, nie spuszczając ze mnie surowego wzroku. – Jak sądzisz, co to znaczy?

– Może błąd ortograficzny? – sugeruję. Jestem prawie pewna, że ani ona, ani Winston nie czytali tej książki.

Harbinder nie zwraca na to uwagi.

– Pisze też *C wie*. Czy C to ty?

– Nie wiem. – Teraz muszę odwrócić wzrok. Pocę się i mam nadzieję, że tego nie zauważyli. Zresztą Harbinder i tak dojdzie do wniosku, że to menopauza.

Kiedy odzywa się Neil Winston, to dla mnie niemal szok.

– Przy zwłokach Elli znaleziono wiadomość – mówi, a jego wyraźny, monotony głos odbiera słowom cały dramatyzm.

Tego się nie spodziewałam.

– Co to za wiadomość?

Winston czyta z telefonu:

– *Puste jest piekło*. Czy to coś pani mówi?

– To cytat – odpowiadam. – Z *Burzy* Shakespeare’a.

– A jak brzmi następny wiersz? – pyta Harbinder, choć jestem pewna, że to sprawdziła.

– *Puste jest piekło... a wszystkie diabły są tutaj*[10].

[10]Przekład własny tłumacza.

Rozdział 7

To szalony dzień, więc udaje mi się zajrzeć do Facebooka dopiero po powrocie do domu. Zresztą i tak nie mam na to ochoty. W pracy nie mogłam się skupić, bo otaczali mnie koledzy, do pokoju nauczycielskiego stale pukali uczniowie, a Vera zadawała mi poważne pytania o prace okresowe. Ale gdy tylko przestępuję próg, siadam przy kuchennym barku i otwieram laptop. Georgie poszła do Tash i podobno razem odrabiają zadanie, a Herbert nadal jest w ośrodku opieki (kosztownym jak przedszkole) i muszę go odebrać przed szóstą. Klikam małą niebieską ikonkę Facebooka, słysząc w tle cichy szum urządzeń w mojej designerskiej kuchni.

Od tamtego pierwszego razu nie zaglądałam na profil Elli. Może już będzie zamknięty. Może zobaczę tylko czarny kwadrat, komentarz *RIP*, pustkę. Może jej rodzice zrobili to, co sugerowała Debra, i „upamiętnili” konto córki, by jej cyfrowe wcielenie nadal istniało, choć jej doczesna powłoka przestała istnieć. Kiedy jednak wyszukuję Elle, widzę, że ciągle jest. Zdjęcie profilowe zostało zrobione podczas zeszłorocznej bożonarodzeniowej kolacji naszego zespołu. Ella ma rozpuszczone włosy i papierową czarną czapeczkę, która w świetle włoskiej restauracji Marini wygląda jak przetykany biżuterią kaptur z epoki Tudorów. Uśmiecha się i nieco wyzywająco patrzy prosto w obiektyw szeroko otwartymi oczami. Kto robił to zdjęcie? Nie pamiętam. W jej albumie jest i moje, z tego samego spotkania. Nie uśmiecham się i wyglądam na rozdrażnioną, jak często w takich sytuacjach. Mam małą głowę i papierowe czapeczki nigdy nie mogą się na niej utrzymać, więc wyglądam jak duch Banka na uczcie u Makbeta. *Nie kładź*

pochlebnej maści na twą duszę tą myślą, że to nie sumienie twoje, ale szaleństwo moje przemawiało[11].

Nie ma żadnych fotografii z Hythe, a nie wiem, jak cofnąć się na osi czasu aż do lipca. Gdzie Harbinder znalazła te uwagi, o których wspominała? W podobno bezpiecznej apce Messengera? W prywatnych wiadomościach wysłanych do kogoś innego? Otworzyłam własny profil. Nie wpisywałam na nim nic od 2015 roku (*Trzynaste urodziny Georgie to śliczny dzień. Nagle stałam się matką nastolatki!*), ale regularnie wysyłam prywatne wiadomości i uczestniczę w czatach. Moja ostatnia wiadomość do grupy *Kiedy my w trójkę... ?*, czyli na czacie z Ellą i Debrą, została wysłana w niedzielę, w którą zginęła Ella. Brzmi: *Tylko czwórka za to paso dobre. Czy oni są ślepi???* Nie mam pojęcia, kto tańczył paso dobre, ale złośliwy komentarz na temat niewyszukanej rozrywki telewizyjnej raczej nie zrobi wrażenia na sierżant Kaur. Podobnie jak trzy znaki zapytania. Na pewno nie pisałam o Hythe w mediach społecznościowych, ale odnotowałam wyjazd w dzienniku. Notuję w nim prawie codziennie i trzymam wszystkie zeszyty w zamykanej na klucz małej szafce w sypialni. Czasem zabieram do pracy ten bieżący, ale stare – archiwa, jak nazywam je w duchu – są bezpiecznie zamknięte.

Jest dopiero piąta. Nie muszę jeszcze odbierać Herberta, a Georgie wraca za parę godzin. Idę do sypialni i otwieram szafkę, w której są wszystkie części, w różnych rozmiarach i kolorach, ale ułożone ściśle według chronologii. Bieżący tom zaczęłam w sierpniu, czyli wzmianka o Hythe musi być w poprzednim. To jasnoniebieski notatnik Moleskine, *Styczeń – sierpień 2017*.

Przerzucam strony. Dwudziestego lipca 2017. Dzień wcześniej, w czwartek, skończył się trymestr. Pamiętam, jak w powietrzu czuło się koniec nauki. Był piękny dzień, na morzu w niebieskie i zielone pasy kołysały się żaglówki. Pojechałam do Hythe z Ellą, w drodze śpiewałyśmy piosenkę z radia przy otwartych oknach. Georgie była z Simonem – następnego dnia wyjeżdżali do Kornwalii na „rodzinne wakacje”, jak uparcie nazywał to mój były mąż. Ale nawet to nie mogło zepsuć mi nastroju. Skończył się trymestr, czekał mnie weekend w towarzystwie najlepszej przyjaciółki i lubianych kolegów i koleżanek. Szkolenie

też oczywiście mnie interesowało, mimo że miało typowy dla edukacyjnego żargonu, mało konkretny temat: „Wpływ prowadzenia dziennika na rozwój umiejętności pisarskich”. Tryskałam jednak entuzjazmem. W przyszłym roku zespół anglistów w szkole Talgarth miał być wzorcem najlepszych praktyk.

W każdym razie tak chyba wtedy myślałam.

21 lipca 2017

W tym roku dostał mi się niezły pokój. Wielkie łóżko dwa na dwa metry, widok na morze, nawet kanapa, która jakby nadaje wnętrzu charakter. Właśnie odebrałam wiadomość od Elli, że ma tylko standardowe podwójne łóżko. Czyli orgię lepiej będzie urządzić u ciebie. Ha, ha, odpisuję. Orgia raczej nie wchodzi w grę, natomiast o szóstej, przed pierwszą wieczorną sesją, jest koktajl. Ciekawe, czy w tym roku będzie Paul ze Stockport. Ella powie, że wpadł mi w oko (w samochodzie zachowywała się jak skrzyżowanie podnieconej nastolatki z kobietą światową), ale to po prostu miło, gdy trafia się nauczyciel, który nie jest żonaty ani nie jest gejem. Tak czy inaczej, najpierw mogę spędzić parę godzin w pokoju. Uwielbiam być sama w hotelach. Mogę oglądać Antiques Roadshow, popijać dobrą herbatę i zajadać ciasteczka. Zapowiada się znakomity weekend.

Później

Dziś wieczorem Ella naprawdę działała mi na nerwy. Humor rozbrykanej dziewczyny z ostatniej klasy przerodził się w maniackalną kokieterię, której towarzyszyły szpile pod moim adresem. „Och, Clare uważa, że za bardzo hałasujemy”. „Clare nie lubi, kiedy ludzie się bawią”. Od razu zaanektowała Paula ze Stockport, usiadła obok niego podczas kolacji. Przy swoim nudniejszym

końcu stołu słyszałam ich śmiech. Siedziałam obok Ricka, który wydawał się przybity.

Wieczorna sesja była całkiem niezła. Nosiła tytuł „Drogi pamiętniku” i traktowała o tym, że codzienne pisanie poprawia nasz styl, nawet jeśli piszemy kompletne bzdury. „Clare prowadzi dziennik”, pisała Ella. „Naprawdę?”, zainteresował się Paul. „Myślałem, że robią to tylko bohaterki wiktoriańskich powieści”. Cholerna bezczelność. Uśmiechnęłam się tylko i powiedziałam: „Kryję w sobie mnóstwo niespodzianek”, ale w duchu kipiałam ze złości.

Potem poszliśmy na spacer promenadą. Ella szła z Rickiem i zobaczyłam, jak w pewnym momencie bierze go pod ramię. Przystanąłam, żeby spojrzeć na morze, a kiedy się odwróciłam, byli już prawie przy hotelu. Nawet nie zauważyli, że mnie nie ma.

22 lipca 2017

Dochodzi północ. Ella przed chwilą wyszła z mojego pokoju. Nie bardzo umiem uwierzyć w to, co się stało. Dzisiaj znowu zachowywała się jak wariatka, ale tym razem była dla mnie miłsza. Nawet za bardzo. Łapała mnie za rękę, nazywała swoją „najlepszą kumpelą”, snuła opowieści, w których występowałyśmy jako łobuziary z zespołu anglistów. Gdy po południu podzieliliśmy się na grupy, cieszyłam się, że nie trafiłam do tej co ona. W mojej znalazł się Paul, a oprócz niego Anoushka oraz Louise i Beth, dwie sympatyczne nauczycielki z Irlandii Północnej. Mieliśmy mnóstwo zabawy i zaczęłam się czuć naprawdę dobrze. Nasza grupa usiadła razem do kolacji, a parę stołów dalej zobaczyłam Ellę i Ricka pogrążonych w rozmowie. Potem zniknęli. Wypiłam w barze parę drinków i poszłam się położyć. Kilka minut później zapukała Ella. Miała rozczochrane włosy, oczy dwa razy większe niż zwykle. Zastanawiałam się, czy coś zażyła.

Rzuciła się na moje ogromne łóżko i powiedziała: „Chyba prześpię się z Rickiem”. Patrzyłam na nią bez słowa. Zaczęła opowiadać, że całowali się na

plaży „jak para nastolatków” i że to będzie „wyjazdowy seks”, który w rzeczywistym świecie w ogóle się nie liczy. „Przecież on jest żonaty”, zauważyłam. Ella odpowiedziała, że Rick za nią szaleje, że jest „kompletnie opętany”. „Mówi, że na mnie zachorował”.

Dokładnie te same słowa podziały kiedyś na mnie. To JA usłyszałam je od niego zaledwie kilka miesięcy wcześniej. „Szaleję za tobą, Clare. Bez przerwy o tobie myślę. Zachorowałem na ciebie”. Pamiętam, jak wtedy pomyślałam, jakie to złowieszcze wyrażenie. Zachorował na mnie. „Jeżeli zachorowałeś, to potrzebujesz pomocy – powiedziałam mu. – Jesteś żonaty, a ja nie pójdę do łóżka z żonatym mężczyzną”. Miałam jednak ochotę ulec pokusie. Bóg jeden wie dlaczego, ale miałam wielką ochotę. Może dlatego byłam taka zła na Ellę. Krzyknęłam na nią, że moim zdaniem zachowuje się dziecinnie i głupio. Odparowała, że nie umiem z niczego czerpać przyjemności. „Dlaczego nie prześpisz się z Paulem? Albo z tym barmanem, który przez cały weekend robi do ciebie maślane oczy? Bo zawsze musisz być lepsza od innych. Ale nie jesteś lepsza. Jesteś po prostu nudna”.

Trzęsłam się po jej wyjściu. Nie sądzę, żebym kiedykolwiek jej wybaczyła.

Ani Rickowi.

Podobnie trzęsę się teraz, gdy przerywam czytanie. Oczywiście, że pamiętam ich romans. Nie przetrwał tamtego weekendu. Ella znudziła się Rickiem, zanim skończyło się szkolenie. Pamiętam długą drogę powrotną w deszczu, gdy śmiała się z powagi Ricka, jego braku poczucia humoru, upodobania do pozycji misjonarskiej. Wydawało się, że deszcz padał przez cały sierpień, chociaż na zdjęciach z Kornwalii na facebookowym profilu mojej córki widać słoneczne letnie dni, karuzele i kajaki, grille na plaży i Georgie pozującą w bikini z przyrodnim bratem Tigerem w twarzowym płaszczku plażowym Boden.

Rick dostał czegoś w rodzaju obsesji na punkcie Elli. Podobno wydzwaniał do niej, błagał o spotkanie, obiecywał, że odejdzie od żony i tak dalej. Gardziłam nim z tego powodu, bo dobrze pamiętałam, że zaledwie kilka miesięcy wcześniej wysiadywał przed moim domem, błagając, żebym poszła z nim do łóżka. Nie

pamiętałam natomiast, że w Hythe byłam taka wściekła, taka sztywna, taka zazdrosna. Uważałam, że Ella popełnia głupstwo, wikłając się w romans z szefem swojego zespołu. Przecież w jej poprzedniej szkole też stało się coś takiego. Poza tym nie przywiązywałam wielkiej wagi do wygłaszanych przez Ricka deklaracji dozgonnej miłości. Ale to była jej sprawa. Dlaczego miałabym mówić, że nigdy jej nie wybaczę?

Ponownie czytam wpis w dzienniku, życząc sobie w duchu, żeby tym razem zabrzmiał inaczej; nagle zauważam dopisek u samego dołu strony. Małymi drukowanymi literami.

Witaj, Clare. Nie znasz mnie.

[11] William Shakespeare, *Hamlet*, akt III, scena 4, przekład Józefa Paszkowskiego.

Rozdział 8

Witaj, Clare. Nie znasz mnie. Te słowa dźwięczą mi w głowie przez cały wieczór, gdy rozmawiam z Georgie o nowej fryzurze Tash i przypominam jej, że nazajutrz ma termin oddania pracy z historii. Proponuję kolację, ale mówi, że jadła u Tash. Ilekroć odmawia jedzenia, w głowie zapala mi się czerwona lampka – alarm: anoreksja! – ale chociaż jest bardzo szczupła (jak ja), nie wygląda niezdrowo. Tak czy owak, ja też w tym momencie niczego nie przełknę. Wyprowadzam Herberta na ostatni spacer. Przy naszej uliczce, udającej część dzielnicy domków szeregowych, stoi tylko kilka latarni, a resztę okolicy spowija ciemność. O tej porze rzadko pojawiają się tu samochody, więc idziemy jezdnią i Herbert drażni się ze mną: udaje, że unosi nogę przy krzakach, ale zaraz zmienia zdanie.

Witaj, Clare. Nie znasz mnie.

Ktoś pisał w moim dzienniku. Nie rozpoznałam charakteru pisma. Litery były smukłe i spiczaste, nakreślone ściętą stalówką, nazywaną italikiem. Ciągle myślę o fragmencie powieści *Ja, Klaudiusz*, w którym Kaligula doprowadził własnego ojca do szaleństwa i śmierci między innymi tym, że maleńkimi literami wypisywał na ścianie jego imię. Co dzień ubywała z niego jedna litera, a gdy z Germanika pozostało tylko G, ojciec umarł. Kto jest moim Kaligulą?

Takie rozważania do niczego nie prowadzą. Muszę się zastanowić, kto mógł mieć dostęp do dziennika. Miałam go w Hythe i parę razy być może zabrałam go do pracy. Ale zawsze bardzo uważam, żeby nikt na mnie nie patrzył, gdy w nim piszę. Nawet Georgie nigdy nie widziała, jak notuję w dzienniku. Może nie

trzymam tego w tajemnicy, nie jest to jednak coś, o czym chciałabym rozmawiać. W każdym razie Ella wiedziała, że piszę.

Wszystko jest w tamtym wpisie. „Clare prowadzi dziennik”. „Myślałem, że robią to tylko bohaterki wiktoriańskich powieści”. Czy to zdanie napisała Ella? Z jednej strony to żart, który jej zdaniem mógł być zabawny (łatwiej przychodzi mi używać czasu przeszłego), ale z drugiej – nie wygląda to na jej charakter pisma, które było duże, szerokie i zamaszyste.

Nie mogę też przestać myśleć o wiadomości *Puste jest piekło. Burza* jest w spisie lektur do egzaminu. Jestem prawie pewna, że Harbinder Kaur to sprawdziła i wie, że ten wers znają wszyscy w zespole anglistów; nazywamy to „kluczowym cytatem”. Ale czy zdaje sobie sprawę, że to zdanie pojawia się też w opowiadaniu R.M. Hollanda? Jeżeli tak, to na pewno sądzi, że wiadomość wskazuje na mnie. Serio przypuszcza, że maczałam palce w zabójstwie Elli? Przypominam sobie, jak pytała, co robiłam w niedzielę wieczorem i czy ktoś ze mną był. Czyżby już wtedy mnie podejrzewała? Poprosili mnie też o próbkę pisma. Czy zwracali się o to do wszystkich? Popadam w taką paranoję, że naprawdę zastanawiam się, czy na tej kartce nie ma mojego pisma.

W końcu Herbert siusia i wracamy do domu. Georgie jest w swoim pokoju, słyszę melodię z czołówki *Przyjaciół*, których ogląda na laptopie. Simon i ja zawsze stanowczo sprzeciwialiśmy się, by miała w pokoju telewizor, ale macbook łączy w sobie przenośną telewizję / kino / odtwarzacz CD / aparat fotograficzny / kamerę, które moja córka wszędzie ze sobą zabiera. Gaszę światło na dole, zamykam drzwi wejściowe na dwa zamki. Herbert obserwuje mnie, przechylając na bok głowę, jak gdyby się zastanawiał, dlaczego tak bardzo przejmuję się bezpieczeństwem. Potem jeszcze raz sprawdzam tylne drzwi i ruszam na górę, zabierając ze sobą telefon i torebkę. Tak na wszelki wypadek.

W łóżku uważnie przeglądam niebieski dziennik, ale już nigdzie indziej nie napotykam tajemniczego charakteru pisma. Nie umiem się zmusić, by zajrzeć do innych dzienników. Z 1997 roku (*Czytelniku, wyszłam za niego*) ani z 2002 (*Dziś urodziła się Georgie May Newton*), ani z 2013 (*Dziś ostatecznie orzeczono mój*

rozwód. O, ciemno, ciemno). Wyjmuję za to aktualny notatnik i zabieram się do pisania.

Nazajutrz jest Halloween i po lekcjach muszę poprowadzić swoją pierwszą próbę *Krwiożerczej rośliny*. Wzdragam się na myśl, że Georgie wróci do pustego domu, ale nie chcę o tym mówić, by jej nie wystraszyć.

– Dzisiaj wrócę później – informuję ją, kiedy włączamy się do ruchu na rondzie. – Mam próbę.

– Naprawdę robisz to przedstawienie? – Georgie unosi wzrok znad telefonu.

– Tak. Z panią Palmer. I boję się.

– Nic dziwnego, jeżeli występuje tam Świnka Peppa.

Świnką Peppą Georgie i jej towarzystwo nazywają Pippę Parsons, która gra główną rolę Audrey. Pippa chodzi do jedenastej klasy, jest wysoką blondynką o imponującym głosie i jej nos rzeczywiście trochę przypomina świński ryjek. Zawsze kazano jej śpiewać na uroczystościach wręczania nagród i nabożeństwach z kolędami. Może właśnie dlatego Georgie jej nie lubi.

– Nie wiem, o co ci chodzi – odpowiadam.

– Pewnie, że wiesz.

– W każdym razie jeżeli chcesz, możesz iść do Tash.

– Tash gra w tym przedstawieniu. Jest w chórze.

– No to zostań w szkole i obejrzyj próbę.

– Nie, poradzisz sobie. Odbiorę Herberta i wrócę do domu.

– Nie chcę, żebyś szła od Andy’ego po ciemku.

– Z Doggy Day Care, chciałaś powiedzieć. – Georgie zawsze wymawia tę nazwę z melodyjnym amerykańskim akcentem. – Przecież to dziesięć minut spacerem od nas. Główną drogą.

– W porządku. W takim razie trzymaj się drogi i nie nakładaj słuchawek. Musisz słyszeć, gdyby nadjeżdżał samochód.

– Okay, okay. Wyluzuj, mamo.

– Jeśli chcesz, możesz kogoś zaprosić.

– Mamo, dobrze się czujesz? Nigdy nie chcesz, żebym kogoś zapraszała wieczorem, skoro „następnego dnia idę do szkoły”. – Przy ostatnich kilku słowach zakreśla palcami w powietrzu ironiczny cudysłów.

– Pomyślałam, że może chciałabyś mieć towarzystwo. Mogłabyś na przykład przyjąć dzieciaki w halloweenowych przebraniach.

– Powiem im, że nie dostaną cukierków, niech mi zrobią psikusa. Zbaranieją.

– W puszce z londyńskim autobusem jest trochę słodczy.

– Nie martw się, mamo. Poradzę sobie z kilkoma dziećmiakami przebranymi za wiedźmy. A towarzystwa dotrzyma mi Herbert. Nie wrócisz bardzo późno, prawda?

– Nie wrócę bardzo późno – potwierdzam.

Resztę drogi spędzamy w milczeniu.

Nie znasz mnie. Myślę o tych słowach co pewien czas przez cały dzień. Na szczęście dziś znowu mam urwanie głowy. Klasy Elli dają się we znaki biednemu Donowi, więc dwa razy muszę „zaglądać” na lekcję i mrozić wzrokiem uczniów, by przywrócić porządek. Zmagam się też z zagadnieniem egzaminów GCSE. Zawsze czułam się nieco urażona, że czwarty etap kształcenia dostała Ella, a ja zostałam przy trzecim, ale jeśli mam być szczerą, ilość informacji, które należy przyswoić, doprowadza mnie do szaleństwa. Na domiar złego władze oświatowe co chwilę zmieniają wymogi egzaminacyjne. Najnowszy genialny pomysł to ocenianie angielskiego i matematyki w skali od jednego do dziewięciu zamiast poprzedniego systemu od A do E. „To znaczy, że nigdy nie będę miała A z angielskiego, mamo”, powiedziała Georgie z udawanym smutkiem, kiedy się o tym dowiedziała. Nie zdradziłam, że sama z tego powodu dosłownie roniłam łzy.

Próba zaczyna się o piątej, żeby uczniowie zdążyli wpaść do domu, jeżeli będą chcieli. A ja mam okazję zrobić coś, o czym myślę od wyprawy do Cambridge.

Gabinet R.M. Hollanda na strychu stoi niemal nietknięty od dnia jego śmierci. Jest zamknięty, ale mam klucz, ponieważ jestem nauczycielem o długim stażu oraz miejscową ekspertką od Hollanda. Chcę tam zajrzeć po lekcjach i się rozejrzeć. Oczywiście kiedyś już tam byłam. Czasem urządzamy nawet zwiedzanie. Tym razem jednak chcę się uważnie przyjrzeć fotografiom. Mnóstwo wisi na ścianach i stoi na biurku oprawionych w srebro. Może na jednej z nich jest Mariana? Pstryknę zdjęcia telefonem i obejrzę po powrocie do domu. Wyobrażam sobie, jak zadzwonię do Henry'ego Hamiltona: „Dokonałam dość ciekawego odkrycia”.

Po ostatniej lekcji szybkim krokiem przemierzam parter Starego Budynku. O tej porze zwykle jest tu cicho, bo większość uczniów przebywa w Nowym Budynku, gdzie są wszystkie sale lekcyjne. Dzisiaj jednak kręci się tu kilka nastoletnich wiedźm i wampirów, w nadziei że wystraszą jakiegoś biednego nauczyciela. Ze względu na śmierć Elli Tony zakazał oficjalnych obchodów Halloween (w zeszłych latach mieliśmy dzień bez mundurków, a raz nawet odbył się bal), mimo to uczniowie są mocno ożywieni i niewykluczone, że będą się wygłupiać bardziej niż zwykle.

– Co wy tu robicie? – zwracam się do wiedźm i wampirów. – Macie zajęcia w jakichś kółkach?

– Nie, proszę pani – odpowiada z chichotem wiedźma w pelerynie Harry'ego Pottera. Ashley jakaś tam. Uczyłam ją w siódmej klasie.

– W takim razie idźcie do domu. Zbierzcie trochę cukierków.

– Zbieranie cukierków jest dobre dla dzieci – odzywa się głębokim głosem jeden z wampirów. Patrick O'Leary: jedenasta klasa, rugbysta, łobuziak.

– Wobec tego idźcie odrabiać pracę domową. Spróbuj poczytać coś z listy lektur, Patrick. To może pomóc w egzaminach próbnych.

Wybuchając śmiechem i wolnym krokiem odchodzi, a reszta rusza za nim. Patrząc na nich, dopóki nie znikają za drzwiami, po czym skręcam na schody, by wejść na pierwsze piętro.

Po lekcjach wstęp tu jest wzbroniony, chociaż bywa, że uczniowie i tak się zakradają. Dzisiaj jednak panuje tu spokój. Co więcej, wydaje się, że wszystkie szkolne hałasy – trzaskanie drzwiami, tupot nóg, krzyki z boiska – zupełnie zniknęły. Stąпам w nieziemskiej ciszy. Podłoga jest wysłana dywanem, w odróżnieniu od parkietu na parterze i okropnego linoleum w Nowym Budynku. Dywan jest zielony jak mech i wyraźnie amortyzuje moje kroki. Wszystkie drzwi są zamknięte, a wszystkie linie jak w ćwiczeniu z perspektywy wskazują na koniec korytarza, skąd spiralne schodki prowadzą do gabinetu R.M. Hollanda. Oto jedna z osobliwości domu: żona Hollanda, Alice, podobno często szła do jego gabinetu boso (w innych wersjach nago), a po jej śmierci mąż kazał utkać specjalny dywan z odciskami jej stóp. Właściwie nie da się wejść po schodach, nie stawiając kroków w tych upiornych śladach. Już wcześniej zwróciłam uwagę, że są dokładnie w moim rozmiarze.

Przystaję u dołu schodów. Otacza mnie cisza, bardziej przygniatająca niż zwykle. Sięgam po telefon, w nadziei że doda mi otuchy świergot urządzenia z dwudziestego pierwszego wieku, ale okazuje się, że zostawiłam go w gabinecie. Nie bądź śmieszna, mówię sobie, jesteś w szkole, jesteś nauczycielką, co cię tu może spotkać? Wchodzę na schody i stawiam obute stopy w miejscach, po których stąpała kiedyś Alice Avery.

Drzwi otwierają się lekko. Przed sobą mam biurko Hollanda, na półkach stoją jego książki, na ścianach wiszą jego fotografie. A za biurkiem siedzi Roland Montgomery Holland we własnej osobie i rozkłada ramiona w powitalnym geście.

Zimno panu? Wiatr się wzmaga, prawda? Proszę spojrzeć, jaką kanonadą śnieg tłucze w okna. Ach, pociąg znowu się zatrzymuje. Bardzo wątpię, czy dzisiaj dojedziemy dalej niż tu.

Odrobinę brandy? Śmiało, proszę się ogrzać, możemy wspólnie okryć się moim pledem. Podczas tych podróży zawsze przygotowuję się na najgorsze. To dobra maksyma życiowa, młody człowieku. Zawsze przygotuj się na najgorsze.

Na czym to ja skończyłem? Ach, tak. No więc Gudgeon i ja wraz z trzecim kolegą – nazwijmy go Wilberforce – zbliżyliśmy się do domu. Trzej pełnoprawni członkowie Piekielnego Klubu wręczyli nam opaski. Oczywiście byli zamaskowani, ale dwóch poznaliśmy po głosach. To był lord Bastian i jego prawa ręka, Collins. Trzeci mówił z cudzoziemskim akcentem, zapewne arabskim.

Pierwszy opaskę nałożył Wilberforce. Ze świecą i pudełkiem zapalek w rękach kierował się w stronę zrujnowanego domu, potykając się jak ślepiec. Czekaliśmy i czekaliśmy. Wokół nas wył zimowy wiatr. Owszem, taki jak ten. Czekaliśmy całe wieki, aż wreszcie w niszy okiennej dostrzegliśmy migoczący płomyk świecy. W ciemnościach dobiegło nas ledwie słyszalne wołanie:

– Puste jest piekło!

Wznieśliśmy radosny okrzyk, który odbił się echem od milczących kamiennych murów. Gudgeon powoli zdjął okulary i nasunął na oczy opaskę.

– Powodzenia – powiedziałem.

Uśmiechnął się. Dziwne, że właśnie teraz to sobie przypominam. Uśmiechnął się i wykonał dziwny gest, rozkładając szeroko dłonie jak sklepikarz zachwalający towar. Widzę to tak wyraźnie, jakby stał teraz przede mną. Lord Bastian lekko go popchnął i Gudgeon jako drugi ruszył chwiejnym krokiem po oszronionej trawie.

Czekaliśmy i czekaliśmy, i czekaliśmy. Rozległ się krzyk nocnego ptaka. Ktoś kaszlnął, ktoś inny stłumił śmiech. Oddychałem z trudem, choć właściwie nie wiedziałem dlaczego.

Czekaliśmy i w końcu w oknie błysnęła świeca.

– Puste jest piekło!

Odpowiedzieliśmy gromkimi wiwatami.

Nadeszła moja kolej. Podano mi świecę i zapalki. Nasunąłem opaskę na oczy. Noc natychmiast stała się nie tylko ciemniejsza, ale też chłodniejsza, bardziej nieprzyjazna. Bastian nie musiał mnie popychać, abym ruszył w drogę. Pragnąłem, by już było po wszystkim. Gdy jednak nie widzi się drogi, marsz może trwać bardzo długo. Nabrałem przekonania, że zmierzam w niewłaściwym kierunku, że w ogóle nie trafiłem do zrujnowanego domu, ale chwilę później usłyszałem za sobą głos Bastiana:

– Prosto przed siebie, durniu!

Wyciągnąłem ręce i niepewnie ruszyłem dalej.

Wymacałem kamień. Dotarłem do ściany domu. Sunąc dłońmi po fasadzie, po omacku znalazłem puste miejsce. Wejście. Potknąłem się o próg i runąłem na kamienną posadzkę, ale przynajmniej znalazłem się w budynku. Wewnątrz wiatr nie był tak dokuczliwy, ale chłód przeciwnie, jakby się wzmógł. I ta cisza! Dźwięczała wokół mnie i odbijała się echem wśród murów, ciążyła na mnie, przygniatała do ziemi. Wiedziałem, że niemal zginam się wpół jak żebrak pod brzemieniem swojego worka. Słyszałem własny oddech, nierówny i chrapliwy. To był mój jedyny towarzysz, kiedy ostrożnie, powoli posuwałem się w stronę schodów.

Ile stopni? Powiedziano mi, że dwadzieścia, ale po piętnastym straciłem rachubę. Dopiero gdy stanąłem na nieistniejącym schodku, uświadomiłem sobie, że jestem na podeście. Przypuszczałem, że Gudgeon albo Wilberforce przywitają mnie szeptem, ale milczeli. Czekali. Postąpiłem krok naprzód. Musiałem znaleźć okno i doprowadzić do końca tę farsę. Moje dłonie badały tynk na ścianie przede mną, dopóki... Tak! Znalazłem drewniany parapet. Zdjąłem opaskę i zziębniętymi palcami potarłem o draskę zapalkę, by zapalić świecę. Potem nalałem na parapet odrobinę wosku i ustawiłem ją pionowo.

– Puste jest piekło! – Zauważyłem, jak słabo brzmi mój głos. Dopiero wtedy odwróciłem się i ujrzałem u swoich stóp martwe ciała.

CZĘŚĆ DRUGA

Harbinder

Rozdział 9

Clare Cassidy od pierwszej chwili mi się nie podobała. Przede wszystkim była za wysoka. Krótkie ciemne włosy, duże oczy, długa szyja, nogi do samej ziemi. Typ kobiety potrafiącej sunąć z gracją w sukience, która na mnie wyglądałaby jak namiot. Nawet Neil był oczarowany.

– Wygląda jak modelka – powiedział. – Z naprawdę gównianego żurnala – dodał na widok mojej miny. Nie jest jednak taki beznadziejny.

Tamtego pierwszego dnia, już gdy wjechaliśmy na teren szkoły, wiedziałam, że coś się tu dzieje. Znajac Talgarth, w ogóle się nie zdziwiłam.

Siedzieliśmy w wozie na parkingu przed Starym Budynkiem.

– Chcę go tylko jeszcze raz zobaczyć – powiedziałam do Neila. Trwały jesienne ferie, więc sądziłam, że będzie pusto, ale zapomniałam, że teraz podczas przerw szkoła prowadzi zajęcia dla dorosłych. Zobaczyłam wchodzących ludzi, którzy nieśli teczki i przybory do malowania i rysowania. Nie jestem z tych, co wolny czas poświęcają na naukę, ale są gusta i guściki.

– Ciągle nie mogę uwierzyć, że tu chodziłaś – powiedział Neil.

– Chodziłam – odparłam. – Jest tu nawet skrzydło Harbinder Kaur.

– Serio?

Z Neilem jest za łatwo. Naprawdę.

– Nie, pewnie, że nie. Na pożegnanie ledwie podali mi rękę. Tu masz świadectwo z wynikami egzaminów. I spadaj.

– Przecież poszłaś na uniwersytet. – To wzruszające, jak mu zależy, by udowodnić, że na studiach nie okazałam się ostatnią ofiarą.

– W Chichester. To się prawie nie liczy. Poza tym mieszkałam w domu. – Taka była klauzula rodziców. Mogłam iść na studia, pod warunkiem że nie wyprowadzę się z domu i zrezygnuję z rzeczy, jakie zwykle robią studenci: nie będę piła, brała narkotyków, uprawiała seksu. Oczywiście nie zdołali mnie przed nimi powstrzymać, ale doprowadzili do tego, że nie sprawiały mi prawie żadnej przyjemności.

Patrzyłam na stopnie przed podwójnymi drzwiami, na rzędy okien. Ściany oplatał gęstszy bluszcz, niż zapamiętałam, czerwony i zielony jak z kartki bożonarodzeniowej. Mama zawsze mówiła, że ta część szkoły jest wyjątkowo piękna („wygląda jak prywatna szkoła, jak Roedean”), ale w głowie kłębiło mi się teraz za dużo wspomnień, bym mogła to wyraźnie zobaczyć.

– Co my tu robimy? – spytał po kilku minutach Neil. – Powinniśmy wracać do komisariatu i porozmawiać z rodzicami Elli.

– Chcę tylko wyobrazić sobie ją tutaj – odparłam. – To potrwa chwileczkę. Pozwól mi. – Jeszcze raz spojrzałam w okna i zobaczyłam, że ktoś na mnie patrzy. Błada twarz, ciemne oczy.

Clare Cassidy.

Odebrałam telefon o dziesiątej wieczorem w niedzielę. Sąsiedzi usłyszeli odgłosy ostrej wymiany zdań w domu Elli Elphick w Shoreham. Na miejsce udał się patrol mundurowych i znalazł w kuchni zwłoki kobiety w wieku około czterdziestu lat. Miała liczne rany kłute.

Kiedy się tam zjawiłam, technicy kryminalistyki już byli na miejscu. Ciemną ulicę rozświetlały niebieskie koguty, przed drzwiami wejściowymi postawiono płócienne zadaszanie. Ella Elphick mieszkała w jednym z tych ślicznych domków za kościołem. Wyobrażałam sobie, co o tym wszystkim sądzą sąsiedzi. Włożyłam papierowy kombinezon i wcisnęłam włosy pod czepek. Chciałam zobaczyć ciało,

zanim dom zapełni się ludźmi w białych kombinezonach, którzy będą robić zdjęcia, klęczeć na podłodze i pobierać próbki pyłu, obliczać krzywiznę plam krwi. Chciałam mieć okazję zobaczyć miejsce zdarzenia w nienaruszonym stanie.

Mała kuchnia już była dość zatłoczona. Był tam jeden z mundurowych, przyciśnięty do tylnych drzwi, z miną wskazującą na mdłości, a ekipa techników pochylała się nad ciałem. Ella leżała na wznak. Kuchnia była wąska, z szafkami po prawej i lewej (całkiem ładna: lśniące białe szafki, granatowe płytki) i zwłoki zajmowały prawie całą podłogę. Dłonie leżały wzdłuż boków, jak gdyby w ten sposób ją upozowano, i zobaczyłam na nich głębokie rany cięte. Wszędzie była krew – na klatce piersiowej, we włosach, na błyszczących frontach szafek. Nie widziałam szyi, bo zasłaniał ją pochylony technik, ale sądząc po odcieniu krwi, prawdopodobnie została pchnięta w gardło. Popatrzyłam na jej stopy. Słyszałam kiedyś, jak jakaś aktorka mówiła, że gdy tworzy postać, zaczyna od stóp. Nigdy nie palnęłabym takiego kretyństwa, ale zawsze zwracam uwagę na buty. Ella miała różowe converse’y.

– Detektyw sierżant Kaur. – Mignęłam legitymacją zgarbionym technikom.

– Posterunkowy Patel – przedstawił się mundurowy przy drzwiach.

– Jesteś sam?

– Moja partnerka wyszła. – Wskazał za siebie bezradnym gestem.

Pewnie zrobiło jej się niedobrze. Posterunkowi nie są przyzwyczajeni do takiej roboty.

– Ustalono tożsamość denatki?

– Ella Elphick. Nauczycielka w szkole średniej Talgarth. W torebce ma identyfikator na smyczy.

Już wtedy pomyślałam, że to zły znak. Nie rozpowiadam na prawo i lewo, że chodziłam do Talgarth. To trochę zawstydzające, że człowiek mieszka w tej samej okolicy, w której chodził do szkoły. Jeszcze gorzej, jeżeli w wieku trzydziestu pięciu lat ciągle mieszka w domu rodzinnym, chociaż o tym wiedzą tylko Neil i Donna. Trzy osoby z komisariatu to dawni talgartczycy, jak mówilibyśmy, gdyby

szkoła miała coś takiego jak stowarzyszenie absolwentów. Ale tylko ja trafiłam do wydziału zabójstw.

– Zawiadomiliście najbliższą rodzinę?

– Nie.

Czyli to będzie moje zadanie.

– Pogadajmy w salonie – zaproponowałam. – Wyjdź z tyłu i wejdź od frontu, nie przechodź nad zwłokami.

Zwłoki. Oto co zostało z tej jasnowłosej kobiety w różowych trampkach. Minęłam techników, którzy wciąż pochylali się nad nią, wycofałam się do sąsiedniego pokoju i zobaczyłam dokładnie to, czego się spodziewałam: regały z książkami, kanapę z mnóstwem poduszek, a na każdej powierzchni stały świece i naczynia z potpourri.

Kiedy w drzwiach pojawił się posterunkowy Patel, w tej samej chwili przyjechał Neil. W białym kombinezonie wydawał się potężniejszy niż zwykle; przypominał niedźwiedzia polarnego, który – jak wszystkim wiadomo – nie jest taki miłusi, na jakiego wygląda.

– Zabójstwo? – spytał.

– Chyba że sama poderżnęła sobie gardło – powiedziałam.

Patel był blady, mimo że podobnie jak ja należał do grupy, którą działy HR nazywały dziś „osobami o innym kolorze skóry”.

– Wygląda na to, że została pchnięta kuchennym nożem w gardło i klatkę piersiową – stwierdził. – Narzędzie zbrodni znaleźliśmy przy drzwiach wejściowych.

– Sprawca zostawił narzędzie? – zdziwił się Neil. – To głupie z jego strony.

– Albo sprytne – zauważyłam. – Pewnie wynika z tego, że nie ma na nim śladów.

– Wygląda też na to, że próbowała się bronić – dodał Patel. – Stąd te rany na rękach.

– Trzeba się im dokładnie przyjrzeć – powiedziałam. – Chyba mają jakieś znaczenie. Taka sama rana na każdej dłoni. Przypuszczam, że zadano je już po śmierci.

– Stygmaty – rzucił Neil. – Jak u Jezusa – dodał, jakby uznał, że powinien mi wyjaśnić.

– Dziękuję, Neil. Chociaż jestem sikhijką, co nieco słyszałam o Jezusie. Żydowski cieśla, zgadza się?

– Okay, okay. – Odwrócił się do mundurowego. – Powinniśmy coś jeszcze wiedzieć?

– Był list – poinformował nas Patel. – Właściwie wiadomość na karteczce samoprzylepnej. Na podłodze obok zwłok.

Zabójca naprawdę jest dla nas miły, pomyślałam. Daje nam tyle okazji do zabezpieczenia DNA – i do analizy charakteru pisma.

– Co na niej było? – zapytałam.

– Zdanie *Puste jest piekło*.

– Co to może znaczyć, do diabła? – zdziwił się Neil, nie zauważając, że wpisuje się w „piekielny” kontekst.

– Brzmi jak cytat – powiedziałam. – Możemy sprawdzić. Ta karteczka jest w torebce na dowody?

Patel skinął głową.

– Są na niej ślady krwi?

– Nie sądzę.

– Czyli zabójca musiał ją napisać i przygotować wcześniej – stwierdziłam. – Inaczej byłaby krew. Cała kuchnia jest nią zalana.

W tym niefortunnym momencie ukazała się partnerka Patela, młoda policjantka, która dostała mdłości. Wciąż była blada, ale chyba opanowała niedyspozycję. Poleciałam jej przejrzeć torebkę ofiary i znaleźć dane najbliższej rodziny.

– Najłatwiej będzie w telefonie, jeśli nie jest zabezpieczony hasłem – poradziłam. – Poszukaj w kontaktach wpisu „mama”.

– Chryste – mruknął Neil, który jest mniej odporny ode mnie, ponieważ ma dzieci. – Biedaczyska.

Rozejrzałam się po pokoju. Większość książek to chyba klasyka – widać po grzbietach – ale telewizor miał nowoczesny płaski ekran, a na stoliku leżał plik magazynów ilustrowanych. Czyli Ella nie wypełniała całego życia kulturą na wysokim poziomie. Ściany zdobiło parę geometrycznych grafik, jakich nikt nie kupuje dlatego, że naprawdę mu się podobają. W kuchni widziałam chyba też kalendarz z Tate Modern. W stojącym obok czasopiśmie kubku dostrzegłam osad po herbacie ziołowej.

– Trzeba to zabrać – zwróciłam się do Patela. Zastanawiałam się, jak to się stało. Ella oglądała w salonie telewizję i popijała herbatę, kiedy do drzwi zadzwonił morderca? – Kiedy weszliście, telewizor był włączony? – spytałam.

– Nie.

A telefon tkwił w torebce. Szperała w niej teraz policjantka. Czyli Ella nie przeglądała Facebooka ani nie grała w *Panda Pop* (dwa z moich ulubionych sposobów spędzania wieczoru). Nie zauważyłam też otwartych książek ani czasopiśmie.

– Znamy czas zgonu?

– Weszliśmy tu o dziewiątej – powiedział Patel. – Już nie żyła, ale nadal była... no... ciepła.

– Rozmawialiście z sąsiadami?

– Jeszcze nie.

– Idźcie to teraz zrobić. – Spojrzałam na funkcjonariuszkę. – Masz już dla mnie ten numer? – Skinęła głową i podała mi telefon. – Dzięki. Jak się nazywasz?

– Olivia. Olivia Grant.

– Dobra, Olivia. Idź z Patelem przesłuchać sąsiadów. Ustalcie, kiedy dokładnie usłyszeli kłótnię. Neil, ty i ja musimy pogadać z rodziną i znajomymi Elli.

Neil nie ruszył się z kanapy.

– Kto cię mianował na szefa ekipy śledczej?

– Załóżmy, że ja – odparłam. – To nam wszystko ułatwi.

Rozdział 10

Nazwisko Clare Cassidy wypłynęło dość szybko. Po rozmowie z matką Elli – powiedziałam jej tylko, że doszło do „wypadku”, i wzięłam od niej adres, żeby miejscowa policja mogła przekazać wiadomość osobiście – Neil i ja wróciliśmy do komisariatu. Najwyższym rangą oficerem śledczym była detektyw inspektor Malone i tak jak zakładałam, mianowała mnie swoją zastępczynią. Donna sprawia czasem wrażenie nieprzewidywalnej, ale kiedy trzeba, potrafi być stanowcza i wie, jak się organizuje śledztwo. Uznała sprawę za priorytetową, dostaliśmy całkiem spory przydział ludzi i szeroki dostęp do informacji. Opracowaliśmy plan działania. Tony’emu Sweetmanowi, dyrektorowi Talgarth, postanowiliśmy powiedzieć o zabójstwie dopiero rano. Chcieliśmy go zaskoczyć i zobaczyć jego reakcję. Zamierzaliśmy też porozmawiać z najbliższymi znajomymi i kolegami Elli. Mieliśmy jej telefon i zwróciliśmy się do operatora sieci z tak zwanym zamówieniem, czyli prośbą o udostępnienie wszystkich zaszyfrowanych wiadomości. Do domu wróciłam około północy. Mama nie chciała dłużej na mnie czekać i właśnie szła spać. Kiedy otwierałam drzwi wejściowe, na schodach mignął mi rąbek jej szlafroka, który zniknął na górze.

W domu Tony’ego Sweetmana stawiliśmy się o ósmej rano. Neil chciał jechać do niego wcześniej, ale uznałam, że ósma wywoła największy zamęt. Były ferie, poza tym wiedziałam, że Sweetman ma małe dzieci. Mieszkał w bardzo ładnym domu na obrzeżach Steyning. Próbowałam obliczyć jego roczne zarobki. Talgarth ma tysiąc dwustu uczniów, więc gdy rzuciłam okiem na ogłoszenia w sieci, oceniłam, że pewnie zarabia ponad sto tysięcy. Czy to dość, żeby kupić Starą

Plebanię: mur z miodowego kamienia, podwójny garaż, wielki ogród? Nie wiedziałam, ale zamierzałam to ustalić.

Drzwi otworzył sam gospodarz. Widziałam w internecie jego zdjęcie, mimo to zdziwiłam się, jaki jest młody. Za moich czasów dyrektorką była pani Williams. Wtedy wyglądała na jakieś sto lat, a na emeryturę odeszła dopiero trzy lata temu, więc pewnie ledwie trzymała się na nogach. Tony Sweetman był wysportowanym brunetem w džinsach i bluzie do rugby. Nie w moim typie – nawet gdybym sypiała jeszcze z mężczyznami – ale na pewno przystojny jak na nauczyciela (nie było w tym określeniu takiego ładunku dezaprobaty jak w „przystojny jak na polityka”, ale prawie). Był też bardzo opalony jak na październik w Anglii. Jeździł na nartach czy może było na to jeszcze za wcześnie? W takim razie solarium. Tak czy owak, nastawiłam się do niego negatywnie.

– Pan Sweetman? Jestem detektyw sierżant Kaur z policji Sussex, a to detektyw sierżant Winston. Możemy zamienić kilka słów?

– O co chodzi? – Sweetman z roztargnieniem obejrzał się przez ramię. Usłyszeliśmy mieszaninę psich i dziecięcych odgłosów z kontrapunktem w postaci piosenki ze *SpongeBoba*.

– Niestety, to pilna sprawa – odparłam. – Moglibyśmy porozmawiać gdzieś na osobności?

– Będzie trochę trudno... – Przejechał dłońmi przez włosy, które moim zdaniem były nieco za długie jak na białego mężczyznę. Był z nich jednak wyraźnie dumny; nosił głowę bardzo wysoko, jakby próbował utrzymać na niej piłkę.

– To naprawdę ważne – naciskałam. – Jesteśmy z wydziału zabójstw.

Posłał mi przerażone spojrzenie i szybko zaprowadził nas do małego pokoju – jak się zorientowałam, był to jego gabinet. Na regałach stały podręczniki pedagogiczne oraz zdjęcia Tony’ego w różnych drużynach rugby. Ciekawe, co robiła jego żona. Chociaż obecność dzieci rzucała się w oczy (stojaki na nuty, telewizor z podłączonymi kontrolerami do PlayStation), nie zauważyłam nic, co

świadczyłoby o zainteresowaniach innej dorosłej osoby. Usiedliśmy z Neilem na rozkładanej kanapie. Korciło mnie, żeby zająć krzesło przy biurku, ale pomyślałam, że na początku śledztwa mogłoby to wyglądać zbyt prowokacyjnie.

Za drzwiami Tony naradzał się z kimś szeptem. Z żoną? Nianią? Opiekunką? Po chwili ukazał się w progu, tym razem z bardziej błędnym wzrokiem.

– Przepraszam – rzucił. – Żona jest w pracy, a w szkole są ferie.

– Nie szkodzi – odpowiedziałam. – Rozumiemy. Niestety, mamy dla pana smutną wiadomość.

Usiadł za biurkiem i odwrócił się z krzesłem w naszą stronę.

– O ile mi wiadomo, Ella Elphick pracuje w pańskiej szkole.

Usta Tony’ego odrobinę się rozchyliły.

– Tak.

– Przykro mi poinformować pana, że wczoraj wieczorem znaleziono jej zwłoki. Uznaliśmy tę śmierć za podejrzaną.

Uważnie przyglądałam się Tony’emu. Wyglądał na autentycznie zszokowanego. Opalenizna przybladła, włosy się zjeżyły.

– Ella? Nie... nie mogę w to uwierzyć...

– Chcemy jak najszybciej porozmawiać ze znajomymi i kolegami Elli – ciągnęłam. – Dla śledztwa w sprawie zabójstwa decydujące są pierwsze godziny.

– Zabójstwa? – powtórzył Tony. – Są państwo pewni?

– Dochodzenie jest jeszcze w fazie wstępnej – odezwał się Neil swoim popisowym drewnianym tonem – ale jak wspomniała sierżant Kaur, uznajemy śmierć pani Elphick za podejrzaną.

Wyjęłam notes. Później zamierzaliśmy zarejestrować przesłuchanie w komisariacie, ale chciałam, by Tony widział, że robię notatki.

– A więc Ella uczyła angielskiego w gimnazjum Talgarth – powiedziałam.

– Tak. – Najwyraźniej próbował wziąć się w garść. – Pracuje w Talgarth od około pięciu lat. To znakomita nauczycielka.

– Od kiedy jest pan dyrektorem?

- Od trzech lat. Zapanowałem nad chaosem i wyprowadziłem szkołę na prostą.
- Gratuluję – powiedziałam, by dać mu do zrozumienia, że moim zdaniem to odrobinę niestosowny komentarz.
- Nie chciałem...
- Czy Ella była lubiana przez innych nauczycieli? – zapytał Neil.

Tony wyglądał na zbulwersowanego pytaniem.

- Wszyscy ją uwielbiali. Nie powinni państwo zakładać...

Nie mów nam, co powinniśmy zakładać, powiedziałam w duchu. A na głos spytałam:

– Czy możemy dostać listę osób w zespole anglistów ze wskazaniem, kto był w szczególnej zażyłości z Ellą?

- Oczywiście. Od razu to zrobię. Wśród nauczycieli miała wielu przyjaciół.

- Z kim była najbliżej?

Spojrzał w lewo, jakby próbował sobie przypomnieć. A może patrzył na wypełniony helem balon z namalowaną ósemką, który utkwiał pod sufitem.

– Clare Cassidy – odezwał się w końcu. – Też uczy angielskiego. Zaczęły pracować razem. I Debra Green, historyczka. Nazywałem je trzema muszkieterkami. – Uśmiechnął się smutno na to wspomnienie.

- Możemy prosić o ich dane kontaktowe? – Pilnie notowałam.

- Zaraz podam. Są w dokumentach.

- Czy Ella miała partnera? – zapytał Neil.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Zespołem anglistów kieruje Rick Lewis. Będzie załamany.

- Ma pan adres pana Lewisa?

– Zaraz znajdę. – Tony otworzył laptop i zaczął przewijać zawartość stron. Używał tylko kciuka, jak nastolatek. Byłam pewna, że poprzednia dyrektorka, pani Williams, nigdy w życiu nawet nie siedziała w pobliżu laptopa.

– Jakie wrażenie sprawiała Ella, kiedy widział ją pan po raz ostatni? – spytałam. – Niepokoiła się, obawiała czegoś?

Tony nie odrywał wzroku od ekranu.

– Chyba nic złego się nie działo. Cieszyła się na ferie. Na co dzień nauczyciele naprawdę są zmęczeni.

Można się zmęczyć, pomyślałam, ale kończy się o trzeciej i ma się długie wakacje. Policjanci pracują do późna za niewielkie pieniądze i niewiele osób widuje się u nas z październikową opalenizną. Mimo to wzdycham ze współczuciem.

– To na pewno ciężka praca.

– Coraz cięższa. – Tony posłusznie łyknął haczyk. – Mamy tyle zadań do wykonania. Oprócz tego musimy zapewnić bezpieczeństwo, socjalne dodatki uczniowskie, prognozy wyników egzaminów. Nie unikamy tej odpowiedzialności, ale czasem to strasznie stresujące.

– Ella była zestresowana?

Tony natychmiast próbował się wycofać.

– Nie, Ella zawsze świetnie wszystko ogarniała. W zeszłym roku zmieniły się wymogi egzaminu z angielskiego, miała więc mnóstwo dodatkowej pracy. Ale nad wszystkim panowała i latem mieliśmy najlepsze wyniki. Kierowała trzecim etapem kształcenia. Czyli przygotowaniem do egzaminu – wyjaśnił.

Bardziej interesowała mnie łatwość, z jaką zaczął o niej mówić w czasie przeszłym. Może na egzaminie nie miałam najwyższej oceny z angielskiego, ale zwracam uwagę na czasy.

Zaparkowałam w uliczce, gdzie nie byliśmy widoczni z okien domu, i odbyliśmy z Neilem szybką naradę.

– Co o nim myślisz? – spytałam.

– Trochę za bardzo ugrzeczniony. Jakim cudem stać go na taki dom?

– Jego żona jest prawniczką. – Tony łaskawie ujawnił tę informację tuż przed naszym wyjściem. – Oboje dobrze zarabiają.

– I zostawiają dzieci pod opieką au pair z zagranicy. – W głosie Neila usłyszałam ton dezaprobaty ojca półtorarocznego dziecka, którym w domu opiekuje się matka.

– Jeżeli kiedyś będę miała dzieci, wezmę do opieki taką dziewczynę – oznajmiłam. – Oprócz tego nianię i mamkę.

Neil parsknął śmiechem, chociaż nie wiedziałam, czy rozbawiła go wizja, że będę miała dzieci, czy że będę miała pieniądze na ich wychowanie.

– Co teraz? – zapytał. – Powinniśmy spytać łączniczkę, czy możemy się zobaczyć z jej rodzicami.

Wczoraj w nocy łączniczka, czyli funkcjonariuszka odpowiedzialna za kontakty z rodziną ofiary, towarzyszyła Elphickom podczas odwiedzin w kostnicy, gdzie musieli zidentyfikować ciało Elli. W tym momencie przebywali niedaleko stąd w lokum przydzielonym przez policję. Neil miał rację, powinniśmy ich oficjalnie przesłuchać.

– Najpierw pogadajmy z Rickiem Lewisem – zaproponowałam. – Mieszka tylko półtora kilometra stąd.

– Dlaczego? – Zrobił swoją upartą minę.

– Z powodu tego, co Tony mówił o chłopakach Elli.

– Przecież powiedział, że nie miała chłopaka.

– Zgadza się – potwierdziłam. – I zaraz potem wspomniał o Ricku Lewisie.

Rick Lewis mieszkał w Shoreham w ostatnim z rzędu szeregowców. Dom prezentował się zdecydowanie mniej okazale niż rezydencja Sweetmana, ale był całkiem sympatyczny. Drzwi otworzył nam wysoki mężczyzna w golfie.

Pokazałam mu legitymację i zapytałam, czy możemy zamienić parę słów. W drzwiach obok niego stanęła kobieta. Czterdzieści kilka lat, trochę przy kości, ale ładnie wyglądała w sukience ze spodniami – kombinacji lubianej przez puszyste kobiety.

– O co chodzi, Rick?

Wyczułam panikę. Ciekawe.

– Mamy smutną wiadomość o osobie z pańskiego zespołu anglistów – powiedziałam. – Czy możemy porozmawiać gdzieś na osobności?

– Boże – wykrztusił Rick Lewis. – Chodzi o Clare?

O, bardzo ciekawe.

Przekazaliśmy informację obojgu. W tej fazie nie warto było domagać się rozmowy w cztery oczy, poza tym zainteresowała mnie Daisy, jego żona. Dlaczego tak się denerwowała? Gdy powiadomiłam jej męża o Elli, stłumiła krzyk i zasłoniła twarz dłońmi.

– Nie wierzę... – powiedział Rick. – Przecież jeszcze w piątek ją widziałem. Boże, jej rodzice będą załamani.

Spytałam go o stan psychiczny Elli, ale usłyszałam tę samą odpowiedź: czuła się całkiem dobrze, była trochę zmęczona, cieszyła się na ferie. Spytałam też, co robił w niedzielę wieczorem. Szybko zerknął na Daisy i odpowiedział:

– Byliśmy w domu, oglądaliśmy telewizję. Zamówiliśmy coś na kolację, otworzyliśmy wino. *Taniec z gwiazdami*. To nasz niedzielny rytuał.

– Bardzo miły – powiedziałam. Tony podał mi takie samo alibi, aczkolwiek u niego zamiast dania na wynos rodzina zjadła zdrowy domowy posiłek. Wyglądało jednak na to, że mimo posiadania domu, który z powodzeniem pomieściłby statystyczne dwoje i pół dziecka, Lewisowie byli bezdietni. Ciekawe, czy to świadoma decyzja. Może stąd taka bliskość między małżonkami. Właściwie siedzieli na jednym fotelu. Kiedy od nich wychodziliśmy i Neil rozmawiał z Daisy o połączeniach kolejowych obsługiwanych przez Southern, spytałam Ricka, jak układały się jego stosunki z Ellą.

– Bardzo dobrze – odparł. – Była piękną osobą.

Wiem, że miał na myśli jej charakter, ale widziałam zdjęcia i nie miałam wątpliwości, że Ella rzeczywiście była piękna, przynajmniej jeżeli komuś podobają się wysokie, szczupłe blondynki o długich włosach, co niestety, jest dość powszechne. Tak czy owak, uznałam, że to ciekawy wybór przymiotnika. Widzi

pani, zwróciłam się w myślach do pani Cathcart, mojej dawnej nauczycielki angielskiego, z leksyką też daję sobie radę.

Dopiero kiedy odjeżdżaliśmy, powiedziałam Neilowi, że chodziłam do szkoły Talgarth. Zdziwił się, co mi pochlebiło.

– Nigdy bym się nie domyślił.

– Czemu nie? Przecież to rejonowe gimnazjum.

– Mimo wszystko trochę nędzna buda, nie? Dla Lily szukałbym czegoś lepszego.

Chryste, dzieciak nie ma jeszcze dwóch lat, a już planują mu edukację.

– Moi rodzice nie znali niczego lepszego – odpowiedziałam. – Wszyscy chodziliśmy do Talgarth i dajemy sobie radę.

Kush pracuje w sklepie, a Abid jest elektrykiem. Moi bracia mają w sumie pięcioro dzieci i obaj wciąż noszą turbany. Z punktu widzenia naszych rodziców to ogromny sukces. Jeżeli chodzi o mnie, to im mniej mówi się o trzydziestopięcioletniej niezamężnej kobiecie, która zdaniem mamy wykonuje „męski zawód”, tym lepiej. Gdyby wiedzieli, że jestem lesbijką, to by ich tylko dobiło.

– Jedźmy teraz do Talgarth – zarządziłam. – W drodze do komisariatu. Tylko żeby rzucić okiem.

Rozdział 11

Do Clare Cassidy dotarliśmy dopiero drugiego dnia śledztwa. Zastanawiałam się przez chwilę, czy nie wmaszerować do jej klasy tuż po zakończeniu lekcji, ale doszłam do wniosku, że wolałabym ją zobaczyć w warunkach domowych. Byłam jednak zaskoczona, gdy zatrzymaliśmy się przed domem. Zawsze zachodziłam w głowę, kto mieszka w tym szeregu domów tak blisko starej cementowni. Właśnie poznałam odpowiedź.

– Cholera jasna – mruknął Neil. – Nie zamieszkałbym tu za milion funtów. Wiesz, co mówią o tej okolicy?

– Słyszałam kilka wersji.

– Tu straszy. Słyszałaś o dziecku, które wpadło do cementu? Podobno nocami ciągle słyszać płacz dziewczynki. I...

– Tak, jasne – przerywam mu. – W szkole było podobnie. Wszyscy opowiadali historię o kobiecie, która spadła ze schodów w Starym Budynku. I teraz cała w bieli snuje się po korytarzach. Podobno ukazuje się, kiedy ktoś umiera.

– No to ciekawe, czy się ukazała w niedzielę wieczorem.

– Możemy zapytać Clare Cassidy – zaproponowałam. – Właśnie wraca.

Patrzyłam, jak nadjeżdża. Czarne renault clio – wyobrażałam sobie właśnie coś w tym stylu. Zaparkowała za nami przy krawężniku i wysiadła z samochodu. Sam jej widok mnie rozdrażnił. Była w czarnych dżinsach i szarym sweterku. Brzmi skromnie, ale spodnie miała obcisłe i wpuszczone do wysokich do kolan butów, a sweterek z kaszmiru, wiązany pod szyją, jakby drapowany, w którym ja

wyglądałabym śmiesznie, ale Clare, przykro mi to stwierdzić, prezentowała się w nim doskonale. W ręce miała reklamówkę z zakupami, a z bagażnika wyjęła torbę (Cath Kidston, widziałam taką w katalogu). Potem otworzyła drzwi od strony pasażera. Z auta wyskoczył mały biały pies i zaczął ujadać.

Nie mam nic przeciwko psom, ale wolę, gdy wyglądają jak psy. Moi rodzice mają owczarka niemieckiego, Sultana. Ma bronić sklepu, ale w rzeczywistości śpi w ich łóżku i traktują go jak syna (raczej lepiej niż własną córkę). Czasem mnie to irytuje, ale przynajmniej Sultan jest pięknym stworzeniem, księciem wśród zwierząt. Ta rozszczekana biała kulka nie miała nic wspólnego z psem.

Gdy podchodziłam do Clare, zwierzak natychmiast ruszył w stronę moich czarnych spodni. Kobieta mało skutecznie próbowała go odciągnąć. Przedstawiłam się i spytałam, czy możemy porozmawiać. Obrzuciła mnie czujnym spojrzeniem, a potem przeprosiła za zaślinionego psiaka, który najwyraźniej wabił się Herbert.

– Nic nie szkodzi – odpowiedziałam, otrzepując spodnie. – Lubię psy.

Dom w środku był całkiem ładny – salon pomalowano na modny kolor między szarym a niebieskim, na drewnianych podłogach stały białe regały. Zauważyłam, że Neil jest pod wrażeniem. Clare zaproponowała nam herbatę. Miała niski głos – może nie mówiła jak ktoś z wyższych sfer, ale jak spikerka z Radio 4, gdy informuje o jakiejś katastrofie finansowej. To też zrobiło na nim wrażenie. Poprosił o herbatę z dwiema łyżeczkami cukru, na co Clare uśmiechnęła się protekcjonalnie. Oddaliła się, ale po chwili usłyszałam brzęk zakupów w torbie. Ktoś tu planował wieczorne picie w pojedynkę.

Z kuchni dobiegło szczekanie. To jest najgorsze u małych psów, ten ciągły hałas w tle. Gdy Sultan ujada, wiadomo, że chodzi o coś ważnego. Spojrzałam na zdjęcia nad kominkiem. Clare z nastoletnią dziewczyną, wysoką i szczupłą jak ona, ale z długimi ciemnymi włosami. Nastolatka z Herbertem. Sam Herbert. Ulotka z koncertu muzyki barokowej. Kartka od kogoś podpisującego się „R”.

– Wraca – ostrzegł Neil.

Clare postawiła herbatę i ciastka na niskim drewnianym stoliku. Przypomniał mi mieszkanie Elli i samotny kubek herbaty ziołowej.

– Prowadzimy śledztwo w sprawie zabójstwa Elli Elphick – powiedziałam. – Domyślam się, że już panią o tym zawiadomiono?

Skinęła głową, lekko mrużąc oczy. Były ogromne i używała ich wyjątkowo skutecznie. Może jestem wobec niej niesprawiedliwa. Chyba naprawdę przejęła się tą śmiercią.

– Tak. Dzwonił do mnie wczoraj Rick, szef mojego zespołu przedmiotowego.

– Przykro mi. Wiem, że to musi być dla pani straszny szok, ale chcemy jak najszybciej porozmawiać ze wszystkimi znajomymi i kolegami Elli z pracy. Chcemy dowiedzieć się jak najwięcej o jej życiu, żeby ustalić, kto mógł dokonać tego strasznego przestępstwa.

Clare zatrzepotała rzęsami; spojrzała na Neila, potem na mnie.

– Sądziłam...

– Co pani sądziła? – spytałam niezbyt życzliwie.

– Myślałam... to znaczy, zakładałam, że zamordował ją ktoś obcy. Że to przypadkowa napaść. Napad rabunkowy, który zakończył się tragicznie.

– Większość ofiar zabójstw ginie z ręki ludzi, których znają – odparłam, starając się zachować jak najbardziej rzeczowy ton – i mamy powody przypuszczać, że podobnie było w tym przypadku.

Umilkłam, żeby przemyślała sobie te słowa. Nie zamierzałam jej mówić o wiadomości *Puste jest piekło*, ale sprawdziłam, że to cytat z *Burzy*, która w tym roku była lekturą egzaminacyjną. Wszyscy troje, Ella, Clare i Rick, uczyli angielskiego.

Wyjęłam notes i zapytałam ją, czy uczyła razem z Ellą.

– Tak. Obie uczymy angielskiego. Uczyłyśmy. O Boże...

Ona przynajmniej zwróciła uwagę na zmianę czasu na przeszły. Głęboko zaczerpnęła tchu, żeby się uspokoić. Herbert położył jej łapę na nodze. To był naprawdę uroczy gest.

Wyjaśniła, że była odpowiedzialna za trzeci etap kształcenia, a Ella za czwarty; zespół anglistów składał się z sześciu osób i wszystkie blisko ze sobą współpracowały. Zapytałam, czy jej stosunki z Ellą dobrze się układały. Odpowiedziała, że tak i że spotykały się towarzysko poza szkołą. Ostatni raz widziała ją w piątek wieczorem, gdy poszły do kina, a potem coś zjeść z Debrą Green, która uczyła w Talgarth historii. Przypomniałam sobie słowa Tony'ego o trzech muszkieterkach. Clare wydawała się zdenerwowana, nawet odpowiadając na te rutynowe pytania, więc pozwoliłam Neilowi wtrącić się i spytać o film, żeby nawiązać nić porozumienia. Przecież tylko on poprosił o herbatę. Według psychologów oznaczało to, że coś już ich łączy.

Zapytałam, czy Ella odzywała się do niej w niedzielę, i odpowiedziała, że wysłała jej tylko wiadomość na temat wyników *Tańca z gwiazdami*, ale nie dostała odpowiedzi. Nie znoszę *Tańca z gwiazdami*, gdzie inteligentne kobiety sukcesu przebierają się w cekiny i odkrywają swoją „dziewczęcą naturę”. Niedobrze mi od tego. Mogłabym się założyć, że w dzieciństwie Clare Cassidy chodziła na balet. Wygląda na taką. Pewnie zrezygnowała, gdy za bardzo wyrosła.

Twierdziła, że spędziła cały wieczór w domu, oglądając telewizję i przygotowując się do prowadzenia zajęć z kreatywnego pisania. W domu była też jej córka, Georgia, ale – jak to nastolatki – prawie w ogóle nie wystawiała nosa ze swojego pokoju. Obecnie odwiedzała ojca i miała wrócić następnego dnia. Czyli Clare jest rozwódką. Mogłabym się domyślić, oglądając pokój. Żaden facet nie zniósłby tych pachnących świeczek.

Wyglądała teraz na znacznie spokojniejszą. Odchyliła się na oparcie fotela z nogami skrzyżowanymi w kostkach. Popatrzyłam na Neila i spróbowałam wprowadzić do rozmowy lżejszy ton.

– Jaką kobietą była Ella?

Clare długo zwlekała z odpowiedzią. Spojrzała w górę, potem w lewo. Wyprostowała nogi i znowu je skrzyżowała, odrobinę odsuwając się od nas. Herbert cicho zaskomlał. Gdzieś w tle rozległo się wibrowanie telefonu komórkowego.

– Była cudowną osobą – powiedziała wreszcie Clare. – Bardzo inteligentną, zabawną. Wszyscy ją lubili. Była wspaniałą nauczycielką. Dzieci ją uwielbiały. Kiedy się dowiedzą, będą zdruzgotane...

– Czy Ella miała chłopaka? – spytałam, nie dając jej czasu na zastanowienie się nad odpowiedzią.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

Dziwna odpowiedź i nawiasem mówiąc, taka sama, jaką usłyszałam od Tony’ego Sweetmana.

– A o jej byłych? – zapytałam, sięgając znowu po poufały ton.

– To dawne dzieje. Ostatnio z nikim się nie spotykała.

– Wspominała o kimś konkretnym?

– Mówiła o kimś ze swojej dawnej szkoły w Walii. O jakimś Bradleyu.

Zanotowałam to.

– I nigdy nie wspominała o nikim, kto ją niepokoił? Może prześladował na Facebooku albo coś w tym rodzaju?

– Nie. – Clare zmierzyła nas dość wyzywającym spojrzeniem.

Chciałam jej zadać więcej pytań, ale najpierw zamierzałam zajrzeć do wpisów Elli w mediach społecznościowych. Przypuszczałam, że coś tam znajdę: Ella, Clare, Rick, Tony. W mojej dawnej szkole coś się działo. *Puste jest piekło, a wszystkie diabły są tutaj.*

– Dziękuję – powiedziałam. – Bardzo nam pani pomogła.

To w drodze powrotnej do komisariatu Neil zauważył, że Clare wygląda jak modelka. Od razu się z tego wycofał, ale gdy zbliżaliśmy się do Chichester, mijając niekończącą się serię rond, pomyślałam, że ma trochę racji. Chyba nie co dzień się zdarza, by w gronie pedagogicznym gimnazjum znalazły się dwie tak zachwycające kobiety? Gdy wracam pamięcią do moich czasów w Talgarth, wszyscy nauczyciele wydawali się wiekowi i skrajnie niechlujni. Pani Cathart miała wąsik i biła od niej woń potu zmieszanego z talkiem. Clare Cassidy używała

perfum Jo Malone, English Pear & Freesia – w rozpoznawaniu zapachów jestem akurat bardzo dobra.

Czy Clare Cassidy i Ella Elphick mogły obudzić w męskiej części grona pedagogicznego namiętność, a może wręcz mordercze instynkty? Podzieliłam się tą myślą z Neilem.

– I Tony Sweetman, i Rick Lewis są żonaci – odparł i skrzywił się, bo wyprzedziłam z lewej. Zmieniamy się za kierownicą i on jeździ znacznie ostrożniej niż ja.

– Co to ma do rzeczy?

– Naprawdę myślisz, że mógł ją zabić kolega z pracy? To było przecież brutalne morderstwo.

– Rany zadane nożem to atak pełen pasji – zauważyłam. – Ktoś podszedł blisko, żeby ją zabić. To świadczy o silnych emocjach. Nie wspominając o tym, że sprawca przygotował sobie wcześniej cytacik z Shakespeare’a.

– Nigdy nie rozumiałem Shakespeare’a.

– Dlatego właśnie jesteś gliniarzem – odparowałam, chociaż jeśli mam być szczerą, niektóre dramaty bardzo mi się podobały, nawet gdy uczyła o nich pani Cathcart. *Makbet*. To dopiero opowieść o morderstwie. – Nie zapominaj o jednym – dodałam. – Ella weszła wcześniej w związek z kolegą z pracy. Clare właśnie o nim wspomniała. – Jej rodzice wczoraj powiedzieli nam o Bradleyu Jonesie. Był szefem zespołu anglistów Elli, kiedy uczyła w Walii. Mieli romans, który według słów jej matki „źle się zakończył”. Jutro planowaliśmy się spotkać z tym Jonesem.

– Czyli Ella miała romans z Tonym albo Rickiem, Clare była zazdrosna i zadźgała ją nożem – powiedział Neil. – To mi się nie klei.

– Pamiętasz, co powiedział Rick? „Chodzi o Clare”? W tej szkole coś się dzieje.

– Po prostu jej nie lubisz – podsumował Neil.

– Ani ją lubię, ani jej nie lubię – odparłam. – Po prostu myślę, że coś ukrywa.

Rozdział 12

W ciągu kilku następnych dni dowiedzieliśmy się znacznie więcej o Elli Elphick. Urodziła się w Surrey w 1977 roku, skończyła liceum dla dziewcząt, studiowała anglistykę na Exeter, potem wyjechała na Daleki Wschód i przez jakiś czas pracowała w Japonii. Po pięciu latach wróciła i zrobiła kurs nauczycielski. Od wykładowców i z miejsca, gdzie odbyła staż, dostała entuzjastyczne opinie. Pracowała w gimnazjum w Plymouth, po czym wyprowadziła się do Cardiff, gdzie została nauczycielką odpowiedzialną za czwarty etap kształcenia („błąd”, skomentowała jej matka). Nie dostaliśmy jeszcze z laboratorium raportów z oględzin miejsca zdarzenia, a sąsiedzi niezbyt nam pomogli. W niedzielę wieczorem słyszeli podniesione głosy (ktoś twierdził, że to był męski głos, ale bez pewności) i nikt nie zauważył gościa zbliżającego się do domku Elli. Przed kościołem były kamery monitoringu, ale między szóstą a dziesiątą zapis był przeraźliwie nudny: pastor, mężczyzna na spacerze z psem, dwójka nastolatków z nosami w telefonach.

Sekcja zwłok wykazała, że Ella zmarła z powodu ran kłutych szyi i klatki piersiowej. Tak jak przypuszczałam, rany na dłoniach zostały zadane pośmiertnie.

– Stygmaty – powiedziała Donna. – Może nasz sprawca jest maniakiem religijnym. W wiadomości jest mowa o piekle.

– To cytat – uściśliłam. – Myślę, że o to przede wszystkim chodzi. Cytat ze sztuki, o której Ella uczyła w szkole.

– Naprawdę przypuszczasz, że zabójca może mieć związek z Talgarth? – Donna posłała mi przebiegłe spojrzenie. – Z twoją Alma Mater?

– Nie sądzę, żeby marne gimnazjum można nazywać Alma Mater – mruknęłam. – Po prostu tam chodziłam. Ale... nie wiem, coś jest na rzeczy. Dyrektor, szef zespołu anglistów, nawet Clare Cassidy... wszyscy wydają się zdenerwowani, jak gdyby coś ukrywali.

– Zabójca Elli podszedł bardzo blisko – zauważyła Donna. – Wynika stąd, że w grę wchodziły silne emocje.

To prawda. Policja mówi czasem o teorii „dystansowania się”, według której łatwiej jest strzelić, niż użyć noża, ponieważ można pozostać w pewnej odległości od ofiary. Weźmy na przykład ataki za pomocą dronów. Ich operatorzy na pewno nie czują się zabójcami, a jednak nimi są. Zabójca Elli podszedł do niej na tyle blisko, by wbić nóż w najbardziej newralgiczne miejsca, co świadczyło o tym, że zachował zimną krew i pokonał strach. Albo że Ella dobrze go znała.

W środę pojechaliśmy do Cardiff spotkać się z Bradleyem Jonesem, przystojnym, ale dziwnie nieudolnym mężczyzną, który niemal przez całą rozmowę powtarzał, że to Ella go „podrywała” i że od początku „narzucała tempo”. Trudno to nazwać formą wyrażenia żalu czy poczucia straty. Na nieszczęście Jones miał alibi na niedzielny wieczór. Oglądał występ córki w przedstawieniu baletowym. O co chodzi z tym cholernym tańcem? Wygląda na to, że w niedzielę wieczorem wszyscy w kraju albo tańczą, albo przyglądają się, jak tańczą inni. W każdym razie byłoby to dla niego niewykonalne: o ósmej obejrzeć występ córki w Walii, a potem zdążyć dojechać do Sussex, żeby przed dziesiątą zabić byłą kochankę. Gdy sypiał z Ellą, jego córka Sadie była jeszcze niemowlęciem, ale w pewnym sensie też była winna romansowi.

– Po tych wszystkich nieprzespanych nocach byłem taki zmęczony... – próbowałem uśmiechnąć się porozumiewawczo do Neila – że po prostu nie mogłem się oprzeć.

Z przyjemnością zauważyłam, że Neil mierzył go nieruchomym, lodowatym wzrokiem.

– Gnida – rzucił w drodze powrotnej. – Nawet się nie zająknął, że mu przykro z powodu jej śmierci.

– Jeżeli chodzi o mężczyzn, Ella nie miała gustu – stwierdziłam. – To może być ważne.

Ella wyjechała z Cardiff i zatrudniła się w Talgarth, gdzie też została nauczycielką odpowiedzialną za czwarty etap kształcenia. Nie był to awans, ale według słów jej rodziców była zadowolona. Ciekawe, czy etap czwarty jest lepszy od trzeciego. Clare Cassidy była zazdrosna, że Ella ma lepszą pracę? Być może, ale trudno sobie wyobrazić Clare zadającą koleżance śmiertelne ciosy nożem z powodu kilku miejsc różnicy w siatce płac. Wiedzieliśmy, że obie były bardzo lubianymi i szanowanymi nauczycielkami.

Pod koniec tygodnia dostaliśmy dane z social mediów Elli. Na Facebooku występowała jako Ella Louise (prawdopodobnie po to, by uczniowie nie mogli namierzyć jej konta), a na Twitterze jako @lizziebennet77. Musiałam to wytłumaczyć Neilowi.

– Bohaterka *Dumy i uprzedzenia*.

Odparł, że jego żona Kelly oglądała ten film.

Ciekawe, że Ella widziała się w roli atrakcyjnej i hardej Elizabeth Bennet, która odrzuca oświadczyzny nudnego pastora i czeka na pana Darcy'ego. Mimo to jej wpisy na Twitterze nie są zbyt ciekawe – głównie udostępniała lewicowe treści i zdjęcia kotów. Posty na Facebooku zawierały więcej informacji. Wynikało z nich, że Ella utrzymywała kontakt z dawnymi koleżankami ze szkoły, Megan i Anną, że codziennie wymieniała wiadomości z mamą oraz że lubi Partię Pracy, domy towarowe Johna Lewisa i filmiki z uroczyimi małymi zwierzętami. Była też lawina wiadomości do Megan wysłanych latem przez WhatsAppa, w których Ella pisała o „tym, co się stało w Hythe”, a raz o „doktorze Jekyllu i panu Hythe”. Wszystko wskazywało na to, że podczas wyjazdowego kursu w Hythe zrobiła coś, czego

żałowała (*wolałabym, żeby w ogóle do tego nie doszło*), ale miała nadzieję, że utrzyma to w tajemnicy (*Dzięki Bogu, że są wakacje. C wie, ale nikomu nie powie*).

– Clare Cassidy? – odezwał się Neil, czytając mi przez ramię.

– Być może. Ciekawe, kto był doktorem Jekylllem.

– Pewnie ktoś ze szkoły, jeżeli był na tym samym kursie. Rick Lewis?

Skontaktowaliśmy się z Megan (podłożką, która mieszkała w Leeds), a ta przyznała, że rzeczywiście Ella poszła do łóżka z „kimś z pracy” i zaraz potem tego żałowała. Byliśmy jednak rozczarowani, ponieważ Megan nie mogła sobie przypomnieć nazwiska. Telefon do Tony’ego Sweetmana potwierdził, że pod koniec letniego trymestru na szkolenie o temacie „Wpływ prowadzenia dziennika na rozwój umiejętności pisarskich” pojechały do Hythe cztery osoby z zespołu anglistów. Rick Lewis, Ella Elphick, Clare Cassidy i Anoushka Palmer.

W poniedziałek wybieraliśmy się do szkoły, by porozmawiać z gronem pedagogicznym i uczniami, ale postanowiliśmy na sobotę wezwać do komisariatu Ricka. Wydawał się najbardziej prawdopodobnym kandydatem na kochanka Elli, chociaż – co bez przerwy przypominał mi Neil (łypiąc na mnie z nadzieją) – „nie powinniśmy pomijać motywu homo”. Choć byłam ostatnią osobą, która zakładałaby z góry, że ludzie czują pociąg do płci przeciwnej, Ella i Clare jak dotąd wydawały się zdecydowanie heteroseksualne. Nie można było wykluczyć, że w Hythe przeżyły przelotną przygodę, ale uważałam, że to mało prawdopodobne.

Wprowadziliśmy Ricka do pokoju przesłuchań numer jeden. Donna obserwowała nas przez lustro weneckie. Jeśli Rick we własnym domu wyglądał na zdenerwowanego, to teraz wydawał się naprawdę przestraszony. Był całkiem przystojny – wysoki, szczupły, w okularach w rogowych oprawkach, w których pewnie sprawiał wrażenie inteligentniejszego, niż był naprawdę. Nie mogliśmy wykluczyć, że Ella miała z nim romans.

Z początku próbował narzucić swoje warunki, jakbyśmy byli niesforną ósmą klasą na lekcji angielskiego.

– O co chodzi? – powtarzał. – Jestem zajęty.

– To tylko kilka pytań – odparł uspokajającym tonem Neil.

Nie odzywałam się. Wiedziałam, że Rick Lewis odnosi się do mnie nieufnie, i chciałam trzymać go w napięciu.

Kiedy uporaliśmy się z formalnościami, powiedziałam:

– Opowiedz nam o Hythe, Rick.

Popatrzył na mnie znad okularów. Zauważyłam, że jedna noga podryguje mu pod stołem.

– Co?

Nie mów „co?”, tylko „proszę?”, powiedziałyby moja mama, chociaż w dzisiejszych czasach uprzejmości spowszedniały i o niczym już nie świadczą.

– Wiemy, że w Hythe zaszło coś między tobą a Ellą – wyjaśniłam. – Może opowiesz nam o tym własnymi słowami, żebyśmy mieli jasny obraz sytuacji?

Wyobraziłam sobie minę Donny po drugiej stronie lustra. Oskarżaj, współczuj, proponuj alternatywne wyjście. Tego uczą w szkole policyjnej. Chyba użyłam złej kolejności.

– Nic nie zaszło – odparł Rick. Hop, hop, podskakiwała noga.

Oboje czekaliśmy.

– To był kurs, szkolenie na koniec trymestru – dodał Rick. – Wszyscy postanowili zaszaleć.

– W Hythe Ella poszła z kimś do łóżka – powiedziałam. – I przypuszczamy, że to byłeś ty.

– To nie byłem ja. – Wyraźnie starał się nie stracić panowania nad sobą. – Jestem żonaty.

– A Clare Cassidy? – spytałam.

Przestał podrygiwać nogą i nagle zupełnie znieruchomiał.

– Co Clare?

– Co cię z nią łączy?

– Znamy się, pracujemy razem. To wszystko.

– To atrakcyjna kobieta – wtrącił Neil poufałym tonem, jak samiec do samca.

– Naprawdę? Tak, pewnie jest atrakcyjna.

– Ella Elphick też.

– Tak.

– Co powie Clare, jeżeli spytamy ją o charakter twoich relacji z Ellą? – spytałam.

– Powie, że byliśmy przyjaciółmi. – Rick z trudem panował nad głosem. – Bo taka jest prawda.

Zaciął się i nie dodał już niczego więcej. Frustrująca sytuacja, ale na razie nie było pośpiechu. Powiedzieliśmy mu, że może iść.

W poniedziałek pojechaliśmy do szkoły Talgarth. Wszłam do środka pierwszy raz od dnia, w którym odebrałam świadectwo z wynikami egzaminów. Pachniało dokładnie tak samo jak wtedy: pastą do podłóg i skarpetkami. Wpisaliśmy się na listę w recepcji (za moich czasów, w latach dziewięćdziesiątych, nie przykładali takiej wagi do bezpieczeństwa), a potem dziewczyna z warkoczami i plakietką z napisem *GONIEC* zaprowadziła nas korytarzem do gabinetu dyrektora. Ta część szkoły w ogóle się nie zmieniła; miałam wrażenie, że na ścianach wiszą te same prace plastyczne, te same zalaminowane kartki z apelem, żeby zapisywać się do przedstawienia na Boże Narodzenie (*Krwiożercza roślina* – ha, ha!) i nie biegać po schodach. Nowe były natomiast fotografie uczniów otwierających koperty z rezultatami egzaminów – *Najlepsze w historii wyniki Talgarth w egzaminach GCSE!* Moje wyniki były całkiem niezłe, lepsze niż braci, ale nikt nie robił z tego wielkiego halo. I na pewno nikt nie uwieczniał mnie w towarzystwie rozpromienionego dyrektora, jak pokazuję do obiektywu ten budzący grozę wydruk. W Talgarth całkiem dobrze się uczyłam. Wszystko zaczęło się psuć dopiero w liceum, chociaż zdołałam uciuć tyle punktów, by dostać się do Chichester. Nie ma też moich zdjęć z dnia, w którym przyszły wyniki maturalne.

Ale gdy idę wyłożonym boazerią korytarzem z parkietem i wysokim sufitem, wydaje mi się prawie niemożliwe, że skręcając za róg, nie wpadnę na siebie

w wieku dwunastu lat z włosami zaplecionymi w długie warkocze, w granatowym żakiecie i pod krawatem, wystrzępionym od nieustannego przygryzania. Mundurki zmieniły się od moich czasów; dzisiaj żakiety i krawaty zostały zastąpione bluzami. Praktycznymi, chociaż niezbyt twarzowymi. A przecież mój brat Kush zawsze nosił skórzaną kurtkę zamiast marynarki i nie pamiętam, żeby ktoś go za to zganił. Kush zawsze był cool, co bardzo mi się przydawało, bo ja taka nie byłam.

Minęliśmy podwójne drzwi kaplicy, w tym momencie zamknięte na głucho. Pani Elphick powiedziała nam, że chce tu zorganizować uroczystości żałobne. Nie byłam w środku, odkąd za stallami całowałam się z moim pierwszym chłopakiem, Garym Carterem. Przeszliśmy głównymi schodami, gdzie w pewne noce można zobaczyć kobietę w bieli unoszącą się w powietrzu jak puch. Raz widziałam ją na własne oczy, chociaż była mniej eteryczna i bardziej przypominała anioła zemsty. Nie zamierzałam jednak opowiadać o tym Neilowi.

– Całkiem elegancko – powiedział, wyciągając szyję, żeby zajrzeć w górę krętych schodów.

– Powinieneś zobaczyć współczesny budynek – odparłam. – Już za moich czasów się sypał. W korytarzu, gdzie wisały prace plastyczne, musieliśmy stawiać wiadra, kiedy padało.

– Ciągle stawiamy – pisnęła nagle nasza przewodniczka. – A w laboratoriach jest pleśń. Prawdziwe grzyby.

– Przydaje się do lekcji prowadzenia gospodarstwa domowego – stwierdziłam, zanim sobie uświadomiłam, że pewnie nie prowadzi się już takich zajęć.

Dziewczynka zrobiła stropioną minę i już się nie odezwała. Zostawiła nas przed drzwiami z tabliczką *Pan Sweetman, Dyrektor* i jak najszybciej, chociaż powstrzymując się od biegu, ulotniła się, stukając ciężkimi szkolnymi butami.

Na dzisiaj zaplanowaliśmy spotkanie z klasą Elli. W Talgarth wychowawca był przypisany do jednej grupy przez cały okres jej nauki, co oznaczało, że choć spotykał się z uczniami tylko na początku i na końcu dnia, to w jedenastej klasie dość dobrze już ich znał. Ella miała klasę 11EL, tę samą od pięciu lat; była ich

wychowawczynią od siódmej klasy. Mogli się okazać ważnymi świadkami, ale musieliśmy działać bardzo ostrożnie. Nie dostaliśmy zgody od wszystkich rodziców i w przesłuchaniach miała uczestniczyć pani Francis, wicedyrektorka, występując w roli „odpowiedniej osoby pełnoletniej”.

– To już nie są dzieci – mówił Neil jeszcze w samochodzie. – Mają po szesnaście lat, niektórzy chłopcy są mojego wzrostu. Mogliby bez trudu obezwładnić taką szczupłą kobietę jak Ella.

– Z dzisiejszego punktu widzenia są dziećmi – zaproponowałam, ale wiedziałam, że Neil ma rację. Nie można było wykluczyć, że któryś z uczniów zadurzył się w nauczycielce i zareagował agresją, gdy dostał kosza. Nie zamierzałam jednak głośno wysuwać tej teorii.

Tony czekał na nas w swoim gabinecie z panią Francis (Liz). Poprosiliśmy o możliwość prowadzenia przesłuchań u niego, ponieważ pokój był oddzielony od głównej części szkoły, a poza tym miał w sobie pewną powagę. To przecież był gabinet dyrektora szkoły i miałam nadzieję, że nawet w tych luzackich czasach bluz nadal ma pewną siłę rażenia.

Przynieśliśmy ze sobą kawę z McDonalda i zobaczyłam, jak Tony z dezaprobatą zerka na styropianowe kubki.

– Poprosiłem sekretarkę, żeby zaparzyła nam porządnej kawy – powiedział.

– Proszę się poczęstować. – Neil podsunął mu pudełko z Dunkin’ Donuts.

Tony się wzdrygnął.

– Nie, dziękuję.

Spodobała mi się Liz Francis. Starsza od Tony’ego, w praktycznym granatowym kostiumie i butach na płaskim obcasie, miała rozbawiony wyraz twarzy, jakby już kiedyś widziała podobne rzeczy i nie traktowała ich zbyt serio. Wzięła pączka i zauważyła, że skoro ma nadzienie z dżemu, liczy się jako jedna z pięciu codziennych porcji owoców i warzyw.

– Pamiętaj o naszych Zasadach Zdrowego Żywienia, Liz – rzucił Tony, tylko półzartem.

Wyjaśnił, że rano wystąpi przed uczniami na apelu.

– Prawdopodobnie wszyscy już wiedzą o Elli – dodał. – Sami państwo wiedzą, jak szybko dzisiaj rozchodzą się wiadomości. Myślę jednak, że najlepiej będzie, jeżeli usłyszą to ode mnie. – Zabrzmiało to szczerze, ale jednocześnie trochę zarozumiale.

– W takim razie zaraz potem zaczniemy rozmawiać z uczniami – powiedziałam.

Liz miała kopie rozkładów zajęć (które u uczniów jedenastej klasy były niejednolite, bo uczyli się różnych przedmiotów) i przygotowała nam plan. Ale gdy tylko pracownicy szkoły wyszli, odwróciłam się do Neila.

– Pogadajmy jeszcze raz z Clare. Zapytajmy o Hythe.

– Pewnie ma lekcje.

– To pogadajmy z nią w czasie przerwy. To ją wytrąci z równowagi.

Neil westchnął.

– Nie wiem, dlaczego tak się na nią uwzięłaś.

– Wcale się nie uwzięłam.

Zapraszaliśmy uczniów klasy 11EL pojedynczo i rozmawialiśmy z nimi w obecności pani Francis. Zadawaliśmy im te same pytania.

Lubiliście się z panią Elphick?

Wiadomo ci, czy ktoś nie lubił się z panią Elphick?

Czy chcesz powiedzieć o czymś jeszcze?

Wszyscy uczniowie zgodnie twierdzili, że między nimi a Ellą nie było żadnych tarć. Ich hołd przyjmował różną formę, od „była w porządku” plus wzruszenie ramion, po deklaracje „była cudowna” wygłaszane z oczami pełnymi łez. Na łyzy nie zwracałam szczególnej uwagi. Liz Francis mówiła nam wcześniej, że dzisiaj uczniowie są zbyt pobudzeni.

– To pierwszy dzień nauki po feriach. Właśnie się dowiedzieli, że zamordowano ich nauczycielkę. Są autentycznie przygnębieni, ale niektórym

pewnie spodoba się atmosfera tragedii. – Uśmiechnęła się. – Jutro jest Halloween, a to ich zawsze nakręca.

Nie znoszę Halloween. Mam zawsze furę słodyczy przy drzwiach, na wypadek gdyby zapukały do nich przebrane dzieciaki, ale nasz dom zwykle omijają, bo po pierwsze, mamy dużego psa, a po drugie, jesteśmy „obcy” i ubieramy się „dziwnie”.

Uczniowie Elli nie sprawiali wrażenia zbyt pobudzonych. Niektórzy byli przybici, inni zdenerwowani, jeszcze inni zachowywali się tak, jakby przesłuchiwanie przez policję było chlebem powszednim znudzonego nastolatka. Nikomu nie przychodziła na myśl osoba, która nie lubiłaby się z Ellą, i nikt nie miał nam nic istotnego do przekazania. Posłaliśmy gończynię z wiadomością do Clare. Pojawiła się w czasie przerwy z wyniosłą i lekceważącą miną.

– Dzień dobry, Clare – powiedziałam. – Dziękuję, że przyszedł.

Usiadła. Była w czarnej spódnicy i ciemnoszarym sweterku. Prostota, ale i niepozobawiona tajemniczości elegancja. Stroju znowu dopełniały wysokie buty, z nad których mignęły czarne rajstopy.

– Skoro mamy mówić sobie po imieniu – odparła chłodno – to jak brzmi twoje? Pomyślałam, że to odrobinę bezczelne, ale nie porzuciłam życzliwego tonu.

– Harbinder.

– No więc, Harbinder, mam niewiele czasu. Za piętnaście minut zaczynam lekcję.

Urocza.

– To nie potrwa długo – odparłam. – Przeglądaliśmy profile Elli w social mediach i chciałabym ci zadać kilka pytań. W lipcu ty i Ella pojechałyście do Hythe na kurs dla nauczycieli. Coś się tam stało. Wiem o tym z jej wpisów na Facebooku. Co to było?

Przyglądałam się jej badawczo. Zerknęła przelotnie na Neila i wróciła wzrokiem do mnie.

– To znaczy?

Grała na czas.

– Wiemy, że w Hythe stało się coś, co zdenerwowało Ellę – powiedziałam. – Byłaś tam, byłaś jej przyjaciółką. Pomyślałam, że możesz wiedzieć, co to było.

– Nie. Działy się normalne rzeczy, jak zwykle na szkoleniu. Wiadomo jakie. – Starła się uderzyć w kumpelski ton „między nami profesjonalistkami”.

– Nie, nie wiadomo – odparowałam. – Policja w Sussex nie prowadzi wyjazdowych kursów. Co się stało w Hythe?

– Nic. – Clare poczęstowała nas niewinnym spojrzeniem szeroko otwartych oczu. – Działo się to samo co zwykle. Dużo rozmów, zajęcia grupowe, wieczorem wyjście na drinka.

Nie dawałam się na to nabrać. Na tym szkoleniu coś się stało i nie chodziło mi o to, że ktoś nie chciał postawić innym kolejki. Gdy zapytałam, z kim chodziła na drinka, powiedziała, że z Ellą, a na moją sugestię przyznała, że także z Rickiem Lewisem. Wspomniała też o jeszcze jednej osobie ze szkoły, Anoushce Palmer.

Wskazałam na leżącą przede mną teczkę, żeby dać jej do zrozumienia, że już znam odpowiedzi na pytania, które jej zadaję.

– Tu Ella wspomina, że chce zapomnieć o Hythe. Jak sądzisz, co miała na myśli?

Clare zaczęła na przemian krzyżować i prostować nogi, zdradzając napięcie.

– Nie mam pojęcia.

– Pisze o doktorze Jekyllu i panu Hythe. Jak sądzisz, co to znaczy?

– Może błąd ortograficzny?

Posłałam jej znaczące spojrzenie. Pewnie myśli, że nie czytaliśmy tej książki. Tak się składa, że w zasadzie ma rację, ale chciałam zetrzeć jej z twarzy ten wyraz wyższości.

– Pisze też *C wie*. Czy C to ty?

– Nie wiem – powiedziała Clare. Teraz rzeczywiście wyglądała na wytrąconą z równowagi. Na jej czoło wystąpiły kropelki potu. Uderzenie gorąca? Być może. W końcu ma czterdzieści siedem lat. Ale może to co innego. Nadszedł moment,

w którym Neil powinien wspomnieć o liściku przy zwłokach, i mój partner zrobił to nieźle, bezbarwnym i obojętnym głosem.

– Co to za wiadomość? – prawie wyszeptała Clare.

Neil powiedział jej, a ona wyjaśniła, że to cytat z *Burzy*. Pewnie uznała, że tego też nie czytaliśmy.

– A jak brzmi następny wiersz? – zapytałam, mimo że znałam jego treść.

– *Puste jest piekło* – powiedziała – *a wszystkie diabły są tutaj*.

Wiadomość naprawdę ją zaniepokoiła. Oboje to zauważyliśmy. Sięgnęła ręką do czoła, by otrzeć pot, i chyba zorientowała się, jak to wygląda. Poprawiła tylko kosmyk włosów. Były obcięte bardzo krótko, z trochę dłuższą grzywką; ciemne ze złotymi refleksami. Fryzura z klasą.

Poprosiłam ją o próbkę pisma. Pewnie zrozumiała, dlaczego o to proszę, ale zareagowała dość spokojnie. Należącym do Tony’ego piórem Montblanc napisała:

Puste jest piekło, a wszystkie diabły są tutaj.

To nie był ten sam charakter pisma.

Tylko jeden z uczniów Elli powiedział nam coś ciekawego. Dochodziło południe, kiedy zaczęliśmy rozmawiać z Tomem Creeve’em, tyczkowanym, pryszczatym chłopakiem z włosami wygolonymi po bokach. Dzisiaj w Talgarth chyba znacznie pobłaźliwiej podchodzą do tego, co dzieciaki robią z włosami. Za moich czasów chłopców obowiązywała klasyczna fryzura, krótko z tyłu i po bokach, a dziewczyny – koński ogon. Mój tata musiał przyjść do szkoły i wytłumaczyć, że sikhijskie dzieci nie mogą obcinać włosów, a chłopcy naprawdę muszą nosić turban. Ale dzisiaj widziałam już wysoko upięte koki, dredy, głowy ogolone na zero i wszelkiego rodzaju kiepskie farbowanki.

Tom nie bardzo radził sobie z własną stylizacją. Siedział przed nami zgarbiony, skubiąc dziurę w bluzie.

– Czy kojarzysz kogoś, kto nie lubił się z panią Elphick? – zapytaliśmy, a on odpowiedział:

– No, była ta historia z Patrickiem O’Learym.

Spojrzeliliśmy po sobie z Neilem.

– Jaka historia?

– Patrick wysłał do niej walentynkę. Wszyscy o tym wiedzieliśmy. Pani Elphick powiedziała panu Lewisowi i Patrick musiał się przenieść do innej klasy.

– Jak to przyjął? – spytałam.

– Nie wiem. – W oczach Toma błysnęła panika. – Nie jestem jego kolegą. – Przejechał dłonią przez ocalałe włosy. – Nie dowie się, że wam powiedziałem, prawda?

– To całkowicie poufne – zapewniłam.

Gdy czekaliśmy, aż cierpliwa jak anioł gończyni znajdzie Patricka, Liz próbowała przedstawić sytuację w szerszej perspektywie.

– Może to nic takiego. Dzieciaki często podkochują się w nauczycielach i jedyne rozwiązanie to nigdy nie zostawać z uczniem sam na sam. Ella postąpiła słusznie, mówiąc Rickowi, bo był jej bezpośrednim przełożonym.

– Jaki to chłopak, ten Patrick? – zapytałam.

– Całkiem bystry, uzdolniony sportowo, gra w rugby – odpowiedziała Liz. – Ale w szkole ma już swoje za uszami.

– Co na przykład?

– Bójki, aroganckie odzywki do nauczycieli. Tego rodzaju grzeszki.

– Przypomina mnie, gdy chodziłem do szkoły – wtrącił Neil.

Ale Patrick O’Leary okazał się zupełnie niepodobny do mojego partnera. Do pokoju wszedł zawadiackim krokiem smagły, przystojny chłopak. Usiadł naprzeciwko nas i szeroko rozstawił kolana. Gdyby siedział obok mnie w pociągu, pewnie bym go kopnęła.

Nie chciałam tracić czasu.

– Podobno kiedyś wysłałaś pani Elphick walentynkę.

Patrick wcale nie wyglądał na zakłopotanego. Nawet lekko się uśmiechnął.

– Tak. I co z tego?

– Czy pani Elphick rozmawiała o tym z tobą?

– Aha. – Wzruszył ramionami. – Powiedziała, że nie powinienem jej wysyłać.

Ale to był tylko kawał.

– Poinformowała o tym pana Lewisa, który kieruje zespołem anglistów.

– No, a on zaczął gadać, jakie to niestosowne. „Trzeba zachować granice”. –

Wypowiedział to zdanie wysokim, marudnym głosem, najwyraźniej udając Ricka.

– Trochę ostro. – Neil wchodził w rolę kumpla. – Przecież mówiłeś, że to miał być tylko kawał.

Patrick spojrział na niego spode łba. Rozumiał, o co chodzi.

– Szczerze mówiąc, nie bardzo się przejąłem.

– Czy kiedykolwiek widywałeś się z panią Elphick poza szkołą? – spytałam. – Byłeś kiedyś u niej w domu?

– Nie. – Patrick odrobinę wyprostował się na krześle. – Jeżeli ktoś twierdzi inaczej, to kłamie.

– Kto mógłby twierdzić coś takiego?

Patrick nie odpowiedział. Liz pochyliła się do niego.

– Nic złego ci nie grozi, Patrick, ale musisz odpowiadać na pytania.

– Nie wiem – odparł w końcu.

– Zostałeś przeniesiony do innej klasy, prawda? – ciągnęłam.

– Tak. Do jedenastej GN.

– Pewnie było ciężko – rzucił Neil.

– Jest okay. Rzadko się z nimi spotykam. Tylko przy sprawdzaniu obecności i takich tam. Zawsze mam swoich kumpli.

– Co teraz myślisz o pani Elphick? – spytałam.

Patrick spojrział mi prosto w oczy.

– Przykro mi, że nie żyje – powiedział. – Ale to wszystko. Nie myślę o niej. Mam dziewczynę. Tamto to był tylko kawał.

Tony zaproponował nam lunch w szkole, ale nie miałam na to ochoty. Jadalnia znajduje się w starej części szkoły i w gabinecie czułam zapach jedzenia. Powiedział, że stołówka jest teraz w Nowym Budynku – „można kupić kawałek pizzy i wszystko, czego dusza zapragnie” – ale poinformowałam go, że wyjdziemy odetchnąć świeżym powietrzem. Zostało nam jeszcze kilkoro uczniów i reszta zespołu anglistów. Pomyślałam, że koncentrację pomoże nam utrzymać restauracja Nando’s w Chichester.

Idąc do samochodu, przecięliśmy dziedziniec. Wszędzie kłębiły się niebieskie bluzy, które wydawały coś w rodzaju stłumionego ryku, jaki słychać z dalekiego stadionu piłkarskiego. Przy parkingu wałęsała się grupka chłopaków. Byłam pewna, że mają zamiar zapalić. Wyraźnie wskazywały na to ich ukradkowe, ale buńczuczne spojrzenia. Podszedł do nich jakiś nauczyciel.

– Co tu robicie? Uczniowie nie mają wstępu na parking. Nie idziecie na lunch?

– Dbam o linię, proszę pana – odezwał się jeden z chłopaków.

Akurat ich mijaliśmy i przystanęłam, żeby przyjrzeć się nauczycielowi. Tweedowa marynarka, zielony krawat, przerzedzone włosy, lekko zrozpaczony wzrok.

Gary Carter w ogóle się nie zmienił.

Rozdział 13

– Widziałam dzisiaj Gary’ego Cartera – powiedziałam mamie.

– Lubiłam Gary’ego. – Przerwała siekanie. – Prawda?

– Ty wszystkich lubisz.

– Nieprawda. Nie lubiłam tego małego chłopca z podstawówki. Tego, który zepchnął cię ze zjeżdżalni. I nie przepadałam za Margaret Thatcher.

– Nie lubisz też tego faceta z partii UKIP, którego wczoraj wieczorem widzieliśmy w telewizji.

– Gdyby wszedł do sklepu, byłabym dla niego miła – powiedziała, odrzucając jedną ręką włosy – ale aż tak nie przepadam za bezmyślnym rasizmem.

Typowe dla mojej mamy. Zawsze traktuje hipotetyczne sytuacje bardzo serio. „Gdybym zaprosiła na lunch królową, musiałabym bardzo uważać, co jej podam, bo księżę Filip ma kłopoty z trawieniem”. „Gdybym była kierowcą wyścigowym – mama nie prowadzi samochodu – po wyścigu poprosiłabym o prosecco zamiast szampana. Też ma dużo bąbelków, a jest o wiele tańsze”. Umiarkowanie w słowach też jest dla niej typowe. Mama „nie przepada” za rasizmem, ludobójstwo „raczej ją złości”, a wojna „kiedy się zastanowić, wcale nie jest takim dobrym pomysłem”.

– Gary jest teraz nauczycielem w Talgarth – dodałam. – Rozmawiałam z nim dzisiaj. Uczy geografii.

– Och, zawsze byłaś dobra z geografii. Ślicznie rysowałaś mapy.

– Mamo, przestałam w ósmej klasie. – Ale miała rację, mapy nieźle mi wychodziły. Uwielbiałam kreślić na niebiesko kontury kontynentów i rysować góry

przykryte białymi czapami lodowymi.

– Gary jest żonaty? – Czasem jest tak mało subtelna. Nawet na mnie nie spojrzała; wrzuciła na patelnię cebulę i czosnek i patrzyła, jak skwierczą.

– Nie pytałam. – Nieprawda; spytałam i nie był. Umówiliśmy się na drinka na jutrzejszy wieczór. Tylko po to, żebym mogła od niego wyciągnąć plotki o nauczycielach z Talgarth, ale i tak nie powiedziałam o tym mamie. Nie chciałam, żeby wyciągnęła jakieś fałszywe wnioski. Poza tym za dużo wrażeń może jej zaszkodzić.

– Dobrze sobie poradził w życiu, skoro jest nauczycielem – zauważyła jak gdyby mimochodem i wsypała na patelnię przyprawy.

– Nie trzeba być do tego bardziej bystrym niż do pracy w policji – powiedziałam, na pewno trochę się broniąc.

– Moim zdaniem praca w policji jest dla bardzo bystrych – zaprotestowała i odwróciła się, żeby na mnie spojrzeć. – Zawsze się tobą chwale.

W to akurat wątpiałam. Byłam pewna, że ilekroć moje imię padało w rozmowie w gurdwarze – „Co słyhać u Harbinder?”, „Wyszła już za męż?”, „Ma dzieci?” – moi rodzice szybko próbowali zmienić temat.

Sultan zaczął szczeakać, co oznaczało, że nadchodzi tata. Spojrzałam na zegar, dziwne miedziane urządzenie w kształcie Indii. Mała wskazówka na Mysuru. Siódma. Sklep zamyka się o dziewiętej, więc pewnie został w nim Kush.

Rodzice prowadzą mały sklepik w Shoreham. Kiedyś sprzedawali filmy na DVD, ale załatwił je Netflix. Teraz najwięcej zarabiają na sprzedaży alkoholu, chociaż żadne z nich nie pije, nawet matka, miłośniczka polewania kibiców prosecco. Gdy byłam mała, wszyscy pomagaliśmy w sklepie, a kiedy ktoś chciał kupić piwo czy wino, musiałam wołać rodziców. Dzisiaj za ladą stoją tylko Kush i tata, a czasem syn Kusha, Hakim. Poświęcają dużo czasu na legitymowanie klientów.

– Popatrz no, Bibi – powiedział na mój widok tata. – Wróciła nasza córeczka.

Wiedział, że to mi działa na nerwy. Pochylił się, żeby mnie pocałować, i poczułam zapach jego wody kolońskiej. Ojciec nigdy nie wydaje się zmęczony, nigdy nie wygląda niechlujnie, nic nie narusza jego nieskazitelnosci. Jego kurtki zawsze jest śnieżnobiała, a turban granatowy. Zawsze pachnie wodą kolońską i mydłem, nawet po całym dniu spędzonym za ladą w sklepie.

– Jak tam śledztwo? – Wziął łyżkę, by spróbować curry, co zawsze złości matkę.

– Smutna historia – odezwała się mama. – Ta nauczycielka była bardzo piękna. Widziałam w gazecie jej zdjęcie.

– Byłaby mniej smutna, gdyby ofiara była brzydka? – spytałam.

– Uważaj, Bibi – ostrzegł tata.

– Oczywiście, że nie – odparła z godnością matka. – To tylko moje spostrzeżenie.

– Ze śledztwem mamy zgryz – powiedziałam. – Jesteśmy prawie pewni, że znała zabójcę, co powinno zawęzić listę podejrzanych, ale nie zawęża.

– Lepiej zamykajmy na noc drzwi na klucz – poradziła mama.

– Przecież zawsze zamykamy – odparł tata. – Poza tym mamy psa stróżującego.

Oboje spojrzeli czule na Sultana, który leżał na samym środku podłogi, jakby postanowił robić jak największy kłopot.

– Nie mógłby nas ochronić – stwierdziłam. – Jest zbyt łagodny.

– To tresowany zabójca – zaprotestował tata.

– Tresowany przez kogo?

– Przeze mnie. Sultan! – zwrócił się do pupila. – Zdechł pies! – Sultan załomotał potężnym ogonem w podłogę.

– Już udaje zdechłego – powiedziałam. – Kiedy będzie kolacja? Zdążę wcześniej wziąć prysznic?

Nigdy nie miałam zamiaru mieszkać w rodzinnym domu. Wstąpiłam do służby zaraz po studiach i na początku dzieliłam mieszkanie z trójką innych słuchaczy

szkoły policyjnej. Ale, sama nie wiem, po jakimś czasie zaczęli mi chyba działać na nerwy. Byli okropnymi bałaganiarzami i nigdy nie gotowali porządných posiłków. Przychodzili o drugiej w nocy, przynosili kebaby, a rano znajdowałam rozrzucone po całej kuchni puszki po piwie i strzępki sałaty. Wypijali moje ulubione mleko i chcieli oglądać *I'm a Celebrity*. Po roku przeprowadziłam się z powrotem do rodziców. To miało być tymczasowe rozwiązanie. „Dopóki nie wyjdzie za mąż”, usłyszałam kiedyś, gdy mama rozmawiała z ciocią Dipą. No to sobie poczekamy. Małżeństwa jedнопłciowe nie spełniają warunków Szczęśliwego Połączenia (może się to kojarzyć z nazwą liniowca pływającego po oceanie, ale to dosłowne tłumaczenie nazwy sikhijskiej ceremonii zaślubin). Rodzice nie wiedzą, że jestem lesbijką, a w trakcie mojego obecnego celibatu, bardziej papieskiego niż papieski, nie sądzę, by warto było im mówić. Może zaczekam, aż porzucą nadzieję, że znajdą dla mnie tego jedyne go. Wydaje mi się, że mama może to przyjąć całkiem naturalnie. Przyjaźni się ze Steve'em i Duncanem, którzy prowadzą salon fryzjerski dla psów naprzeciwko naszego sklepu, i uwielbia Grahama Nortona. Chociaż jestem raczej pewna, że podobnie jak królowej Wiktorii, nie mieściło się jej w głowie, że kobiety mogą uprawiać ze sobą seks. Znacznie lepiej na razie przed nikim się nie ujawniać. Jak mówiłam, w jej wieku za dużo wrażeń może tylko zaszkodzić.

W sumie nie jest tak źle mieszkać ze staruszkami. Mam pokój z własnym prysznicem obok i niekończącymi się zapasami fantastycznego jedzenia. Rodzice nie pytają, o której wieczorem wrócę do domu, chociaż wiem, że mama nie pójdzie spać, dopóki nie usłyszy chrobotu klucza w zamku. Nie zawracają mi tak bardzo głowy chłopakami i mama w końcu przestała umawiać mnie z dalekimi kuzynami z Pendżabu. Najczęściej oboje są dla mnie fajnym towarzystwem. Uwielbiam oglądać z nimi w niedzielę stare filmy i słuchać rojeń mamy, że wygląda jak „indyjska Ingrid Bergman”, oraz kpiących uwag taty: „O, jest ten śmieszny cudzoziemiec, któremu zrobili lobotomię, żeby źle wymawiał własne nazwisko”. Lubię widywać się w weekendy z braćmi, a zwłaszcza z bratanicami i bratankami. Fajnie jest być cool ciocią, która ma policyjne walkie-talkie i syrenę

w samochodzie, nawet jeżeli moje bratowe czasem mówią: „Ma taki świetny kontakt z dziećmi. Szkoda, że...”. Ale nieszczęśliwie lubię dzieci. Nie, to brzmi obraźliwie. Lubię tylko kilkoro konkretnych dzieci, tak jak mam niewielką, ale starannie wybraną grupkę przyjaciół. „Jesteś zbyt wybredna”, powtarza mama. Ona wyszła za pierwszego mężczyznę, którego przedstawili jej rodzice. Miała szczęście, ale to nie zmienia faktu, że była za mało wybredna.

Po prysznicu poszłam do siebie sprawdzić maile. Zawibrował mój telefon. Donna. Szybko się ubrałam, bo miałam poczucie, że nie wypada rozmawiać z szefową, gdy ma się na sobie tylko ręcznik.

– Dostaliśmy wyniki z laboratorium – poinformowała mnie. Mówiła z pełnymi ustami, na pewno była jeszcze w biurze i jadła chipsy. Donna jest mężatką i ma dwoje małych dzieci; kiedyś wyznała mi, że łatwiej jej czekać w pracy, aż pójdą spać.

– Coś ciekawego? – spytałam.

– Na nożu nie ma odcisków palców.

– A ten liścik?

– Nic. Podobno są ślady warstwy plastiku. To może znaczyć, że przechowywano go w torebce do zamrażania.

– Da się ustalić markę torebki?

– Nie, wszystkie są chyba identyczne. I kupisz je wszędzie.

– Coś jeszcze?

– Nasza szansa to kawałek nitki, która zahaczyła się o krzak w ogrodzie. Wygląda na to, że pochodzi z wierzchniej odzieży. Impregnowanej kurtki czy czegoś podobnego. W laboratorium już to badają.

Pomyślałam o opaleniznie Tony’ego.

– Kurtka narciarska?

– Możliwe. Jak poszło w szkole?

– Jedna ciekawostka. Chłopak z jedenastej klasy podkochał się w Elli. Wysłał jej walentynkę.

– Jedenasta klasa to jaki wiek?

– Piętnaście, szesnaście lat.

Pełne namysłu chrupanie.

– Wystarczy.

– Aha – potwierdziłam. – Wystarczy. Chłopak jest zresztą wysoki, mocno zbudowany, rugbysta. Nie sprawiał jednak wrażenia, że ma obsesję na jej punkcie. Powtarzał, że chodziło mu tylko o kawał.

– Mimo wszystko jest to jakiś trop. Powinniśmy przeświecić chłopaka.

– Brakuje mu mocnego alibi. Twierdzi, że był w domu i grał na komputerze w gry wojenne.

– Jak wszystkie nastolatki na całym świecie.

– Oprócz niego w domu nie było nikogo. Chyba moglibyśmy spróbować zlokalizować ten komputer.

– Ciekawe – rzuciła Donna. – Warto pogrzebać trochę głębiej.

– Spotkałam dawnego znajomego, który uczy w tej szkole – powiedziałam. – Jestem z nim umówiona na jutro. Zobaczę, czy uda się zdobyć jakieś nieoficjalne szczegóły.

– Dobry pomysł.

– Moja matka jest mocno przejęta. Uważa, że to może być ten wyśniony.

Donna parsknęła śmiechem.

– Co dzisiaj macie na kolację? Powiedz, żebym mogła się ślinić. – Donna jadła u nas tylko raz, ale ciągle o tym mówi.

– Pasandę z jagnięciny, chapati i ryż.

– Mogę się do was wprowadzić?

– Lepiej jedź do domu, Donna – zasugerowałam. – Jutro przyniosę do pracy parę chapati.

Rozdział 14

Chwilowo zapomniałam, że jest Halloween. Umówiłam się z Garym w barze Compass, który znajduje się w miasteczku położonym najbliżej Talgarth. Ulice wyglądały, jakby tłoczyły się na nich karłowate wiedźmy i diabły; oto kochający rodzice z klasy średniej wyprowadzili swoje latorośle na żebry. *Puste jest piekło, a wszystkie diabły są tutaj*. Miałam nadzieję, że mamę ktoś dzisiaj odwiedzi. Byłaby zachwycona, gdyby miała okazję pogruchać do gromadki minizombie. Na jej miejscu zgasiłabym światła i udawała, że nie żyję.

Nawet Compass przyłączył się do obchodów. Żeby dostać się do baru, musiałam się schylić pod pajęczynami, a gdy dostrzegłam Gary'ego, siedział przy narożnym stoliku, na którym stała świeca w kształcie dyni.

Uparł się, że zapłaci za pierwszą kolejkę. Pił piwo, ale ja zadowoliliłam się sokiem pomarańczowym. Ludzie często zakładają, że nie piję, bo jestem sikhijką, ale czasem trudno mi odmówić sobie kieliszka czerwonego wina albo ginu z tonikiem. Rodzice są stuprocentowymi abstynentami, więc w domu nigdy nie ma alkoholu, ale raz mama kupiła mi na gwiazdkę butelkę Baileys, „bo to piją młodzi ludzie”. Likier okazał się niewiarygodnie obrzydliwy, smakował jak płynne wymiociny z domieszką kawy w proszku. Miałam ogromną ochotę na dużego merlota, ale byłam samochodem; poza tym nie zamierzałam zaczynać pić z Garym.

– W naszych czasach nie robiło się takich cyrków z Halloween – zauważyłam, gdy przedarł się z powrotem przez jaskinię Szeloby i bezpiecznie wrócił do naszego stolika.

– To wpływ Ameryki – odparł Gary i domyśliłam się, że mówił to już wiele razy. – Ciągle widać to w szkole.

– Ale w Ameryce dzieciaki przebierają się, za kogo chcą, prawda? Za superbohaterów, księżniczki? – Nigdy nie byłam w Stanach. – A u nas sama czarna magia. Milutko. Przebierzcie dzieciaka za żywego trupa.

Gary się zaśmiał.

– Cała Harbs, nic się nie zmieniłaś.

Nie byłam pewna, jak to potraktować, a w ogóle o co mu chodziło? Że ciągle jestem zabawna? Nadal złośliwa i trochę dziwna? Od lat nikt nie powiedział do mnie „Harbs”.

– Od dawna uczysz w Talgarth? – spytałam.

– Dziesięć lat – odpowiedział, śmiejąc się z nieco zażenowaną miną. – Moja pierwsza praca po roku stażu. Trochę żalosne, nie? Mieszkać i pracować w tym samym miejscu, w którym się dorastało.

– Przynajmniej nie mieszkasz już z rodzicami.

– Nie. – Zaśmiał się serdecznie i dopiero po chwili do niego dotarło. – Hm...
A ty?

– Tak. Ciągle u mamy i taty.

– Lubiłem twoją mamę – oznajmił Gary. – Nigdy nie zapomnę jedzenia w twoim domu. Nigdy w życiu nie miałem w ustach niczego lepszego. Ale zawsze trochę się bałem twojego taty i braci.

– Są łagodni jak baranki – zapewniłam. – W domu zawsze rządziła mama.

– Myślałem, że wyszłaś za męża – powiedział Gary. – Wygląda na to, że wszyscy ze szkoły mają już mężów, żony, dzieci. Wszyscy oprócz mnie.

– I mnie – uzupełniłam. – Nie wyszłam za męża.

– Ale wstąpiłaś do policji. – Gary najwyraźniej chciał mnie pocieszyć. – Super.

– Naprawdę?

– Jasne! Czy ty...

– Tylko nie pytaj, czy mam broń.

Zaśmiał się z tym samym skrępowaniem co przed chwilą.

– Przepraszam.

– Funkcjonariusze brytyjskiej policji zwykle nie noszą broni – wyjaśniłam łagodniej. – Ale zrobiłam kurs strzelecki.

– To i tak fajniej, niż być nauczycielem geografii.

– Jak ci się uczy w Talgarth? – zapytałam.

– W porządku. – Wypił łyk piwa i otarł pianę z górnej wargi. – Tony to twardy szef. Ciągle powtarza, żeby nie mylić się w danych, zna najnowszą terminologię. Ale nie ma wątpliwości, że naprawił szkołę. Panuje większa dyscyplina. Nie boisz się, że zamkną cię w magazynku z materiałami papierniczymi.

Znowu się zaśmiał, a ja zaczęłam się zastanawiać, czy wziął ten przykład z własnego doświadczenia.

– Ten tydzień musiał być ciężki – powiedziałam. – Po wiadomości o Elli.

Twarz Gary’ego lekko się ściągnęła. Jak na swój wiek był w całkiem niezłej formie, ale chwilami wyglądał na kogoś znacznie starszego.

– To okropne. Po całej szkole krążą plotki. Rozpuszczają je ludzie, którzy właściwie nawet nie znali Elli.

Ciekawe.

– A ty ją znałeś?

Zarumienił się.

– Trochę. Oboje co roku występowaliśmy w konkursie talentów dla nauczycieli. Ona śpiewała, a ja... pamiętasz... gram na gitarze.

Boże. Jednym ze szczegółów, które udało mi się zapomnieć z biegiem lat, było to, że Gary grał na gitarze. Powiedział to z lekkim błyskiem w oku, świadczącym o tym, że uważa się za Jimiego Hendrixa z Shoreham. Poszłam do baru zamówić następną kolejkę. Korciło mnie, by poprosić o kieliszek wina, który pomógłby mi przetrwać nieuniknioną falę wspomnień, ale musiałam zachować przytomność umysłu. Jesteś w pracy, powiedziałam sobie.

Przy stoliku Gary poinformował mnie, że Ella była „cudowną osobą”.

– No i naprawdę utalentowaną – dodał. – Umiała śpiewać i tańczyć. Mogłaby zostać aktorką.

– Miała chłopaka?

Wyrzuciłam to z siebie zbyt bezceremonialnie i spojrzał na mnie zaskoczony.

– Czy... czy podejrzewasz...?

– Chcę się tylko zorientować, jaką była osobą – uspokoiłam go.

– Nie sędzę, żeby miała chłopaka – odparł Gary. – Raz czy dwa wspomniała o kimś z poprzedniej szkoły. Zdaje się, że mocno to przeżyła. Nie chciała się wikłać w nic nowego.

– Wikłać?

– Większość nauczycieli jest w formalnych albo nieformalnych związkach – wyjaśnił nieco bojowym tonem.

Ty nie, pomyślałam.

– Czyli nie chciała się wikłać w związek z żonatym mężczyzną?

– Na pewno nie chciała.

– Wspominałeś o plotkach. O czym się plotkuje?

Wyglądał teraz, jakby naprawdę czuł się nieswojo.

– Ella była bardzo atrakcyjna – odezwał się po chwili. – Ludzie zawsze plotkują.

– O Elli i Ricku Lewisie?

Odetchnął z ulgą.

– Czyli słyszałaś. Nie chciałem sam mówić. Ludzie gadają o Ricku i Elli, ale nie sędzę, żeby coś między nimi było. Przede wszystkim Rick był zadurzony w Clare.

– W Clare Cassidy?

– Tak. Poznałaś ją? Też uczy angielskiego. Ładna, choć moim zdaniem trochę zadziera nosa. Ale Clare i Ella się przyjaźniły.

– Poznałam ją – powiedziałam. – Czyli Rickowi podobała się Clare?

– Tak. Wszyscy o tym wiedzieliśmy. Jakiś czas temu naprawdę oszalał na jej punkcie. Podobno godzinami przesiadywał pod jej domem. Jest żonaty, ale to go nie powstrzymało.

– Co Clare sądziła o Ricku? – Myślałam o domu w pobliżu starej cementowni. Czyżby Rick naprawdę prześladował Clare? Jeżeli tak, to dlaczego nie zawiadomiła o tym Tony’ego, żeby go wyrzucił?

Gary znowu się zaśmiał, tym razem jednak zabrzmiała w tym zimna, cyniczna nuta.

– Przecież Clare nawet nie spojrzęłaby na Ricka Lewisa. To typ kobiety, która spotyka się tylko z bankierami wysokiego szczebla.

Najwyraźniej tak sobie wyobrażał nieosiągalne bogactwo.

– A uczniowie? Żaden się w niej nie podkochał? Wiem, że to się zdarza.

– Też wiem. – Gary utkwiał zamglony wzrok w piwie. – Pamiętam, jak mi się podobała pani Creed. Kojarzysz ją? Prowadziła zajęcia teatralne. Jak ja za nią szalałem...

– W ogóle jej sobie nie przypominam. I nigdy nie przepadałam za aktorstwem. No więc czy ktoś przeżył młodzieńcze zauroczenie Ellą?

– Nic mi o tym nie wiadomo. – Chyba nagle sobie przypomniał, że rozmawia z detektywem. – Chyba nie podejrzewasz któregoś z uczniów?

– Myślę, że Ella znała zabójcę – powiedziałam. – A to znaczy, że ty też możesz go znać.

Te słowa skutecznie zepsuły atmosferę.

Wyszłam, gdy tylko dopiłam sok. Chyba nie mogłabym wysiedzieć z Garym przy jeszcze jednej szklance britvica i słuchać, jak opowiada o „starych dobrych czasach”. Być może miał jakieś miłe wspomnienia z imprez i meczów piłki nożnej, ale ja zostawiłam wszystko za sobą, gdy tylko zamknęłam drzwi Talgarth po raz ostatni. Nigdy nie wracać – to moje motto. Gary zasugerował nawet, że moglibyśmy się kiedyś umówić „na curry”. Żartował sobie? Po co miałabym

chodzić do indyjskiej restauracji, skoro mama gotuje najlepsze curry w Anglii? Bąknęłam coś wymijającego i zwałam do samochodu. Proponowałam Gary'emu, że podrzucę go do domu, ale odpowiedział, że się przejdzie. Podobno mieszka w miasteczku. Za punktem bukmacherskim.

Główna ulica była pusta. Wszystkie mikrodiabły poszły do domu. Nie było tu latarń i w tle wznosiły się ciemne i milczące sylwetki Downs. Siedząc w aucie na parkingu, poczułam się trochę nieswojo. Nagle zapragnęłam być już w domu i słuchać, jak rodzice kłócą się o wieczorne wiadomości. Przed odjazdem dla porządku zajrzałam do telefonu służbowego i zobaczyłam, że mam dwa nieodebrane połączenia z nieznanego numeru. Wcisnęłam przycisk poczty głosowej.

– Tu Clare Cassidy. Możesz oddzwonić? Muszę ci coś powiedzieć.

Rozdział 15

Daję wizytówkę każdej osobie, którą przesłuchuję, ale rzadko się zdarza, by ktoś z niej skorzystał. Natychmiast oddzwoniłam do Clare.

– Coś się stało – poinformowała mnie. – I to może być coś ważnego.

– Jesteś w domu? – spytałam.

– Tak.

– Przyjadę.

Drogi były ciemne, ale puste, więc jechałam na długich światłach; prześlizgiwały się po bramach farm i szeregach krzewów wzdłuż drogi, wydobywały z ciemności słup drogowskazu, który jak duch pojawił się pośrodku skrzyżowania, martwego borsuka na trawiastym poboczu, lisa, który truchtem wyruszył w poszukiwaniu nocnej przygody. Czy to myśl o Ricku Lewisie kręcącym się pod domem Clare kazała mi potraktować jej telefon priorytetowo? A może chęć, by zrobić coś użytecznego po kilku godzinach nurzania się w przeszłości? W każdym razie dotarłam na miejsce już po dziesięciu minutach.

W szeregu domów paliły się ciepłe żółte światła, ale za nimi wznosiła się groźnie cementownia jak monstrualna sztuczna ściana urwiska stojąca przed prawdziwą kredową ścianą. Może to było tylko złudzenie optyczne albo odbłask księżyca, ale nagle zauważyłam błysk w jednym z wybitych okien fabryki. Wyglądało to jak chybotliwy płomień świecy, którego pełganie zarejestrowała chyba tylko moja podświadomość. Komunikat alfabetem Morse'a. Płomyk na

zmianę zapalał się i gasł. Wpatrywałam się w okno przez całą minutę, ale już więcej tego nie zobaczyłam.

Clare otworzyła mi drzwi. Najwyraźniej nie przebrała się od powrotu ze szkoły, bo miała na sobie białą bluzkę i czarne spodnie, ale była w puszystych domowych skarpetach. Na ich widok nagle poczułam do niej większą sympatię.

– Dziękuję, że przyjechałaś. – Odsunęła się, żeby wpuścić mnie do środka.

– Akurat byłam niedaleko – wyjaśniłam.

Niebieskoszary pokój wyglądał przytulnie. W piecyku kominkowym buzował ogień, a jedynym innym źródłem światła była lampa stołowa z frędzlami. Telewizor był wyłączony, a na stoliku zobaczyłam położoną okładką do góry książkę *Kobieta w bieli* Wilkiego Collinsa. Pomyślałam o Elli Elphick siedzącej w ciemności z kubkiem herbaty ziołowej. Ktoś powinien wytłumaczyć tym kobietom, co to jest Netflix.

Clare zaproponowała mi kawę albo herbatę i wybrałam herbatę, tylko po to, by pozbyć się z ust smaku soku pomarańczowego. Kiedy sączyłyśmy ciepłe napoje przy ogniu i rozmawiałyśmy przyciszonymi głosami, bo córka Clare, Georgia, siedziała na górze, można było odnieść mylne wrażenie, że to spotkanie zażyłych przyjaciółek.

– Być może to nic takiego – powiedziała Clare.

– Ale możliwe, że coś ważnego, bo inaczej nie zadzwoniłabyś do mnie – odparłam.

– Tak – zgodziła się. – Możliwe. – Przez chwilę wpatrywała się w głęb kubka (z motywem w barwach Gryffindoru z *Harry'ego Pottera*), po czym wyznała: – Prowadzę dziennik.

Nie wiem, jakiej reakcji się spodziewała. Zaskoczenia? Podziwu? Mówiąc szczerze, dziennik idealnie pasował do mojego wyobrażenia Clare jako bohaterki z dziewiętnastowiecznej powieści. Byłam prawie pewna, że uważa się za heroinę własnego życia.

– Kiedy zapytałaś mnie o Hythe – mówiła dalej – chciałam spojrzeć wstecz i sprawdzić, co naprawdę zaszło między Ellą a Rickiem.

Wiedziałam.

– Myślałam, że nic o tym nie wiesz – rzuciłam.

– Niektóre rzeczy wymazuje się z pamięci. – Lekko się zarumieniła. – Poza tym to była ich sprawa.

– A to jest śledztwo w sprawie zabójstwa – zauważyłam. Ale dałam temu spokój. Chciałam wiedzieć, do czego to zmierza.

– No więc zajrzałam do mojego dziennika – ciągnęła Clare – żeby zobaczyć, co o tym wtedy myślałam, a gdy znalazłam tę stronę, okazało się, że ktoś na niej coś napisał.

– Jak to?

– Ktoś napisał coś w moim dzienniku – wyjaśniła zniecierpliwionym tonem. – Ktoś go znalazł i wpisał coś od siebie.

Nadal trudno mi to było ogarnąć.

– Co to był za wpis?

– *Witaj, Clare. Nie znasz mnie.*

– Mogę zobaczyć?

Miała wyraźne opory, ale chyba spodziewała się tej prośby, bo na stole leżał niebieski notatnik z nalepką *Styczeń–sierpień 2017*. Clare wzięła go, ale zanim mi go podała, dodała pośpiesznie:

– Jeszcze jedna rzecz. Dzisiaj zostałam w szkole dłużej. Musiałam przejąć po Elli przygotowanie przedstawienia na koniec trimestru.

– *Krwiożercza roślina?*

Na jej twarzy odmalowało się zaskoczenie.

– Zgadza się. No więc czekałam na rozpoczęcie próby i postanowiłam wejść na ostatnie piętro. Do gabinetu R.M. Hollanda.

– Ciągle tam jest? – spytałam.

– Tak, chociaż oczywiście uczniowie nie mają tam wstępu.

– Nigdy nie widziałam tego pokoju – przyznałam. – Ale czytałam opowiadanie Hollanda, *Nieznajomy*.

– Naprawdę? – Usłyszałam zdziwienie w jej głosie. – Podobało ci się?
Wzruszyłam ramionami.

– Nie bardzo. Trochę melodramatyczne. Te wszystkie „czekaliśmy i czekaliśmy, i czekaliśmy”.

– To tradycja utworów gotyckich – wyjaśniła Clare. – Wszystko dzieje się trójkami.

– Co ci się przydarzyło dzisiaj wieczorem? – zapytałam, żeby przerwać gadaninę jak na spotkaniu w klubie książki.

Odwróciła wzrok i po chwili spojrzała na mnie, robiąc te swoje sarnie oczy, chociaż w pokoju nie było żadnego faceta.

– Poszłam do gabinetu Hollanda. Piszę o nim książkę i chciałam popatrzeć na parę zdjęć. W każdym razie do gabinetu idzie się krętymi schodami na końcu korytarza, a kiedy tam weszłam... przy biurku ktoś siedział.

– Cholera jasna – wyrwało mi się. – Kto to był?

– Tylko sklepowy manekin – powiedziała. – Z jakiegoś stoiska odzieżowego. Ale ubrany w wiktoriański strój i z wyciągniętymi przed siebie rękami. Chyba miał przypominać R.M. Hollanda.

– Pewnie napędził ci strachu.

– Niewiele brakowało, żebym umarła – przyznała. – Krzyknęłam, ale oczywiście nikt nie mógł mnie usłyszeć. Dopiero po dłuższej chwili zorientowałam się, co to jest. Ale chodzi o to, że ktoś musiał podrzucić ten manekin, żeby mnie przestraszyć. Tylko ja wchodzę na ten strych.

– Kto jeszcze ma klucz?

– Pewnie woźny. Ma zapasowe klucze do wszystkich zamków.

– Ciągłe Pat Zbok? – spytałam machinalnie.

– Pan Patterson odszedł chyba dziesięć lat temu. Zanim zaczęłam tu pracować – odparła. – Skąd o nim wiesz?

– Chodziłam do tej szkoły – powiedziałam. I tak prędzej czy później musiałaby się dowiedzieć. – Skończyłam Talgarth dawno temu. Z każdą sekundą coraz dawniej.

– Tony o tym wie? – zainteresowała się. – Uważaj, bo każe ci poprowadzić lekcję z dziesiątą klasą w dzień doradztwa zawodowego.

– Nie mówiłam mu. – Ściśle rzecz biorąc, myśl o rozmowie z uczniami wcale nie budziła we mnie aż takiej niechęci. – Jak sądzisz, kto mógł tam podrzucić tę kukłę? – spytałam.

– Nie wiem. Bez przerwy o tym myślę.

– Ktoś ma do ciebie jakąś urazę?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– A Rick Lewis?

Wyprostowała się jak świeca i popatrzyła na mnie jak na siódmoklasistkę, która właśnie ją spytała, jak ma na imię.

– Dlaczego o to pytasz?

– Podobno kiedyś był w tobie trochę zadurzony.

– To było wieki temu. Wszystko już poszło w niepamięć.

Z tym był właśnie kłopot. Wieczór z Garym nauczył mnie, że nic nigdy nie idzie całkiem w niepamięć.

– Opowiedz mi o tym – zachęciłam.

Westchnęła.

– Rick zawsze był bardzo życzliwy. Naprawdę jest dobrym szefem zespołu. Bardzo bezpośrednim.

– Na pewno.

– No, wobec mnie nie był aż tak bezpośredni. Nie od razu. Z początku wysyłał mi krótkie liściki, cytaty z książek, które oboje lubiliśmy. Ella i ja śmiałyśmy się z tego. Potem, na początku tego roku, wybraliśmy się całym zespołem na kolację i tak się złożyło, że wracaliśmy razem z Rickiem do samochodów. Nagle po prostu rzucił się na mnie i zaczął mnie całować.

– Cholera jasna – powtórzyłam. Powiedziała to lekkim tonem, ale przecież chodziło o napaść na tle seksualnym.

– Oczywiście odepchnęłam go. Kazałam mu się uspokoić. – Usłyszałam teraz nauczycielkę. – Zakładałam, że jest pijany. Ale następnego dnia pojawił się pod moim domem. Wyznał, że się we mnie zakochał. „Zachorowałem na ciebie”, tak mi powiedział.

– Urocze wyrażenie.

– Też tak pomyślałam. Odparłam, że nie zamierzam mieć romansu z żonatym mężczyzną.

– Nie kusiło cię? – spytałam bezwiednie. – Jest całkiem przystojny.

– Nie. – Wyprostowała się jeszcze bardziej. – Nie kusiło mnie ani przez chwilę. Wydawało mi się, że Rick przyjął to do wiadomości, ale kilka dni później zobaczyłam go, jak siedział pod moim domem. Dziwnie to wyglądało. Po prostu siedział. Pomyślałam, że się zgubił albo jest w drodze dokądś, ale następnego dnia znowu tam był. I kolejnego.

– Prześladował cię. Jak stalker.

– Nie nazwałabym go tak. Ale zapowiedziałam mu, że to się musi skończyć. W końcu był szefem mojego zespołu przedmiotowego. Nie mógł się tak dalej zachowywać, ludzie zaczęliby gadać.

I tak wszyscy wiedzą, chciałam jej powiedzieć. Bo Gary jest typem osoby, do której plotki zawsze dochodzą najpóźniej.

– I skończyło się? – spytałam.

– Powiedzmy. Ciągle od czasu do czasu przysyła mi kartkę z jakąś gorzką sentencją z Shakespeare’a. *Bądź zdrowa, zbyt drogo jest cię posiadać*^[12]. Ale raczej tak, jesteśmy po prostu kolegami z pracy.

Pomyślałam o kartce, którą widziałam nad kominkiem, gdy pierwszy raz siedziałam w tym pokoju. Podpisanej R. Nie pamiętałam, co na niej było ani, niestety, jak wyglądał charakter pisma. Spojrzałam w stronę półki, ale nie zobaczyłam już tej kartki.

– Rozpoznałabyś jego charakter pisma? – spytałam.

– Myślę, że tak – odparła. – Dużo wiadomości dla nauczycieli pisze ręcznie. Uważa, że tak jest mniej oficjalnie.

– Mogę zobaczyć ten wpis w twoim dzienniku?

Podawała mi niebieski notatnik. Przebiegłam wzrokiem tekst – zdążyłam tylko zwrócić uwagę na to, że Ella spała z Rickiem, a potem dość szybko z nim zerwała – po czym skupiałam się na drobnym dopisku u dołu strony.

– To pismo Ricka?

– Nie sądzę – powiedziała Clare. – U niego litery są większe i bardziej powykęcane. A to pismo jest bardziej pochyle. I bardzo drobne.

Rzeczywiście było drobne, ale na tyle duże, by stwierdzić jedną rzecz.

Autor tego wpisu był tą samą osobą, która napisała wiadomość *Puste jest piekło* i zostawiła ją przy zwłokach Elli.

[12] Sonet 87 w przekładzie Macieja Słomczyńskiego.

Usłyszałem wrzask, który odbił się echem w korytarzach opuszczonego domu, i zdałem sobie sprawę, że to ja krzyczę. Mój przyjaciel Gudgeon leżał martwy u moich stóp. Kilka metrów dalej Wilberforce. Zbadałem im tętno, przyciskając palec do szyi, wiedziałem jednak, że nic już nie można zrobić. Jakaś istota napadła na tych ludzi niczym bestia z piekła rodem i ich zamordowała. Pierś Gudgeona czerwieniała od krwi w miejscach, gdzie wiele razy został ugodzony nożem. Miał szeroko rozłożone ręce i na jego dłoniach – och, co za potworna profanacja! – ujrzałem rany przypominające stygmaty Najświętszego Pana Naszego. Z początku przypuszczałem, że Wilberforce też został przebity sztyletem, ale gdy przyjrzałem mu się uważniej w migoczącym blasku świecy, przekonałem się, że został uduszony i ma na szyi zaciśniętą białą tkaninę, w której wyglądał nadzwyczaj upiornie. Jednakże nie uciekł przed nożem zabójcy. W jego piersi tkwiła rękojeść sztyletu.

Dygotałem, blask świecy tworzył na ścianie szalone kształty, a ja przez kilka minut stałem sparaliżowany ze strachu. Bo demon, który zamordował moich towarzyszy, z pewnością był gdzieś w pobliżu. Czy teraz rzuci się na mnie ze szkarłatnymi od krwi rękami i nożem?

Ale w zrujnowanym domu panował spokój. Nie słyszałem nic prócz chrobotu szczurów biegających piętro wyżej. Nagle dobiegł mnie krzyk z zewnątrz:

– Co tam się dzieje?! – Po chwili Collins, Bastian i ten trzeci wbiegli po schodach. Wciąż miałem w ręce świecę, więc najpierw zobaczyli moją śmiertelnie bladą twarz oświetloną widmowym blaskiem, a dopiero potem ich oczom ukazała się naprawdę przerażająca scena.

Na to, co stało się później, spuszczę zasłonę – nie, nie zasłonę, a grubą kurtynę. Chciałem poinformować o wszystkim władze kolegium, ale lord Bastian zwrócił mi uwagę, że wówczas wplączemy się w kłopoty, może nawet zostaniemy relegowani. Poza tym, mówił, gdyby wieść o tym się rozniosła, Piekielny Klub nie byłby zadowolony. Dwaj pozostali chyba bardzo liczyli się z tą opinią, a musi pan

pamiętać, że wszyscy byli ze starszych roczników. Krótko mówiąc, zostałem przekonany, że najlepiej będzie wycofać się z tego straszego domu i wrócić na uczelnię, jak gdyby nic się nie stało. Ciała oczywiście zostaną znalezione i odbędzie się dochodzenie, ale zaprzeczmy, że wiemy cokolwiek o tym, co się tam wydarzyło. Nigdy więcej nie będziemy mówić o tej nocy.

– Musimy przysiąc – rzekł Bastian, a potem ku mojemu przerażeniu ukląkł i jakby w makabryczny sposób naśladując niewiernego Tomasza badającego Pana Naszego, włożył palce do rany w dłoni Gudgeona. – Przysięgnijcie – rozkazał. – Przysięgnijcie na jego krew.

Wyobraża pan sobie tę scenę? Blask świecy, za murami wiatr przybiera na sile, a Bastian stoi z krwią Gudgeona na rękach. Musieliśmy chyba częściowo postradać zmysły, tylko tym mogę to wyjaśnić. Bastian przycisnął do naszych czoł unurzany we krwi kciuk jak ksiądz posypujący popiołem głowy wiernych. „Pamiętaj, prochem jesteś i w proch się obrócisz”.

– Przysięgam – mówiliśmy po kolei. – Przysięgam.

Co się działo potem? Och, młody człowieku, nie trzeba robić tak przestraszonej miny. Upływał czas, bo czas nigdy nie przestaje płynąć. Znalezione ciała. Policja prowadziła dochodzenie, ale mordercy nie odnaleziono. Nikt mnie nigdy nie pytał, co robiłem tamtej nocy. Prodziekan bardzo starał się mnie pocieszyć po śmierci przyjaciela, a ja zgodnie z prawdą mówiłem, że jestem załamany. Współczuł mi, ale podzielił się ze mną porażającym cytatem z Homera, którym bez wątplenia wspierał się stoicyzm. Cierp, serce, przecię nieraz gorsześ przecierpiało^[13]. I na tym się skończyło. Consummatum est.

Tak przynajmniej sądziłem.

[13] Fragment *Odysei* w przekładzie Lucjana Siemieńskiego.

CZEŚĆ TRZECIA

Georgia

Rozdział 16

Gdy odbieram Herberta z psiego ośrodka opieki, jest już prawie ciemno. Wracamy główną drogą, samochody mijają nas z warkotem, a w świetle ich reflektorów wirują liście. Herbert skomle i głęboko wciska się w krzaki na poboczu. Ten pies to mięczak. Kończy się na tym, że muszę go wziąć na ręce. Jest jeszcze mały, ale masywny i ciężki. Kiedy dochodzę do domu, czuję się wykończona. Może mama ma rację i powinnam się więcej ruszać. „Ćwiczenia uwalniają endorfiny, chronią nastolatki przed przygnębieniem i otyłością, sprzyjają zdrowemu trybowi życia i pozwalają znaleźć miejsce w drużynach sportowych na uniwersytecie, zamiast odurzać się do nieprzytomności narkotykami...” itd., itd., itd. To jeden z ulubionych wykładów mamy, zaraz po: „Będziesz żałować, jeżeli nie przyłożysz się do nauki przed egzaminami. Studia to najlepszy okres życia, ale pod warunkiem, że dostaniesz się na jeden z uniwersytetów Russell Group albo jeszcze lepiej do Oksfordu czy Cambridge. Nie studiowałam w Oksfordzie, ale nie cierpię z tego powodu...”.

W domu daję Herbertowi jeść i zapalam parę ulubionych świeczek. Nie przypuszczam, że przyjdą do nas jakieś dzieciaki w halloweenowych strojach, bo nasz dom stoi dość daleko od miasteczka, ale na wszelki wypadek kupiłam żelki Haribo. Mama to pies na słodycze, ale je tylko gorzką czekoladę z ziaren kakaowca zbieranych ręcznie przez Azteków. Jestem przekonana, że małe dzieci wolą raczej mainstreamowe słodkości. No więc zapalam świece, recytuję zaklęcie, którego nauczyła nas pani Hughes, i otwieram *Nieznajomego*.

Czytam go od czterech lat w każde Halloween. Mama o tym nie wie i chyba nie byłaby zadowolona, mimo że zawsze omawia to opowiadanie na tym swoim kursie. I głośno czyta je uczestnikom. Nie może zapalać świec ze względu na przepisy BHP, ale otwiera na laptopie apkę z kominkiem i w tle trzaska ogień. Na pewno jest strasznie jak cholera. Gdy byłam mała, uwielbiałam, jak mi czytała. Od książek z obrazkami i Noel Streatfeild przeszłyśmy do Agathy Christie i Georgette Heyer. *Devil's Club* do dzisiaj jest moją ulubioną książką, a Dominic moim idealnym bohaterem romantycznym. Zdradziłam to Tyowi i zachowywał się, jakby naprawdę był zazdrosny. „Przeczytaj, to zrozumiesz”, powiedziałam. Ale nie sądzę, żeby kiedykolwiek przeczytał coś z kryminalną na okładce. Dlaczego okładki Georgette Heyer są takie obciachowe? Tyle jest w jej powieściach niesamowitych wydarzeń – uprowadzenia, fałszywe tożsamości, szalone pościgi konne – a na oprawie niemal zawsze występuje kobieta w balowej sukni, która uśmiecha się słodziutko do jakiegoś faceta. Venetia też uwielbia GH, zresztą dostała imię na cześć jednej z jej książek.

– *Jeśli pan pozwoli – rzekł Nieznajomy – chciałbym opowiedzieć pewną historię. Przed nami przecież długa podróż, a sądząc po kolorze nieba, przez jakiś czas nie będziemy wychodzić z wagonu. Możemy więc sobie uprzyjemnić czas opowiadaniem, prawda? Doskonała rzecz na wieczór pod koniec października...*

To taki świetny początek. Moja książka ma trzy różne początki. Jeden z punktu widzenia głównego bohatera, drugi z perspektywy jego przeciwnika, a trzeci – wszechwiedzącego narratora, którego chciałam wypróbować. Wydaje mi się, że w pewnym sensie będę wiedziała, jak zacząć, dopiero wtedy, gdy skończę całość. Pani Hughes twierdzi, że większość pisarzy mogłaby wyrzucić pierwsze rozdziały i ich książki tylko by na tym zyskały. Ale z opowiadaniem takim jak *Nieznajomy* to zupełnie inna historia. Tam liczy się każde słowo.

Mama nie wie, że piszę książkę. Nie wie nawet o zajęciach z kreatywnego pisania. Myśli, że po prostu siedzę u Tash, oglądam z nią filmy dla dziewczynek i maluję paznokcie. Woli taką wersję, chociaż bez przerwy dręczy mnie kazaniem, bo dzięki temu wydaję się „normalną nastolatką”, cokolwiek to znaczy. Do tej

narracji pasuje nawet Ty, „nieodpowiedni chłopak”. Rodzice martwią się, że ich rozwód spowodował u mnie jakiś uraz. Dlatego właśnie posłali mnie do tej okropnej szkoły St Faith, kiedy się tu przeprowadziłyśmy. Tata nazwał to „środowiskiem ochronnym”. Chryste, chyba w takim sensie jak środowiskiem ochronnym może być więzienie Strangeways. Nie znosiłam tej budy. Nadętych dziewczyn, które gadały o swoich konikach, i zastanawiały się, czy ich tyłki wydają się duże w bryczesach (odpowiedź brzmiała: tak). I obsesyjnie myślały o chłopakach, bo prawie w ogóle nie widywały takich z krwi i kości. Kiedy przyszedł facet do mycia okien, wstydziłam się za nie, naprawdę.

Gdy przeniosłam się do Talgarth, wszystko się zmieniło. Zaczęło się od Elli – pani Elphick. Dlatego było mi tak smutno, kiedy umarła. Została zabita. Nie znoszę eufemizmów. Pani Elphick podobały się moje wypracowania i zaproponowała, żebym dołączyła do grupy kreatywnego pisania prowadzonej przez panią Hughes. Poznałam tam Tash, Patricka i Venetię. Moich najlepszych przyjaciół na świecie. Pani Hughes uczy w liceum, więc chodzimy tam w poniedziałki po lekcjach. Tash i Patrick są w Talgarth tak jak ja, ale Venetia – Vee – jest z St Faith. Twierdzi, że w St Faith mnie nie lubiła, ale pewnie dlatego, że starannie ukrywałam swoją prawdziwą aurę. Zresztą szczerze mówiąc, nie bardzo pamiętam Vee. Mówi, że nauczyła się być w szkole prawie niewidzialna, co trochę mnie dziwi, bo ma jasnorude włosy długości około metra. Natasha – Tash – jest moją „oficjalną” najlepszą przyjaciółką, uznawaną przez całą rodzinę i zaakceptowaną przez mamę z typowych, odrobinę snobistycznych powodów. Jej rodzice skończyli uniwersytet i każde jest specjalistą w swoim zawodzie. T. ładnie się wyraża i nosi kolczyki w standardowej liczbie. Mieszkają w pięknym domu i robią zakupy w Waitrose. Patricka rzadko widzujemy w szkole, bo gra w rugby i zadaje się z mięśniakami. Tash i ja rozmawiałyśmy o tym i chociaż obie uwielbiamy Patricka, nigdy nie mogłybyśmy z nim chodzić, bo to zniszczyłoby dobrą energię w grupie. Poza tym ma dziewczynę. Drobną i ładną Rosie.

Z początku nie mieliśmy pojęcia, że pani Hughes jest dobrą czarownicą. Wiedziałam tylko, że jest fantastyczną nauczycielką. Od razu słyszy, które słowa

brzmia dobrze, a które źle. Ale kiedy proponuje zmiany, robi to tak, żebyś nie czuła się jak idiotka. Inspiruje i zachęca, żebyś dała z siebie wszystko. Nie wygląda tak efektownie jak pani Elphick ani nawet mama. Jest dość przysadzista i ma długie siwe włosy, które upina w kok. Ma jednak cudowny głos, bardzo głęboki, z prawie niesłyszalnym walijskim akcentem. Pierwszą wskazówkę, że pani Hughes nie jest zwykłą ateistką czy anglikanką, dostaliśmy, gdy wspomniała, że jedzie na święta do Glastonbury.

– Stamtąd pochodzi pani rodzina? – spytała Tash. Wtedy zaczęliśmy już mieć lekką obsesję na punkcie pani Hughes.

– Mam tam siostry – wyjaśniła z uśmiechem.

Innym razem Venetia bała się, bo szła do szpitala na operację (urodziła się z dziurką w sercu; nic poważnego, ale robi z tego wielkie halo), i pani Hughes dała jej jakiś olej, żeby spryskała sobie nim poduszkę, a także obrazek z gapiącym się w księżyc zającem i napisem z tyłu: *Niech strzeże cię Bogini*. Vee mówiła, że od tego oleju miała wspaniałe sny.

Dowiedzieliśmy się dopiero pod koniec dziewiątej klasy, kiedy rozmawialiśmy o *Makbecie*. Patrick stwierdził, że sztuka sprawdziłaby się najlepiej w siedemnastym wieku, gdy ludzie bali się czarownic. Pani Hughes znowu uśmiechnęła się do siebie i powiedziała:

– Dzisiaj ludzie też boją się czarownic. Zawsze boimy się tego, czego nie rozumiemy. Tylko wyjątkowym osobom mówię, że jestem czarownicą. Zwykli ludzie nie umieliby tego pojąć.

Oczywiście z zachwytem usłyszeliśmy, że nie jesteśmy zwykli, ale wyjątkowi. Nie zdradziła nam zbyt wiele i na pewno nie próbowała nas nawracać jak ci ludzie, z którymi mama zawsze kłóci się w progę, kiedy przynoszą czasopismo, gdzie można przeczytać, że wszyscy pójdziemy do piekła, bo korzystamy ze smartfonów. Ale pani Hughes nauczyła nas różnych technik medytacyjnych i prostych śpiewów. Wytłumaczyła, jak wyznaczyć magiczny krąg ochronny i jak się uwolnić od dokuczliwych duchów. Dała też każdemu z nas czarny obsydian, który chroni przed

złymi mocami. Dlatego nie boję się siedzieć sama w Halloween i czytać opowiadania grozy. Wręcz przeciwnie, chcę się otworzyć na dusze, które bląkają się dzisiaj za oknami, i pomóc im, jeżeli będę umiała.

„Niespokojne dusze, nie lękajcie się. Zrzućcie ziemskie więzy i zwróćcie twarze ku światłu...”

Herbert zaczyna przeraźliwie szczekać. Słyszę, jak ktoś wchodzi po schodkach do wejścia. Trochę mnie to irytuje, ale przypominam sobie o żelkach i z serdecznym uśmiechem na twarzy podchodzę do drzwi.

– Witaj, piękna.

To nie halloweenowi przebierańcy. To Ty.

Jest w drodze do pubu, gdzie wieczorem zaczyna pracę, ale mówi, że nie chce, bym siedziała sama w Halloween.

– Zostanę, dopóki nie przyjdzie twoja mama.

Tłumię złość, bo ma dobre zamiary. Ty zawsze ma dobre zamiary. Przypomina dużego szczeniaka. Bóg jeden wie, dlaczego mama i tata widzą w nim Księcia Ciemności. Odkąd latem poznaliśmy się w klubie, gdy skorzystałam z fałszywego dokumentu i zalałam się w pestkę, próbował się mną opiekować.

– Nic nie wiesz o świecie – mówił mi z wyżyn swojego dwudziestojednoletniego doświadczenia. – To straszne miejsce.

Ale dzięki pani Hughes i grupie kreatywnego pisania przemierzam wzdłuż i wszerz ten i tamten świat. Niczego się nie boję.

Ty wchodzi i siada na kanapie, śmieje się ze świeczek i zjada garść żelków. Herbert warczy na niego z drugiego końca pokoju. Mogłabym przysiąc, że ten zwierzak jest chowańcem mamy. Przez niego Ty kicha, chociaż sierść pudła zwykle nie działa na alergików.

Bierze antologię opowiadań grozy i zaczyna czytać, ale wiem, że właściwa chwila na R.M. Hollanda już minęła. Włączam telewizor, a Ty obejmuje mnie ramieniem. I zaczynamy tradycyjny maraton czułości i zapasów. Nie zrozumcie mnie źle. Chciałabym uprawiać z nim seks. Jest przystojny i wie, co robi,

w odróżnieniu od chłopaków z naszej klasy. Ważne, żeby zaakceptować własną seksualność, mówi pani Hughes, bo to wielka siła. Ale Ty postanowił, że nie pójdzie ze mną do łóżka, dopóki w lutym nie skończę szesnastu lat. No więc odbywamy te męczące sesje, podczas których robimy prawie wszystko oprócz tego jednego. Ty ciągle przerywa, żeby jęknąć i utkwić wzrok w przestrzeni; nawet ja czuję się jak ciasno zwinięta sprężyna, która za chwilę eksploduje. Teraz mnie całuje, jedną rękę wsuwa mi za pasek, a drugą rozpina biustonosz. Nie myślę już o niczym konkretnym. W głowie wirują mi czerń i czerwień, a w tle brzęczą owady. Nagle rozlega się szczekanie Herberta.

Ty szybko się prostuje.

– To twoja mama? – Panicznie boi się mojej mamy. To strasznie zabawne.

– Za wcześnie. Musi zrobić próbę przedstawienia. Posłuchać, jak Świnka Peppa śpiewa o roślinach ludojadach.

Ty ma głupią minę. I nic dziwnego.

Ale Herbert merda ogonem i piszczy tak, jak to robi tylko na powitanie mamy. Wskakuje na oparcie kanapy i ujada mi prosto do ucha. Salon rozjaśniają światła samochodu. Zdmuchuję świece i zapalam górne światło. Ty szybko wciąga spodnie. Ja zapinam biustonosz i przełączam telewizor na *Przyjaciół*. Coś, co mogłaby oglądać normalna nastolatka.

Otwierają się drzwi, ale mama nie wchodzi do salonu. Pewnie widziała samochód i zorientowała się, że musi u nas być Ty. Pomyśli, że dokładnie tak to zaplanowałam, i to mnie złości. Potajemny wieczór z chłopakiem. A tymczasem przyświecał mi znacznie bardziej wzniosły i czysty cel.

Mama skręca do kuchni i idę za nią. Stoi w tym swoim rozkloszowanym czerwonym płaszczu i nalewa wino do kieliszka.

– Co się stało? – pytam. – Odwołali próbę?

Kiedy się odwraca, jestem w szoku. Wygląda okropnie. Zwykle jest blada, ale teraz jej twarz wygląda, jakby ktoś chlapnął na nią białą farbą. Tusz na rzęsach ma rozmazany, jakby płakała.

– Dobrze się czujesz?

Wypija łyk wina.

– Właśnie przeżyłam szok – mówi i próbuje się uśmiechnąć. – Jest Ty?

– Właśnie wychodzi – odpowiadam.

– Nie musi iść w tej chwili, ale później być może ktoś nas odwiedzi. Chyba będzie lepiej, żeby wtedy go nie było.

– Musi wyjść przed szóstą – uspokajam ją. – Ma dzisiaj zmianę w pubie.

Widzę, jak oddycha z ulgą. I wyraźnie chce, żebym też się usunęła, więc lituję się nad nią.

– Kiedy wyjdzie, pójdę odrabiać pracę domową, mam dużo zadane – dodaję.

Rozdział 17

Gość mamy pojawia się około dziesiątej. Kiedy wyglądam przez okno, widzę szary samochód, całkiem fajny, i wysiadającą z niego kobietę. Nie widzę jej twarzy, ale jestem prawie pewna, że to policjantka, która wczoraj była w szkole. Patrick musiał z nią rozmawiać, bo był w klasie pani Elphick, i mówił, że jest naprawdę straszna: wygląda, jakby dokładnie wiedziała, o czym myślisz, i nie robi to na niej żadnego wrażenia. Martwe dusze w starej cementowni robią dzisiaj swoje: widać migoczące światła, słyszać dziwne dźwięki, czuć takie napięcie elektryczne, że spodziewam się zobaczyć rozcinającą niebo błyskawicę. Policjantka coś wyczuwa; zatrzymuje się i patrzy w górę. Wyraźnie postanawia jednak nie słuchać wewnętrznego głosu, bo kręci głową i idzie dalej w stronę naszych drzwi.

Mama dziękuje jej, że przyjechała.

– Akurat byłam niedaleko – odpowiada policjantka, jak gdyby z góry chciała odrzucić przypuszczenia, że zrobiła to z życzliwości. Potem wchodzi do salonu i nic więcej nie słyszę. Po jakimś czasie na górę przychodzi Herbert i siada na moim łóżku. Pewnie znudziło go to gadanie o morderstwie. Strasznie chciałabym wiedzieć, o czym mówią. Nikt nie rozmawiał ze mną o Elli, chociaż dość dobrze ją znałam. Ciągle tu przychodziła. Ale jestem tylko dzieckiem. Co gorsza, jestem rozkapryszoną nastolatką. Nikt nie chce wysłuchać mojego zdania, ale to już ich strata.

Jedną ręką głaszczę Herberta, a drugą otwieram laptop. Naprawdę mam pracę domową do odrobienia, z historii i hiszpańskiego, ale w tym momencie muszę

zrobić coś ważniejszego: skończyć wpis w dzienniku. Prowadzenie go może być uciążliwym obowiązkiem, ale właśnie na tym to polega – trzeba to robić, czy masz na to ochotę, czy nie. Super ćwiczenie dla przyszłego pisarza, mówi pani Hughes. Tash, Venetia, Patrick i ja piszemy na MySecretDiary.com. Tak naprawdę to zależy od autora, czy dziennik jest sekretny, czy nie; wielu ludzi wrzuca tam publiczne wpisy (to znaczy w ramach witryny; mogą je czytać tylko zarejestrowani użytkownicy, nie cały internet). Czasem dzielę się fragmentami, ale tylko wtedy, gdy któryś szczególnie mi się podoba, co zresztą kłóci się z założeniem dziennika – to ma być dokumentacja codzienności, nie gotowy kawałek prozy. Mimo to szlifuję i wygładzam wpisy. Chyba dlatego, że piszę na laptopie; w ten sposób łatwo jest redagować. Nie wyobrażam sobie, jak pisałoby się dziennik ręcznie, wiedząc, że jest tylko jedna szansa wyrażenia myśli, że atrament na papierze zostanie na zawsze. Dzisiaj na pewno nikt nie prowadzi takich zapisków.

Loguję się. Moje hasło to Herbert17, trochę niebezpieczne, bo używam go wszędzie. Herbert udaje, że śpi, ale wiem, że mnie obserwuje. Przewijam wpisy z dzisiejszego wieczoru. Venetia coś wrzuciła, Patrick też. Widzę też wpisy LittleBeara, który mnie drażni, i CyberWolfa, który nawet mi się podoba.

Patrick znowu wypuścił się w świat fantazji, kiedy nie wiadomo, czy pisze on, czy Puma, jego alter ego. Nieszczególnie mnie to interesuje. Moim zdaniem prawdziwe życie zawsze jest mroczniejsze i bardziej skomplikowane niż fantazja. U Venetii jest za to zbyt dużo prawdziwego życia. Rzeczy typu *mama mnie nie rozumie... ten chłopak nie zwrócił na mnie uwagi... nikomu nie podoba się moje zdjęcie na Instagramie...* Rzecz w tym, że żadna z naszych matek nas nie rozumie, mają wrodzoną i uwarunkowaną socjologicznie niezdolność do rozumienia swoich dzieci. Venetia nie różni się od innych dziewczyn ze szkoły St Faith, które obsesyjnie myślą o chłopakach, chociaż raczej się ich boją. Zawsze pragnie kogoś, kogo widziała w autobusie albo kogo zna tylko z Facebooka. Powiedziałyby (słyszę jej głos tak wyraźnie, jakby jej ciało astralne szeptało mi do ucha): „Tobie to dobrze mówić, Georgie, ty masz chłopaka”. I pewnie jest w tym trochę prawdy. Ale te wszystkie Instagramy i Snapchaty są okropnie nudne. Mama i tata bardzo lubią

udawać, że jestem uzależniona od social mediów. Słyszę, jak rozmawiają ze znajomymi beztroskim tonem, który maskuje prawdziwe emocje: „Georgie wiecznie patrzy w telefon, pisze wiadomości, whatsappuje czy jak to się nazywa. W jej wieku grałem w hokej / rozwoziłem gazety / spotykałam się z koleżankami. A dzisiejsze nastolatki...”. I tak dalej, *ad infinitum*. Pozwalam im tak myśleć, bo to łatwiejsze (zresztą ich rozumowanie jest ciekawe: czytanie książki – dobrze; czytanie z ekranu – źle), ale tak naprawdę nie wrzucam postów na social media. Oczywiście używam czatu – nawet część naszych nauczycieli ma grupy na Messengerze – ale jedyną stroną, którą stale odwiedzam, jest MySecretDiary.

Zaczynam pisać: *W tym roku odwołano Halloween z powodu śmierci pani Elphick. Jak gdyby kostucha nie mogła zakłócać festiwalu kiczowatego blichtru, jakim stała się wigilia Wszystkich Świętych. Niektórzy w szkole nosili kapelusze czarownic albo wampirze zęby, ale dostało im się od nauczycieli, którzy nie otarli jeszcze łez po stracie pani E. Na geografii pan Carter o mało się nie rozplakał, kiedy ktoś zapytał go o pogrzeb. Podobno ma się odbyć w szkolnej kaplicy. To ostatnie miejsce, w którym życzyłabym sobie ostatniej posługi. Ale z drugiej strony w ogóle nie chcę kościelnego pogrzebu. Wolę, żeby rozrzucano mnie czterem żywiołom. Żeby ciało oddano ziemi, krew wodzie, oddech powietrzu, a duszę ogniowi.*

Przerywam. Zastanawiam się. Jeżeli mam to opublikować, powinnam na tym skończyć. Całkiem niezłe, zwłaszcza ten kawałek z kostuchą. Jeżeli jednak wspomnę o Tyu i mamie, dodam, że jest u nas teraz funkcjonariuszka policji, to wpis powinien pozostać prywatny. Pisałam tu już wcześniej o śmierci pani Elphick, ale nie chcę sugerować, że mama jest w tę sprawę jakoś zamieszana. Chcę to opublikować, pokazać Patrickowi i Venetii, że piszę, ale nigdy nie wiadomo, kto jeszcze ma konto w tym serwisie. Rodzice myślą, że tego nie rozumiemy, ale się mylą. Przełączam ustawienia na „prywatne”.

Dzisiaj coś się stało w szkole. Kiedy mama wróciła do domu, wyglądała, jakby zobaczyła ducha. Może naprawdę zobaczyła? Podobno w szkole straszy zjawa żony R.M. Hollanda. Nigdy jej nie widziałam, ale na pierwszym piętrze Starego Budynku

rzeczywiście panuje atmosfera grozy. Nikt nie lubi chodzić tam na lekcje. Nawet nie dlatego, że jest tam strasznie, ale raczej smutno. Czuje się smutek Alice Holland, jej rozpacz przed fatalnym upadkiem ze schodów. Wiem, że jest tam też Mariana; czasem czuję wyraźnie jej obecność. Szkoda, że mama nie pozwoliła mi zostać, kiedy spotkała się z Henrym Hamiltonem. Ale nie, musieli mnie powierzyć przyszczatemu Edmundowi. „Niech młodzi idą do młodych”. Oczywiście mama liczyła na to, że oczaruje mnie atmosfera Cambridge i przysięgnę starać się o najwyższe wyniki na egzaminach. Tylko że R.M. Holland interesuje mnie o wiele bardziej niż studia. Albo chłopcy.

Wieczorem przyszedł Ty. Myślał, że jest miły, że się troszczy. Nie chciałem, żebym była sama w Halloween, podczas gdy oczywiście niczego nie pragnęłam bardziej. I oczywiście pocałował mnie i znowu wszystko się zaczęło. Wolałabym, żebyśmy po prostu uprawiali seks i mieli to wreszcie z głowy. Tylko że Ty ma skrupuły. „Jesteś nieletnia”, powtarza. Ale wiek to przecież tylko liczba. Poza tym pani Hughes uważa, że być może w poprzednim wcieleniu byłam starą, mądrą kobietą (czyli czarownicą, ma się rozumieć). Tak czy inaczej, zanim zrobiło się zbyt gorąco, weszła mama. To śmieszne, ale Ty czuje przed nią wielki respekt, więc zniknął, gdy tylko wyjąkał do niej parę słów. Potem przygotowałam kolację, bo mama ciągle była za bardzo zdenerwowana. Powiedziała, że spodziewa się „gościa”, więc poszłam na górę „odrabiać pracę domową”. Gościem okazała się policjantka, która prowadzi śledztwo w sprawie zabójstwa pani Elphick. Dlaczego mama poprosiła ją, żeby do nas przyjechała? Ma jakieś dowody związane ze śmiercią Elli? Wiem, że się przyjaźniły. E. często tu przychodziła, piły wino i oglądały Taniec z gwiazdami (opium dla ludzi w średnim wieku). Coś się stało tego wieczoru? Tak jak w książkach, kiedy detektyw Poirot nagle „wie”, kto jest mordercą, ale nikomu nie powie, bo do przeczytania zostało jeszcze dobre sto stron? Mama mi nie powie i nie mogę nawet rozmawiać o tym w grupie, bo Patrick wyraźnie ciągle szaleje za panią E. Wiek to może tylko liczba, ale szesnastolatkom nie wolno wysyłać walentynek do nauczycieli. Mówiłam mu to wtedy. Ale ludzie często mnie nie słuchają.

Ich b1qd.

Rozdział 18

Pogrzeb pani Elphick jest w sobotę, ale mama każe mi włożyć szkolny uniform.

– Pan Sweetman chce, żeby uczniowie przyszli w mundurkach. W ten sposób będziecie się wyróżniać; uważa, że to się spodoba rodzicom Elli.

Pan Sweetman – dla mamy oczywiście Tony – zawsze zwraca uwagę na to, jak coś będzie wyglądać. Mimo to nie jest takim złym nauczycielem. Niektóre dziewczyny uważają go za ciacho, ale to śmieszne. Z wyglądu przypomina didżeja z Radia 2 BBC.

Mama w czarnej sukience i płaszczu wygląda naprawdę ładnie. Ja w bluzie i spódnicy w kratę – jak idiotka. Rano jest zimno, więc mam na sobie jeszcze kurtkę i czarną czapkę. Kiedy idziemy do samochodu, wyglądamy pewnie jak supermodelka z włóczką. Nie narzekam, bo po pierwsze, ćwiczę się, by nie myśleć o powierzchowności, a po drugie, mama wydaje się naprawdę mocno zestresowana. Przy śniadaniu była bliska płaczu, ale potem, gdy Herbert wskoczył na stół i wpakował nos do słoika marmite, wybuchnęła histerycznym śmiechem.

– Wyluzuj, mamó – rzuciłam, stawiając Herberta na podłodze. To jedna z moich firmowych odzywek „normalnej nastolatki”. Takich, na które rodzice przewracają oczami i mówią o wpływie Ameryki na dzisiejszą młodzież.

– Przepraszam. – Mama otarła oczy. – Jestem okropnie spięta. Po prostu boję się tego, co dzisiaj będzie.

– Żeby przez coś przebrnąć, trzeba przez to przebrnąć – powiedziałam, parafrazując jedno z powiedzeń pani Hughes.

– Czasem jesteś bardzo mądrym stworzonkiem – powiedziała mama i szybko mnie uściskała. – Wiesz?

W czasie jazdy mama dwa razy ostro hamuje, żeby nie przejechać urojonych lisów, a raz dlatego, że tuż przed nami bardzo nisko przelatuje drapieżny ptak, prawie szorując skrzydłami po przedniej szybie. To musi być znak. Nie jestem tylko pewna, jak go odczytać.

Kiedy przyjeżdżamy na miejsce, na parkingu stoi już mnóstwo samochodów. Dziwne wrażenie robi na mnie widok dwóch woźnych stojących przy głównych schodach w garniturach i pod czarnymi krawatami. Mama przystaje, żeby zamienić parę słów z Dętym Dave'em, starszym z nich. Gdy ruszamy dalej, Dave puszcza do mnie oko. Ignoruję go.

Do kaplicy chodzimy tylko na specjalne apele albo na koncerty. Zwykle jest zamknięta. Nie gram na żadnym instrumencie, a w chórze przestałam śpiewać w dziewiątej klasie, więc nie byłam tam całe wieki. Dziwię się dzisiaj, jaka jest wielka i ile osób może pomieścić. Główna nawa i stalle są prawie pełne. Na ołtarzu stoją białe kwiaty. Wnętrze wypełnia zapach lilii, mięsistych i dziwnie nieprzyzwoitych. Dwa pierwsze rzędy są puste, prawdopodobnie zarezerwowane dla rodziny pani Elphick. Mama siada dwa rzędy dalej. Przed sobą mamy pana Lewisa, a obok niego jakąś grubą kobietę – domyślam się, że to jego żona. Widzę wielu nauczycieli. Jest pani Francis, zastępczyni dyrektora. Pani Palmer, moja nauczycielka angielskiego. Pan Carter, który uczy geografii. Nigdzie nie widzę pana Sweetmana, ale może czeka na rodzinę. Wyciągam szyję, rozglądam się i wreszcie dostrzegam z tyłu głowę okoloną siwymi warkoczykami. Pani Hughes uśmiecha się do mnie, a ja odwzajemniam się uśmiechem. Siedzą z nią Patrick i Venetia, ale nie mogę zostawić mamy. Po chwili siada obok nas Tash ze swoją mamą, więc jest okay.

Słysząc jakiś ruch z tyłu kościoła i domyślamy się, że wnoszą trumnę. Jeszcze nigdy nie byłam na pogrzebie. Raz byłam na ślubie, gdy tata żenił się z Fleur, ale

odbywało się to w urzędzie stanu cywilnego. Nie mieli nawet druhen. Mimo to Fleur chciała, żebym dostała jakąś rolę – to było naprawdę miłe z jej strony – więc włożyłam sukienkę od Laury Ashley i ściszałam bukiet kwiatów. Miałam dwanaście lat i czułam się jak stuprocentowa idiotka. Z oczywistych powodów mamy na tej uroczystości nie było, więc siedziałam obok babci – mamy taty – a ta ciągle głaskała mnie po głowie i wzdychała. Wtedy jeszcze nie akceptowała Fleur, ale trochę zmieniła zdanie, gdy nowa synowa szybko urodziła dwoje dzieci i jedno z nich było chłopcem.

Pogrzeb w makabryczny sposób trochę przypomina ślub. Mężczyźni wnoszą trumnę środkowym przejściem między ławkami, a ludzie idą za nią jak orszak druhen i družbów. To musi być rodzina pani Elphick, siwy mężczyzna i kobieta, którzy mocno trzymają się za ręce, i dwoje starszych ludzi. Dziadkowie pani Elphick? To musi być takie okropne, gdy ktoś przeżywa własne wnuki. Idzie jeszcze jedna para w średnim wieku, a na końcu pan Sweetman, który wygląda, jakby ćwiczył zatroskaną minę przed lustrem.

To szokująca myśl, że w tej skrzyni leży ciało pani Elphick. Właściwie to nie jest skrzynia, tylko bardzo ładna wiklinowa trumna z wplecionymi kwiatami. Gdy ludzie wstają, żeby odczytać albo powiedzieć parę słów, muszą przechodzić tuż obok niej, kilka metrów od martwego ciała, zwłok. Wszystkie słowa związane ze śmiercią są straszne. Ale pani Hughes mówi, że śmierć nie jest straszna – to tylko przejście z jednego stanu w drugi.

Pan Sweetman czyta coś z Biblii, trochę za bardzo starając się, żeby brzmiało to szczerze. Słowa są jednak piękne. *Ja jestem zmartwychwstaniem i życiem, mówi Pan.* Następny jest ktoś z rodziny z wierszem: *Nie stój nad mym grobem i nie roń łez... nie ma mnie tam, nie zasnąłam też*^[14]. Moim zdaniem to mniej udane. Powinniśmy ronić łzy, a ona umarła. Te wszystkie wymijające sformułowania: odeszła, zasnęła w Panu, jest już bezpieczna w domu Ojca. Zawsze o tym myślę, kiedy odwiedzam stare cmentarze (ulubiona rozrywka mamy). *Joe Bloggs. Zasnął w Panu 10 maja 1884 roku.* W takim razie po cholere zakopaliście go w ziemi?

Chór śpiewa dość nierówno kilka psalmów, wszystkie partie solowe wykonuje pani Rossetti. Organy brzmią słabo, jak blaszana zabawka. To elektryczny instrument, bo nikt nie gra już na oryginalnych organach, które mają malowane boki i piszczałki aż do sufitu. Kaplicę dobudowano już po śmierci R.M. Hollanda, kiedy było tu prywatne liceum. Jest trochę secesyjna, z witrażami, które przedstawiają lilie i rycerzy. Właściwie nie sprawia wrażenia starej, nie ma w sobie głębi.

Pastor mówi o pani Elphick:

– Oddana swojej pracy nauczycielka, która inspirowała wielu młodych ludzi.

Nie wydaje mi się, żeby ją dobrze znał. Jej rodzice nie zabierają głosu. Potem rozbrzmiewa jeszcze jeden psalm i mężczyźni w czerni dźwigają wiklinową trumnę na ramiona. Rodzina pani Elphick rusza za nimi.

– Sam pochówek będzie prywatny – mówi mama do matki Tash.

Pochówek, jeszcze jeden eufemizm. Zakopią ją w ziemi. Zerkamy na siebie z Tash i przemykamy obok naszych matek, które rozmawiają teraz z panem Lewisem i jego żoną. W starej jadalni będzie poczęstunek, więc mamy szansę dostać się do pani Hughes i reszty grupy.

Gdy idziemy środkiem w stronę wyjścia z kaplicy, widzę stojącą z tyłu policjantkę. Towarzyszy jej mężczyzna, który był z nią w szkole, siwy i o minie kogoś dość nierozgarniętego. Kiedy ich mijam, ze zdziwieniem słyszę głos policjantki:

– Na pewno jesteś Georgia Cassidy.

– Georgia Newton – poprawiam. Nie podoba mi się patriarchalny zwyczaj przejmowania nazwiska ojca, ale drażni mnie, gdy ludzie zakładają, że noszę nazwisko mamy.

– Jestem detektyw sierżant Kaur, a to detektyw sierżant Winston.

– Dzień dobry – mówię trochę zmieszana. Widzę, jak w tłumie znikają warkoczyki pani Hughes.

– Dużo o tobie słyszałam – rzuca sierżant Kaur. Jest drobna, ma ciemną cerę i ciemne włosy do ramion. Właściwie nie jest piękna, ale przyciąga wzrok. Ma głęboko osadzone oczy, a wokół nich cienie. Wygląda na kogoś, kto nie spocznie, dopóki nie odnajdzie mordercy. A tak się składa, że właśnie go poszukuje.

– Pani Elphick cię uczyła? – pyta sierżant Winston.

– W dziesiątej klasie – odpowiadam. – Przepraszam, ale muszę dogonić swoją grupę. – Nie chcę stracić okazji, żeby porozmawiać z panią Hughes.

Spotykamy się przed jadalnią. Ludzie stoją już w kolejce do jedzenia i napojów. Jest dopiero południe, to naprawdę nieprzyzwoite. Nigdzie nie widzę mamy.

– To była farsa – ocenia Patrick.

– Powinni oddać jej ciało żywiolom – dorzuca Venetia.

– Niektóre pieśni nawet mi się podobały – mówi życzliwie pani Hughes. – Zwłaszcza *Amazing Grace*.

– Dzięki pani Rossetti – mówię. – Moim zdaniem chór śpiewał dość słabo.

– Pani Elphick nie chciałaby takiej uroczystości – stwierdza Tash. – Była bardzo uduchowioną osobą.

– To prawda – przyznaje pani Hughes. Oczywiście dobrze znała panią Elphick; przyjaźniły się. Nic dziwnego, że dzisiaj jest taka posępna.

– Powinniśmy sami odprawić dla niej ceremonię – mówię. – Może w przesilenie zimowe.

– Świetny pomysł, Georgio. – Pani Hughes kładzie mi dłonie na rękach i czuję, jak przez moje żyły przepływa energia.

– Tak przecież mówiłam – burczy Venetia. Zazdrości mi relacji z panią H.

Podchodzi nauczyciel, żeby porozmawiać z panią Hughes, więc Tash i Venetia przenoszą się bliżej jedzenia. Patrick łapie mnie za ramię.

– Georgie, możemy pogadać? Na osobności.

– Okay – zgadzam się. – Chodźmy na górę.

Nie rozwieszono żadnych informacji, ale wiemy, że wstęp do pozostałych części szkoły jest dzisiaj wzbroniony. Woźni ciągle wprowadzają ludzi do sali, więc

nikt nie widzi, jak wbiegamy po schodach w głębi korytarza. Idziemy na pierwsze piętro. Do apartamentów R.M. Hollanda. Tu krąży inna energia. Można się przenieść do innego świata, innych czasów. Nie tylko przez dywany i porządne żyrandole. Chodzi o coś głębszego. Mogę sobie wyobrazić R.M. Hollanda z piórem w dłoni albo Alice płynącą korytarzem jak lady Makbet, trzymającą wysoko świecę.

Patrick raczej nie zwraca uwagi na atmosferę. Idzie szybkim krokiem, sprawdza klamki w mijanych drzwiach. Nie ma na sobie mundurka. Włożył ciemny garnitur i z tyłu wygląda jak ktoś obcy.

– Wszystkie zamknięte – informuje mnie.

Nie jestem pewna, czy to prawda. Chyba kiedyś słyszałam od mamy, że większość kluczy zginęła.

Dochodzimy do krętych schodów prowadzących do gabinetu Hollanda. Byłam tam kiedyś z mamą i pamiętam, co mówiła o odciskach stóp na dywanie. Nagle ogarnia mnie wrażenie, że bardzo niedaleko jest duch Alice.

– Chodźmy na górę – proponuje Patrick.

– Przecież jest zamknięte – mówię.

– Nie, nie jest. Dęty Dave zawsze zapomina.

Nie chcę wchodzić do gabinetu z Patrickiem. Wprawdzie jesteśmy jak rodzeństwo, ale z jakiegoś powodu nie chcę zostawać z nim sama. Wygląda dzisiaj bardzo dorośle, jest przystojny, ale też trochę groźny. Poza tym moja dusza drobiazgowej formalistki nie chce, żeby ktoś nakrył mnie na strychu z Patrickiem O’Learym. Już sobie wyobrażam, co powiedziałyby mama. Pewnie kazałyby mi połknąć pigułkę „dzień po”.

Ale Patrick wchodzi po schodach. Idę za nim, ostrożnie stawiając stopy na odcisniętych śladach. Kiedy stoję na ostatnim stopniu i wchodzę do gabinetu, serce mi zamiera. Na krześle Hollanda siedzi jakiś człowiek z rękami wyciągniętymi przed siebie jak zombie. Przez chwilę myślę: to on, przyszedł po mnie. Jak ten człowiek w *Nieznajomym*. Cofam się, ale powstrzymuje mnie śmiech Patricka.

– Podoba ci się moja kukła?

– Co? – Czar pryska. – Ty go tutaj posadziłeś? Po co?

Patrick wzrusza ramionami. Nie widzę jego twarzy, która jest w cieniu, ale jego głos brzmi szorstko i nieprzyjemnie. Takim tonem rozmawia z kumplami z drużyny rugby.

– Dla kawału. Weszliśmy tu w kilku w Halloween. To manekin z działu odzieżowego w domu towarowym.

– Skąd wzięłeś te ubrania?

– Zostały po *Oliverze*. – Po przedstawieniu, które w zeszłym roku przygotowała pani Elphick. – To chyba pan Pickwick czy ktoś taki.

Nie poprawiam go. Myślę: właśnie to musiała zobaczyć mama wieczorem w Halloween. Dlatego wróciła wcześniej i w takim stanie. Przez chwilę prawie nienawidzę Patricka.

– Georgie – odzywa się zupełnie innym tonem. – Muszę z tobą pogadać. – Siada na stojącym w rogu małym szezlongu i klepie w obite aksamitem siedzisko obok siebie. Po krótkim wahaniu korzystam z zaproszenia.

– O czym chcesz rozmawiać? – pytam. Staram się powstrzymać od zerkania na zdjęcia na ścianie i biurku. Odkąd byłam tu ostatni raz, minęły wieki i żałuję, że nie mam czasu się tym nacieszyć. Ale Patrick gwałtownie sprowadza mnie na ziemię.

– Jest tu policja.

– Wiem – mówię. – Właśnie rozmawiała ze mną ta policjantka, sierżant Kaur.

– Co powiedziała?

– Niewiele. Jej kolega pytał, czy pani Elphick mnie uczyła.

Patrick przeciąga dłonią po włosach.

– Georgie, myślę, że mnie podejrzewają.

Patrzę na niego nieruchomym wzrokiem.

– Dlaczego mieliby cię podejrzewać?

– Dowiedzieli się o tamtej walentynie. Pytali mnie, co robiłem wieczorem w dniu, kiedy pani Elphick zginęła.

– A co robiłeś?

Przez sekundę nie odpowiada, a potem ukrywa twarz w dłoniach i mówi:

– Poszedłem do jej domu.

– Co?! – Mam wielką nadzieję, że się przesłyszałam.

Unosi wzrok i teraz wygląda młodziej, na znacznie mniej niż szesnaście lat. Przypomina mojego braciszka Tigera, który nie skończył jeszcze trzech lat.

– Poszedłem do domu pani Elphick. Chciałem się z nią zobaczyć. Byłem zły. Nie powinna mówić o tej kartce Lewisowi. Potem już wszyscy w klasie wiedzieli. Musiałem przejść do innej. Udawałem, że nic mnie to nie obchodziło, ale byłem... zły.

Rozumiem go. Wtedy zareagował lekceważąco, ale sytuacja musiała być dla niego krępująca – jeden z najbardziej cool chłopaków w szkole zakochany w nauczycielce.

– Dlaczego teraz? – dziwię się. – Przecież walentynki były wieki temu. – Dostałam dwie kartki: jedną od chłopaka, z którym chodzę na hiszpański, i drugą niewiadomego pochodzenia. Wtedy jeszcze nie znałam Tya, bo on na pewno postarałby się o coś czerwonego i błyszczącego, z motywem zwierząt w ubrankach.

– Pani Hughes mi kazała – wyjaśnia Patrick. – Powiedziała, że niewyjaśnione emocje krępują mój duchowy rozwój. I że muszę to naprawić.

Natychmiast ogarnia mnie zazdrość. Patrick chodzi na prywatne spotkania z panią Hughes. Próbuję zwalczyć to uczucie. Zazdrość jest wyłącznie negatywną emocją.

– I spotkałeś się z panią Elphick?

– Nie. Pukałem do drzwi, ale nikt nie otwierał. Stałem i czekałem. Byłem w cieniu pod kościołem, więc nikt mnie nie widział. Ale ja go widziałem. Widziałem, jak wychodził z jej domu.

– Kto?

– Lewis.

[14] Fragment elegii Mary Elizabeth Frye, w przekładzie Stanisława Barańczaka.

Rozdział 19

Patrick prosi mnie, żebym nikomu nie mówiła. Zwierza mi się, bo się martwi, że nie ma dobrego alibi na wieczór, gdy pani Elphick została zamordowana. Powiedział detektywom, że grał na komputerze w *Call of Duty* (klasyczne zajęcie „normalnego nastolatka”), ale tak naprawdę pisał w MySecretDiary. Siedział w domu sam, bo rodzice byli na imprezie (prowadzą bujne życie towarzyskie i wiem, że mojej mamie nie bardzo się to podoba), a starszy brat wyszedł gdzieś z dziewczyną.

– Źle to wygląda – powtarza Patrick. – A jeżeli ktoś widział mnie pod jej domem?

– Powinniśmy powiedzieć policji o panu Lewisie. Przecież może być zabójcą.

To brzmi niedorzecznie już w momencie, gdy to wypowiadam. Pan Lewis jest nauczycielem; solidnym, czasami nudnym, który ma zwyczaj mówić rzeczy w rodzaju „a teraz zabawna ciekawostka z życia Johna Steinbecka”. Niemożliwe, żeby był mordercą, człowiekiem, który chodzi w masce i nosi ociekający krwią sztylet. „Szkarłatny od krwi”, jak powiedzieliby Makbet i R.M. Holland. Pan Lewis chwilę temu siedział przed nami w kaplicy, obejmując ramieniem żonę i od czasu do czasu ocierając oczy. Wyglądał na przygnębionego, ale nie na dręczonego wyrzutami sumienia. Gdyby zabił panią Elphick, na pewno ruszyłoby go sumienie, prawda?

– Nie! – mówi Patrick. I łapie mnie za ramię, znowu z miną dorosłego. Chyba jest bardzo silny. Codziennie ćwiczy i gra w rugby. Mógłby mnie obezwładnić

w ułamku sekundy. Zaraz jednak wraca mi rozsądek. Przecież to Patrick, mój przyjaciel, prawie brat, jeden z grupy. Nie zrobiłby mi krzywdy. Martwi się i potrzebuje mojej pomocy. – Nie wolno ci nikomu powiedzieć – upiera się. – Dowiedzą się, że byłem tam, i pomyślą, że ją zabiłem. Wyobrażasz sobie tytuły w gazetach? NIEZRÓWNOWAŻONY NASTOLATEK ZABIJA NAUCZYCIELKĘ, KTÓRA DAŁA MU KOSZA. „Według kolegów Patrick O’Leary był samotnikiem i lubił grać w gry wojenne na komputerze”.

Wbrew sobie wybucham śmiechem.

– „Nauczycielkę blondynkę” – uzupełniam. – Na pewno wspomnieliby o kolorze jej włosów, może nawet o rozmiarze biustonosza.

Patrick nie śmieje się i nie puszcza mojego ramienia.

– Przyrzeknij, że nikomu nie powiesz.

– Przyrzekam.

Puszcza mnie.

– Przysięgnij na krąg.

Przysięga na krąg oznacza powołanie się na siłę naszej grupy – naszego sabatu, że się tak wyrażę. Jeżeli złamię przyrzeczenie, ucierpimy wszyscy.

– Przysięgam na krąg – mówię, wzdychając.

Patrick wstaje i próbuje się uśmiechnąć, jakby to był jakiś kawał, wygłup rugbyistów.

– Lepiej zejdźmy na dół – rzuca. – Jeszcze pomyślą, że coś knujemy.

Knujemy. Dziwne słowo. Trochę staroświeckie, ale też trochę złowrogie.

– Idź pierwszy. – Też staram się mówić nonszalanckim tonem. – Lepiej, żeby nie widzieli nas razem.

Słucham ciężkich kroków Patricka oddalających się po krętych schodach. Jestem sama w gabinecie Hollanda, tak jak zawsze chciałam. Rozglądam się. Są tu dwa okna: jedno w dziwnym kształcie koniczyny z witrażowym kwiatkiem pośrodku – to chyba mak – a drugie normalne, pochyłe jak na poddaszach. Stoi pod nim biurko Hollanda z rzeźbionym krzesłem, które w tym momencie zajmuje

manekin. Na ścianach jest czerwona tapeta w bledsze paski, trochę wyblakła, ale koloru prawie nie widać, bo dwie ściany zajmują regały aż do sufitu, a na dwóch pozostałych wiszą dagerotypy w ramkach. W rogu stoi szezlong, na którym siedzieliśmy z Patrickiem. Jest jeszcze mały kominek z żelaznym paleniskiem, zlokalizowany chyba w samym środku domu. Rozżarzone czerwone serce pod okapem.

Powinam zejść na dół, jeść kiełbaski w cieście i przyciszonym głosem rozmawiać o pani Elphick. Ale chcę tu spędzić jeszcze kilka chwil. Czuję się, jakby R.M. Holland chronił mnie przed tym, co czeka na parterze: sekretami, groźbami i samą śmiercią. Wstaję i patrzę na dagerotypy na ścianie. Większość przedstawia brodatych mężczyzn i kobiety w sukniach z krynolinami. Jest kilka z uniwersytetu: jeden, zatytułowany *Peterhouse*, ukazuje tłum studentów w togach przed college'em, który bardzo przypomina St Jude, na drugim natomiast jest czterech młodych ludzi z karabinami. *Klub małego kalibru Peterhouse*, brzmi odręczny podpis. Ciekawe, czy już wtedy ludzie robili sobie żarty z rozmiarów broni.

Tylko na dwóch zdjęciach Holland występuje sam. Jedno pokazuje go w tym pokoju, gdy siedzi na krześle zajmowanym dzisiaj przez tę makabryczną kukłę i udaje, że pisze. Na drugim jest na leżaku na trawniku, na którym dzisiaj jest boisko do netballu. Wygląda na zrelaksowanego, siedzi z wyciągniętymi przed siebie nogami, ma kapelusz panama i unosi dłoń w stronę fotografa. Patrzę na podpis. *Z Marianą*.

Na zdjęciu nie ma jednak nikogo poza nim.

Udaje mi się niepostrzeżenie wejść do jadalni. Mama rozmawia ze swoją przyjaciółką Debrą; obie na przemian ocierają oczy i wybuchają śmiechem, więc przypuszczam, że mówią o pani Elphick. Tash i Vee gadają z dziewczynami z mojego rocznika. Nie ma tu zbyt wielu uczniów i oprócz Vee, która chodzi do innej szkoły i w ogóle nie nosi mundurka, w niebieskich bluzach wszyscy wyglądamy na trochę skrępowanych. Nigdzie nie widzę Patricka. Podchodzę do

grupy. Jedna z dziewczyn, Isla Bates, płacze, ale kiedy wachluje dłonią oczy, żeby osuszyć nieistniejące łzy, widać, że tak naprawdę udaje.

– No, to po prostu strasznie smutne – mówi. – Uwielbiałam panią Elphick.

– Smutne – przytakuje Tash, głaszcząc ją po plecach i zezując na mnie.

– Podobno morderca ciągle jest na wolności – dorzuca koleżanka Isli, Paige.

Oczywiście, że zabójca ciągle jest na wolności, mam ochotę powiedzieć. Nie trzeba być geniuszem zbrodni, żeby się tego domyślić.

Zamiast tego mówię jednak:

– Detektywi byli na pogrzebie. Ci, którzy prowadzą śledztwo.

Isla tłumi okrzyk.

– Gdzie?

– Pracują pod przykryciem – wyjaśniam z kamienną twarzą. – Żeby nikt nie mógł ich zauważyć.

– Mogą być w tym pokoju – wtóruje mi Vee. – Zresztą morderca też może tu być.

– Boże... – Isla ściska ją kurczowo. – Serio...? Nawet tak nie mów.

Nie mogę się powstrzymać, żeby nie zerkać w stronę pana Lewisa, który stoi obok pana Sweetmana. Rozmawiają z przejęciem, z pochylonymi głowami. Lewis wygląda jak zawsze – wysoki, trochę niechlujny, raczej doświadczony przez życie. Niemożliwe, żeby był zabójcą. A może...?

– Widziałaś żonę Sweetmana? – pyta Paige. – Tam, w tym czarnym kostiumie. Rozmawia z panią Palmer.

Patrzę w tę stronę i widzę szczupłą blondynkę w świetnie skrojonych spodniach. Właśnie taką żonę wybrałabym dla naszego dyrektora: atrakcyjną, lecz surową. Ma jasną, ale słabą aurę, jak odbicie blasku słońca w płytkiej wodzie. Dla pani Palmer, która jest naprawdę urocza, rozmowa z nią jest wyraźnie trudnym zadaniem.

– Naprawdę ładna – ocenia Isla. – Szkoda. – Isla jest jedną z tych dziewczyn, które nie kryją, jak bardzo podoba im się Sweetman.

– Jest prawniczką – mówię. Chyba słyszałam to od mamy.

– Mają dwójkę ślicznych dzieci – wtrąca Paige. – Moja koleżanka czasem się nimi opiekuje.

– No coś ty – mówi Isla takim tonem, jakby to była najbardziej zdumiewająca wiadomość na świecie.

Tash zwraca na siebie moją uwagę.

– Musimy się z kimś spotkać – mówi i łapie mnie za ramię. Vee rusza za nami i przeciskamy się przez tłum (ciągle jest tu masa ludzi, chociaż nigdzie nie widzę rodziny pani Elphick) w stronę pani Hughes. Stoi sama przy stole z napojami. Ale nie wygląda na skrepowaną ani osamotnioną; uśmiecha się łagodnie, jak gdyby do własnych dobrych myśli.

– Hej, dziewczyny – wita nas. – Smakują wam mięsiwa na stypę?

Pani Hughes jest weganką.

– To chyba z *Hamleta*, prawda? – domyślam się. – Było coś o mięsiwach pieczonych na stypę.

– Brawo – chwali mnie pani Hughes. – *Mięsiwa pieczone na stypę mogły ozdobić na zimno stoły weselne*^[15]. To o ślubie Gertrudy, która zbyt szybko po śmierci męża ponownie wychodzi za mąż.

Widzę, że Vee nie ma do tego cierpliwości. Nie znosi, gdy odgaduję cytaty.

– Proszę pani, jak pani sądzi, kto zabił panią Elphick? – zmienia temat.

Pani Hughes patrzy na nią nieruchomo bardzo niebieskimi oczami.

– Takiego pytania nie powinniśmy zadawać – odpowiada.

– A jakie powinniśmy zadawać? – pyta Tash.

– Czy duch Elli wciąż jest z nami – wyjaśnia pani Hughes. – Albo czy trzeba jej pomóc odnaleźć drogę do światła.

– Rozmawiałaś z tą dziwną kobietą z liceum? – pyta mama w drodze do domu. – Jak ona się nazywa? Bryony jakaś tam. A, pamiętam, Bryony Hughes. Skąd ją znasz?

– Uczyła kiedyś Venetię – mówię.

– Wygląda na dziwaczkę – stwierdza mama. – Ella mówiła, że to czarownica.

Obie milczymy przez kilka minut. Wiem, że mama myśli o Elli, i zastanawiam się, ile ta wiedziała o zdolnościach pani Hughes. Dla niej to pewnie był po prostu żart, tak jak dla mamy. Odkąd wyszliśmy ze szkoły, mama jest w dziwnym nastroju, zdradza nawet coś w rodzaju objawów psychozy maniakalno-depresyjnej. Śmieje się z okropnych śpiewów w kaplicy, a chwilę później ociera łzy i samochód zjeżdża na przeciwległy pas ruchu. Nie mogę się doczekać, gdy będę miała siedemnaście lat i sama usiądę za kierownicą.

– Widziałam, że rozmawiasz z Patrickiem O’Learym – mówi mama.

Dochodzę do wniosku, że najlepszą odpowiedzią będzie cisza. Patrzę na przesuwane się za oknem szare zimowe pola i łąki; wyglądają jak miękkie futro.

– To twój kolega? – pyta po dłuższej chwili.

Wzruszam ramionami (jak powinny robić nastolatki).

– Trudno nie zauważyć, że niezłe z niego ciacho. – Ta próba nawiązania porozumienia wypada naprawdę okropnie.

Nie odzywam się.

– Łobuziaki zawsze są atrakcyjne.

Boże drogi. Przerwij to. Żebyśmy się już dłużej nie dręczyły, mówię:

– Nie znam go za dobrze. Wydaje się trochę nudny. Wiesz, gra w rugby i tak dalej.

Widzę, że mama się odpręża. Opuszcza ramiona, rozluźnia palce zaciśnięte na kierownicy.

– Wolisz Tya czy Patricka? – Nie mogę się powstrzymać, by trochę jej nie dokuczyć.

– To nie tak, że nie lubię Tya – odpowiada. – Jest miłym chłopakiem. Mężczyzną. Wydaje mi się po prostu, że jest dla ciebie trochę za stary.

– Wolałabyś, żebyś chodziła z Patrickiem?

Posyła mi przelotne spojrzenie.

– A proponował ci to?

– Nie. Wyluzuj, mamo. – Wyrażenie z języka nastolatków wyraźnie ją uspokaja. Jedziemy do domu w milczeniu, które można uznać za przyjazne.

[15] William Shakespeare, *Hamlet*, akt I, scena 2, przekład Macieja Słomczyńskiego.

Proszę posłuchać, jak wyje wiatr. Wydaje się, jakby kołysał pociągiem, prawda? Jesteśmy tu jednak bezpieczni. Wagonów nie łączą przecież drzwi. Nikt nie może wejść ani wyjść. Jeszcze kropelkę brandy?

Co się stało potem? Otóż prozaiczna prawda jest taka: właściwie nic szczególnego. Rodzice Gudgeona zabrali jego ciało i został pochowany w rodzinnym Gloucestershire. Nie uczestniczyłem w pogrzebie. Nie wiem, co się stało z Wilberforce'em. Jak już wspominałem, policja nie odnalazła mordercy. Rok później ruiny tamtego domu zostały zburzone. Kontynuowałem studia. Stałem się samotnikiem i chyba zdziwaczałem. Gdy przechodziłem dziedzińcem albo siadałem w jadalni, studenci obrzucali mnie osobliwymi spojrzeniami. „To on”, usłyszałem kiedyś czyjś szept. „To tamten”. Przypuszczam, że stałem się „tamnym” dla większości osób w Peterhouse, być może nawet dla samego siebie.

Rzadko widywałem Bastiana i Collinsa. Zostałem oficjalnie przyjęty do Piekelnego Klubu, nie uczestniczyłem jednak w ich spotkaniach ani w niesławnym Krwawym Balu, który urządzali raz do roku. Większość czasu spędzałem w swoich pokojach albo w bibliotece. Jedyne studentami, z jakimi utrzymywałem kontakty, byli członkowie klubu strzeleckiego. Przynajmniej w ich towarzystwie udawało mi się spędzić parę godzin w miłej koleżeńskiej atmosferze.

Ukończyłem studia z najwyższą notą, co dało mi ogromną satysfakcję. Doszły mnie słuchy, że lord Bastian został relegowany, a Collins nie uzyskał dyplomu. Byli jednak w innych kolegiach i nasze drogi dawno się rozeszły. Rozpocząłem doktoranturę i kontynuowałem samotnicze kawalerskie życie, które prowadziłem już od paru lat.

Nagle, w pierwszym trymestrze studiów doktoranckich, otrzymałem dość dziwny list. Był listopad, przejmująco zimny dzień; pamiętam, jak szron trzeszczał pod butami, gdy szedłem do stróżówki, by odebrać pocztę. Nie dostawałem zbyt wielu listów. Od czasu do czasu pisała do mnie matka, abonowałem również kilka

naukowych czasopism teologicznych. Nic więcej. Tego dnia jednak przyszło coś innego. List opatrzony znaczkiem z zagranicy i adresowany dziwnym, pochyłym pismem. Otworzyłem go z pewnym zaciekawieniem. W kopercie znalazłem wycinek z perskiej gazety. Oczywiście nie znałem perskiego alfabetu, ale w liście było tłumaczenie napisane tą samą dłonią co adres. Artykuł informował o śmierci niejakiego Amira Ebrahimiego, który zginął w zagadkowym wypadku podczas lotu balonem. Ze wzniesieniem się w powietrze nie było najmniejszych kłopotów, ale w trakcie lotu Ebrahimi wypadł z zawieszonej pod balonem gondoli, runął na ziemię i poniósł śmierć. Obracałem list w dłoniach, zastanawiając się, dlaczego ktoś pomyślał, że zainteresuje mnie to makabryczne zdarzenie. Dopiero wtedy zobaczyłem napis na odwrocie kartki. Puste jest piekło. I przypomniałem sobie, że ostatni z tej trójki, towarzysz Bastiana i Collinsa, nazywał się Ebrahimi.

Tamten.

CZĘŚĆ CZWARTA

Clare

Rozdział 20

Czuję się trochę nieswojo wieczorem w dniu pogrzebu Elli, zostawiając Georgie samą w domu. Ale Debra mnie błagała. „Oszaleję, jeżeli będę dzisiaj w domu z Leo i dziećmi. Muszę spędzić ten wieczór z kimś, kto kochał Ellę. Możemy iść do pubu w miasteczku. Zjeść curry, wypić butelkę wina. Nie musimy siedzieć do późna”. Więc pytam Georgie, a ona chyba nie ma nic przeciwko temu. Mówi, że wpadną do niej Tash i Venetia, żeby obejrzeć *Taniec z gwiazdami*. Nie pytam, czy przyjdzie Ty, ale zakładam, że dziewczyny będą same. Nie byłam zbyt zadowolona, gdy zobaczyłam, jak po pogrzebie Georgie rozmawia z Patrickiem O’Learym. Uczyłam go w dziewiątej klasie i to taki typ, który zdobywa władzę nad kobietami, a potem bezwzględnie ją wykorzystuje. Znam trochę jego rodziców. Irlandczycy, którzy ostro piją i ostro imprezują. Nawet sympatyczni, ale na pewno nie rozmawiają z synem o jego mizoginicznych skłonnościach. Gdy jednak poruszyłam ten temat, Georgie odpowiedziała beztrąsko, że Patrick jest raczej nudny. To spostrzeżenie, prawdopodobnie prawdziwe, trochę mnie uspokoiło. Nie sądzę, by w głowie Patricka O’Leary’ego było coś jeszcze prócz rugby.

Zaniepokoił mnie też nieco widok Georgie w grupie skupionej wokół pani Hughes, nauczycielki angielskiego w liceum. Bryony Hughes to stara hipiska, która zaplata włosy w warkoczyki i paraduje obwieszona srebrną biżuterią z kryształami. Podobno ma świetne wyniki z egzaminów, ale należy do tych nauczycielek, które polegają na charyzmie – rodzaj walijskiej panny Jean Brodie – a mnie zawsze wydaje się to podejrzane. Ella miała takie inklinacje i być może dlatego się z nią przyjaźniła. Ale przecież niedawno się pokłóciły. Ella powtarzała, że Bryony jest

dobrą czarownicą, której największą przyjemność sprawia taniec na cmentarzach o północy. Nie sądzę, żeby to była prawda, ale może Ella uznała, że to całe udawanie wiedzy może przyprawić o ciarki. Tak czy inaczej, nie chciałam, żeby Georgie uległa urokowi pani Hughes. Prawdopodobnie po Talgarth pójdzie do tego liceum i wolałabym, żeby nie trafiła do jej klasy. Zaznaczam, że nie oczekuję, by zdawała angielski. Książki nigdy jej aż tak nie interesowały.

Natasha i Venetia zjawiają się akurat w chwili, gdy wychodzę z domu. Podrzuca je szpanerskim sportowym samochodem starszy brat Venetii. To miłe dziewczyny. Tash ma mnóstwo entuzjazmu, przypomina mi szczeniaka setera. Czasem wydaje mi się zbyt postrzelona, ale rozumiem, że może być fajną koleżanką. Jest bystra i nie wygląda mi na taką, która obsesyjnie myśli o chłopakach. Jej matka jest nauczycielką muzyki, a ojciec lekarzem, co działa uspokajająco na moje obawy rodem z klasy średniej. Venetia jest chudym rudzielcem i sprawia wrażenie nieco nerwowej. Jej rodzice pochodzą z klasy wyższej, a to odstręcza mnie nie mniej niż państwo O’Leary i ich pijackie wyczyny. Naprawdę bardzo trudno trafić w moje wymagania klasowe. Simon mawiał, że spełniają je tylko czytelnicy „Guardiana”, którzy mają własne domy, i to chyba celna diagnoza. Domyślałam się, że Georgie poznała Venetię podczas nauki w szkole St Faith, więc to miłe – choć trochę zaskakujące – że dalej się przyjaźnią.

Powiedziałam Georgie, że mogą zamówić pizzę na mój rachunek, i Tash wylewnie mi dziękuje.

– Jest pani najlepsza na świecie, Clare. – Wszystkie koleżanki Georgie w domu mówią mi „Clare”, a w szkole „proszę pani”. Przełączają się z jednego trybu w drugi bez większego trudu. Tylko ja nie mogę zapomnieć, że kiedyś kazałam Tash zostać po lekcjach za nieodrobienie pracy domowej, a w ósmej klasie koleżanka Georgie, Paige, napisała wypracowanie o chłopaku swojej mamy i jego uzależnieniu od narkotyków.

Spotykam się z Debrą w Royal Oak, jednym z wielu lokali nazwanych na cześć drzewa, na którym schronił się Karol II, uciekając przed wojskiem

okrągłogłowych. Dzisiaj to pub, w którym nieźle karmią, choć mają skłonność do podawania dań w formie chybotliwych piramidek, ale można u nich zjeść dobre curry i posiedzieć w całkiem cichej sali, nawet w sobotni wieczór. Gdy jadę samochodem, zwykle staram się w ogóle nie pić, ale tym razem zamawiam mały kieliszek czerwonego wina. Przed Debrą stoi duży gin z tonikiem.

– Tego mi było trzeba. – Trąca szklanką w mój kieliszek. – Boże, jak ja nie znoszę pogrzebów.

– Nie sądzę, żeby ktoś je lubił – zauważam.

– Nie wiem. – Wychyla połowę drinka, chociaż przed pubem też stoi jej samochód. – Niektórzy starsi w mojej rodzinie chyba je uwielbiają. Ale to co innego, kiedy umiera ktoś stary, kto ma za sobą dobre życie. Zbierają się jego dzieci i wnuki, żeby go wspominać. Ale Ella? Chryste. Miała przed sobą jeszcze tyle życia.

– To prawda – mówię. – Biedni ci jej rodzice. Rozmawiałaś z nimi?

Matka i ojciec Elli wrócili z krematorium tuż przed moim wyjściem. Zdążyłam zamienić z nimi tylko parę słów i niezręczne uściski, i dodałam mglistą obietnicę, że będziemy w kontakcie.

– Krótko – przyznaje Debra. – Są bardzo dzielni, ale widać, że jej mama jest załamana. Powiedziała do mnie: „straciłam najlepszą przyjaciółkę”.

Czy Georgie nazwałaby mnie swoją najlepszą przyjaciółką? Prawie na pewno nie, i tak pewnie powinno być, ale przez chwilę czuję ukłucie czegoś w rodzaju zazdrości. Trudno powiedzieć, że bym przyjaźniła się z własną mamą, chociaż chyba ją kocham. Czuję bliską więź z babcią mieszkającą w Szkocji, chociaż widuję ją rzadziej, niż bym chciała. Pisze do mnie listy, ale nigdy nie znajduję czasu, by jej odpisać. Chciałabym, żeby zainstalowała sobie Skype’a, ale twierdzi, że w Ullapool jest za słabe wi-fi. Muszę niebawem ją odwiedzić.

Wypijam łyk wina, starając się sączyć je powoli. Myślę o matkach i córkach, więc z trudem udaje mi się dosłyszeć pytanie Debry:

– Jak się trzyma Rick?

– Dobrze – odpowiadam. – Na pogrzebie siedział w rzędzie przede mną.

– Z żoną?

– Tak.

– Jego żona nie wie o Elli, prawda?

– Prawie na pewno nie wie.

Debra nachyla się nad stolikiem, mimo że siedzimy w zacisznym boksie i w pobliżu nikogo nie ma.

– Policja pytała mnie o Ricka.

– Tak?

– Pytali, co się stało w Hythe. Powiedziałam, że nie wiem, bo mnie tam nie było. – Debra wie jednak o nocy, którą Ella i Rick spędzili razem. Ella jej powiedziała, opisując żalosne zachowanie porzuconego kochanka. Dopiero teraz zastanawiam się, czy to zachowanie nie było przypadkiem bardziej złowrogie niż żalosne.

– Mnie również pytali o Ricka – mówię.

– Powiedziałaś im, że w tobie też się kochał?

– Zdaje się, że już o tym słyszeli. Przynajmniej sierżant Kaur.

– Twarda sztuka, nie? Wiesz, że chodziła do Talgarth?

– Tak, powiedziała mi.

– Dorothy Lodden z włókiennictwa pamięta, że ją uczyła.

– Naprawdę? – Wiadomość mnie zaciekawia. – Jaką była uczennicą?

– Podobno bystrą. Ale nie przepadała za zajęciami z włókiennictwa. Wtedy to się nazywało „robótka ręczna”. Siedziała z tyłu i czytała książki Jamesa Herberta.

Bez trudu wyobrażam sobie młodą Harbinder jako wielbicielkę horrorów.

– Naprawdę myślisz, że podejrzewają kogoś ze szkoły? – pytam.

– No, zwykle sprawcą jest ktoś bliski ofierze. Tak mówi się w książkach. – Nagle twarz jej się ściąga i po policzkach zaczynają płynąć łzy. Wyciera je czerwoną serwetką. – Chryste, słyszysz, co ja wygaduję? Sprawca, ofiara. Jakbym

grała w jednym z tych seriali, które Leo lubi oglądać w sobotę wieczorem. A przecież Ella była naszą przyjaciółką.

Pamiętam, jak Debrę interesowała policja i prowadzone przez nią śledztwo. Może wszyscy robimy to samo: konstruujemy jakąś opowieść, żeby nie myśleć o rzeczywistości.

– Cała ta sytuacja przypomina teatr – zauważam. – Albo koszmar. Ciągłe myślę, że ona wróci.

– Masz na myśli ducha?

Nie o to mi chodziło, ale skoro już o to spytała, wyobrażam sobie Ellę płynącą korytarzem w moją stronę z rozwianymi długimi blond włosami. Jak lady Makbet. Jak Alice Holland. Duch Elli milczy, ale wiem, że jest na mnie zły.

Debra kładzie dłoń na mojej ręce.

– Ella nie wróci – mówi łagodnie. – Clare, ona nie żyje.

– Wiem. – W tym momencie ogarnia mnie bezbrzeżna rozpacz.

Jadę do domu bardzo powoli. Znad morza nadciągnęła mgła i widzialność spadła do kilku metrów. Włączenie długich świateł w ogóle nie pomaga; rozjaśniają mgłę, która w ich blasku przybiera teatralnie upiorny wygląd, przypomina suchy lód. Gdy wracam, Georgie jest już w łóżku. Na stoliku widzę trzy wypalone świece, które nagle przywodzą mi na myśl *Nieznajomego*. Obok leży parę suchych listków i obwąchuję je podejrzliwie. Nie sędzę, żeby Georgie paliła trawkę, ale nigdy nie wiadomo. Te pachną jak potpourri. Zawsze dostaję masę takich pachnideł w prezencie na zakończenie roku szkolnego, oprócz czekoladek, świec, a czasem butelki wina i magnesów na lodówkę z napisem *Moja najlepsza nauczycielka*. Herbert hasa wokół mnie, próbując mi przeciąć drogę. Też ciekawie obwąchuje listki. Jedno ucho sterczy mu w górę, drugie opada.

– Chodź, psie policyjny – mówię. – Pora na ostatni spacer.

Prowadzę go na drugą stronę drogi. Jest pełnia księżycy, ale mgła rozmywa kontury jego tarczy, oblewającej słabym rozproszonym blaskiem mury

cementowni. Myślę o światełkach, które tam widziałam parę dni temu. Może ktoś koczuje w tym budynku? Powinnam kogoś zawiadomić? Policję? Organizację pomocy bezdomnym? Może Harbinder Kaur mogłaby pomóc? Zauważyłam ją na pogrzebie, ale nie rozmawiała ze mną. Przypuszczam, że przyszli tam z Neilem z szacunku. Na stypie już ich nie widziałam.

Herbert wreszcie unosi nogę, więc szybko wracam do domu. Zabezpieczam drzwi łańcuchem i sprawdzam, czy tylne wyjście jest zamknięte. Potem wchodzę na górę. U Georgie pali się światło, więc pukam.

– Proszę.

Siedzi w łóżku i czyta *Harry'ego Pottera*. Obok niej o poduszkę stoi oparta pluszowa surykatka (prezent od Simona). Moja córka wygląda na siedem lat.

Siadam przy niej.

– Miałaś miły wieczór?

– Tak – mówi. – *Taniec z gwiazdami* był nudny, więc zagrałyśmy w *Cards Against Humanity*.

– Po Venetię przyjechał brat?

– Mama Tash. Powiedziała, że do ciebie zadzwoni.

Wyglądam poszwę z godłem Hogwartu. Pokój Georgie to mieszanina rzeczy dziecka i nastolatki. Ciągle ma domek dla lalek *Sylvanian Families*, ale jest też multum elektronicznych gadżetów, po podłodze widać przewody ładowarek. Na polaroidowym zdjęciu przypiętym nad łóżkiem Georgie i jej koleżanki z rozpuszczonymi włosami uśmiechają się do obiektywu, układając usta w dzióbki.

– A tobie miło rozmawiało się z Debrą? – pyta uprzejmie.

– Tak. Chociaż trochę smutno – przyznaję. – Ciągle mówiłyśmy o Elli.

– Smutek nie jest niczym złym. To była wasza najlepsza przyjaciółka.

– Masz rację. – Całuję ją w głowę. – Dobranoc, kochanie. Nie czytaj za długo.

Biorę szybki prysznic, wkładam najcieplejszą piżamę i kładę się do łóżka. Herbert już chrapie. Otwieram dziennik, żeby wrócić do przebiegu mijającego dnia.

Nie pisałam w nim przez kilka dni – chyba byłam zbyt spięta – ale wydaje mi się, że należy wspomnieć o pogrzebie.

Ostatni wpis jest z trzydziestego października. Wieńczą go słowa: *Jutro Halloween. Niech Bóg ma nas w opiece.* Tam kończy się tekst zapisany moją ręką, ale na sąsiedniej stronie widzę nową notatkę. Charakter pisma jest równocześnie obcy i straszliwie znajomy. Zaczyna się od: *Pozdrowienia od szczerego przyjaciela.*

Rozdział 21

– To z *Kobiety w bieli* – mówię.

– Co? – pyta Neil.

Z samego rana zadzwoniłam do Harbinder, ale nie spodziewałam się, że w niedzielę będzie w pracy. Umówiła się ze mną w komisariacie, a gdy tam przyjeżdżam, zastaję mnóstwo ludzi wpatrzonych w ekrany. Pewnie zbrodnia nigdy nie zasypia, nawet w West Sussex. Nigdy wcześniej nie byłam w komisariacie i jestem zaskoczona, jak bardzo przypomina zwykłe biuro. Widzę komputery, automaty do kawy, ogłoszenia o ćwiczeniach jogi w czasie przerwy na lunch. Zauważam też, że więcej tu kobiet niż mężczyzn.

Harbinder prowadzi nas do małego pokoiku konferencyjnego. Stoją w nim fotele, a nawet wazon ze sztucznymi kwiatami, mimo to wnętrze wydaje się ponure. Po drugiej stronie jest przyciemniane okno i zastanawiam się, czy ktoś obserwuje nas z drugiej strony.

Wczoraj wieczorem Harbinder poleciła mi nie dotykać więcej dziennika i włożyć go do plastikowej torebki. Teraz przewraca strony w plastikowych rękawiczkach.

– W *Kobiecie w bieli* – wyjaśniam – hrabia Fosco, czarny charakter powieści, zaczyna pisać w dzienniku Marian Halcombe. Na kilka stron przejmuje narrację. Część jego autorstwa nosi tytuł *Postscriptum szczerego przyjaciela*.

– Kiedy cię odwiedziłam, czytałaś *Kobietę w bieli* – zauważa Harbinder.

Dziwię się, że pamięta.

– Tak, to jedna z moich ulubionych książek.

Harbinder przerzuca kilka kartek do tyłu i zaczyna czytać bezbarwnym, beznamiętnym głosem:

– *Pozdrowienia od szczerego przyjaciela. Miałem sposobność odczytania tego zajmującego ze wszech miar dziennika. Składa się on z kilkuset kartek, a jednak z ręką na sercu wyznaję, iż każda wzbudzała we mnie podziw i zachwyt.*

Wspaniała kobieta![16]

Ale, Clare, nie wszyscy cenią cię tak wysoko jak ja. Bardzo przykro mi to stwierdzić, lecz są ludzie, którzy działają na twoją szkodę. Jedna z tych istot została przeze mnie usunięta. Na pozostałe rzucę się jak nienasycona bestia.

– Pierwszy fragment to dosłowny cytat z książki – mówię. – Aż do *Wspaniała kobieta!* – Przywiozłam swój egzemplarz, stare wydanie Dover. Na okładce jest kobieta w okazałej białej sukni, na którą nigdy nie byłoby stać Anne Catherick. Podaję detektywom książkę, w której zaznaczyłam stosowne miejsce.

Neil czyta z lekko rozchylonymi ustami. Harbinder przebiegła stronę wzrokiem w parę sekund.

– Czyli sprawca musiał czytać *Kobietę w bieli* – stwierdza. – Jeżeli to sprawca rodzaju męskiego.

– Niezłe tomisko, prawda? – Neil waży książkę w dłoni jak połec mięsa.

– Omawiasz w szkole *Kobietę w bieli*? – pyta Harbinder.

– Nie, tej powieści nie ma w programie.

– A na zajęciach dla dorosłych? Na kursie kreatywnego pisania?

– Czasami. Wykorzystuję ją jako przykład wielogłosowej narracji.

– Rozpoznajesz tu coś jeszcze?

– Tak – przyznaję. – *Nienasycona bestia* to tytuł niewydanej powieści R.M. Hollanda.

– Kto to jest? – pyta Neil.

Odpowiedzi udziela mu Harbinder.

– Pisarz, który mieszkał kiedyś w domu, w którym teraz jest szkoła. Prawie dwieście lat temu. Jego gabinet jest na poddaszu Starego Budynku. Napisał opowiadanie grozy, *Nienasycony*. Parę lat temu w telewizji puszczali ekranizację.

– Czyli wszyscy wiedzą o tej... tej *Nienasyconej bestii*?

– Nie. R.M. Hollanda nie ma w programie nauczania i nie ma o nim mowy na lekcjach. Ale nawet ktoś, kto słyszał o pisarzu, raczej na pewno nie wie o *Nienasyconej bestii*. Książka nigdy nie została wydana, a rękopis zaginął. Zostały tylko fragmenty w dziennikach pisarza, nic więcej.

– Cholera jasna – mruży Neil. – Myślałem, że tylko Adrian Mole prowadził dziennik, ale wychodzi na to, że każdy się w to bawi.

Harbinder posyła mu znaczące spojrzenie.

– Skupmy się na twoim dzienniku, Clare. Kto mógł mieć do niego dostęp?

– Dostęp? – Słowo brzmi sztywno i prawniczo.

Harbinder cierpliwie wzdycha.

– Kto miał możliwość dopisania czegoś w twoim dzienniku? Zawsze trzymasz go w domu?

– Nie. Często zabieram aktualny zeszyt do szkoły. I czasem piszę na przerwach.

– Przynosiłaś go w tym tygodniu?

– Tak. Zamierzałam pisać w Halloween, kiedy czekałam na próbę przedstawienia, ale poszłam do gabinetu Hollanda i zobaczyłam manekina przy jego biurku. Od razu pojechałam do domu i zostawiłam *Krwiożerczą roślinę Anoushce*.

– Gdzie przechowujesz dziennik, gdy jesteś w szkole?

– W torbie albo w zamkniętej szafce.

– Gdzie jest ta szafka?

– W pokoju zespołu anglistów.

– Jest zamknięta na klucz?

– Nie. – Klucze zniknęły na długo przed tym, zanim zaczęłam pracować w Talgarth.

– Czyli zamykana szafka nie jest zamykana, zgadza się? – Neil nagle parska śmiechem.

Harbinder nie zwraca na niego uwagi.

– Trzeba będzie pobrać odciski palców od wszystkich członków zespołu anglistów – oznajmia. – I próbki pisma, żeby ich wyeliminować. Twoją już mamy, ale będzie nam potrzebna próbka twojej córki.

– Georgie?

– Tak. Mieszka z tobą. Ją też musimy wyeliminować.

Następne mrozące krew w żyłach słowo. „Wyeliminować”. Myślę o wpisie w dzienniku. *Jedna z tych istot została przeze mnie usunięta.*

– Sądzicie, że osoba, która to napisała, jest tą samą, która zabiła Elle? – pytam.

Harbinder i Neil spoglądają na siebie, jakby decydowali, ile mogą mi zdradzić. W końcu Harbinder odpowiada:

– Charakter pisma z pierwszego wpisu, który mi pokazałaś, pasował do pisma z wiadomości znalezionej na miejscu zdarzenia. Po prostu było za mało słów, żeby wyciągnąć jednoznaczny wniosek.

Przez chwilę naprawdę obawiam się, że zaraz zwymiotuję albo zemdleję. Co innego podejrzewać, a co innego usłyszeć rzeczowe potwierdzenie z ust detektyw sierżant. Mam wrażenie, że przez pokój przefrunął anioł śmierci z makabrycznym łopotem skrzydeł.

Puste jest piekło.

– Ale to nie znaczy, że ta osoba... – Harbinder stuka dłonią w rękawicze w mój dziennik – jest sprawcą. To błąd wierzyć w listy, których autorzy podają się za morderców. Właśnie to zahamowało śledztwo w sprawie Rozpruwacza z Yorkshire w latach siedemdziesiątych. Policja uwierzyła w autentyczność nagrania z przyznaniem się do winy, eksperci analizowali akcent, zmarnowano godziny pracy wielu ludzi, a to był tylko jakiś świr, który chciał, żeby ktoś zwrócił na niego uwagę. Tu możemy mieć do czynienia z takim samym przypadkiem.

– Ale wiadomość na miejscu zbrodni... – przypominam.

– Tak – zgadza się Harbinder – to rzeczywiście znaczy trochę więcej.

– Człowiek, który to napisał, czytał *Nieznajomego* – mówię. – *Puste jest piekło* to kluczowe zdanie w tym opowiadaniu. Trzeba je wykrzyczeć, gdy wejdzie się do zrujnowanego domu.

– Pamiętam – potwierdza Harbinder. – Zresztą to była wielka ściema. Czyli cytat może pochodzić z *Nieznajomego*. Ale bardziej prawdopodobne, że z *Burzy*... To jest lektura do egzaminu, prawda?

– Tak.

– Czyli jest znany każdemu z zespołu anglistów?

– Tak sądzę. Ale nie można zakładać...

– Musimy sprawdzić każdy wątek śledztwa – informuje mnie Neil. – Będziemy też potrzebować wszystkich zeszytów dziennika.

– Wszystkich?

– Ile ich jest? – pyta Neil.

– Około trzydziestu. Prowadzę dziennik, odkąd skończyłam jedenaście lat. Z przerwami. – Zaczęłam, gdy poszłam do gimnazjum. Oszalałam na punkcie chłopaka, którego widywałam na przystanku autobusowym, i prawie każdy wpis kończył się: *Widziałam PB* albo *Nie widziałam PB*. Na studiach przerwałam prowadzenie dziennika, ale wróciłam do niego, gdy zaczął się psuć mój związek z Simonem. Pierwszy wpis świeżo upieczonej singielki: *Od odejścia Simona mija dziesięć tygodni, ale nigdy już nie będę mierzyć swojego życia według niego*. – Po co wam wszystkie? – dziwię się.

– Wiemy, że ktoś pisał w co najmniej jednym z twoich poprzednich dzienników – tłumaczy Harbinder. – Musimy sprawdzić pozostałe. Nawet jeżeli niczego nie wpisał, mógł je czytać, zostawić odciski palców.

Nie chcę dawać im swoich zapisków. Wyobrażam sobie, jak Harbinder czyta je i unosi kącik ust w pogardliwym uśmieszku. Albo raczy kolegów szczegółami co soczystszych zdarzeń. „Teraz myśli, że jest w ciąży po jednym numerku z taksówkarzem!”

Neil oczywiście bierze moje milczenie za objaw przerażenia. I nie jest daleki od prawdy.

– Przydzielimy ci ochronę policji – obiecuje. – Radiowóz będzie obserwował twój dom, dostaniesz specjalny numer telefonu, pod który będziesz mogła zadzwonić, gdy coś cię zaniepokoi.

– Naprawdę uważacie, że może mi grozić niebezpieczeństwo?

– Nie sądzę – mówi Harbinder. – Tej osobie... – znowu stuka dłonią w mój dziennik – najwyraźniej zależy na tym, żeby cię chronić. – Po chwili dodaje: – Mimo to lepiej byłoby nie wychodzić z domu po zmroku.

Jadę do domu zszokowana. Morderca czytał mój dziennik? Śledził moje najskrytsze myśli i uczucia, których za bardzo się wstydziłam, by mówić o nich głośno? Zakładam, że to „on”, choć Harbinder unikała jednoznacznego stwierdzenia, że to mężczyzna. Wiedział o moich wszystkich pretensjach do Simona i Fleur, o przypadkach małostkowej zazdrości w pracy, o idiotycznym przekonaniu, że napiszę książkę? Czytał tamten okropny wpis o Elli? Dlatego zginęła? *Jedna z tych istot została przeze mnie usunięta.* Strach o tym nawet myśleć. I ten ktoś nie tylko czytał mój dziennik, ale też coś w nim napisał. Drobnym, wstrętnym charakterem pisma, podobno tym samym co na karteczce znalezionej przy zwłokach Elli. Autor tej wiadomości znalazł się blisko mnie? W pracy czy w domu? Czy policja ma rację i naprawdę znam tego człowieka?

Gdy wracam do domu, strasznie boli mnie głowa; chcę tylko wziąć aspirynę i położyć się do łóżka z termoforem. Wita mnie jednak ostry zapach smażonego mielonego mięsa i cebuli, a w kuchni krzątają się Georgie i Ty.

– Pomyśleliśmy sobie, że zrobimy ci porządny niedzielny lunch, mamó – mówi Georgie, wrzucając do garnka puszkę pomidorów. – To był pomysł Tya.

Nagle przypominam sobie dziadków w Szkocji, stół uginający się od pieczeni i ziemniaków. Wszystko jest złote i błyszczące, ma intensywny naturalny smak. Pośrodku unosi się para z niebiesko-białej sosjerki. Dzisiejszy lunch to chyba

spaghetti bolognese, mocno pachnące czosnkiem i oregano. Wciąż mam lekkie mdłości i żołądek mi się ściska na myśl o posiłku, ale nie można zaprzeczyć, że to bardzo miły gest z ich strony. Ty kroisz paprykę, starając się, by kawałki były jednakowej wielkości. Georgie nakryła do stołu i przygotowała śliczną kompozycję z bluszczu i ostrokrzewu. Miesza sos, a Herbert przygląda się temu pilnie. Nie chcę, żeby za bardzo się zaokrąglił, więc nigdy nie podsuwam mu niczego z naszych posiłków, ale Georgie to robi, więc pies patrzy wyczekująco. Uwielbia to, co jedzą ludzie.

– Przyniosłem wino – mówi Ty. Gestem wytrawnego barmana owija butelkę serwetką i nalewa mi kieliszek.

– Dziękuję, Ty. – Staram się nie wypić zbyt dużo naraz. Ty nalewa też kieliszek Georgie, ale postanawiam tego nie komentować.

Potrzebny mi ibuprofen, nie chcę go jednak popijać winem, więc zmuszam się, by siąść przy stole i porozmawiać. Próbuję wybadać, czy Ty ma jakieś ambicje poza pracą w pubie, i cieszę się na wieść o tym, że w przyszłym roku zamierza ubiegać się o przyjęcie na uniwersytet.

– Mam maturę z angielskiego, informatyki i plastyki – informuje mnie. – Nie dostałem rewelacyjnych ocen, ale może mógłbym gdzieś studiować anglistykę. W szkole lubiłem angielski. Miałem naprawdę dobrego nauczyciela.

Ludzie często wspominają czule nauczycieli angielskiego. Nigdy matematyki czy informatyki. Ta myśl podtrzymuje mnie na duchu w dniach, gdy grupa C ósmej klasy jest szczególnie niesforna: mam nadzieję, że pewnego dnia jakiś pisarz wspomni mnie w podziękowaniach, odbierając Nagrodę Bookera.

– Na anglistykę musisz mieć dobre oceny – zauważa Georgie dość nietaktownie.

Ty się rumieni.

– No to medioznawstwo. Albo kreatywne pisanie.

– Mama uczy kreatywnego pisania – zauważa Georgie. – Może zapiszesz się na jej zajęcia?

Ty bąka coś niezrozumiałego. Lituje się nad nim.

– Powodzenia. Daj znać, jeżeli będę mogła pomóc, na przykład przy liście motywacyjnym.

– Być może nie pójdę na uniwersytet – oznajmia Georgie. – Być może będę po prostu podróżować.

Natychmiast czuję zdwojone łomotanie w skroniach.

– Za wcześnie na decyzje – mówię. – Mogłabyś podróżować i studiować. Przed uniwersytetem zrobiłabyś sobie rok przerwy.

– Fleur przed studiami wyjechała do Tajlandii.

Nie wątpię.

– Jest mnóstwo możliwości. – Nie przestaję się życzliwie uśmiechać.

– W każdym razie pisarzem człowiek się rodzi, nie zostaje – mówi Georgie.

– Kto ci to powiedział?

– Gdzieś przeczytałam. Jak sprawdzić, czy makaron jest już ugotowany? Trzeba nim rzucić o ścianę?

Udaje mi się zjeść całkiem sporą porcję spaghetti. Ty pochłania dwie dokładki, zachwycony ich sprawnością kulinarną.

– Sos smakuje dokładnie jak w Pizza Express – powtarza. Georgie marszczy czoło, być może zdając sobie sprawę, że wbrew jego ocenie nie jest to komplement. Na deser jest sernik i Georgie nawet parzy kawę w ekspresie, taką jak lubię. Nie pozwalają mi sprzątnąć ze stołu, więc idę do salonu i zerkam do niedzielnej gazety. Na okładce kolorowego dodatku są złote i czerwone gwiazdy oraz fotografia modelki w sukience zrobionej chyba ze srebrnych kapsli od butelek, jakie zbierałam kiedyś na apel programu *Blue Peter*. Widzę nagłówek: *Fantastyczne fajerwerki fasonowe*. Boże, przecież to piąty listopada. Dzień Guya Fawkesa. Herbert znowu całą noc będzie dygotał i skomlał od huku petard odpalanych przez idiotów. Nasz dom wprawdzie stoi na uboczu, ale fajerwerki słyhać w promieniu

wielu kilometrów. Często się zastanawiam, czy tak właśnie wyglądało Sussex podczas wojny, gdy z Francji dobiegało dudnienie dział.

Ty wychodzi o piątej, dokładnie w chwili, kiedy słyhać odpalenie pierwszych rakiet. Herbert wskakuje na kanapę i wciska mi łeb pod pachę.

– Biedactwo. – Georgie głaszcze go. – To tylko ludzie upamiętniają człowieka, którego zakatowano na śmierć, Herbie. Nie ma się czym przejmować. – Powtarza to co roku.

– Georgie, muszę ci coś powiedzieć.

Spogląda na mnie czujnie, w obawie, że dobry nastrój pryśnie wraz z końcem posiłku.

– Dzisiaj rano pojechałam na policję – mówię. – Nie chcę cię straszyć, ale ich zdaniem istnieje prawdopodobieństwo... prawdopodobieństwo, że zabójca Elli może... hm, interesować się mną.

– Interesować się tobą? – Twarz Georgie robi się blada, a ciemne oczy (ludzie twierdzą, że podobne do moich) wydają się ogromne.

– Napisał wiadomość – wyjaśniam. – I zostawił ją na miejscu zbrodni. – Nie chcę jej mówić o dzienniku; mogłaby wpaść w panikę, wyobrazić sobie kogoś zakradającego się do domu z długopisem w ręce. Czyżby tak to właśnie wyglądało? – Przed domem będzie stał radiowóz, żeby nas chronić – dodaję. – Dostałam też numer, pod który mam dzwonić, gdyby coś mnie niepokoiło. Tobie też go dam. To tylko rutynowe środki ostrożności. Na pewno nie ma się czego bać. Policja jest już na tropie człowieka, który to zrobił. – Staram się wypowiedzieć to wierutne kłamstwo z głębokim przekonaniem.

– Naprawdę?

– Tak. W dzisiejszych czasach policja działa bardzo skutecznie. Mają sprzęt kryminalistyczny i tak dalej. – Wciąż jest blada, więc biorę ją za rękę. – Wszystko w porządku, kochanie. Nic nam nie grozi. Ale musimy zachować rozsądek. Nie chcę, żebyś wracała do domu sama. Masz na mnie czekać po lekcjach.

Teraz wyraźnie się buntuje.

– A jak będziesz miała próbę przedstawienia?

– Wtedy popracujesz w bibliotece.

– Super. Dzięki serdeczne.

– To nie potrwa długo. Tylko dopóki policja nie aresztuje sprawcy. – Herbert skomle za poduszkami, jakby zdawał sobie sprawę, że to bardzo mało prawdopodobne.

– Mogę chodzić do Tash?

– Pod warunkiem że będziecie trzymać się razem. Porozmawiam z jej mamą. Wyjaśnię sytuację.

– A Ty? Mogę się z nim dalej spotykać?

– Chyba tak. Jeżeli tylko będzie na ciebie czekał i odwoził cię do domu. – Po raz pierwszy cieszę się, że Ty jest dorosłym mężczyzną i ma własny samochód. – Tylko bądź ostrożna. Obiecuj mi, że będziesz.

– Obiecuję. – Wyciąga Herberta zza poduszek i kładzie go sobie na kolanach. – Ale na pewno wszystko będzie dobrze.

To miała być moja kwestia.

– Na pewno masz rację – przyznaję.

Huk za oknem sprawia, że wszyscy troje podskakujemy na kanapie, a po chwili niebo eksploduje kaskadą wielobarwnych gwiazd.

[16] Wilkie Collins, *Kobieta w bieli*, przekład Eugenii Żmijewskiej.

Rozdział 22

W drodze do szkoły podrzucam do komisariatu dzienniki. W nocy, gdy nie mogłam zasnąć, niemal bezwiednie sięgnęłam po stare zeszyty. Migawki z minionych lat:

Dobry dzień. Pływałam. Widziałam PB...

Nigdy w życiu nie byłam taka nieszczęśliwa. Karen powiedziała Alison, a ona powiedziała MNIE, że Peter chodzi z Sue Frost z Alleyns...

Jutro wyjeżdżam do Bristolu na studia. Całe życie rozpościera się przede mną jak barwny dywan...

Nie chcę nienawidzić Simona, bo w ten sposób odniósłby zwycięstwo, ale skrycie go nienawidzę, z żarem i namiętnością, jakich nie doświadczyłam wcześniej, gdy go kochałam...

Dzisiaj rozmawiałam z Rickiem. Zmusiłam się, żeby wyrazić to jasno: nigdy do niczego między nami nie dojdzie. Zapytał, czy to dlatego, że jest żonaty. Chciałam odpowiedzieć: nie, dlatego że jesteś, jaki jesteś...

Zostawiam dzienniki w recepcji komisariatu, który wygląda jak ponura wersja taniego sklepu z meblami, pełna ludzi o zrozpaczonych minach, którzy siedzą na umocowanych do podłogi krzesłach i czekają, by porozmawiać z funkcjonariuszami za szklanym przepierzeniem. Nie biorę numerka i nie czekam na swoją kolej, tylko po prostu zostawiam na ladzie przesyłkę zaadresowaną do detektyw sierżant Kaur. Jestem pewna, że do niej dotrze.

W samochodzie czeka Georgie. Dziś zaczyna się nasz nowy reżim – zawiozę ją do szkoły, a potem odbiorę. Gdyby to ode mnie zależało, ani na chwilę nie

traciłabym jej z oczu. Wczoraj wieczorem zadzwoniłam do Simona i opowiedziałam mu mocno złagodzoną wersję: moje nazwisko znalazło się w wiadomości przypuszczalnie napisanej przez zabójcę i dlatego Georgie i ja dostajemy dodatkową ochronę, ale policja nie sądzi, żeby groziło nam prawdziwe niebezpieczeństwo. Simon – jak mogłam się spodziewać – zażądał, by nasza córka na razie przeprowadziła się do niego.

– Nie może rzucić szkoły – powiedziałam. – To dla niej decydujący rok.

– Mogę ją uczyć w domu.

– Cały dzień jesteś w pracy.

– No to będzie ją uczyć Fleur.

– Z dwojgiem małych dzieci? Na pewno będzie zachwycona.

I tak Simon niechętnie dał za wygraną. Tak czy inaczej, w ten weekend Georgie do niego pojedzie. Muszę przyznać, że powitałam tę wiadomość z wielką ulgą. Chce mi się śmiać – albo płakać – kiedy pomyślę o swoim dawnym przeświadczeniu, że dzięki przeprowadzce do Sussex Georgie znajdzie się w bezpiecznym wiejskim środowisku. Nagle Londyn wydaje mi się znacznie bezpieczniejszy.

Georgie jak zwykle znika, gdy tylko wyjeżdżamy przez bramę Talgarth. Tu przynajmniej nic jej nie grozi. Po kilku przypadkach kradzieży w okolicznych sklepach jedenastoklasistom nie wolno już opuszczać terenu szkoły. Parkuję na swoim stałym miejscu, niedaleko bramy. Obok mnie zawsze parkowała Ella i ciągle nie mogę się przyzwyczaić do braku jej czarnego sportowego golfa z naklejką *Silniejszy w Europie*. Teraz jej miejsce zajmuje niebieskie volvo Ricka. Natychmiast rozpoznaję ten wóz. Kiedyś często widziałam go przed swoim domem. Na domiar złego Rick siedzi za kierownicą. Czeka na mnie.

Próbuję udawać, że go nie widzę, i bez pośpiechu wyjmuję z bagażnika teczkę i płaszcz. Gdy się prostuję, stoi tuż za mną.

– Musimy pogadać – oznajmia.

– Jestem już spóźniona – mówię. Wizyta w komisariacie, choć trwała krótko, wymagała nadłożenia drogi i kosztowała mnie kwadranś. Jest za piętnaście dziewiąta, a poniedziałkowa odprawa, którą prowadzi Rick, powinna się zacząć za pięć minut.

Towarzyszy mi w drodze do szkoły.

– Policja znowu chce ze mną rozmawiać – informuje mnie. – Już wiedzą o Hythe.

Nie zatrzymując się, omijam grupkę uczniów kręcących się przy podwójnych drzwiach Starego Budynku, a potem kieruję się do schodów.

– Przeczytali o tym w moim dzienniku – odpowiadam, stawiając stopę na pierwszym stopniu.

– Co?!

– Policja chciała zobaczyć moje dzienniki – tłumaczę. – Pisałam w nich o tobie i Elli w Hythe.

– Po co to zrobiłaś?

Na schodach staram się na niego nie patrzeć. Myślę o Alice Holland i jej „śmiertelnym upadku” ze strychu, roztrzaskanej poręczy, okropnym głuchym łomocie ciała upadającego na podłogę.

– Na tym właśnie polega prowadzenie dziennika – mówię. – Piszę o tym, co się stało. Notuje się prywatne myśli. „Wpływ prowadzenia dziennika na rozwój umiejętności pisarskich”, pamiętasz? O tym było całe szkolenie w Hythe.

– Dlaczego pokazałaś to policji?

Dotarliśmy na pierwsze piętro, więc zatrzymuję się i patrzę na Ricka. Nigdy nie jest zbyt zadbany, ale dziś wygląda bardziej niechlujnie niż zwykle: ma nastroszone włosy, a sweter włożył chyba na lewą stronę. Nie mogę uwierzyć, że kiedykolwiek uważałam go za atrakcyjnego faceta, że kiedykolwiek zastanawiałam się, czy iść z nim do łóżka. O tym nie powiedziałam Harbinder, chociaż dowie się z lektury moich zapisków.

– Ktoś wpisał coś w moim dzienniku – mówię. – Policja podejrzewa, że morderca.

Milczymy aż do pokoju nauczycielskiego. Na kanapie siedzą Vera i Anoushka, rozmawiają o przedstawieniu.

– Cześć. – Anoushka unosi wzrok. – Rick, masz sweter na lewą stronę. Czyli będziesz miał szczęście.

Aż do południa prowadzę lekcje, więc Rick nie ma drugiej okazji, by mnie przyprzeć do muru. To pracowity dzień; w południe mam próbę, a potem spotkanie z Verą poświęcone planowaniu pracy. Dopiero pod koniec dnia zauważam że mam wiadomość na poczcie głosowej. Przez ostatnie dwa tygodnie tyle się wydarzyło, że w pierwszej chwili nie rozpoznaję nazwiska Hamiltona.

„Witaj, Clare, tu Henry z St Jude. W weekend odwiedzam znajomych w Brighton i zastanawiałem się, czy nie miałabyś ochoty wyskoczyć na kolację. Rany, ależ to stres zapraszać cię w ten sposób. Jeżeli nie chcesz, to po prostu powiedz albo zignoruj tę wiadomość. Ale mam nadzieję, że zechcesz. Zaczynam pleść od rzeczy. Gdybyś jednak chciała, napisz. Naprawdę na to liczę”.

Siedzę w bibliotece, gdzie czekam na Georgie, i wpatruję się w telefon, jakby mógł mi poradzić, co zrobić. Po chwili, zanim zacznę żałować, piszę: *Chętnie. Gdzie i kiedy? C.*

Otwierają się drzwi i wchodzi Georgie, ale w towarzystwie Patricka O’Leary’ego, więc nie jestem zachwycona.

– Cześć, mam, spóźniłam się?

– Dzień dobry, proszę pani. – Patrick posyła mi krzywy uśmiezek.

– Dzień dobry, Patrick – odpowiadam lodowatym tonem. – Nie, Georgie, jesteś punktualnie. Sprawdzam tylko wiadomości.

– Ach, ci młodzi ludzie i ich telefony – mówi Patrick.

Ignoruję go.

– Jesteś gotowa, Georgie?

Patrick odprowadza nas aż na parking i stoi obok auta, gdy wkładam torbę do bagażnika.

– Chcesz, żebyśmy cię podrzuciły? – pyta go Georgie.

Skąd nagle taki przejaw uprzejmości i dobrego wychowania? W ogóle mi się to nie podoba. Modlę się w duchu, żeby odmówił.

– Nie, nie trzeba. Mam rower.

Ale gdy odjeżdżamy, wciąż stoi na parkingu. I nas obserwuje.

Rozdział 23

Przez cały tydzień nie pozwalam Georgie ruszyć się ode mnie nawet na krok. W środę rano jedziemy do komisariatu, żeby pobrali jej odciski palców i próbkę charakteru pisma. Przez całą procedurę zagaduje nas policjantka w mundurze, wykazująca się umiejętnościami społecznymi, których brakuje Harbinder i Neilowi. Ma w sobie tyle życzliwości i współczucia – rozmawiamy o szkole, psach i o tym, czy będziemy mieli białe święta – że chcę jak najdłużej siedzieć w tym pełnym komputerów pokoiku i opowiedzieć jej wszystko o Ricku i Henrym Hamiltonie, o naśladowcy hrabiego Fosco, który pisze w moim dzienniku, o moich obawach, że Simon wykorzysta sytuację, by na zawsze odebrać mi Georgie. Ale się powstrzymuję. Rozmawiam uprzejmie z posterunkową Olivią Grant, sączę obrzydliwą kawę i przyglądam się, jak Georgie pisze w bloku w linie *Puste jest piekło*.

Pod koniec tygodnia z Londynu przyjeżdża Simon, żeby odebrać Georgie ze szkoły. Irytuje mnie jego obecność w recepcji, gdzie czeka na naszą córkę i podzwania kluczykami, irytuje znużone westchnienie, którym mnie wita, informacja, że zwolnił się z pracy na całe popołudnie, co jest w tym momencie „szaleństwem” (mówi to osobie, która właśnie ma nieodpłatnie poświęcić dwie godziny na oglądanie nastolatków śpiewających o mięsożernej roślinie). Nie ma jednak wątpliwości, że gdy Georgie wychodzi ze szkoły w towarzystwie ojca i przewraca oczami za jego plecami, po raz pierwszy od tygodnia ból głowy zaczyna ustępować. Teraz muszę się już martwić tylko o swoje bezpieczeństwo.

Kiedy wracam do domu, stoi przed nim policyjny samochód. Nie mam pojęcia, czy powinnam przywitać się z funkcjonariuszami, czy nie, więc wybieram kompromis i dyskretnie do nich macham. Herbert nie okazuje takiej powściągliwości i z piskliwym szczekaniem rzuca się w stronę nieoznakowanego wozu. Wciągam go do domu. Potem dwa razy przekręcam zamek, zaciągam zasłony i nalewam sobie kieliszek wina. Po trzech kieliszkach uświadamiam sobie, że zapomniałam o jedzeniu, więc przygotowuję grzankę. Boję się, że nie zasnę. W czwartek złamałam się i kupiłam nowy notatnik – praktyczny zeszyt z napisem *Notes reportera*. Oczyma wyobraźni widzę, jak siedzę do świtu i piszę, piszę, piszę... Ale alkohol spełnia swoje zadanie i kiedy kładę się w łóżku, niemal natychmiast zasypiam. Budzę się o trzeciej i widzę Herberta, który patrzy w okno i cicho warczy. Mija sporo czasu, zanim udaje mi się ponownie zapaść w sen.

Sobota to długi dzień. Z Henrym jestem umówiona w Chichester na wpół do dziewiątej, ale już w południe przymierzam ciuchy, zastanawiając się, w co się ubrać. Nie chcę wyglądać na zbyt ochoczą ani na zbyt swobodną. Czarna spódnica jest za bardzo nauczycielska, szary kardigan za bardzo macierzyński. W końcu wybieram kompromis w postaci czarnych spodni i nieco przejrzystej bluzki. Wyprowadzam Herberta na ostatni spacer, niepewnie stawiając kroki w zamszowych botkach na średnich obcasach (korzyść ze spotkania z kimś wysokim). Wóz policyjny wciąż stoi pod domem i wyobrażam sobie, że dwoje ludzi w środku je hamburgery i bez przekonania flirtuje.

„Dawaj frytkę”.

„A co za nią dostanę?”

„Zamknij się i podaj ketchup”.

Ale kiedy przechodzę obok samochodu, widzę, że to dwaj mężczyźni w średnim wieku, którzy siedzą w grobowej ciszy.

Umówiłam się z Henrym we włoskiej restauracji niedaleko Buttercross, misternej kamiennej budowli w samym środku miasta, gdzie dawniej działał

podobno zadaszony targ. Podchodzę bliżej i dostrzegam przez szybę Henry'ego, który w okularach czyta menu z odrobinę zdziwioną miną. Jest szczuplejszy, niż zapamiętałam, a w blasku stojącej przed nim świecy wydaje się nieco wymizerowany. Przez moment mam ochotę odwrócić się i uciec, do Herberta i zacisznej, bezpiecznej przystani domu. Ale przyglądam dłońmi włosy, poprawiam apaszkę i otwieram drzwi.

– Clare! – Kiedy się podnosi, muska głową żyrandol.

– Cześć.

Następuje niezręczna chwila, w której nie bardzo wiemy, czy mamy się pocałować, ale ostatecznie podajemy sobie ręce, o mały włos nie przewracając świeczki. Kelner zabiera mój płaszcz, a Henry pyta, czy mam ochotę na drinka.

– Jestem samochodem.

Nie prosi, żebym dała się namówić „tylko na jednego”, ale i tak ulegam. On pije wodę.

– Bardzo miło z twojej strony, że zgodziłaś się ze mną spotkać – mówi.

– Przyjemnie jest gdzieś wyjść. – Mam nadzieję, że nie wyjdę na żalną pustelniczkę, pozbawioną jakiegokolwiek życia towarzyskiego.

Pojawia się kelner i Henry składa zamówienie, które świadczy o dużym apetycie: wybiera przystawkę i danie główne. Nie jestem zbyt głodna i miałam nadzieję, że uda mi się poprzestać na sałacie. Waham się, co z pewnością mocno zirytowałoby Simona. W końcu decyduję się na prosciutto z melonem i makaron puttanesca.

– Uwielbiam włoską kuchnię – mówi Henry. – Ale mam wątpliwości co do tej restauracji. Kelner jest z Rosji, a kucharz podobno z Albanii.

Wybucham śmiechem.

– Skąd wiesz?

– Spytałem – wyjaśnia z zaskoczoną miną.

Mam nadzieję, że nie okaże się jednym z tych smakoszy, którzy pytają, jak kuchnia przygotowuje ragù. Odkąd Simon ożenił się z Fleur, stał się kulinarnym

nudziarzem. Georgie powiedziała mi, że na walentynki dają sobie w prezencie borowiki.

– Jak się miewa Georgia? – pyta Henry, kiedy menu znika ze stołu.

– Spędza weekend z tatą. Jesteśmy rozwiedzeni. – Zdaję sobie sprawę, że nie pytał mnie jeszcze o stan cywilny. Dlatego że ma jak najuczciwsze zamiary? Naprawdę chciał się ze mną zobaczyć, żeby odbyć miłą pogawędkę na temat R.M. Hollanda?

– Dawno jesteś po rozwodzie?

– Pięć lat – odpowiadam. Robię pauzę, dając mu szansę, by ją wypełnił, i na szczęście spełnia moje życzenie.

– Ja rozwiodłem się dziesięć lat temu – informuje. – Choć wydaje mi się, że to było dawniej.

– Musiałeś się młodo ożenić – zauważam.

– Poznaliśmy się na studiach. Ale przypuszczam, że w grę wchodziło też wychowanie. Obaj moi bracia ożenili się krótko po przekroczeniu dwudziestki. Uważałem, że trochę się ociągam, czekając do dwudziestych piątych urodzin. Sandra też tak sądziła. Podobnie jak ja pochodziła z rodziny robotniczej. Matka dawała jej do zrozumienia, że jej szansa już minęła. Naprawdę trudno w to uwierzyć. Były lata dziewięćdziesiąte, ale wydawało się, że dziewiętnastego wieku.

– Też poznałam Simona na uniwersytecie – mówię. – Pobraliśmy się jako pierwsi z grupy naszych znajomych. Nie wiem, co sobie wyobrażaliśmy.

– A ja wiem. Mój syn ma dziewczynę na stałe i chcę mu powiedzieć: „Na litość boską, tylko się od razu nie żęń”. Oczywiście nie mówię.

– Ile masz dzieci?

– Dwóch synów, Freddy’ego i Luke’a. Freddy studiuje matematykę w Durham, Luke jest w ostatniej klasie liceum. To on ma dziewczynę.

– Georgie ma chłopaka – informuję Henry’ego. – Starszego o sześć lat. Nie chcę, żeby w tym wieku wchodziła w poważny związek, ale tak jak powiedziałaś, nie można im udzielać rad. Trzeba poczekać, aż sami do tego dojdą.

Kelner przynosi przystawki. Henry wbija widelec w plasterek salami, nie zwracając większej uwagi na zawartość swojego talerza, co moim zdaniem jest lepsze niż gładzenie o tym, że wędlna powstaje w Kalabrii z mięsa zadowolonych świń.

– No i jak, udało ci się zrobić jakieś postępy w zgłębieniu tajemnicy R.M. Hollanda? – pyta.

– Której? – W moim życiu jest teraz tyle tajemnic, że naprawdę nie pamiętam, co tak bardzo zainteresowało mnie w znalezionych przez Henry’ego listach. Chodziło o to, czy Holland zabił własną żonę, czy co zrobił z córką?

– Mówię o Marianie – uściśla Henry. – W listach wspominał o tajemniczej córce. Tej, która podobno zmarła, ale nie ma grobu.

– Ach, tak... Nie, nie dowiedziałam się niczego więcej. Rzecz w tym...

Waham się. Właśnie teraz powinnam mu opowiedzieć o zabójstwie Elli, wyjaśnić, że ostatnio nie potrafiłam się skupić. Ale nie chcę o tym mówić. Tak miło jest być w towarzystwie osoby, z którą nie rozmawiam o tym, „co mogło się stać” ani „co robi policja”. Ale jeśli Henry się dowie, a ja nie pisnę o tym słowa, w najlepszym razie wyjdę na nieczułą, w najgorszym – na podejrzaną.

– Chodzi o to – kontynuuję – że w tym momencie mam trudną sytuację w pracy. Wszyscy jesteśmy przybici... parę tygodni temu zmarła nasza koleżanka. Moja przyjaciółka.

– Przykro mi – mówi Henry. – Na co zmarła twoja przyjaciółka?

– Została zamordowana. – Czuję, jak do oczu cisną mi się łzy.

Ale Henry patrzy na mnie ze spokojem i życzliwością.

– To okropne. Chcesz o tym porozmawiać czy wolałabyś mieć wieczór wolny od tej historii?

Ogarnia mnie taka ulga, że omal nie wybucham głośnym śmiechem. Ocieram oczy w nadziei, że nie rozmazałam tuszu.

– Wolę wolny wieczór – odpowiadam.

No więc rozmawiamy o książkach, muzyce i telewizyjnych adaptacjach, zastanawiając się, czy mogą dorównać oryginałom. Henry twierdzi, że bardzo podobała mu się wersja *Wojny i pokoju* wyprodukowana przez BBC. Zauważam, że było w niej za dużo pokoju.

– Większość ludzi omija fragmenty o wojnie.

– To przecież najlepsze fragmenty – mówię. – Natasza i Piotr niewiele mnie obchodzą.

– Surowa z ciebie kobieta.

– Chyba nie mam innej możliwości.

Moje prosciutto jest gumiate, a makaron trochę za słony, ale w ogóle się tym nie przejmuję. Miło jest siedzieć w restauracji i rozmawiać o Tołstoju z przystojnym mężczyzną. Bo jakoś tak przy głównym daniu uświadamiam sobie, że Henry jest przystojny. Nie wiem, dlaczego dopiero teraz to zauważam.

Przy kawie pyta mnie o szkołę.

– Fascynuje mnie myśl o pokojach R.M. Hollanda.

– Niewiele jest do oglądania – studzę jego entuzjazm. – W starej części szkoły odbywa się część lekcji, ale sale nie nadają się dla większych grup. Mamy tam bibliotekę dla nauczycieli, jadalnię i kaplicę. Kaplica jest stosunkowo nowa, z lat dwudziestych ubiegłego wieku, secesyjna i kiczowata. Jedyne pokój, który pozostał nietknięty, to gabinet Hollanda na końcu krętych schodów. Są tam wszystkie jego książki i zdjęcia. Czasem pokazujemy go uczestnikom kursów dla dorosłych. Uczniowie oczywiście nie mają tam wstępu.

– Bardzo chętnie zobaczyłbym ten gabinet.

– Kiedyś ci go pokażę – obiecuję. – Mam klucz. – Oczywiście mam na myśli klucz do gabinetu, ale tak naprawdę mam klucze do całej szkoły, bo wczoraj po próbie zamykałam budynek.

– Może teraz? – proponuje Henry. – Kiedy stąd wyjdziemy?

Nie wiem, czy żartuje, czy mówi serio. Myśl, że miałabym wejść z Henrym do pustej szkoły, wywołuje we mnie tak sprzeczne emocje, że naprawdę sama nie

wiem, co czuję. Byłoby romantycznie? Strasznie? Dziwnie? A może po prostu przeżylibyśmy przygodę? Wtedy przypominam sobie – choć przecież ani na chwilę nie zapomniałam – że nieznajomy, który prawdopodobnie jest sprawcą zabójstwa, pisał w moich prywatnych dziennikach. Powinnam wracać do domu, zaryglować drzwi i przez resztę wieczoru przytulać psa.

– Mówisz serio? – upewniam się.

– Pomyślałem, że byłoby fajnie – odpowiada. – I chciałbym zostać z tobą sam.

Patrzymy na siebie. Jego oczy są bardzo ciemne, prawie czarne.

– Muszę wracać do psa – mówię.

– Oczywiście. Rozumiem.

Zmieniam zdanie dlatego, że tak szybko się poddaje. Czemu nie? – myślę. To naprawdę będzie przygoda. I może rzeczywiście okaże się romantyczna, któż to wie? Nagle wyobrażam sobie, jak uprawiamy seks na szeszlengu w gabinecie Hollanda. Jestem zaskoczona szybkością, z jaką umysł podsuwa mi fantazję z gatunku „tylko dla dorosłych”. Jeśli nawet rozważałam – przelotnie – możliwość pójścia do łóżka z Rickiem, to w mojej wyobraźni sam akt odbywał się w ugrzecznionej wersji.

Henry upiera się, by zapłacić rachunek, i nie protestuję zbyt gwałtownie. W przenikliwym wieczornym chłodzie idziemy na parking. Na szczęście będziemy jechać dwoma samochodami. Przynajmniej będę mogła uciec, gdybym musiała. Nagle zadaję sobie pytanie: dlaczego w ogóle myślę o ucieczce?

– Pojadę za tobą – mówi Henry.

– Drogi są kręte – uprzedzam go. – Lepiej włącz też nawigację.

Drogi rzeczywiście wiją się serpentynami i są bardzo ciemne. Na niebie jest skrawek księżyca, ale przesuwają się za chmurami; czasem wygląda jak upiorny uśmiezek, a czasem zupełnie znika. Reflektory z trudem przenikają czerń, kiedy mijam pokryte szronem pola, łąki i widmowe drzewa. Nie widać żadnego innego samochodu ani człowieka. Na podjeździe Domu Hollandów panuje najgęstszy mrok; nisko zwieszony gałęzie szorują o dach samochodu, a brama pojawia się

nagle, jakby znikąd, surowa i czarna, z kamiennymi lwami po bokach. Jest zamknięta na kłódkę, ale mam klucz. Gdy wysiadam z auta, widzę, że Henry jest tuż za mną w czarnym wozie terenowym.

Parkujemy przed głównym wejściem do budynku, co jest zabronione, gdy w szkole są uczniowie. Drzwi otwierają się bez trudu, wyłączam alarm. Mam nadzieję, że woźnemu nie przyjdzie do głowy odbyć nocnego obchodu, ale jeżeli plotki o jego słabości do alkoholu są prawdziwe, to o tej porze powinien już zalec nieprzytomny przed telewizorem.

Wchodzimy po schodach, głośno dudniąc butami na drewnianych stopniach. *Nie słuchaj kroków mych, nie pragnij wiedzieć, dokąd zmierzają*[17]. Nie chcę zapalać świateł, więc używam latarki w telefonie. Od czasu do czasu oświetlam szkolne ogłoszenie albo portret sprzed wieku. Ze złotych ram spoglądają nieżyjący od lat Hollandowie. Myślę o Alice i jej śmiertelnym upadku. Teraz jest idealny moment, by ujrzeć jej ducha. W domu jednak panuje cisza.

Idziemy korytarzem na pierwszym piętrze, mijamy zamknięte na klucz drzwi, ciemne okna. U stóp krętych schodów przystaję, by wyjąć drugi pęk kluczy.

– Clare – słyszę głos Henry’ego.

Odwracam się. Przyciąga mnie do siebie i całuje.

To jeden z najlepszych pocałunków w moim życiu, długi i namiętny. Czuję we włosach jego dłonie, czuję nacisk jego ciała, które mocno przywarło do mojego. Czy to się stanie? – myślę. Będziemy uprawiali seks? Przecież dwoje dorosłych ludzi nie może się tak całować, jeżeli nie zamierzają iść do łóżka.

Wydaje się, że upłynęło parę godzin, gdy wreszcie odsuwam się od niego.

– Gabinet – mówię nieco zdyszana.

– Gabinet – powtarza. A gdy się uśmiecha, widzę, jak lśnią jego zęby.

Wspinamy się po schodach. Trzymam w dłoni klucze, widzę jednak, że drzwi są lekko uchylone. Otwieram je na całą szerokość.

Przygotowuję się na widok manekina na krześle. Uprzedziłam o tym Henry’ego i przypominam sobie, że bym nie przeżyła szoku. Ale nie jestem przygotowana na

widok postaci siedzącej bezwładnie za biurkiem. Jej rysy znieca oświetla snop księżycowego blasku.

To Rick. Rick z nożem w sercu.

[17] William Shakespeare, *Makbet*, akt II, scena 1, przekład Macieja Słomczyńskiego.

Oczywiście śmierć Ebrahimiego mną wstrząsnęła. Pamiętam, jak stałem bez ruchu z wycinkiem z gazety w ręce, a potem wróciłem do pokoi, położyłem się w łóżku i dygotałem. Kto przysłał mi ten nieszczęsny artykuł? Kto zapisał tłumaczenie smukłym, pochyłym pismem? I kto dopisał na odwrocie słowa Puste jest piekło? Czyżby Bastian? Może Collins? Wydawało się to niemożliwe, ale któż inny mógłby wiedzieć o Piekielnym Klubie i tamtej strasznej nocy?

Przez kilka następnych dni zastanawiałem się nad tymi pytaniami. W istocie nie myślałem o niczym innym. Ostatecznie jednak pokonałem lęki i żyłem dalej jakby nigdy nic. Cóż innego mógłbym począć? Poza tym byłem młody, cieszyłem się zdrowiem i tężyzną. Rozumie pan, drogi młody przyjacielu? Tak, widzę, że doskonale. Młodość jest arogancka i to jej święte prawo. Było mi przykro z powodu śmierci Ebrahimiego – i szczerze opłakałem stratę mojego przyjaciela Gudgeona – ale nie mogłem nic zrobić, by przywrócić im życie. Kontynuowałem więc studia, a nawet zacząłem się starać o względy pewnej młodej damy, córki mego opiekuna naukowego. Tamtej wiosny życie miało słodki smak, tym słodszy, że towarzyszyła mi świadomość, iż umknąłem spod ostrza śmierci. Wówczas bowiem byłem przekonany, że udało mi się umknąć.

Ależ ten wiatr wyje.

CZEŚĆ PIĄTA

Harbinder

Rozdział 24

Kiedy nadeszła wiadomość, byłam w łóżku, ale nie spałam, tylko przeglądałam telefon: ułożyłam słowo w Scrabble, przebiłam parę balonów w *Panda Pop*, czytałam na Facebooku o głupim życiu różnych osób. Nagle zadzwoniła centrala z informacją, że w szkole Talgarth znaleziono zwłoki. Natychmiast zerwałam się na nogi i wysłałam SMS-a do Neila, żeby przyjechał do szkoły.

Byłam w połowie schodów, gdy na górze pojawiła się mama w narzuconym na koszulę nocną szlafroku taty.

– Dokąd idziesz, Heeno?

Na pewno zauważyła, że mam na sobie odblaskową kurtkę policyjną. Raczej nie wybierałam się na imprezę.

– Do pracy – odparłam. – Jest nowy fakt w sprawie.

– Bądź ostrożna – poprosiła.

– Zawsze jestem. – Szybko wyszłam, zanim zdążyła zaproponować, że przygotuje mi haldi doodh do termosu.

Zaraz za Seaford drogi były śliskie. Jechałam na tyle szybko, na ile pozwalał rozsądek. Dochodziła północ. W momencie, gdy skręcałam w bramę Talgarth, zegar w samochodzie wyświetlił nieco złowrogą liczbę 00.00. Posterunkowy czekał przy kamiennym postumencie z lwem (kiedyś Kush i jego kumple pomalowali temu lwu jaja na niebiesko).

– Wsiadaj – poleciłam. Wyglądał na przemarzniętego do szpiku kości. Być może cierpiał na tę samą przypadłość co lew.

– Dziękuję, pani sierżant.

Miło doświadczyć odrobiny szacunku od młodszego pokolenia.

Podjechałam wolno do głównego wejścia. Chłopak wyjaśnił, że odebrano zgłoszenie o dwudziestej trzeciej trzydzieści.

– Dzwoniła jakaś kobieta, wyraźnie rozhisteryzowana. Powiedziała, że w szkole zamordowano mężczyznę.

Mundurowy udał się na miejsce i powiadomił dochodzeniówkę. Niewiele więcej wiedział. Jego sierżant polecił mu czekać przy bramie aż do mojego przyjazdu.

Drzwi były otwarte. Posterunkowy nie musiał mnie informować, gdzie jest ciało. Oczywiście, że na górze. Powiedziałam mu, żeby zaczekał w holu na Neila, a sama pobiegłam na górę, przeskakując po dwa stopnie naraz.

Ruszyłam prosto w stronę gabinetu Hollanda i nawet się nie zdziwiłam, gdy u stóp krętych schodów zobaczyłam Clare Cassidy, która siedziała na krześle przyniesionym chyba z sali lekcyjnej. Kręciła się wokół niej policjantka, a sierżant, którego kojarzyłam z widzenia, rozmawiał z nieznanym mi bardzo wysokim mężczyzną.

Gdy się zbliżyłam, wszyscy się odwrócili. Sierżant, Derek jakiś tam, powiedział:

– Detektyw sierżant Kaur. Szybko się pani zjawiała.

– Mieszkam niedaleko – wyjaśniłam. – Clare. A to niespodzianka.

Clare uniosła wzrok. Była bardzo blada, ale oczy miała ciemne od tuszu do rzęs i konturówki, które trochę się rozmazały. Dla kogo się umalowała? Dla pana Dryblasa?

– Pani Cassidy zadzwoniła pod dziewięć dziewięć dziewięć – powiedział sierżant Derek. – Denat został znaleziony w pokoju na górze tych schodów. Wygląda na to, że został zakłuty nożem.

– Zabezpieczyliście miejsce? Wezwaliście techników?

– Tak. Są w drodze.

– Pójdę rzucić okiem.

Wspięłam się po schodach wyłożonych dywanem z dziwnymi odciskami stóp. Zabawne. Tyle słyszałam o tym pokoju, ale nigdy jeszcze do niego nie weszłam. Przez otwarte drzwi zobaczyłam siedzącego przy biurku mężczyznę. Przez chwilę myślałam, że to manekin, o którym wcześniej wspominała Clare, ale zaraz zorientowałam się, że to Rick Lewis. Z klatki piersiowej wystawał nóż, nastąpiło już stężenie pośmiertne. Nie chciałam wchodzić głębiej do pokoju, żeby nie zanieczyścić śladów.

Kiedy wróciłam na dół, był już Neil. Słyszałam, jak pyta Clare, czy chciałaby się napić wody. Jasne, Neil. Jak zwykle podlizuj się Clare.

Odwróciłam się do sierżanta.

– Ofiara to Rick Lewis. Jest tu nauczycielem. Jego dane osobowe są w aktach sprawy w komisariacie. Trzeba będzie zawiadomić najbliższą rodzinę.

– Zajmę się tym – zaofiarował się. – Chyba że jestem tu potrzebny.

– Nie, poradzimy sobie. Zaczekam na ekipę techników. Najpierw chcę tylko porozmawiać ze świadkiem. Któreś z tych pomieszczeń jest otwarte?

– Sala lekcyjna, trzecie drzwi w korytarzu – odezwała się policjantka. – Stamtąd wzięłam krzesła.

– Okay. Neil i ja zamienimy kilka słów z panią Cassidy. Posterunkowa...

– Jill Monroe.

– Posterunkowa Monroe. Możesz zostać z panem...? – Spojrzałam na wysokiego mężczyznę.

– Henry Hamilton – przedstawił się.

Jego głos brzmiał inaczej, niż się spodziewałam. Akcent z Północy, chyba z Kumbrii. Miał drogie buty, z czerwono-brunatnej skóry.

Neil i ja zaprowadziliśmy Clare do pustej klasy.

– Długo to potrwa? – spytała. – Muszę wracać do domu do psa.

– A twoja córka?

– Wyjechała do ojca.

Czyli miałaś wolny weekend i mogłaś spotkać się z chłopakiem, pomyślałam.

– Postaramy się załatwić to jak najszybciej – obiecałam – ale będziemy musieli zadać ci kilka pytań w komisariacie.

Przeniosła wzrok ze mnie na Neila.

– Mogłabym dostać szklankę wody?

Westchnęłam. Bóg jeden wie, gdzie w tym budynku znajdzie wodę i szklankę. Jadalnia na pewno była zamknięta. Ale Neil wyszedł i po chwili wrócił z plastikową butelką. Chyba wziął ją od posterunkowej Monroe. Clare popatrzyła na wodę z niesmakiem i wypła łyżek.

– No więc przypadkiem znalazłaś się w pustej szkole o północy? – zaczęłam.

Rzuciła mi niechętne spojrzenie, ale odparła spokojnym, bezbarwnym głosem:

– Chciałam pokazać Henry’emu gabinet R.M. Hollanda.

– Naturalnie.

– Byliśmy na kolacji w Chichester. Zaczęliśmy rozmawiać o Hollandzie.

No jasne. Clare nie wystroiła się tak na sympatyczną pogawędkę o książkach. Miała na sobie czerwony płaszcz, ale pod spodem widać było cieniutką bluzkę i tonę biżuterii. Do tego szpilki. Moją opinię o niej zmieniło to, że włamała się do szkoły na bara-bara. Zwłaszcza że miała do dyspozycji pusty dom ze sprawnym łóżkiem. Może jednak nie była taką zimną rybą, jak przypuszczałam.

– Skąd znasz pana Hamiltona?

Byłam pewna, że z internetu, ale powiedziała, że spotkali się w Cambridge. Natrafił na jakieś listy od R.M. Hollanda i uznał, że mogą ją zainteresować. Co nie zmieniało faktu, że planowała bzykać się z nim w pustej szkole.

– Czy kiedy tu przyjechaliście, widziałaś kogoś? – spytałam. – Woźnego?

– Nie. Miałam klucze. Nie chciałam budzić Dave’a.

– Teraz lepiej jednak będzie go obudzić – stwierdziłam, notując w pamięci, żeby powiedzieć o tym mundurowemu na dole. Dziwiłam się, że Dave nie widział kogutów naszych wozów. – Co zrobiliście po wejściu do budynku?

– Od razu weszliśmy tutaj. Henry chciał obejrzeć gabinet. Weszliśmy i zobaczyliśmy... – Znowu napiła się wody, unosząc butelkę drżącymi rękami.

– Od razu rozpoznałaś Ricka Lewisa?

– Tak – wyszeptała.

– Nie domyślasz się, kto mógł to zrobić?

Popatrzyła na mnie podkreślonymi tuszem oczami.

– To on. Człowiek, który pisze w moich dziennikach.

Nie zadawałam już więcej pytań, ponieważ chciałam przeprowadzić regularne przesłuchanie w komisariacie. Odesłałam Clare do domu w towarzystwie posterunkowej Monroe, żeby wyprowadziła i nakarmiła biednego psa. Tymczasem Neil i ja rozmawialiśmy z Henrym Hamiltonem. Był wyraźnie zakłopotany całą sytuacją: przede wszystkim spotkaniem z Clare, ukradkowym nocnym wejściem do szkoły i znalezieniem ciała Ricka. Zanotowałam jego adres i spytałam, gdzie dzisiaj nocuje.

– W hotelu Royal Albion w Brighton.

Tam też doskonale łóżko aż się prosiło o skorzystanie z jego wygód.

– Proszę tam wracać – powiedziałam. – Ale jutro będziemy musieli z panem rozmawiać.

– Już jest jutro – zauważył.

Spojrzałam na zegarek. Dochodziła pierwsza.

– Może pan przyjechać do komisariatu o dziewiątej? – spytałam. – Detektyw sierżant Winston poda panu adres.

– Oczywiście. – Hamilton wstał. Naprawdę był strasznie wysoki. Wydawało się, że chce coś powiedzieć, i przez chwilę spoglądał to na mnie, to na Neila, przestępując z jednego czerwono-brunatnego buta na drugi.

– Clare... – wykrztusił w końcu.

– Co Clare? – Też wstałam, ale niewiele to zmieniło.

– Wydawało mi się... Niemożliwe... Chyba o nic jej państwo nie podejrzewają?

– Pani Cassidy jest ważnym świadkiem – odparłam. – Podobnie jak pan.

– A pan ją podejrzewa? – odezwał się Neil. Bardzo dobre pytanie.

Hamilton zaśmiał się nieprzekonująco.

– Boże, nie. Nie znam jej za dobrze, ale jest taka...

W rzeczy samej jest, pomyślałam.

– Proszę wracać do hotelu – powiedziałam. – I spróbować trochę odpocząć. Zobaczymy się za kilka godzin.

Mundurowy, który nazywał się Lee Parsons, przyprowadził woźnego. Dave Bannerman był rozczochranym facetem około pięćdziesiątki i wszystko wskazywało na to, że jeszcze przed chwilą był pogrążony w głębokim śnie, być może wywołanym przez alkohol. Spytałam go, czy wieczorem widział lub słyszał coś w szkole.

– Nie – odparł. – Zrobiłem ostatni obchód o dziewiątej. Wyglądało na to, że wszystko jest w porządku.

Wiedziałam, że woźny mieszka w domku na terenie szkoły. W moich czasach krążyły plotki, że Pat Zbok zwabiał tam uczennice cukierkami. Uważałyśmy wtedy, że to zabawne.

– Co pan robił po dziewiątej?

– Oglądałem telewizję. Wypiłem piwo.

Albo trzy, pomyślałam.

– Co pan oglądał? – zainteresował się Neil.

– Coś na Netflixie. Nie pamiętam.

Na tym właśnie polega kłopot z dzisiejszą telewizją. Dawniej można było ustalić, co i kiedy ktoś robił, jeśli było wiadomo, czy obejrzał końcówkę programu *Match of the Day*, czy nie. Netflix i inne platformy streamingowe wszystko zniszczyły.

– Wiedział pan, że Clare Cassidy ma klucze? – spytałam.

Skinął głową.

– Tak, zamykała budynek po próbie w piątek.

– Nie powinna zwrócić panu kluczy?

Wzruszył ramionami.

– Formalnie rzecz biorąc, tak, ale ludzie często czekają z tym do poniedziałku.

Zdecydowanie słabo tu z przestrzeganiem procedur ochrony. Mogłabym pogadać o tym z Tonym Sweetmanem.

– Kiedy ostatni raz widział pan Ricka Lewisa, szefa zespołu anglistów? – zapytał Neil.

Dave wlepił w nas zdumione spojrzenie.

– Dlaczego pan... Czy on...?

– Proszę tylko odpowiedzieć na pytanie.

– Chyba w piątek. Zdaje się, że widziałem go, jak wychodził pod koniec dnia. Tak, jako jeden z ostatnich. Potem zostały tylko pani Cassidy i pani Palmer. Prowadziły próbę przedstawienia. W tym roku wystawiają *Krwiożerczą roślinę*.

– A Tony Sweetman? – Dyrektor powinien chyba wychodzić ostatni, jak kapitan z pokładu tonącego statku?

Woźny uśmiechnął się kpiąco.

– Urwał się wcześniej. Widocznie wyjeżdżał na weekend.

– Dziękuję, panie Bannerman – powiedziałam. – Jutro złożę pan oficjalne zeznanie, ale na razie to nam wystarczy.

Posterunkowy Parsons wyprowadził woźnego. Zostaliśmy z Neilem w pustej klasie i spojrzeliśmy na siebie.

– Co o tym myślisz? – zapytał. – To ten sam sprawca? Znowu była wiadomość?

– Nie widziałam. Jeżeli jest, znajdą ją technicy. Ale moim zdaniem to ten sam sprawca. Znowu nóż. A autor wpisów w dzienniku zapowiedział, że ofiar może być więcej.

– Myślisz, że to ta osoba, która pisała w dzienniku Clare?

– Jeżeli nie sama Clare.
– Charakter pisma jest inny. Tak stwierdziła biegła grafologka.
– Nie była pewna – zauważyłam. – To nigdy nie jest pewne. Dla sądu to nie byłoby rozstrzygający dowód.

– Przypuszczasz, że Clare zadźgała Ricka Lewisa, a potem wróciła tu ze swoim gachem?

– Gachem? – powtórzyłam. – W którym wieku ty żyjesz?

– Jakoś nie wzbudził we mnie zaufania.

– Mogła to wszystko zaaranżować – powiedziałam. – Przekonać nas, że przyjechała tu na szybki numerek, żeby odwrócić naszą uwagę.

– Ale po co? – zastanawiał się Neil. – Przecież lepiej byłoby pozwolić, żeby ten biedny woźny znalazł ciało w poniedziałek rano, nie?

– Jeżeli w ogóle wchodzi na górę. Lewis mógł zostać za tym biurkiem bardzo długo.

Neil wzdrygnął się teatralnie.

– Ale dlaczego Clare miałyby go zabić?

– Wiemy, że się w niej podkochiwał, że ją prześladował. Może chciała dać mu nauczkę.

– Po co?

– Przecież jest nauczycielką – rzuciłam. – Chodź, pojedziemy do komisariatu i ją przesłuchamy.

Ruszyliśmy w stronę głównych schodów w momencie, gdy wchodziła po nich ekipa techników kryminalistyki, którzy w białych kombinezonach wydawali się rozděci do monstrualnych rozmiarów.

Rozdział 25

Neil i ja przesłuchaliśmy Clare Cassidy pod okiem Donny, która obserwowała nas z drugiej strony lustra. Clare przebrała się w dżinsy i gruby granatowy sweter. Zmyła z oczu barwy wojenne, wydawało mi się jednak, że nałożyła na powieki odrobinę szarego cienia, żeby wyglądać na bladą i bezbronną. Ale może byłam niesprawiedliwa.

Przed przesłuchaniem została pouczona o przysługujących jej prawach. Spytałam, czy chce adwokata, ale odmówiła. Wydawała się całkiem spokojna, kiedy usiadła i odsunęła się od nas z krzesłem o jakieś dwa centymetry, żeby uzyskać większą kontrolę nad przestrzenią. Zaproponowaliśmy jej coś ciepłego do picia, ale przyniosła ze sobą wodę w ekologicznej butelce wielokrotnego użytku. Ścisnęła ją w dłoni.

Uruchomiłam nagrywanie, przedstawiłam siebie i Neila, a potem poprosiłam Clare, żeby zrelacjonowała przebieg wczorajszego wieczoru. Opowiedziała, jak szykowała się do randki, jak spotkała się z Henrym Hamiltonem w restauracji. Pamiętała, co oboje jedli i że to on zapłacił rachunek.

– Czyj to był pomysł, żeby pojechać do Talgarth? – spytałam.

– Jego – odparła Clare. – Rozmawialiśmy o gabinecie R.M. Hollanda i powiedział, że bardzo chętnie by go obejrzał. Z początku myślałam, że żartuje.

– Ale mimo to pojechaliście zobaczyć ten pokój – zauważyłam. – Otworzyłaś drzwi szkoły w środku nocy, łamiąc prawdopodobnie wszystkie przepisy BHP. Dlaczego?

Nieznacznie wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Może uznałam, że to będzie romantyczne. Że przeżyję przygodę.

– Romantyczne? Co masz na myśli?

Utkwiła we mnie te swoje ogromne oczy.

– Łamanie zasad bywa podniecające.

– Zamierzałaś uprawiać z Henrym seks? – Gdyby powiedziała, że tak, w sądzie spotkałoby ją potępienie. Przysięgli nie cierpią kobiet, które mają życie erotyczne.

– Niczego nie planowałam – odpowiedziała. – Pomyślałam tylko, że mogłoby być fajnie.

– Fajnie?

– Tu akurat się myliłam.

Spojrzałam na Neila, a on posłusznie zmienił temat.

– Kiedy ostatni raz widziałaś Ricka Lewisa?

– W piątek w szkole. Po lekcjach przekazałam Georgie pod opiekę ojcu. Z zachowaniem szczególnej ostrożności, zgodnie z waszym zaleceniem. Kiedy wracałam na górę, Rick schodził na dół. Spytał, czy wieczorem prowadzę próbę. Potwierdziłam. Powiedział, że jedzie do domu, więc życzyłam mu miłego weekendu.

Tyle że nie pojechał prosto do domu, pomyślałam. Dave Bannerman twierdził, że wyszedł jako jeden z ostatnich.

– Jakie sprawiał wrażenie? Chodzi mi o samopoczucie.

– Wydawał się w porządku. Oczywiście wszyscy ciągle są przybici po śmierci Elli.

Urwała, być może uświadamiając sobie, że nowa śmierć będzie następnym powodem przygnębienia. Zespół anglistów wciąż się zmniejszał.

– Co zrobiłaś po znalezieniu zwłok Lewisa? – spytałam.

– Chyba krzyknęłam. Henry stał za mną. Z początku nie zorientował się, co się stało. Mówiłam mu wcześniej o manekinie. Pewnie myślał, że to właśnie...

– Wchodziłaś do tego pokoju? Dotykałaś czegoś? To ważne dla techników zabezpieczających ślady.

– Chyba weszłam. Tak, dotknęłam dłoni Ricka. Był zimny. Stąd wiedziałam, że nie żyje.

– A Henry?

– Chyba też wszedł. Nie pamiętam.

– Co potem zrobiliście?

– Miałam w ręce telefon, bo oświetlałam drogę latarką. Zadzwoiłam pod dziewięć dziewięć dziewięć. Nie miałam twojej wizytówki, więc nie zawiadomiłam was bezpośrednio.

– W porządku – odparłam. – Co robiliście, czekając na przyjazd policji?

– Henry powiedział, że powinniśmy iść do głównego wejścia i tam poczekać. Zostawiliśmy otwartą bramę. Z ogromną ulgą oddaliłam się od tego pokoju.

– Po jakim czasie zjawił się patrol policji?

– Byli na miejscu prawie w tym samym momencie, gdy zeszliśmy na dół. Wróciliśmy, żeby pokazać im gabinet. Zrobiło mi się słabo i policjantka przyniosła mi krzesło. Wtedy przyjechaliście wy.

W pokoju przesłuchań nie ma okien, ale odwróciłam wzrok, jakbym podziwiała jakiś widok.

– Zabiłaś Ricka Lewisa? – zapytałam.

– Nie! – Zabrzmiało to prawie jak krzyk, ale równocześnie usłyszałam głos nauczycielki zszokowanej niestosownością pytania.

– Czy dalej cię niepokoił? – odezwał się Neil ze współczuciem w głosie. – Kręcił się pod domem? Dręczył cię?

– Nie. To się skończyło dawno temu. Jeszcze przed wakacjami.

– W dzienniku piszesz, że byłaś zazdrosna o Ellę Elphick i Ricka Lewisa – powiedziałam. – Czujesz wciąż zazdrość?

– Nigdy nie czułam – obruszyła się. – Już zapomniałam, że napisałam coś takiego. To było chwilowe. Na tym właśnie polega pisanie dziennika: rejestruje się

to, co czuje się w danym momencie. Ale to minęło. Rick był kolegą z pracy. Nikim więcej.

– Lubiałś go?

Zawahała się.

– Tak. Był dobrym szefem i dobrym nauczycielem. Troszczył się o dzieciaki. – Po raz pierwszy słyszę, jak jej głos drży.

– Nie domyślasz się, kto mógł go zabić? – spytał Neil.

– Już mówiłam: osoba, która pisała w moim dzienniku. Wyraźnie mówi tam: *Jedna z tych istot została przeze mnie usunięta. Na pozostałe rzucę się jak nienasycona bestia.*

– Pamiętasz co do słowa – zauważyłam.

– Umiem zapamiętywać cytaty. Poza tym takie rzeczy trudno zapomnieć.

– Jak sądzisz, kto to napisał?

– Nie mam pojęcia – odparła ze znużeniem.

– Przerwywamy przesłuchanie – powiedziała do mikrofonu.

– Jest coś podejrzanego w tym, że w nocy znaleźli się w szkole? – spytała Donna. – Clare Cassidy mogła zabić Lewisa?

Składaliśmy jej ekspresowe sprawozdanie, a tymczasem przesłuchiwana poszła skorzystać z łazienki.

– Hamilton jest świadkiem, że znaleźli go martwego za biurkiem – powiedziałam. – Oczywiście mogła zabić Lewisa wcześniej. Wszystko zależy od tego, jaki czas śmierci ustalą technicy w trakcie oględzin zwłok.

– Naprawdę przypuszczasz, że mogła zabić tego faceta? – powątpiewał Neil. – Dlaczego?

– Z dzienników wynika, że była na niego zła.

– Ty też często jesteś na mnie zła – odparował – ale jakoś nie próbujesz mnie zabić.

Motyw i sposobność, przedziwnie kapryśna para. Ale Neil miał rację. Trudno wyobrazić sobie, że Clare zabija Lewisa za to, że podkochiwał się w niej parę miesięcy wcześniej, albo za to, że przydzielił jej więcej prac pisemnych do sprawdzenia, niż się wcześniej umówili.

– Przecież to zimna ryba – rzuciła Donna. – Naprawdę zamierzała uprawiać seks ze swoim chłopakiem w szkole? Po tym wszystkim, co się stało?

Clare wróciła do pokoju przesłuchań i wszyscy przyglądaliśmy się jej przez lustro weneckie. Usiadła i położyła ręce na podłokietnikach krzesła. Nie kręciła się ani nie zerknęła na ekran telefonu, jak robiłaby większość ludzi w takiej sytuacji. Patrzyła prosto przed siebie z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

– Może podniecało ją niebezpieczeństwo – podesunęłam, myśląc o jedynej sytuacji, w której miałam w planach uprawianie seksu w pustej klasie. – Nie sądzę, żeby Cassidy zabiła Lewisa, ale to ona jest kluczem do całej sprawy. To w jej dziennikach są te wpisy.

– Chyba że sama jest ich autorką – odparła Donna.

– Grafolożka uznała, że to pismo innej osoby. Prawdopodobnie mężczyzny.

– Z nią na pewno nie wszystko jest w porządku – zawyrokowała nasza przełożona.

O dziewiątej przesłuchaliśmy Henry'ego Hamiltona. Miał niewiele do dodania, ale przyznał – w odpowiedzi na pytanie Neila – że rzeczywiście miał nadzieję wylądować z Clare w łóżku. Ze sprawą nie łączyło go nic więcej. Nie znał Lewisa i nigdy wcześniej nie był w Talgarth.

Skontaktowaliśmy się z Tonym Sweetmanem, który – wyobraźcie sobie – na weekend wyjechał na narty. Podobno byli „współwłaścicielami chatki niedaleko Annecy” i w tym roku „wcześniej spadł śnieg”. Powiedziałam mu, żeby natychmiast wracał do Sussex i że szkoła powinna zostać od jutra zamknięta, najlepiej na cały tydzień.

– Będę musiał skontaktować się z zarządem.

– No więc niech się pan skontaktuje.

Wydał coś w rodzaju jęku.

– To będzie nasz koniec, po tylu zmianach, które wprowadziłem.

Facet naprawdę był cymbałem. W pewnym sensie żałowałam, że ma murowane alibi na czas zabójstwa.

Żona Lewisa zidentyfikowała ciało. Wciąż była z nią funkcjonariuszka pełniąca funkcję łącznika z rodzinami ofiar, ale Neil i ja mieliśmy nadzieję, że po południu uda się nam przesłuchać Daisy Lewis. W południe zaczęliśmy nieco opadać z sił. Neil wyszedł po burgery i frytki i zjedliśmy je w gabinecie Donny.

– Trzeba wydać oświadczenie do mediów – powiedziała. – Dzwonili już do mnie z „Heralda”. Ludzie zauważyli w nocy policyjne koguty.

– Piszą o tym na Twitterze. – Neil przewijał ekran telefonu. – *WTF @ Talgarth? Moja stara buda to melina.*

– Kto to napisał? – Zajrzałam mu przez ramię.

– Przedstawia się jako FoxyLadee.

– Hm, to trochę zawęży listę podejrzanych.

– Powiemy tylko tyle, że znaleziono zwłoki mężczyzny – ciągnęła Donna. – Policja prowadzi dochodzenie. Brak związku ze śmiercią Elli.

– Ludzie jednak zauważą związek – powiedziałam.

– Tu jest coś dobrego – wtrącił Neil, wciąż przeglądając Twittera. – *Może to duch Talgarth #damawbieli.* Napisał niejaki Big Mac. – Zaśmiał się i odgryzł kęs hamburgera.

Otarłam palce o dzinsy i wzięłam od niego telefon.

– Ktoś odpowiedział. *Dama w bieli dokonała zemsty.*

– Od kogo to? – zainteresował się Neil.

– Od MrCartera.

Gary Carter nie miał nawet tyle oleju w głowie, żeby nie używać swojego nazwiska w sieci.

Rozdział 26

O trzeciej pojechaliśmy spotkać się z Daisy Lewis. Na drogach panował spokój, jakby wszyscy siedzieli w domach i delektowali się niedzielnym obiadem z przystawkami i deserem.

– Pieczeń wołowa – powiedział Neil.

– Kurczak tikka masala – skontrolowałam, żeby go rozdrażnić. – To jest teraz danie numer jeden w kraju.

– Puddingi Yorkshire mojej mamy to niebo w gębie. – Neil na dobre pogрузił się we wspomnieniach. – Te, które robi Kelly, nie umywają się do nich.

– Dlaczego sam ich nie przyrządzasz? – spytałam. – Kelly ma przecież dość roboty przy opiece nad Lily i tak dalej, prawda?

– Przecież gotuję – odparł urażonym tonem. – W każdym razie na pewno częściej niż ty.

– Racja. – Znowu krążę po zaułku w Shoreham i szukam miejsca do zaparkowania. – Ale mam na tyle oleju w głowie, żeby mieszkać u mamy.

W końcu znajduję miejsce przed biblioteką. Niedaleko labiryntu uliczek, w którym mieszkała Ella. Uświadomiłam sobie, jak blisko siebie znajdują się domy obu ofiar.

Drzwi otworzyła nam łączniczka, sympatyczna Maggie O'Hara. Zamierzaliśmy później jej wysłuchać; łącznicy zawsze mają cenne spostrzeżenia, ponieważ widzą rodzinę ofiary w najgłębszym kryzysie. Maggie zaprowadziła nas do dużej kuchni ze staroświeckim piecem i wyszorowanym drewnianym stołem. Rodzinna kuchnia,

pomyślałam, zanim zdążyłam sobie przypomnieć, że Lewisowie nie mieli dzieci. Przy stole siedziała Daisy w towarzystwie wyglądającej identycznie kobiety, zapewne bliźniaczki.

– To moja siostra, Lauren – przedstawiła ją. – Może ze mną zostać?

– Oczywiście – zapewniłam. – Bardzo pani współczuję.

Przyjęła kondolencje, z trudem przełykając ślinę i ocierając oczy już całkiem moką chusteczką.

– Maggie uznała, że będzie pani w stanie odpowiedzieć na kilka pytań – ciągnęłam.

– Maggie jest bardzo miła. – Daisy rozejrzała się trochę nieprzytomnym wzrokiem.

– To dobrze. Wiem, że to trudne, ale chcemy złapać człowieka, który dokonał tej strasznej rzeczy, a to znaczy, że musimy działać szybko. Każdy zapamiętany przez panią szczegół może być bardzo cenny.

To moja standardowa formułka, ale najwyraźniej podziałała. Daisy wyprostowała się i wsunęła chustkę do rękawa. Lauren zaproponowała nam kawę albo herbatę i oboje z Neilem poprosiliśmy o kawę. Nie wiem jak on, ale ja czułam się taka zmęczona, że miałam wrażenie, jakby powieki wywracały mi się na lewą stronę.

– Kiedy ostatni raz widziała pani Ricka? – zapytałam, gdy wszyscy mieliśmy przed sobą napoje i zasiedliśmy wokół stołu, jak gdyby uczestnicząc w parodii podwieczorku.

– Wczoraj – odparła. – Właśnie obejrzeliliśmy *Taniec z gwiazdami* – oczywiście, że obejrzeli – i chcieliśmy zobaczyć szwedzki film na BBC cztery, gdy nagle Rick odebrał telefon i powiedział, że musi jechać do szkoły.

– W sobotę wieczorem? – zdziwiłam się. – To było u niego normalne?

– Nie. To znaczy w poprzedni weekend też tam był. Szykowali się do jakiejś kontroli. Ale teraz wezwali go ni z tego, ni z owego. Odebrał telefon i powiedział tylko, że musi pojechać.

– Wie pani, kto dzwonił?

– Domyślałam się, że Tony. Dyrektor.

Sweetman w tym czasie bawił się jednak na zaśnieżonym stoku narciarskim.

– To był męski głos? – spytałam.

– Nie słyszałam – przyznała. – Ale tak przypuszczałam. Rick chyba nawet powiedział, że ktoś „zadzwoił”, w rodzaju męskim.

Biorąc pod uwagę wybryki Lewisa, nie uważałam, by można było wyciągnąć z tego jednoznaczny wniosek.

– Co się stało potem?

– Pocałował mnie na pożegnanie. Wziął kluczyki do samochodu i wyszedł. Powiedział, że wróci późno i żebym nie czekała. A ja... – Twarz jej się ściągnęła. – Spałam, kiedy zadzwonili...

Lauren pogłaskała ją po ramieniu.

– Już dobrze, Dais. Dobrze.

Samochód Ricka Lewisa znaleziono na parkingu w Talgarth, więc naprawdę pojechał do szkoły. Kto do niego dzwonił? *Taniec z gwiazdami* kończy się około ósmej, a Clare i Hamilton zjawili się na miejscu o jedenastej. Sprawca miał więc trzy godziny na to, żeby zamordować Lewisa i zaciągnąć jego ciało do gabinetu R.M. Hollanda. W pokoju nie widziałam śladów krwi, więc zakładałam, że został zabity w innym miejscu. Rick Lewis był wysokim facetem, dość szczupłym, ale i tak ciężkim do wtaszczenia po tych krętych schodach. Czy poradziłaby sobie z tym kobieta? Czy poradziłaby sobie Clare? Stolik we włoskiej restauracji był zamówiony na dwudziestą trzydzieści i przypuszczam, że mogłaby pojechać do Talgarth, zabić Lewisa, a potem szybko wrócić do Chichester; ale wtedy wpadłaby w ostatniej chwili. Nie mówiąc o tym, że na jej eleganckich ciuchach nie było ani jednej kropli krwi.

– Jak mąż się zachowywał po odebraniu tego telefonu? – zapytał Neil.

– Normalnie. Może był trochę rozdrażniony. Przecież był weekend. Ale zachowywał się zwyczajnie. Pocałował mnie na pożegnanie – powtórzyła, jakby

miało to czegoś dowodzić. Może zresztą rzeczywiście dowodziło.

– Daisy – pochyliłam się nad stołem – przyjęliśmy hipotezę, że śmierć pani męża ma związek z zabójstwem Elli Elphick. Czy Rick mówił coś o śmierci Elli, co wydawało się pani dziwne? Wspominał, że ktoś kontaktował się z nim w tej sprawie?

– Kontaktował się z nim?

– Przesłał list, dzwonił? Pisał esemesy?

– Nie. – Pokręciła głową. – Oczywiście był smutny z powodu Elli. Była jedną z jego najlepszych nauczycielek. Ale nie wiedział nic o jej śmierci.

Ciekawe, bo nie o to pytałam.

– Jego stosunki z Ellą dobrze się układały? – spytałam.

– Nie mieli romansu – odparła Daisy – jeżeli o to pani chodzi. Moim zdaniem to wszystko wina tej suki.

– Elli?

– Nie, tej drugiej. Clare Cassidy. Zawsze była zawzięta na Ricka.

Byłam tuż obok domu, ale musiałam odwiedzić Neila do komisariatu. Pomyślałam, że przy okazji mogę zabrać dzienniki Clare. Technicy skończyli już ich oględziny, a jeśli Clare rzeczywiście była kluczem do całej sprawy, to czy był lepszy sposób na spędzenie wieczoru niż lektura jej najskrytszych myśli? Uderzyły mnie słowa Daisy Lewis, gdy o śmierć Ricka oskarżyła Clare, nie Ellę. Nazwała ją „suką”, co na taką kobietę jak Daisy było bardzo mocnym określeniem. Clare wyraźnie była typem kobiety budzącej silne emocje.

Jechałam do domu powoli, pamiętając o swoim zmęczeniu, które przypominało stan upojenia alkoholem. Kiedy weszłam, mama jak zwykle gotowała, a w kuchni towarzyszyli jej Kiaan i Alisha. Z jednej strony byłam zła, że Abid i Cara znowu podrzucili mamie dzieciaki, a z drugiej zawsze fajnie było zobaczyć bratanków i bratanice, zwłaszcza tych młodszych i podatnych na wpływy.

– Ciocia Harbinder! Aresztowałaś przestępców?

– Zabiłaś kogoś?

– Niestety, nie.

Usiadłam przy stole i zaczęłam jeść. U mamy podczas czekania na gwóźdź wieczoru można się posilić przy czynnym non stop bufecie: są samosy, bhaji, roti i moje ulubione chlebki paratha.

– Gdzie wasi rodzice? – spytałam Alishy.

Podeszła i usiadła mi na kolanach. Ma pięć lat, jeszcze na tyle mało, by robić takie rzeczy. Kiaan jest starszy od niej o dwa lata i zaczyna trzymać się na dystans, chociaż próbował zwrócić na siebie uwagę, demonstrując ruchy tai chi.

– Poszli do kina – poinformował mnie Kiaan w połowie gwałtownego wypadu do przodu. – Dzisiaj mają randkę.

– Dobrze jest dbać o uczucie – stwierdziła mama, nie przerywając ugniatania, siekania i smażenia, a wszystkie te czynności najwyraźniej wykonywała jednocześnie. – Trzeba spędzać trochę czasu bez dzieci.

– Poszli obejrzeć *Morderstwo w Oreo Expressie* – powiedziała Alisha. – To nie jest film dla dzieci.

– Tytuł na to wskazuje. – Zdejmuję ją z kolan i wstaję. – Muszę iść trochę popracować.

– Nie spałaś całą noc – rzuciła mama. – Odpocznij trochę. Pograj z dziećmi na komputerze.

– Tak! – wrzasnął Kiaan. – W *Grand Theft Auto!*

– Ta gra też nie nadaje się dla dzieci – odparłam. – Chodźcie, obejrzymy sobie jakiś film.

Przespałam twardo całego *Harry'ego Pottera i Komnatę Tajemnic*; obudziłam się dopiero w chwili, gdy ktoś gigantycznym kłębem przebijał jakiś dziennik. Zaniepokoił mnie widok krwi czy atramentu spływającego po kartkach, ale na Alishy i Kiaanie nie zrobił żadnego wrażenia, między innymi dlatego, że do pokoju

wszedł tata i zaczął odgrywać swój numer „Potwór Łaskotnik, który przewraca meble”. Zostawiłam ich i wymknęłam się na górę do swojego pokoju.

Położyłam torbę na łóżku, ale usiadłam na krześle przy biurku. Gdybym znowu zasnęła, to by była katastrofa. Zanim otworzyłam sekretny dziennik Clare Cassidy, lat 45, musiałam do kogoś zadzwonić.

– Halo? – W głosie Gary’ego brzmiała nieufność, chociaż na ekranie na pewno wyświetliło się moje imię.

– Cześć, Gary. Jak się masz?

– W porządku. Co się dzieje w szkole? Z tego powodu dzwonisz?

– W pewnym sensie – odparłam. – Widziałam, co pisałeś na Twitterze. O damie w bieli.

Na moment zapadła cisza.

– Nie wiedziałem, że jesteś na Twitterze – powiedział Gary, co było tak niedorzeczną odpowiedzią, że omal nie parsknęłam śmiechem.

– Nie jestem. Ale korzysta z niego mój partner. Partner z pracy – dodałam szybko. – Powinieneś wiedzieć, że policja sprawdza takie źródła.

– Przecież nie napisałem niczego złego.

– Nie, ale co miałeś na myśli, pisząc, że dama w bieli dokonała zemsty?

Znowu milczał, tym razem dłużej. Słyszałam tylko ciężki oddech.

– Chodziło mi o to... że jeżeli ktoś zginął...

– Kto mówi, że ktoś zginął?

– Ludzie mówią – odparł Gary z nutą paniki w głosie. – Że ktoś został zamordowany w szkole.

– Ale kto tak mówi?

Cisza.

– Gary, daj spokój. Musisz mi powiedzieć.

– Mój kolega Alan, wuefista – ustąpił w końcu. – Słyszał od woźnego Dave’a.

W niedziele grają w piłkę.

Zdziwiłam się, że Dave jest w takiej formie, by grać w piłkę, ale przypomniałam sobie tęgie postacie w dresach, które czasem widuję w parku, jak próbują przebierać nogami. Raz omal nie zadzwoniłam po pogotowie, żeby reanimowano jednego z takich sportowców.

– Nie powinien o tym mówić – rzuciłam.

– Chyba nie będzie miał przeze mnie kłopotów?

– Nie. Niedługo i tak sprawa wyjdzie na jaw.

– Czyli to prawda? – Gary zniżył głos do szeptu, choć prawie na pewno był sam. – Zamordowano Ricka Lewisa?

– Nie mogę potwierdzić tej informacji. – Oczywiście w ten sposób właśnie ją potwierdziłam.

– Cholera jasna. – Dotarło to do niego powoli, ale do głębi.

– O co ci chodziło? – wróciłam do poprzedniego pytania. – Że dama w bieli dokonała zemsty?

– O tym przecież mówi legenda, prawda? Że dama w bieli pojawia się, kiedy ktoś umiera. Na pewno pamiętasz. Wtedy, gdy ją widzieliśmy...

– Na razie, Gary – przerwałam mu. – I uważaj, co wypisujesz w social mediach.

Rozdział 27

Kiedy zobaczyliśmy tego ducha, mieliśmy po piętnaście lat. Zostaliśmy w szkole do późna, bo Gary miał próbę zespołu złożonego z jedenastoklasistów, którzy nie mieli za grosz talentu, ale mieli gitary i uwielbiali Tolkiena. Nazywali się Brat Boromira. Nie należałam do dziewczyn, które siedzą kołkiem i oglądają próby zespołów swoich chłopaków; pracowałam w bibliotece, która wtedy znajdowała się w Starym Budynku. Bibliotekarka... jak ona się nazywała? A, tak, pani McKenzie – zabawna staruszka, która mnie lubiła. Chyba dlatego, że prawdopodobnie byłam jedyną osobą czytającą stare książki, te oprawione w skórę tomy z pozłacanymi literami, które prawie zupełnie się wykruszyły: Dickensa, Wilkiego Collinsa, Gaskell, Trollope’a. Miałam też obsesję na punkcie Jamesa Herberta, ale o tym nie mówiłam pani McKenzie.

No więc siedziałam w bibliotece i odrabiałam zadanie z historii. Łatwiej pracowało mi się tam niż w domu. W tamtych czasach miałam maleńki pokój; ten większy, który zajmuję teraz, dzielili Kush i Abid. Poza tym w domu ciągle było mnóstwo ludzi, którzy jedli dania ugotowane przez mamę, rozmawiali po pendzabsku i płakali z żalu za ojczyznę. W dodatku tata zawsze mógł mi kazać stanąć za ladą w sklepie.

W starej bibliotece było cudownie; regały sięgały sufitu, duże okna wychodziły na boisko. A przy oknach były krzesła i spędziłam tam niejedno popołudnie pogrążona w lekturze przyjemnego horroru, podczas gdy w dole pierwsza jedenastka Talgarth przegrywała z drużyną jakiejś bardziej ekskluzywnej szkoły.

Dzisiaj mają okropną bibliotekę: plastikowe kanapy, obrotowe stojaki, wydania w miękkich okładkach zabezpieczonych folią. Stara biblioteka miała swoją historię, która sączyła się przez ściany i unosiła z desek podłogi, sękatych i szerokich jak trapy na statku.

Bibliotekę zamykano o szóstej. Był zimowy trymestr i za oknem zapadł już zmierzch. Mniej więcej za pięć szósta pani McKenzie zebrała swoją niekończącą się robótkę (zawsze w zjadliwie niebieskim lub różowym kolorze – dla kogo to było?) i zaczęła sprawdzać, czy nikt nie chowa się za zasłonami.

– Pora iść, Harbinder – powiedziała. – Gary ciągle tak okropnie hałasuje w piwnicy?

Zawsze wiedziała, kto z kim chodzi.

– Chyba tak – odparłam.

Ale w tym momencie w drzwiach pojawił się Gary, trzymający futerał z gitarą. Pożegnałam się z panią McKenzie.

– Do widzenia, Harbinder. Do widzenia, Gary. Idźcie prosto do domu.

My jednak przemknęliśmy korytarzem na pierwszym piętrze, szukając miejsca, żeby się obściskować. W tamtych czasach oddawaliśmy się tej czynności z prawdziwą pasją. Trudno to sobie dzisiaj wyobrazić. Chyba już wtedy miałam wątpliwości co do facetów, ale postanowiłam dołożyć wszelkich starań. A Gary desperacko pragnął stracić dziewictwo.

Wreszcie znaleźliśmy pustą klasę, jedno z tych pomieszczeń, które w swoim pierwotnym wcieleniu mogło być sypialnią. Był w nim kominek z kratą z kutego żelaza w misterny wzór maków i liści. Czy ta klasa była niedaleko pokoju, w którym zamordowano Ricka Lewisa? Nie mam pojęcia. Możliwe.

Robiło się poważnie. Nie miałam już biustonosza, a Gary wsuwał mi rękę do spodni. Moje pokolenie walczyło o to, by chodzić do szkoły w spodniach, a dzisiaj wszystkie dziewczyny w Talgarth noszą spódnice; to się nazywa wdzięczność. I coś się stało. W klasie nagle zrobiło się bardzo zimno. Ale nie koniec na tym. Pomieszczenie wydawało się opustoszałe i smutne jak rzeka w wietrzną noc.

Miałam wrażenie, że już nigdy więcej nie będę szczęśliwa. Odsunęliśmy się od siebie. Zapięłam stanik, a Gary rozporek. Nie odezwaliliśmy się do siebie ani słowem. Chwyciliśmy swoje rzeczy i wybiegliśmy z klasy.

Wracaliśmy korytarzem. Pamiętam, że futerał gitary obijał mi się o nogi, a światła gasły jedno po drugim, gdy Pat Zbok robił ostatni obchód. I nagle coś przefrunęło obok nas. Trudno to opisać. Potem wspominałam kobietę w długiej białej sukni, ale Gary powiedział, że bardziej przypominało to trąbę powietrzną, czarną i bezkształtną. Wiem tylko, że cały chłód i groza były właśnie od tej istoty, tego... czegoś. Usłyszeliśmy trzask, gdy to coś uderzyło w poręcz na schodach, a potem rozległ się potworny wrzask. Nigdy wcześniej nie słyszałam niczego podobnego i mam nadzieję, że nie usłyszę.

Rzuciliśmy się z Garym biegiem, oszalali ze strachu. Wydaje mi się, że każde z nas pozwoliłoby, by zjawa zamordowała to drugie. Mieliśmy w głowie tylko jedno: wydostać się stąd. Zbiegliśmy po schodach i wypadliśmy głównym wejściem. Pędziliśmy aż do bramy, którą Pat właśnie zamykał.

– Co jest, dzieciaki, nie macie swoich domów?

Jego znajomy zrzędlawy głos przywrócił nam poczucie rzeczywistości. Bąknęliśmy „dobranoc” i poszliśmy na przystanek autobusowy. Nikt na nim nie czekał, mimo to rozmawialiśmy szeptem.

– To była ona – powiedziałam. – Żona R.M. Hollanda. Kobieta w bieli. Ta, która rzuciła się ze schodów.

– To nie była żadna kobieta – zaprzeczył Gary. – Za cholere nie wiem, co to było.

– I ten wrzask – dodałam. – Myślisz, że ktoś jeszcze to słyszał?

– Nie wiem. – Gary z żalosną miną kulił się w kurtce.

– Kiedy pokazuje się dama w bieli, to podobno znaczy, że ktoś niedługo umrze – powiedziałam.

– Nie mów takich rzeczy.

Staliśmy w milczeniu. Przyjechał mój autobus i wsiadłam. Nawet nie pocałowaliśmy się na pożegnanie. Wiedzieliśmy, że nasz romans się skończył. Dwa dni później dowiedzieliśmy się, że Sue Black, dziewczyna z dziewiątej klasy, która od jakiegoś czasu chorowała, umarła na białaczkę. Szkoła szalała ze smutku i ciekawości; kilka osób wspomniało o legendzie damy w bieli, ale Gary i ja nigdy nie zdradziliśmy, co wtedy widzieliśmy.

I nigdy więcej o tym nie rozmawialiśmy. Aż do dzisiaj.

Rozdział 28

Na chybił trafił otworzyłam jeden z dzienników Clare.

To nie tak, że nie kocham Simona. Kocham go. Chodzi o to, że chcę więcej. Kocham swoją pracę i myślę, że dobrze sobie w niej radzę. Bóg jeden wie, jak kocham Georgie (jest teraz taka słodka i czuła). Chociaż kocham Simona, zauważam, że automatycznie spadł na drugie miejsce na liście. Czy miłość małżeńska zawsze pada ofiarą miłości macierzyńskiej? Ale nie chodzi o mnie i Simona. Po prostu myślałam, że zrobię coś ze swoim życiem. Zostanę kimś...

Chryste. Pomyślałam, że dłużej tego nie zniosę. Spojrzałam na datę u góry strony. Trzeci marca 2010 roku. Według moich obliczeń Clare i Simon rozwiedli się dwa lata później, a Georgia – ta słodka i czuła – miała osiem lat. Postanowiłam zerknąć na coś bardziej współczesnego.

Poniedziałek, 11 września 2017

Rick naprawdę działa mi na nerwy. Jest już drugi tydzień trzymestru, a on jeszcze nie uporządkował planów lekcji. Przygotowania do egzaminów Elli są w rozsypce, on jednak nie mówi jej o tym ani słowa. Nadal się w niej kocha? Prawdopodobnie. Ciągle wzdycha, jest coraz bardziej niechlujny i niepocieszony. Uczucie do mnie przeszło mu dość szybko. Ale ja powiedziałam mu wprost, a Ella nie. Nie byłam gotowa iść do łóżka z żonatym mężczyzną. Jej to jednak nie przeszkadzało.

Mam już dość krycia jej w szkole. Powinnam przejąć obowiązki Elli i Rick dobrze o tym wie.

Wyjęłam notes i zaczęłam nakreślać oś czasu. W lipcu Ella i Rick poszli do łóżka, we wrześniu Rick ciągle o niej marzył, a Clare była pełna urazy. Przerzuciłam kilka stron.

Piątek, 15 września

Tak się cieszę, że to wreszcie koniec tygodnia. Ella nadal nie skończyła prognoz wyników egzaminów. Spytałam ją, kiedy zamierza to zrobić, a ona tylko się zaśmiała i powiedziała:

– Za bardzo się przejmujesz. – Dodała, że w sobotę umówiła się z Bryony Hughes.

– Urządzacie sobie sabat? – spytałam raczej cierpkim tonem.

– Tak, będziemy wywoływać duchy zmarłych w restauracji Il Pappagallo w Chichester – odparowała.

– Mam nadzieję, że dobra passa będzie miała ciąg dalszy – powiedziałam.

W sobotę wieczorem Clare spotkała się z Henrym Hamiltonem właśnie w Il Pappagallo. Zanotowałam tę informację. Zaczęłam też spisywać listę nazwisk. Bryony Hughes?!

Po co ludzie to robią? Po co dzień po dniu wylewają swoje nadzieje i lęki przed nieistniejącymi słuchaczami? Clare miała zwyczaj wzbogacać wpisy cytatami. Po co to robiła? Wyobrażała sobie, że jej dzienniki będą kiedyś czytać w Radio 4? Czasem nawet znajduje czas, żeby odnotować autora cytatu, jakby pisała wypracowanie z angielskiego. *Nic na tym świecie nie pozostaje w ukryciu na zawsze – Wilkie Collins, Córki niczyje.* I po co, skoro podobno pisała sama dla siebie, zadawała sobie tyle trudu, żeby cyzelować zdania? *Czy miłość małżeńska zawsze pada ofiarą miłości macierzyńskiej?* Do kogo jest skierowane to pytanie? I ten staranny zapis dialogu. *Mam nadzieję, że dobra passa będzie miała ciąg dalszy.* Czyta się to jak jakąś babską książkę, którą kupujesz na lotnisku i żałujesz tego, zanim jeszcze personel na pokładzie skończy instrukcję procedur bezpieczeństwa.

Otworzyłam notatnik na ostatnich dniach przed zabójstwem Elli Elphick.

Piątek, 20 października

Pracowity dzień w szkole, trzeba skończyć różne rzeczy przed jesienną przerwą. Wolałabym nie umawiać się na wieczór z Ellą i Debrą, ale koniec końców dobrze, że wyszłyśmy z domu. Obejrzałyśmy Blade Runnera 2049. Pamiętam, że pierwszy film mi się podobał, ale ten okazał się niewiarygodnie nudny. Zaznaczam, że ostatnio obniżyła mi się tolerancja na kino. Przespałam mniej więcej dwie trzecie, a kiedy się ocknęłam, zobaczyłam Ryana Goslinga, który bardzo powoli idzie przez hangar w śniegu. Potem poszłyśmy coś przegryźć w Royal Oak. Ella z początku drażniła mnie gadaniem o „sprawie Ricka”. Debra tylko ją prowokowała: „Ma obsesję na twoim punkcie” itd., itd. Dostawałam już białej gorączki, ale na szczęście Ella chyba to wyczuła i skierowała rozmowę na bezpieczniejsze tematy: Taniec z gwiazdami, szkoła, kwestia tego, czy Debra bardziej do twarzy z długimi, czy krótkimi włosami. W sumie można uznać, że to był miły wieczór.

Kiedy wróciłam, Georgie jeszcze nie było. Przyszła około 23. Ty odprowadził ją do samych drzwi. Muszę przyznać, że jest bardzo uprzejmy, powiedziałabym, że wręcz szarmancki. Rzecz jednak w tym, że to mężczyzna, a ona jest jeszcze dzieckiem, wszystko jedno, jak efektownie ostatnio wygląda. Czyżbym zazdrościła Georgie? Czyżbym zazdrościła Elli? Boże, pora to przerwać.

W sobotę dwudziestego pierwszego ani w niedzielę, kiedy Ella zginęła, nie ma żadnego wpisu. Jest za to kilka stron tekstu nagryzmołonych rozchwianym pismem w poniedziałek dwudziestego trzeciego.

Poniedziałek, 23 października 2017

Ella nie żyje. Kiedy Rick mi o tym powiedział, nie mogłam uwierzyć...

*Jej szok wydawał się autentyczny, ale na tej samej stronie, gdy Rick twierdzi, że mu przykro, Clare pisze: *Przykro mu. Chryste*. Co miała na myśli? Że Ricka należy winić o śmierć Elli? Ale jeżeli go podejrzewała, na pewno napisałaby o tym w swoim prywatnym dzienniku. Rick powiedział jej też, że zdaniem Daisy zostanie aresztowany. Ciekawe. Musiała zauważyć nasze podejrzania.*

Czytałam dalej. Chciałam sprawdzić, co Clare sądziła o mnie.

Gdy wróciłam z pracy, policjanci czekali pod domem. Rozpoznałam ich samochód. Ten sam, który widziałam wczoraj na parkingu przed Talgarth. Zdenerwowałam się. Dwoje detektywów, mężczyzna i kobieta, dokładnie tak jak w filmach. Detektyw sierżant Kaur to Hinduska, niewysoka i nawet niebrzydka, ale jej zachowanie jest świadomie nieuprzejme, jakby próbowała mnie zbić z tropu.

Ha, ha. Świadomie nieuprzejme, muszę powtórzyć Donnie. Czy to nie trąci rasizmem, że gdy pisze o mnie, pierwszym słowem, jakie przychodzi jej na myśl, jest Hinduska? Nawet niebrzydka, dorzuca. Jestem wściekła, że ten przymiotnik (co pani na to, pani Cathcart?) wcale mnie nie drażni, zwłaszcza że używa go ktoś tak efektowny jak Clare. Ale żeby uważała mnie za niską? Nie jestem niska; to ona jest za wysoka. Ale zauważyła wtedy nasz wóz przed Talgarth. I dlaczego się zdenerwowała?

Potem napisała:

Ciągle myślę o tej parze detektywów, którzy tu przyszli, Kaur i Winstonie. Nie zachowywali się wrogo, ale nie byli też życzliwi.

– Większość ofiar zabójstw ginie z ręki ludzi, których znają – powiedziała Kaur – i mamy powody przypuszczać, że w tym przypadku jest podobnie.

Kogo podejrzewają?

No właśnie: kogo?

Przekartkowałam wszystkie strony, czytając jakiś urywek tu i ówdzie, ale tajemnicze pismo pojawiała się tylko dwa razy. Pierwszy raz po Hythe. Tylko jedna linijka: *Witaj, Clare. Nie znasz mnie.* Potem był dłuższy tekst po wpisie Clare z trzydziestego października.

Pozdrowienia od szczerego przyjaciela. Miałem sposobność odczytania tego zajmującego ze wszech miar dziennika.

Przyjrzałam się charakterowi pisma. Wąskie i pochyłe, wyglądało niemal jak kursywa. Przechylało się do przodu – co to mogło znaczyć? Bella, nasza grafolożka, orzekła, że to „prawdopodobnie” mężczyzna, ale nie miałam pojęcia,

na czym oparła ten wniosek. Pismo wyglądało dziwnie staroświecko, chociaż może to z winy takich, a nie innych słów:

Składa się on z kilkuset kartek, a jednak z ręką na sercu wyznaję, iż każda wzbudzała we mnie podziw i zachwyt.

Wspaniała kobieta!

Clare twierdziła, że w tym miejscu kończy się cytat z Wilkiego Collinsa, a zaczyna wiadomość od nieznanego.

Ale, Clare, nie wszyscy cenią cię tak wysoko jak ja. Bardzo przykro mi to stwierdzić, ale są ludzie, którzy działają na twoją szkodę. Jedna z tych istot została przeze mnie usunięta. Na pozostałe rzucę się jak nienasycona bestia.

Kim byli ci ludzie, którzy działali na szkodę Clare? Jeszcze raz przeczytałam wpis z trzydziestego października. Głowa mi pękała i pismo Clare, krągłejsze i luźniejsze niż pismo intruza, zaczynało nieprzyjemnie wirować mi w oczach.

30 października 2017

Naprawdę okropny dzień. Rano na zebraniu Rick mówi mi, że kieruję teraz czwartym etapem. Mało tego, mam wyreżyserować przedstawienie. Nie znoszę musicali, poza tym wydawało mi się to nie w porządku, jak gdybym wkraczała na terytorium Elli. Wchodziła w jej buty, które jeszcze nie ostygły. Rick nie ma pojęcia, co czuję. Myśli tylko o swoim cennym zespole. Naprawdę wydaje mi się, że w tym momencie go nienawidzę. Ella właśnie zginęła, a on zmusza mnie, żebym przejęła jej wszystkie obowiązki, i nawet się nie zastanawia, jaki to będzie miało wpływ na mnie, jej najlepszą przyjaciółkę. Pomyśleć, że kiedyś twierdził, że mnie kocha. Kiedy to sobie uświadamiam, ogarniają mnie mdłości.

Jakby tego było mało, R. poprosił mnie, żebym chwilę została, i błagał, bym nie mówiła policji o nim i Elli. Powiedział, że Daisy „bardzo łatwo można teraz zranić”. Co za tupet. Zrzuca winę na własną żonę. Powiedziałam, że nie pisnę ani słówka. Nie ze względu na Ricka ani Daisy, ale z powodu Elli. Wiem, co myśli policja. Wiedziałam od chwili, gdy Kaur spytała, czy Ella miała chłopaka. Gdyby dowiedzieli się o Ricku, zostałby podejrzanym numer jeden, a jej przylepiliby

etykietkę cudzołożnicy. Jak noszącej czerwoną sukienkę żonie Curleya z Myszy i ludzi. *Ella nie żyje. Niech to, co zdarzyło się w Hythe, odejdzie razem z nią.*

Tony dobrze poprowadził apel. Jego wystąpienie było nawet wzruszające. Dzieciaki naprawdę uwielbiały Ellę, która była świetną nauczycielką. Musimy o tym pamiętać. Ale potem, zaraz po pierwszej lekcji, zostałam wezwana przez tych dwoje policjantów, którzy zawłaszczyli gabinet T., i to było straszne. Znacznie gorsze niż przedtem. Zadawali pytania o Hythe, o Ellę i Ricka. Niczego nie ujawniłam, ale zdradzili mi okropny szczegół. Przy zwłokach Elli znaleziono wiadomość. Ze zdaniem Puste jest piekło.

Najgorsze zdarzyło się jednak, gdy wróciłam do domu. Przejrzałam stare dzienniki, by sprawdzić, co pisałam o Hythe. Naprawdę nie pamiętałam, co wtedy myślałam, i okazało się, że było to obrzydliwe. Zjadliwe słowa krytyki, nic więcej. I nagle zobaczyłam, że u samego dołu strony ktoś napisał: Witaj, Clare. Nie znasz mnie.

Teraz naprawdę jestem przerażona. Kto, u diabła, mógł pisać w moim dzienniku? Autor wiadomości napisał prawdę. Puste jest piekło, a wszystkie diabły są tutaj.

Jutro Halloween. Niech Bóg ma nas w opiece.

Przeczytałam ten wpis kilka razy. Ciekawa była informacja o Lewisie i jego żonie, którą „łatwo było zranić”. Daisy Lewis miała powody, by nie lubić Elli Elphick, i żal do męża. Powinniśmy poważnie traktować ją jako podejrzaną. Gdy w grę wchodzi Ella, Clare na pewno uderza w moralizatorski ton, ale raczej nie kupuję tej feministycznej gadaniny o ratowaniu reputacji Elli przed brutalnym seksizmem funkcjonariuszy policji. Musieliśmy pytać o kochanków, ponieważ – co powinna wiedzieć tak inteligentna kobieta jak ona – to osoby, które są najbardziej prawdopodobnymi sprawcami zabójstwa. Ciekawe, czy nie chciała mówić o Hythe dlatego, że Lewis przedtem kusił ją, by mu uległa. Wiedziałam to z poprzednich wpisów w dzienniku. Kiedy zaczął ją podrywać, pisała o *instynktownym pragnieniu*, by poczuć wokół siebie czyjeś ramiona, teraz jednak myśl o nim wywoływała u niej mdłości.

Ciągle nie umiałam ogarnąć tego dziennika. Jeżeli najgorsza rzecz spotkała ją pod koniec dnia, to dlaczego Clare relacjonowała zdarzenia w kolejności chronologicznej? Zebranie, apel, później nasza rozmowa w gabinecie dyrektora, a dopiero potem tajemniczy dopisek. Przecież o tym powinna napisać na początku, prawda? Jeszcze jedna rzecz zwróciła moją uwagę: jeżeli autor dopisków naprawdę zamierzał oczyścić świat z ludzi, którzy nie doceniali Clare, nie było wątpliwości, że jako następny jego ofiarą musiał paść Lewis.

Kogo jeszcze Clare obsmarowała w dziennikach?

Rozdział 29

Rano znowu byłam w Talgarth. Tony Sweetman musiał się porozumieć z zarządem, bo szkoła była zamknięta, o czym zawiadamiało ogłoszenie na bramie. Wpuścił mnie Dave Bannerman, woźny i niedzielny piłkarz.

– Są na pierwszym piętrze – poinformował, mając na myśli ekipę techników. – Robią straszny chlew.

– Czy wszystkie klasy na pierwszym piętrze w sobotę wieczorem były zamknięte? – spytałam.

– Nie. Do większości drzwi nie ma kluczy. Przemykam je tylko, więc wyglądają na zabezpieczone.

Kiedy weszłam na górę, technicy znaleźli już miejsce zbrodni. Było obok sali, w której przesłuchiwalismy Clare.

– Niewiele krwi – zauważyłam, rozglądając się po pomieszczeniu, które jak większość sal na tym piętrze bardziej przypominało staroświecką sypialnię niż klasę. Były tu listwy przypodłogowe, gzymsy, misterna rozeta na suficie i niewielki kominek z kratą z kutego żelaza. Czy to ten sam pokój, w którym tamtego wieczoru obściskiwaliśmy się z Garym? Jeżeli nie, to bardzo podobny.

– To dlatego, że nie zginął od ciosów nożem – odparł Colin Harris, szef zespołu kryminalistów. Cieszy się, gdy ma okazję poprawić detektywów, ale w zasadzie jest całkiem fajnym gościem.

– Naprawdę? – rzucam. – Pamiętam, że w jego piersi tkwił wielki zakrwawiony nóż.

– To mydlenie oczu – oznajmił Colin. – Denat został uduszony, od tyłu zarzucono mu na szyję garotę, prawdopodobnie kawałek cienkiego drutu. Przypuszczamy, że stało się to tutaj, bo jest parę plamek krwi. Chyba powstały wtedy, gdy zaraz po śmierci wbito mu w pierś nóż. Ale śladów jest niewiele. Zabójca zapewne rozłożył folię albo brezent.

– W takim razie był przygotowany. Coś jeszcze?

– Naszym zdaniem w chwili zabójstwa ofiara siedziała, ale nie ma ani śladu krzesła, na którym byłaby krew. Jest za to kilka drzazg. Wygląda na to, że sprawca połamał krzesło i w kawałkach zabrał ze sobą.

Colin używał rodzaju męskiego i musiałam przyznać, że dowody – roztrzaskanie krzesła, przeniesienie zwłok – rzeczywiście wskazują na mężczyznę.

– Dlaczego to zrobił? – zapytałam.

– Nie mam bladego pojęcia – odrzekł Colin. – Umysł zabójcy to ponury i mętny teren.

Uwaga zabrzmiała, jakby powtarzał ją już wiele razy.

– No więc co się stało? Zaciągnięto go na strych?

– Tak, na futrynie drzwi znaleźliśmy ślady włosów zgodnych z włosami na ciele ofiary. Jeszcze dzisiaj dostaniesz raport. – Colin lubił wszystko robić porządnie.

– A teraz możesz mi coś powiedzieć? – Ja natomiast byłam osobą, która lubiła jak najszybciej pędzić naprzód.

Westchnął i dłonią w rękawiczce odsunął okulary na czoło.

– Wygląda na to, że denat został zanieiony do tamtego pokoju i posadzony na krześle przy biurku. Sprawca miał rękawiczki, ale zabezpieczyliśmy całkiem niezłe krwawe odciski butów. Poza tym... – wiedział, że właśnie o to mi chodzi – jest wiadomość.

– Jaka?

– *Puste jest piekło.* Taka sama jak poprzednio. Liścik był w torebce na mrożonki. Na biurku. Brak odcisków palców, brak śladów krwi.

Poczułam przyływ czegoś, co nazywam adrenaliną, ale w rzeczywistości to podniecenie. Być może mieliśmy dowód na to, że obu zabójstw dokonała ta sama osoba.

– Jeszcze jakieś ważne szczegóły? – spytałam.

– Trzy świece na biurku i jakiś materiał roślinny.

– Materiał roślinny?

– Wysłaliśmy go do analizy, ale wyglądał jak zioła, liście i suszone płatki, jakie można znaleźć w potpourri. Do tego gładki czarny kamień. Wszystko to leżało obok świec.

W mojej głowie rozległ się ledwie słyszalny dzwonek alarmowy, ale nie traciłam czasu, by go zlokalizować. Musiałam wracać do komisariatu i złożyć Donnie i Neilowi sprawozdanie z najnowszych ustaleń.

Zbiegłam po schodach i przy podwójnych drzwiach zobaczyłam człowieka, który gapił się ponuro w przestrzeń. To był Tony Sweetman, w dżinsach, swetrze i sportowych butach, które wyglądały na drogie; były białe i zdecydowanie zbyt czyste.

– Dzień dobry – przywitałam go.

Lekko drgnął. Pod odświeżoną opalenizną wyglądał strasznie; miał podkrążone oczy i sprawiał wrażenie zapłakanego. Wbrew woli zrobiło mi się go trochę żal.

– Pani detektyw. Domyślam się, że wasi eksperci jeszcze pracują.

– Tak. Zabezpieczanie śladów na miejscu zdarzenia trwa dość długo. Technicy są bardzo drobiazgowi.

Zadrżał.

– Nie chcę nawet myśleć, że moja szkoła jest miejscem zbrodni.

Moja szkoła. Ale rozumiałam jego przygnębienie. Teraz, gdy ktoś wpisze w Google'a *Gimnazjum Talgarth*, to zamiast *najlepsze w historii wyniki egzaminów* zobaczy *znaleziono zwłoki mężczyzny*.

– Właśnie rozmawiałem z Daisy Lewis – powiedział. – Jest załamana. Byli bezdzietni. Mieli tylko siebie.

Powiedział to tonem, jakim rodzice często opisują osoby bez dzieci: z mieszaniną współczucia i delikatnej dezaprobaty.

– Nie domyśla się pan, kto mógł to zrobić? – zapytałam.

– Nie. – Otworzył szeroko oczy w sposób, który przypomniiał mi Clare. – Rick był lubiany przez wszystkich.

– Naprawdę?

– Tak. – Zachnął się lekko na dźwięk mojego tonu. – Był znakomitym nauczycielem i szefem zespołu.

– Słyszałam plotki o jego romansach z Ellą Elphick i Clare Cassidy – powiedziałam.

Twarz Sweetmana przybrała obojętny wyraz, jakby gąbka starła z tablicy zapis lekcji z poprzedniego dnia.

– Nigdy nie słucham takich plotek.

Ale nie zaprzeczył. Chciałam wyciągnąć z niego coś więcej, lecz w tym momencie odezwał się mój telefon. Neil.

– Wracaj do komisariatu. Znalazłem coś na monitoringu.

Neil podskakiwał z przejęcia. Cieszy się jak dziecko, gdy dokona jakiegoś przełomowego odkrycia w śledztwie. Trzeba przyznać, że nie zdarza się to często.

– Przeglądałem zapis z kamer przy kościele obok domu Elli Elphick – powiedział. – Żeby sprawdzić, czy za pierwszym razem czegoś nie przegapiliśmy.

Czego on chciał, do cholery? Medalu? Odznaki prefekta?

Prawie ciągnął mnie do swojego komputera.

– Pamiętasz, że było tam paru nastolatków, którzy gapili się w telefony?

– Tak.

– No to popatrz jeszcze raz. Powiększyłem obraz.

Przyjrzałam się. Na ekranie ziarniste piksele układały się w postać chłopaka w kapturze z telefonem w ręce. Kamera uchwyciła moment, gdy uniósł głowę,

a jego twarz oświetlił niebieski blask lampy włączanej czujnikiem ruchu.

To był Patrick O'Leary.

Rozdział 30

Pojechaliśmy prosto do domu Patricka. Mieszkał w Shoreham, za mostem dla pieszych, przy ścieżce holowniczej, gdzie na rzece kołysały się łodzie mieszkalne. Gdy byłam mała, bardzo mi się podobały. Te zadbane, z kwiatami w skrzynkach i nazwami w rodzaju *Ty-i-ja*, i te zdezelowane, zanurzone głębiej niż reszta, z gnijącymi burtami i brudnymi firankami w oknach, hipisowskie, z gwiazdkami i dzwonekami wietrznymi; z tych ostatnich jeszcze zanim wstąpiłam do policji, wyczuwałam zapach marihuany. Rodzina O’Learych miała niezbyt stary niewielki domek przy drodze między brzegiem morza a ujściem rzeki. Było w nim coś wąskiego, jakby zbudowano go tylko tymczasowo. Ściany pokrywały żółte plastikowe panele, na maleńkim balkoniku nie można było nawet stanąć. Przed ogródkiem od frontu wznosiła się góra śmieci, jakby ktoś chciał rozpalić ognisko, ale stracił zainteresowanie. Miejsce sprawiało wrażenie smutnego i zaniedbanego.

Otworzył nam sam Patrick O’Leary, który wyglądał, jakby właśnie wstał z łóżka.

– Dzień dobry, Patrick – powiedziałam. – Czy jest twoja mama albo twój tata?

Gapił się na nas, przytrzymując ledwie uchylone drzwi.

– Nie, są w pracy.

– Możesz do nich zadzwonić? Chcemy z tobą porozmawiać i musi być przy tym obecny ktoś dorosły.

– Ja jestem dorosły – rozległ się głos za plecami Patricka. W progu stanął przygarbiony drugi chłopak. Nie było wątpliwości, że są braćmi: obaj mocno

zbudowani, o ciemnych włosach i podobnie aroganckim wyrazie twarzy. W tym momencie jednak Patrick był bardziej spłoszony niż arogancki.

– To policja, Declan. Chcą ze mną pogadać.

– Macie nakaz? – Declan wysunął się przed młodszego brata.

Westchnęłam. Jeszcze jeden, który naoglądał się za dużo telewizji.

– Nie potrzebujemy nakazu. Nie zamierzamy aresztować Patricka ani przeszukać waszego domu. Chcemy z nim po prostu porozmawiać, a możemy to zrobić tylko w obecności odpowiedniej osoby pełnoletniej.

– Jestem odpowiednią osobą pełnoletnią – odparł Declan.

– Nie – odezwał się Patrick, a ja odetchnęłam z ulgą. – Dzwonię do mamy.

Czekaliśmy w samochodzie, dopóki nie zjawiła się Maureen O’Leary, wciąż w stroju pielęgniarki. Patrick czekał na nią przy drzwiach, a gdy podeszliśmy z Neilem, oboje się odwrócili.

– Bardzo dziękuję, że pani przyjechała – powiedziałam. – Jestem detektyw sierżant Kaur, a to detektyw sierżant Winston. Musimy porozmawiać z Patrickiem w związku z zabójstwem Elli Elphick.

– Zabójstwem? O czym pani mówi?

Była drobna – chłopcy musieli odziedziczyć wzrost po ojcu – a mimo to budziła respekt i wyglądała na pielęgniarkę, która wbije ci igłę strzykawki, zanim zdążysz podwinąć rękaw.

– O zabójstwie Elli Elphick – powtórzyłam.

– Elphick? Aha, tej nauczycielki. To dlatego zamknęli dzisiaj szkołę? Co za wstyd. Patrick w tym roku zdaje egzaminy.

– Możemy wejść do środka? – zaproponowałam. – Wszystko wyjaśnię.

Usiedliśmy w maleńkim pokoju, w którym królowały ogromny telewizor i oświetlone jarzeniówką akwarium. Declan został z bratem i uznałam, że nie warto prosić go, by wyszedł. Byłam pewna, że wszystko, co powiemy, będzie słychać w każdym zakątku domu o tak cienutkich ścianach. Zrobiło się ciasno. Na kanapie stłoczyli się Declan, Maureen i Patrick. Neil i ja zajęliśmy fotele naprzeciwko.

Pokazałam Patrickowi powiększone zdjęcie.

– To ty?

– Nie wiem – odparł. – A co?

– Zostało zrobione przed domem Elli Elphick wieczorem tego dnia, gdy została zamordowana.

Cisza. Maureen bez większego przekonania powiedziała:

– To nie Patrick.

– To ty, Patrick?

Cisza. Wreszcie chłopak niemal szeptem przyznał:

– Tak.

– Możesz nam powiedzieć, co tam robiłeś wieczorem?

– Chciałem się z nią zobaczyć. Z panią Elphick – dodał. – Żeby wyjaśnić historię z tamtą kartką.

– Jaką kartką? Tą walentynką, którą jej wysłałeś? – Widziałam, że Maureen pierwszy raz o tym słyszy, ale Declan prawdopodobnie wiedział.

– Tak. – Patrick wpatrywał się we własne dłonie. Na jednej ręce nosił skomplikowany zegarek, na drugiej kilka plecionych bransoletek. Miał buty sportowe. Nike Air, takie same jak Sweetman. Patrick wyglądał w nich lepiej.

– Dlaczego pomyślałeś akurat o tej kartce? – spytał Neil. – Walentynki były dziewięć miesięcy temu.

– Musiałem to naprawić – wyjaśnił Patrick. – Tak powiedziała pani Hughes. No więc tamtego wieczoru poszedłem do pani Elphick. Żeby wytłumaczyć, dlaczego wysłałem kartkę. Pan Lewis przesadził, kiedy wywalił mnie z jej klasy. Przedstawił to tak, jakbym był jakimś stalkerem czy kimś w tym stylu. Ale to nie tak. Po prostu ją lubiłem. Chciałem jej o tym powiedzieć. Nikt nie wiedział, że do niej poszedłem. Mamy, taty ani Declana nie było w domu. Poszedłem i zapukałem do drzwi, ale nikt mi nie otworzył.

– Co potem zrobiłeś? – zapytałam.

– Czekałem. Myślałem, że jest u siebie, bo na ulicy widziałem jej samochód. Czekałem po drugiej stronie ulicy, pod kościołem.

– Jak długo czekałeś?

– Nie wiem. Może dziesięć, piętnaście minut?

Kamera monitoringu uchwyciła go tylko raz, ale obejmowała zaledwie kruchą kościoła. Mając to na uwadze, spytałam na wszelki wypadek:

– Kiedy stałeś na ulicy, widziałeś, czy ktoś wchodził albo wychodził z domu pani Elphick?

Nie spodziewałam się odpowiedzi, ale Patrick pierwszy raz spojrział mi prosto w oczy.

– Tak – powiedział. – Widziałem, jak z jej domu wychodził pan Lewis.

– Rick Lewis? Na pewno?

– Aha. – Parsknął śmiechem. – Wszędzie poznałbym tego palanta.

Maureen pacnęła go po rękę.

– Patricku O’Leary!

– Co robiłeś w sobotę wieczorem, Patrick? – zapytałam.

– Dlaczego pani go o to pyta? – Declan najwyraźniej postanowił wystąpić w roli rzecznika brata. Był typem człowieka, który miał zadatki na prawnika. Albo przestępcę.

– To proste pytanie – odparłam.

Patrick wbił wzrok w swoje buty.

– Byłem w domu.

– Sam?

– Mąż i ja umówiliśmy się ze znajomymi w pubie – włączyła się Maureen obronnym tonem. – Declan wyszedł ze swoją dziewczyną.

– Czyli byłeś sam, Patrick, zgadza się?

Uniósł głowę.

– Tak. Byłem sam.

– Kiedy pani wróciła, pani O’Leary?

– Około północy. Dlaczego zadaje mu pani te pytania?

Ale Patrick wiedział.

– To prawda, że pan Lewis został zamordowany?

– Czyli Rick Lewis był tamtego wieczoru u Elli Elphick – powiedział Neil. Jechaliśmy drogą wzdłuż plaży. Morze było szare i nieruchome, stapało się z szarością kamienistej plaży i nieba.

– Tak. Szkoda, że nie możemy go o to zapytać.

– Chyba mamy ten sam modus operandi w przypadku Elli i Ricka – zauważył Neil.

– Tyle że Rick został uduszony garotą, a nie zakłuty nożem.

– Aha, ale mówię o wiadomości i tak dalej. To na pewno ten sam sprawca. Myślisz, że to mógł być Patrick?

– Niewykluczone – odparłam. – Jest nieźle zbudowany, wystarczająco silny. Podkochał się w Elli i wyraźnie nie cierpiał Ricka. Słyszałaś, jak mówił, że Rick zrobił z niego stalkera Elli? Była w tym prawdziwa złość. No i nie ma alibi na sobotę.

– Miałem wrażenie że kłamał, gdy mówił, że był w domu sam – powiedział Neil.

– Ja też, ale nie chciałem, żeby matka dowiedziała się, co wtedy robił. Trzeba będzie przesłuchać go jeszcze raz. Może tym razem w obecności ojca.

– No więc jak uważasz, to on czy nie?

– Sama nie wiem – przyznałam. – Te zabójstwa były dobrze przemyślane, starannie zaplanowane. Liścik w foliowej torebce, płachta na podłodze. Taka przezorność jakoś nie pasuje mi do Patricka.

– Co mówili o nim nauczyciele? – Neil skręcił w stronę lądu. Lusterko, migacz, manewr. Jakbym oglądała kogoś podczas egzaminu na prawo jazdy.

Zajrzałam do notatek.

– Dość bystry, uzdolniony sportowo, czasem wdaje się w bójki. Jak mówiłam, trochę narwany. Ale zwróciłam na coś uwagę... Zauważyłeś, jak wspomniał o jednej nauczycielce? Tej, która kazała mu naprawić tę historię z walentynką?

– Nie. Kto to był?

– Pani Hughes. Chyba nie uczy w Talgarth. Dziwne, ale Clare wspomina w swoich dziennikach o Bryony Hughes. Twierdzi, że to czarownica.

– Jezu – mruknął Neil. – Tylko tego nam trzeba.

Zabrzączał mój telefon. Clare Cassidy. Włączyłam głośnik.

– Harbinder, przyjeźdź szybko. – Wnętrze samochodu wypełnił rozgorączkowany głos zapłakanej Clare. – Chyba ktoś porwał Herberta.

Rozdział 31

– Kto to jest Herbert? – zdumiał się Neil.

– Jej pies – wyjaśniam. – Jedźmy prosto do niej.

– Bo zaginął jej pies? Dlaczego nie zadzwoni do ratowników zwierząt? Poza tym pod jej domem stoi wóz z naszymi ludźmi. Nie mogą jej pomóc?

– Słyszałeś jej głos – powiedziałam. – Ta kobieta pierwszy raz opuszcza gardę. Jeżeli pojedę do niej z falą współczucia, może uda mi się czegoś dowiedzieć.

– Na przykład?

– Na przykład co naprawdę sądziła o Elli i Ricku.

– Wydawało mi się, że czytałaś jej dzienniki.

– Dzienniki nie powiedzą ci, co ludzie myślą. Dowiesz się tylko, co im się wydaje, że myślą. Nie musisz u niej zostawać. Wystarczy, że mnie podrzucisz.

– Strata czasu – ocenił Neil, ale skręcił pod wiaduktem w stronę Steyning. Zawsze dziwiło mnie, że na łąkach poniżej tak spokojnie pasą się konie; ryk samochodów śmigających im nad głowami najwyraźniej nie robił na nich żadnego wrażenia.

– Być może – przyznałam. – Ale zapominasz o jednym: może ktoś rzeczywiście porwał Herberta. Może osoba, która pisała w dzienniku Clare, rzeczywiście ją prześladowała. Dzisiaj pies, jutro córka.

– Cholera jasna, Kaur. Zawsze tryskasz takim optymizmem?

– Przecież wiesz, że mam rację.

Neil wysadził mnie przed szeregiem domów w szczerym polu. Zanim zdążyłam zapukać, Clare otworzyła drzwi.

– Georgie zabrała go na spacer na łąkę – powiedziała. – Stała na chwilę, żeby popatrzeć w telefon, a kiedy uniosła wzrok, już go nie było.

– To nie była moja wina. – Z tyłu ukazała się jej córka z twarzą zalaną łzami. – Patrzyłam w telefon najwyżej minutę.

– Oczywiście, że to nie twoja wina, kochanie. – Clare otoczyła ją ramieniem i po raz pierwszy poczułam do niej coś w rodzaju sympatii.

Mimo wszystko co one sobie wyobrażały? Nadal były pod ochroną policji i Georgia nie powinna oddalać się sama od domu. Czy jej matka zapomniała, że przedwczoraj niemal była świadkiem zabójstwa?

– Pewnie jeszcze biega po łące. – Wcisnęłam się do domu. – Goni króliki czy coś w tym rodzaju.

– Obeszliśmy łąkę – powiedziała Clare. – I dróżki. Barry i Steve szukają go na ulicach.

– Kto?

– Policjanci, którzy stali przed naszym domem. – Była wyraźnie zaskoczona. – Nie wiesz, jak mają na imię?

– Nie umiem sobie tak szybko przypomnieć. Najważniejsze to zachować spokój. W przypadku OZ pierwsze godziny są kluczowe.

– W przypadku czego?

– Osoby zaginionej – wyjaśniła Georgie. Czyżby była fanką kryminałów?

– Po pierwsze... – Ruszyłam w stronę kuchni. Wcześniej tu nie zaglądałam i muszę przyznać, że zrobiła na mnie wrażenie. Rozbudowano ją w głąb ogrodu, był tu barek, oddzielna część jadalniana, a u góry świetlik. Nad blatami wisiały przybory kuchenne i suszone zioła, ale wszystkie powierzchnie były czyste i lśniące jak w laboratorium kryminalistycznym. – Po pierwsze, herbata – dokończyłam. – Georgia, możesz nastawić czajnik? Po drugie, plan działania. – Wyjęłam notes. – Kiedy ostatni raz widziałyście Herberta?

– O jedenastej dwadzieścia cztery – odpowiedziała natychmiast dziewczyna. – Wtedy patrzyłam w telefon.

Spojrzałam na ogromny zegar nad stołem. Nie było na nim cyfr, ale wskazówki tworzyły kąt prosty.

– Nie minęła jeszcze ta złota godzina. Czyli szukałyście na łące i w okolicy. A bliżej domu? Osoby zaginione często kierują się w stronę domu. Kiedyś wezwano mnie w sprawie zaginięcia nastolatki i okazało się, że spała we własnym łóżku.

Clare naprawdę się zaśmiała. Chyba zaczynała się uspokajać. Georgia postawiła przed nią kubek herbaty.

– Zaglądałam do ogrodu – powiedziała – i potrząsałam torebką z jego ulubionymi przysmakami.

– Zajrzyj jeszcze raz – poradziłam. – Macie szopę?

– Tak – odparła Clare. Poszły razem z Georgią i przyglądałam się, jak przetrząsają zakątki maleńkiego ogródka, jakby pies rzeczywiście mógł się tam schować. W zamyśleniu wypiałam łyk herbaty. Gdyby udało mi się odnaleźć Herberta, Clare i Georgia na pewno zostałyby moimi dozgonnymi przyjaciółkami.

Odstawiłam kubek i dołączyłam do nich. Zaglądały do szopy, w której jak we wszystkich szopach na świecie unosił się zapach terpentyny, stały stare doniczki i kosiarka do trawy. Nie było jednak żadnego białego puszystego psiaka.

Clare dosłownie uczepliła się mojego ramienia.

– A jeżeli został porwany? Jeżeli ktoś go porwał?

– On wróci, mamó – próbowała ją pocieszać córka. Nie słyszałam mniej przekonującego zdania, odkąd Neil powiedział, że wcale nie rządę się jak szara gęś.

– Ale jeżeli to on? – Clare nie puszczała mojej ręki. – Wiesz, ten, który do mnie pisał...

– Ciii... – Nie chodziło mi tylko o to, żeby się zamknęła i przestała straszyć córkę; coś usłyszałam.

– Co się stało? – spytała Clare.

– Chyba słyszę... – Urwałam. Znowu ten dźwięk. Bardzo słabe i dalekie szczekanie.

Tym razem one też usłyszały.

– To on! – wykrzyknęła Clare. Zaczęły wołać: – Herbert! Herbert!

Znowu je uciszyłam.

– Spróbujmy ustalić, skąd dobiega ten dźwięk.

Oczywiście szczekanie od razu ustało. Wydawało mi się jednak, że dochodziło z dość daleka, z północnego wschodu. Spojrzałam za ogród Clare w stronę monstrem, którego nikt w tym eleganckim szeregowcu wołał nie zauważać. Starej cementowni.

– Chodźmy tam zajrzeć – powiedziałam. – Macie jakiś specjalny gwizdek czy coś w tym rodzaju?

Miałam na myśli przedmiot, ale Clare ściągnęła usta i wydała spomiędzy nich dwa dźwięki.

– To jego specjalny sygnał – poinformowała mnie z dumą Georgia. – Obie to potrafimy.

– Wspaniale. Bądźcie gotowe do gwizdania. – Poczułam się jak bohaterka jednego z ulubionych czarno-białych filmów moich rodziców. „Wiesz, jak gwizdać, co? Po prostu złącz wargi i dmuchnij”.

Wyszliśmy z domu drzwiami od frontu. Było bezwietrznie, ale szaro i chłodno. Wydawało się, że tego dnia słońce w ogóle nie wzeszło, a teraz, krótko po południu, już wydłużały się cienie. Miałam żakiet, ale ani Clare, ani Georgia nie włożyły kurtek. Doszliśmy do końca szeregu domów. Clare gwizdnęła. Czekałyśmy.

I znowu dobiegł ten odgłos. Przenikliwe, ostre szczekanie. Tym razem nie było żadnych wątpliwości co do kierunku.

– Jest w starej fabryce – oznajmiła Clare.

Cementownia była ogrodzona, ale bez trudu można było zauważyć miejsca, gdzie okoliczna młodzież przechodziła przez siatkę. Znalazłam dziurę i precyzyjnie się na drugą stronę. Clare weszła za mną, nie przejmując się, że drut zahaczył o jej różowy sweter z kaszmiru.

Georgia niespodziewanie zatrzymała się przed ogrodzeniem.

– Wolno tu wchodzić? – spytała. – Mają monitoring.

– I bardzo dobrze – odparłam. – Dostaniemy wsparcie. – W głębi duszy sądziłam jednak, że to mało prawdopodobne, by kamery jeszcze działały.

– To niezgodne z prawem.

– Prawo to ja – powiedziałam, żeby trochę rozładować atmosferę, ale Georgia tylko zmierzyła mnie obojętnym wzrokiem.

– Jeżeli chcesz, możesz tu poczekać – zaproponowała jej Clare.

– Nie – rzuciłam. – Lepiej, żebyśmy zostały razem. Chodź, Georgie. – Odchyliłam siatkę ogrodzenia i przytrzymałam, żeby wśliznęła się do środka.

Przeszliśmy przez dziedziniec. Dziwnie to wyglądało. Jakby zostawiono cementownię dokładnie w takim stanie, w jakim była w chwili zakończenia produkcji. Przed budynkiem wciąż stały ciężarówki z przegniłymi oponami na zardzewiałych felgach. Nad nami wisiała gigantyczna rynna zsypowa, jakby lada chwila miała wypluć tonę cementu. Główne drzwi były zamknięte na klucz i zaryglowane, ale wiedziałam, że musi być jakieś wejście. Okrążyliśmy wielki budynek zbudowany na planie kwadratu. Miał sześć pięter, z tyłu wznosiła się wieża. Wyżej ciągnęły się długie rzędy wybitych okien, ale na parterze nie było ani jednego. Clare znowu gwizdnęła i jeszcze raz odpowiedziało jej szczekanie.

Obeszliśmy budynek. Kredowe klify z tyłu wznosiły się wyżej niż fabryczna wieża. Czy klify oznaczały, że kiedyś morze wcinało się tu tak głęboko w ląd? Musiałabym zapytać kogoś, kto zna się na geologii. Może Gary'ego. Z tyłu było małe podwórko i drzwi, otwarte i zaklinowane za pomocą przedmiotu, który wyglądał na puszkę farby. Włączyłam latarkę w telefonie, żałując, że nie mam służbowego maglite'a.

– Chodźmy.

Znalazłyśmy się chyba w dawnej pakowni. Zostało parę palet z pustymi workami, które wyglądały (i zalaływały) tak, jakby mieszkały w nich lisy. Zobaczyłam też drewno, porąbane jak na opał. Pomyślałam o krześle, na którym siedział Rick Lewis, zanim został zamordowany. Technicy przypuszczali, że sprawca zabrał je w kawałkach ze sobą. Może trafiły tutaj?

Miałyśmy przed sobą troje drzwi, jak w grze komputerowej, w której musisz wybrać i ryzykujesz, że zaatakują cię kosmici albo zombie. Wybrałam środkowe – prowadziły do ogromnej przestrzeni wysokości trzech pięter, kompletnie pustej. Przez górne okna ukośnie wpadało światło i słyszałam trzepot skrzydeł ptaków... albo nietoperzy. Z trzech stron na wysokości pierwszego piętra pomieszczenie otaczało coś w rodzaju galerii. Jak w więzieniu, pomyślałam. Clare gwizdnęła i pies zaszczekał głośno i wyraźnie niemal dokładnie nad naszymi głowami.

Wskazałam na żelazne schodki z tyłu, przypominające wyjście ewakuacyjne.

– Zostańcie tu – poleciłam. – Ja wejdę.

– Nie – odezwała się Clare. – Herbert cię nie zna. Będzie chciał zobaczyć mnie.

No więc wspinałyśmy się po schodkach wszystkie trzy i nasze kroki rozlegały się upiornym echem w wielkiej przestrzeni. Pomyślałam o gabinecie R.M. Hollanda w szkole. O zabójcy taszczącym ciało Lewisa po krętych stopniach. To musiał być ktoś silny. Od samego wspinania brakowało mi tchu, a jestem całkiem sprawna.

Pies szczekał głośno i bez przerwy. Kierowałyśmy się w stronę źródła dźwięku, czyli pomieszczenia na przeciwległym końcu galerii. Metalowe drzwi wyglądały na zamknięte na głucho, ale kiedy nacisnęłam klamkę, z łatwością ustąpiły. Był tam.

– Herbert! – Clare szlochała. – Moje maleństwo.

Kłęczała i tuliła psa, a Georgia przycupnęła obok niej. Herbert merdał ogonem i radośnie posapywał, ale miał bandaż na łapie i wyraźnie nie mógł postawić jej na podłodze.

Rozglądałam się po niewielkim pomieszczeniu, spisując w pamięci listę wyposażenia.

Przedmiot 1: śpiwór.

Przedmiot 2: kuchenka turystyczna.

Przedmiot 3: latarka na baterie.

Przedmiot 4: brezent na podłodze.

Przedmiot 5: sfatygowany egzemplarz *Burzy*.

Rozdział 32

Clare i Georgia zabrały Herberta do weterynarza. Pies miał rozciętą łapę, ale ktoś oczyścił i zabandażował ranę. Zadzwoiłam do komisariatu i czekałam na wsparcie oraz ekipę techników. Chciałam, żeby zabezpieczyli ślady DNA i odciski palców na każdym przedmiocie w pomieszczeniu. Nie miałam wątpliwości, że ktoś od pewnego czasu mieszka w starej cementowni. W pokoju było małe okno wychodzące bezpośrednio na szereg domów, z których ostatni należał do Clare. Pomyślałam o światłach, które tamtego wieczoru dostrzegłam w budynku starej fabryki. Na parapecie stała zapalona świeca, mimo że pod ręką była latarka. Czy stąd zabójca obserwował Clare i palił świece?

Gdy wróciłam do komisariatu, Donna była w rozterce, czy na mnie nakrzyczeć za to, że poszłam do cementowni bez wsparcia, czy cieszyć się z szansy na nowy trop w śledztwie.

– Jeżeli DNA zgadza się ze śladami z miejsc zdarzenia, to mamy podejrzanego. Być może nawet odnotowanego w bazie danych. Dobra robota, Harbinder. Ale nigdy więcej nie rób niczego takiego.

– Tylko po co porywał psa? – Neil nie był zadowolony, że nie myliłam się co do Herberta.

– Może potraktował go jako zakładnika – zasugerowała Donna. – Biedactwo. – Lubiała psy i była właścicielką sporego spaniela. Nie panowała nad nim, podobnie jak nad swoimi dziećmi.

– Jeżeli to jest autor wpisów w dzienniku, to wyraźnie chce pomóc Clare – zauważyła. – Może dlatego zaopiekował się Herbertem. Pies miał starannie zabandażowaną łapę.

– Dlaczego więc nie oddał im zwierzaka? – zapytał Neil.

– Może czekał, aż zapadnie zmrok.

Zmrok właśnie zapadał, choć była dopiero trzecia. To był jeden z tych zimowych dni, kiedy ma się wrażenie, że ci starzy ludzie z transparentami mają rację i koniec świata rzeczywiście jest tuż za progiem.

– Na dzisiaj są umówieni inni członkowie zespołu anglistów – powiedział Neil. – Chcesz ich przesłuchać razem ze mną?

– Musimy ich zapytać o *Nieznajomego* – oznajmiłam.

– O co? Aha, tę książkę, na której punkcie Clare ma obsesję.

– Wydaje mi się, że nie tylko ona.

– Co masz na myśli? – zapytała Donna.

– W tym opowiadaniu w starym domu zostają zamordowani dwaj mężczyźni. Jeden ginie od ciosów nożem i ma na rękach rany przypominające stygmaty.

– Jak Ella Elphick – zauważył Neil.

– Właśnie. A drugi został uduszony. Jak Rick Lewis.

– Naprawdę sugerujesz, że zabójca odgrywa sceny z jakiegoś mało znanego opowiadania z epoki wiktoriańskiej? – Donna szperała w szufladzie biurka w poszukiwaniu czegoś do jedzenia.

– Niczego nie sugeruję – odparłam. – Ale w obu miejscach zdarzenia był cytat z tego utworu. Moim zdaniem to dość istotny związek.

– Mówiłaś chyba, że to z Shakespeare’a – wtrącił niezadowolonym tonem Neil.

– I z Shakespeare’a, i z *Nieznajomego*. Nie pamiętasz, jak Clare o tym mówiła?

– Mówiła o różnych książkach. Na przykład o tej, w której gość pisze w cudzym dzienniku.

– *Kobieta w bieli* – przypomniałam mu. – Następne pytanie za dziesięć punktów dla nauczycieli angielskiego.

Neil, niestety, nie załapał aluzji do teleturnieju *University Challenge*.

Przesłuchaliśmy Verę Prentice, Alana Smitha i Anoushkę Palmer. Wszyscy mieli alibi na wieczór, kiedy zginął Lewis. Vera była w domu i oglądała telewizję z matką. To mnie zdumiało, bo wydawało się, że Vera ma jakieś sto lat – okazało się jednak, że ma „zaledwie” sześćdziesiątkę, a matka powyżej osiemdziesiątki. Alan był w domu z żoną i dorastającą córką; oglądali jakiś francuski film na Netflixie. Nie byli fanami *Tańca z gwiazdami*. Alan najwyraźniej uważał się za intelektualistę oraz socjalistę w starym stylu. Stwierdził, że Tony „próbował zrobić z Talgarth akademię”.

– No i co w tym złego? – spytał mnie później Neil. – Akademia brzmi bardziej wytwornie niż szkoła.

Zarówno Vera, jak i Alan czytali *Nieznajomego* „lata temu”, ale żadne z nich nie omawiało opowiadania na lekcjach.

– Typowy utwór białej klasy średniej – ocenił Alan. – Jedyne kobiety, które tam występują, to służące.

Nie pamiętałam służących, co mi podpowiedziało, że Alan przypominał sobie tekst o wiele lepiej, niż twierdził.

Ostatnia była Anoushka Palmer. Ona interesowała mnie szczególnie, bo brała udział w szkoleniu w Hythe. Była młoda, ładna i o mieszanym kolorze skóry, a długie włosy zaplotła w skomplikowany warkocz.

– Rick był dla mnie bardzo dobry – powtarzała.

Nie wątpiłam w to.

W sobotę wieczorem wyszła ze swoim chłopakiem i „została u niego na noc”. Podała nam adres. Nazywał się Sam Isaacs i był nauczycielem w liceum.

– Omawia pani na lekcjach *Burzę*? – spytałam.

– Tak. – Była wyraźnie zdziwiona. – Mam parę lekcji z klasami, które przygotowuję do egzaminu.

– A *Nieznajomego* R.M. Hollanda?

– Nie. Nawet tego nie czytałam. Wiem, że powinnam z powodu związków ze szkołą, ale nie przepadam za prozą wiktoriańską.

Nie jestem zapaloną czytelniczką, ale takie zdanie w ustach nauczycielki angielskiego wydaje mi się wręcz szokujące.

Przed wyjściem Anoushki spytałam jeszcze:

– Mówi pani coś nazwisko Hughes? Bryony Hughes?

– Tak – powiedziała. – Uczy angielskiego w liceum. Sam dobrze ją zna.

– Była przyjaciółką Elli Elphick, prawda?

– Nie jestem pewna, ale większość nauczycieli angielskiego w tej okolicy się zna. Spotykamy się na szkoleniach i przy podobnych okazjach.

To mi zabrzmiało znajomo.

– Czy Bryony Hughes była na szkoleniu w Hythe?

– Tak – odparła Anoushka. – Była. I teraz przypominam sobie, że rzeczywiście kilka razy widziałam ją z Ellą.

– Ale nie uczy żadnych dzieciaków w Talgarth? Na przykład Patricka O’Leary’ego?

– Nie, chyba że prywatnie. Wielu nauczycieli to robi, a nie można udzielać korepetycji uczniom własnej szkoły. Nie wydaje mi się jednak, żeby Patrick O’Leary był amatorem prywatnych lekcji.

Też mi się tak wydawało.

– Prowadzi wieczorowy kurs kreatywnego pisania – dodała Anoushka. – Podobno naprawdę dobry, ale chyba też nie w guście Patricka.

Czyli i Clare, i Bryony Hughes uczyły kreatywnego pisania. Zawsze uważałam, że to dziwny przedmiot. Albo ktoś potrafi pisać, albo nie. Ale może tu krył się związek? Podziękowałam Anoushce; wyszła w wirze chust, szalików i toreb, a Neil przytrzymał jej drzwi jak kamerdyner.

Gdy spisałam raporty, była już szósta, postanowiłam więc, że na dziś kończę. Jeżeli będziemy mieć szczęście, jutro dostaniemy raport od kryminalistyki i śledztwo

posunie się naprzód. Będzie można z powrotem otworzyć szkołę Talgarth, chociaż Stary Budynek pozostanie wyłączony z użytku. Ciekawe, jak czuł się Sweetman, zmuszony do opuszczenia swojego reprezentacyjnego gabinetu dyrektora. Przypuszczałam, że najchętniej nigdy więcej nie oglądałby Domu Hollandów; prawdopodobnie już wypełnia formularze podań o pracę z myślą o przeniesieniu od września.

Pod wpływem impulsu w drodze do domu wpadłam do Clare. Tym razem czekało mnie bardzo serdeczne powitanie. Herbert usadowił się na kanapie jak król z profesjonalnie zabandażowaną łapą i smakołykami w zasięgu pyska. Georgia była w swoim pokoju.

– Napijesz się herbaty? – zaproponowała Clare. – A może kieliszek wina? Już po szóstej.

– Wino bardzo chętnie – powiedziałam. – Skoro jestem po służbie.

Clare naląła dwa szczodre kieliszki czerwonego wina; usiadłam na kanapie i pogłaskałam Herberta.

– Nie wygląda tak źle – zauważyłam.

– Rzeczywiście – zgodziła się. – Weterynarz mówił, że pewnie skaleczył łapę kawałkiem szkła, ale rana nie była głęboka, no i została oczyszczona. To znaczy ktoś... on... to zrobił. I nałożył opatrunek.

Mieliśmy nadzieję, że na bandażu będą odciski palców.

– Nie domyślasz się, kto to mógł być? – spytałam.

Pokręciła głową. Ciągle miała na sobie lekko rozerwany różowy sweter i puszyste kapcie. Mimo to wciąż udawało się jej wyglądać efektownie.

– Czasem widuję światła w fabryce – przyznała. – Ale zawsze myślałam, że to moja wyobraźnia. Powtarzałam sobie, że za często czytałam *Nieznanomego*. Pamiętasz ten fragment, w którym w oknie starego domu palą się świece?

– Pamiętam. – Nie dodałam, że tego dnia odświeżyłam sobie to opowiadanie.

– Omawiam ten tekst na zajęciach z kreatywnego pisania i zawsze powtarzam, że w tradycji opowiadań grozy wszystko dzieje się trzy razy. Jak w tym fragmencie

Nieznajomego, o którym wspominałaś: *Czekaliśmy i czekaliśmy, i czekaliśmy?* Poszłam do gabinetu na strychu i zobaczyłam manekin na krześle. To był pierwszy raz. Potem poszłam z Henrym i zobaczyłam... zobaczyliśmy Ricka. To drugi. Nie mogę przestać myśleć, co się stanie za trzecim razem.

– Rzeczywistość wygląda inaczej – odpowiedziałam. – Nic nie jest takie uporządkowane. Gdy człowiek chce się doszukiwać prawidłowości, może zwariować.

– To nie wszystko – ciągnęła. – Mówię też o totemicznym zwierzęciu. W książkach zwierzęta wykorzystuje się do zwiększania napięcia. Autorzy czasem je zabijają, bo potrzebują śmierci, ale boją się zabić człowieka. Zwierzę może odegrać kluczową rolę w fabule. Tak jak dzisiaj Herbert.

– Ale przecież żyje. Dzięki Bogu. – Bawiłam się uszami Herberta. Coś mi przyszło na myśl. – Pies w *Nieznajomym*...

– Ma na imię Herbert – dokończyła Clare.

– Dlatego tak nazwałaś swojego?

– W pewnym sensie. – Wypiła łyk wina. – Ale poza tym wydawało mi się, że do niego pasuje.

Spojrzałam na psa, który w tym momencie przypominał kłęb białej wełny, leżąc z nosem schowanym pod ogonem. Mnie bardziej wyglądał jak Ferdy albo Dougal. Herbert brzmiał zbyt dostojnie.

– *Jest nie tylko psem* – powiedziałam. – *Jest moim chowańcem, moją duszą w psiej postaci.*

Clare wpatrywała się we mnie przez chwilę z lekko rozchylonymi ustami.

– O Boże – wykrztusiła. – Cytujesz mój dziennik. To okropne.

– Przepraszam. – Rzeczywiście miałam lekkie wyrzuty sumienia.

– Pisziesz coś takiego, ale nigdy nie spodziewasz się, że ktoś to będzie czytał.

– No więc po co prowadzi się dziennik? – zapytałam. – Jaki w tym sens?

Clare uniosła kieliszek do światła i przyjrzała mu się spod przymrużonych powiek. Na stole stały grube białe świece, które cudownie pachniały. Jo Malone,

jak perfumy Clare.

– Żeby zrozumieć – odpowiedziała w końcu. – Kiedy odnotujesz coś złego, trochę to oswajasz. Pisanie pomaga ci zapanować nad sytuacją, wszystko uporządkować. Znaleźć prawidłowości, jak mówiłaś. W najszcześniejszych chwilach na studiach albo kiedy najlepiej się bawiłam, w ogóle nie pisałam. Wróciłam do prowadzenia dziennika, kiedy moje małżeństwo zaczęło się psuć. To pewnie jakaś forma terapii. Gdy patrzysz w przeszłość na gorsze czasy i zdajesz sobie sprawę, że udało ci się przez nie przejść, znajdujesz w tym dziwne pocieszenie.

– Ale nigdy nie zamierzałaś pokazywać dzienników nikomu?

Nie odpowiedziała wprost. Opróżniła kieliszek, napełniła go po raz drugi i zaproponowała mi to samo. Musiałam odmówić, bo przyjechałam samochodem.

– Gdy pracowałam w Londynie – powiedziała – szefem mojego zespołu anglistów był niejaki Lucca. Nie był klasycznie atrakcyjny, ale dość inteligentny i miły, więc podobał się wielu kobietom. Prowadził dziennik i pisał w pracy, może dlatego, żeby nie mogła go znaleźć jego żona. Tak czy inaczej, w szkole pojawiła się nowa młoda nauczycielka, która zadurzyła się w Lucce i pewnej nocy włamała się do szkoły, żeby przeczytać jego dzienniki. Za wszelką cenę chciała sprawdzić, co o niej pisał.

– I co o niej pisał?

Clare parsknęła śmiechem.

– W tym tkwi ironia całej tej sytuacji. Nic. W ogóle o niej nie wspominał. Lucca sam mi to powiedział. Woźny przyłapał ją na włamaniu i kobieta musiała odejść ze szkoły. Z pewnością była niezrównoważona. Ale wiesz, co w tym było najzabawniejsze?

– Nie – przyznałam, wyczuwając, że muszę udzielić jakiejś odpowiedzi.

– Najzabawniejsze było to, że potem musiał o niej napisać.

Zastanawiałam się, po co Clare opowiedziała mi tę historię. Były w niej widoczne podobieństwa do jej zachowania. Pisała dziennik w pracy, włamała się do

szkoły. Owszem, miała klucz, ale moim zdaniem ten czyn świadczył o pewnym niezrównoważeniu. Czy Clare chciała zasugerować, że osoba, która pisała w jej dzienniku, liczyła na to, że znajdzie wzmiankę o sobie w przyszłych wpisach? Od tego wszystkiego zakręciło mi się w głowie. Chociaż może to przez wino. Przypomniałam sobie, że chciałam spytać ją o coś innego.

– Opowiedz mi coś o Bryony Hughes – poprosiłam.

– Bryony Hughes? – Siedziała z podwiniętymi nogami, ale teraz wyprostowała się i postawiła stopy na podłodze.

– Wspominasz o niej w dzienniku. Ella umówiła się z nią, a ty powiedziałaś, że urządzają sobie sabat.

– Masz dobrą pamięć.

– Tak. Do niektórych rzeczy. – Dobrze zapamiętuję, co kto powiedział. To się przydaje w pracy. Jestem jednak beznadziejna, jeżeli chodzi o inne szczegóły: daty urodzin, umówione spotkania, hasło do komputera. – Dlaczego napisałaś, że to sabat?

Clare zaśmiała się, ale nie zabrzmiało to szczerze.

– O Bryony zawsze krążyły plotki. Mówiło się, że jest dobrą czarownicą. Tak zresztą wygląda: nosi długie siwe włosy, mnóstwo srebrnej biżuterii. I ciągle wygłasza gnomiczne zdania. „Masz złotą aureę” i tak dalej. Wiesz, o co chodzi.

Nie miałam pojęcia, co to znaczy „gnomiczny”, i nie zamierzałam pytać.

– I Ella się z nią przyjaźniła?

– Tak. – W głosie Clare usłyszałam jednak wahanie. Przesunęła palec po krawędzi kieliszka.

– Były ze sobą blisko?

– Tak. – Znowu chwila ciszy. – Ale krótko przed śmiercią Elli chyba się pokłóciły.

– Wiesz, o co poszło?

– Nie. Ella czasem tak traktowała przyjaciół. Jeśli coś się stało, z dnia na dzień potrafiła zerwać z najlepszą kumpelką od serca.

Wyraźnie kryła się za tym gorycz. Przypomniałam sobie dzienniki. Wciąż nie wiedziałam, czy Clare była zazdrosna o Ellę w związku z przygodą z Lewisem, czy zazdrosna o Lewisa, bo odebrał jej Ellę.

– Dlaczego interesuje cię Bryony? – zapytała.

– Kilka razy pojawiło się jej nazwisko – wyjaśniłam. – Nic więcej. Nieważne. – Spojrzałam na zegarek. – Powinnam już iść.

– Zamierzam ugotować jakiś makaron dla siebie i Georgie – powiedziała. – Żeby mieć podkład pod alkohol. Chcesz zostać i zjeść z nami?

Herbert podniósł się i pomachał ogonem. Najwyraźniej rozumiał słowo „makaron”.

– Bardzo dziękuję. Ale powinnam wracać do domu. Moja mama na wieczór zawsze przygotowuje prawdziwą ucztę.

– Mieszkasz z rodzicami?

– Tak. – Dziwne, ale czułam, że jestem jej winna tę informację. W końcu czytałam jej dzienniki. – Jestem trzydziestopięcioletnią kobietą, która mieszka z rodzicami. Możesz mnie oceniać, jak chcesz.

– Nie oceniam cię – zapewniła. – A nawet ci zazdrozczę. Mnie trudno jest znieść rodziców przez dwa dni Bożego Narodzenia i nie wyobrażam sobie, że miałabym z nimi spędzać każdy wieczór.

– Jest okay. W sumie są fajnym towarzystwem. Tylko mama ciągle ma chyba nadzieję, że znajdę miłego faceta.

– Łatwiej powiedzieć, niż zrobić.

– Pewnie masz rację – przyznałam. – Ale jestem lesbijką, więc to naprawdę nie ma znaczenia.

Nie mam pojęcia, dlaczego jej powiedziałam. Nawet jeżeli czytałam jej dzienniki, nie muszę w rewanżu zwierzać się jej z najskrytszych tajemnic. Zresztą wcale tego nie ukrywam; nie wstydzę się, nic z tych rzeczy. Ujawniłam się w pracy i wśród znajomych. Tylko nie przed rodzicami oczywiście. Po prostu wolę niektóre

rzeczy zachować dla siebie, a Clare była przecież osobą w kręgu podejrzeń naszego śledztwa. Nie moją przyjaciółką.

– Naprawdę? – Nie była wstrząśnięta ani zakłopotana, nie była nawet szczególnie zainteresowana. Zareagowała dokładnie tak, jak trzeba.

– Tak. No dobrze, lepiej pójdę, zanim moja matka wyśle ludzi na poszukiwania. – Wstałam i otrzepałam ubranie.

– Herbert jest w połowie pudłem – poinformowała mnie Clare. – Nie linieje.

Miałam wątpliwości, ale trzeba przyznać, że nie widziałam psiej sierści pokrywającej każdy kąt domu.

– Wszystko w porządku? – zapytałam. – Scott i Bailey wciąż są pod domem, gdybyś potrzebowała pomocy.

Zaśmiała się.

– Nazywam ich „Cagney i Lacey”. To tylko zdradza mój wiek. Nie, niczego nie potrzebuję. Myślisz, że on wróci, ten człowiek, który mieszka w fabryce?

– Nie sądzę, ale na wszelki wypadek mamy cementownię na oku. Powinnaś pomyśleć o przeprowadzce do bezpieczniejszego miejsca. Pewnie nie możesz wyjechać na trochę do kogoś znajomego? Albo do rodziców?

– Nie bardzo – odparła. – Dzisiaj dzwonił Tony. W szkole czeka mnie koszmar. Podobno pełnię obowiązki szefa zespołu przedmiotowego. Muszę zostać do końca trymestru. Tak czy inaczej, nie wyjechałabym do rodziców. W ostateczności mogłabym pojechać do babci. Mieszka w Szkocji. Niedaleko Inverness.

– Wydaje się, że to bezpieczna odległość – stwierdziłam. – Na razie, Clare. Dziękuję za wino. Pamiętaj, żeby zamykać drzwi na klucz.

Rozdział 33

Rano pojechałam spotkać się z Bryony Hughes. Odkąd zdałam ostatni egzamin, nie przestąpiłam progu liceum. Nie byłam nawet na balu maturalnym. Dziwne, lata spędzone w Talgarth pamiętam z wręcz bolesną ostrością, ale nie mam prawie żadnych wspomnień z czasów tuż przed maturą. Spędziłam w tym miejscu dwa lata życia, ale nie zostawiły we mnie żadnego śladu. Czy miałam nauczycieli, przyjaciół, wrogów? Naprawdę nie pamiętam. Jakby to wszystko przydarzyło się komuś innemu.

Budynki się nie zmieniły: szereg betonowych kostek bez absolutnie żadnego charakteru. Przeciwnieństwo Talgarth. Brakowało tu tej odurzającej szkolnej atmosfery, zdjęć drużyn, plakatów z informacjami o przedstawieniach; były tylko korytarze i sale, które rozróżniało się jedynie dzięki literom i cyfrom. Gdy wpisywałam się na listę w recepcji, przyglądałam się grupie zgarbionych uczniów, którzy przechodzili obok. Wyglądali tak dorośle, jakby od czasów niebieskich bluz w Talgarth dzieliło ich znacznie więcej niż kilka miesięcy. Dwóch chłopaków nosiło brody, a dziewczyny emanowały wyrafinowanym czarem, który w wieku osiemnastu lat uznałabym za nieosiągalny – zresztą pewnie w żadnym wieku. Ciekawe, co myśleli o moim niemundurkowym mundurku złożonym z ciemnych spodni i żakietu plus odznaki z napisem *DS Kaur, Policja Sussex*, ale niepotrzebnie się martwiłam. Żadne z nich nie zauważyło nawet mojej obecności.

Skierowano mnie na górę do gabinetu anglistów. Nie było tu ucznia w roli gońca, dostałam tylko kiepsko skserowany plan piętra. W końcu znalazłam salę na

drugim piętrze, zapukałam i usłyszałam zaproszenie. Pani Hughes była sama i siedziała za biurkiem w pokoju, którego ściany w całości pokrywały afisze teatralne i cytaty z Shakespeare'a. Od razu, jak gdyby słowa zostały zaznaczone innym kolorem przez pilnego ucznia, zobaczyłam: *Puste jest piekło, a wszystkie diabły są tutaj*, kwestię z *Burzy*.

Bryony Hughes prawdopodobnie dobiegała sześćdziesiątki – była więc bliska wieku emerytalnego – ale nie przypominała większości udręczonych starszych nauczycielek. Z pogodnym wyrazem twarzy czekała, aż wyjaśnię powód wizyty. Przypomniałam sobie, co mówiła Clare – „długie siwe włosy, mnóstwo srebrnej biżuterii” – ale ten rysopis nie oddawał rzetelnie wyglądu Bryony. Miała srebrzyste włosy, ale ujęte w zgrabny kok, a biżuterii nie zauważyłam. Była ubrana w kremowy golf oraz – szybko rzuciłam okiem pod biurko – czarne spodnie i płaskie czarne buty, ulubiony rodzaj obuwia pielęgniarek i zakonnic. Miała jasnoniebieskie oczy i za rzadko mrugała.

Nie poprosiła, żebym usiadła, ale to zrobiłam. Odsunęłam krzesło, żebym nie wyglądała jak uczennica wezwana na rozmowę o nieoddanym zadaniu.

– Jestem detektyw sierżant Harbinder Kaur – przedstawiłam się. – Prowadzę śledztwo w sprawie śmierci Elli Elphick i Ricka Lewisa.

Skinęła głową, przyjmując to do wiadomości.

– Znała pani Ellę i Ricka?

– Ella była moją serdeczną przyjaciółką. – Miała niski głos z ledwie słyszalnym walijskim akcentem.

– A Rick Lewis?

– Trochę znałam Richarda.

– Czyli nie był pani serdecznym przyjacielem?

– Richard był bardzo zaangażowanym nauczycielem – odparła z godnością. – I cenionym kolegą po fachu.

– Kiedy ostatni raz widziała pani Ellę?

– Kilka tygodni przed jej śmiercią. Poszliśmy na spacer i odrobinę strawy duchowej. – Była typem osoby, która nigdy nie przyznałaby się, że wychodzi coś zjeść.

– Strawy duchowej?

– Poszliśmy na spacer nad morze. Bliskość wody ma właściwości lecznicze.

– Dlaczego Ella potrzebowała leczenia?

– Uczenie bywa wyczerpującym zajęciem. Poświęca się tej pracy cały swój czas i niekiedy niewiele dostaje się w zamian.

Czy mi się wydawało, czy w tym łagodnym głosie zabrzmiała nuta napięcia?

– Słyszałam, że pokłóciła się pani z Ellą.

– Kto tak powiedział? – Spokój ducha wyraźnie został zamącony.

– To prawda?

– Dobrzy przyjaciele czasem się ze sobą nie zgadzają.

– Co było powodem tej niezgody?

Zawahała się i poprawiła papiery na biurku. Wyglądały na prace pisemne uczniów. Nigdy nie rozumiałam, jak można tyle pisać o książkach.

– Nie zgadzałyśmy się w kwestii metod nauczania – powiedziała w końcu.

– To była poważna różnica zdań?

– Nie, po prostu dyskusja o pedagogice. Obu nam tak zależało na naszych uczniach, że czasem emocje brały górę.

– Ma pani ucznia, który nazywa się Patrick O’Leary?

– Przychodzi na moje zajęcia kreatywnego pisania.

– Chodzi na dodatkowe zajęcia? Nie wygląda na takiego.

– Ma talent pisarski – oznajmiła Bryony. – Nauczyłam się nie sądzić po pozorach.

To był wyraźny przytyk pod moim adresem. Posłałam jej mdły uśmiech.

– Kto jeszcze uczestniczy w tych zajęciach?

– Kilkoro uczniów. To mała, ale doborowa grupa.

Nie podobał mi się ton, jakim to powiedziała.

– Kto należy do tej doborowej grupy?

– Patrick i trzy dziewczyny. Natasha White, Venetia Sherbourne i Georgia Newton.

– Georgia? Córka Clare?

– Clare Cassidy, tak.

– Zna pani Clare?

– Spotykam ją na różnych kursach dla nauczycieli.

– Była pani na szkoleniu w Hythe w lipcu?

– Tak. – Znowu utkwiała we mnie spojrzenie niebieskich oczu.

– Pamięta pani coś z tego szkolenia związanego z Ellą? Z Ellą i Rickiem Lewisem?

– Nigdy nie słucham plotek.

Chyba uzyskałam odpowiedź na pytanie.

– Kiedy ostatni raz widziała pani Ricka Lewisa?

– Naprawdę nie pamiętam. – Zerknęła na zegarek. – Proszę mi wybaczyć, ale za kilka minut mam lekcję.

Podniosłam się z krzesła, ale Bryony nadal siedziała przy biurku.

– Ma pani aurę gniewu – poinformowała mnie.

– Bardzo dziękuję.

– Ale z drugiej strony – jej głos brzmiał teraz bardzo delikatnie – pewnie ciężko jest tu wrócić.

– Co pani ma na myśli?

– Pamiętam panią jako uczennicę.

– Nie zdawałam angielskiego na maturze.

– Nie, ale mimo to panią pamiętam.

– Ja, niestety, w ogóle pani nie pamiętam.

– Och, wydaje mi się, że pani pamięta – odparła Bryony Hughes. – Chyba tak.

Myślałam o tej gnomicznej uwadze (sprawdziłam, co oznacza to słowo) przez całą drogę do komisariatu. Myślałam też o przedmiotach na półce za plecami pani Hughes: pełnym długopisów kubku z reklamą KitKata, słowniku z tezaurem Collinsa oraz czarnym kamieniu, bardzo podobnym do tego, który znaleziono na biurku R.M. Hollanda, obok zwłok Ricka Lewisa.

„Co się zdarzyło potem?” Och, odwieczne pytanie bez odpowiedzi. Oto kwintesencja opowieści, nieprawdaż? „Proszę, przeczytaj jeszcze jedną stronę”, błaga dziecko tuż przed snem. Zrobi wszystko, by się uchronić przed czającą się w ciemności grozą. A pan nie tak dawno zostawił za sobą dzieciństwo, drogi młody przyjacielu. To zupełnie naturalne, że chce pan wiedzieć, co się zdarzy w następnym rozdziale.

Minął kolejny rok. Zaręczyłem się z Adą, córką mojego opiekuna naukowego. Zacząłem pracować nad dysertacją, która dotyczyła herezji albigensów. Uczyłem także studentów; w gruncie rzeczy byłem solidnym i nudnym wykładowcą. Czasem słyszałem, jak o mnie szepczą; udawało mi się wyłowić słowa „Piekielny Klub” i „morderstwo”. Tamtego roku postanowiłem jednak pozostać w światłości. I zyskałem przyjaciela. Tak jest, mówię o tym oto zwierzęciu, które jest teraz ze mną w wagonie. Herbert to najwspanialszy towarzysz moich udrek. Wierniejszego i bardziej lojalnego próżno szukać wśród akolitów rodzaju ludzkiego.

Minęła jesień, a z nią wigilia Wszystkich Świętych. Wyznaję, że odetchnąłem z ulgą, gdy ten straszny dzień minął bez żadnego incydentu. Ale kilka tygodni później usłyszałem rozmowę posługaczek w korytarzu i wyłowiłem nazwisko „Collins” oraz słowo „zabity”.

Wypadłem z pokoju jak burza i w uniesieniu, które je zdumiało, zapytałem srogo:

– O kim rozmawiacie?

– O panu Collinsie, dawnym studencie King’s College, proszę pana – padła odpowiedź. – Rozmawiamy o tym, jak umarł. To nie była naturalna śmierć.

– Co się stało? – spytałem, czując, jak od stóp do głów oblewa mnie chłód. Collins, towarzysz lorda Bastiana, studiował w King’s College.

– Został zamordowany, proszę pana. Siedział na koźle własnego powozu i jechał przez mokradła. Wyjechał z Ely zdrów jak ryba i ruszył do Cambridge. Nikt

nie wie, co się zdarzyło, ale dzień później znaleziono jego konia biegnącego samopas, lecz wciąż zaprzęzonego do powozu. Wysłano na poszukiwania ludzi i znaleźli pana Collinsa w rowie. Miał poderżnięte gardło.

– Kiedy to się stało?

Odpowiedziała mi starsza z posługaczek:

– W noc poprzedzającą Wszystkich Świętych, proszę pana. Pamiętam, bo Bert, który był na poszukiwaniach, powiedział, że widok konia galopującego samotnie, jakby ścigała go sfora wściekłych psów z piekła rodem, naprawdę mrozi krew w żyłach.

W następnym tygodniu dotarł do mnie wycinek z gazety. Mężczyzna z Cambridge zamordowany na mokradłach. Przy nagłówku widniał sporządzony odręcznie dopisek: Puste jest piekło.

CZĘŚĆ SZÓSTA

Georgia

Rozdział 34

W wieczór po pogrzebie pani Elphick wywoływaliśmy jej duszę. Wydawało się, że tak trzeba. Mama umówiła się z Debrą, a Tash i Vee przyszły do nas i już od drzwi przywitały mamę głośno i radośnie, jakbyśmy miały przed sobą wesoły babski wieczorek. Widzę, że zdaniem mamy to są dla mnie odpowiednie koleżanki, chociaż Vee prawdopodobnie pochodzi z za wysokiej klasy, a Tash jest za bardzo postrzelona. Patrick podjechał na rowerze i czekał za rogiem, dopóki mama nie zniknie z horyzontu.

Trochę się obawiałam, że spotkanie z Patrickiem wypadnie niezręcznie. W końcu powiedział mi o panu Lewisie, a ja przysięgłam na krąg i tak dalej. Ale nie było żadnego problemu. Kiedy jesteśmy razem, tak się jakoś składa, że to ja przejmuję inicjatywę. Dziwne, bo w innych aspektach życia w ogóle nie mam takiego zwyczaju. Żaden nauczyciel nie wyróżniał mnie za cechy przywódcze, nigdy nie byłam w żadnej drużynie, nie mówiąc o sprawowaniu funkcji kapitana. Ale w kręgu najwyraźniej wiem, co robić. Tash zawsze mnie popiera. Jest moją sojuszniczką, Patrick ma wątpliwości, Vee się denerwuje. Tamten wieczór nie stanowił wyjątku.

Przygotowałam pokój. Wyniosłam wszystko, co ma negatywne konotacje: gazetę (sprawy doczesne), zamszowe poduchy (martwe zwierzęta), zdjęcie nieżyjącego pradziadka (aury mogłyby się na siebie nałożyć). Na pustym stoliku zostały trzy świece, czarny spodek i miseczka ziół. Pani Hughes mówiła, że powinien być tymianek, ale udało mi się znaleźć tylko mieszankę ziół, do której

dodałam paczkę potpourri (mama zawsze dostaje takie rzeczy w prezencie na zakończenie trymestru). Obok świec postawiłam fotografię pani Elphick wydrukowaną z jej strony na Facebooku. Była na niej w papierowej czapce na bożonarodzeniowej imprezie. Wybrałam ją, bo wyglądała na niej na szczęśliwą i jej samej musiała się podobać, skoro ustawiła ją jako swoje zdjęcie profilowe.

Venetia od razu zaczęła robić trudności.

– A jak pojawi się zjawa? – spytała. – To będzie straszne.

– Nie ma niczego takiego jak zjawy – przypomniałam jej. – Tylko dusze tych, którzy już odeszli.

– Pokażemy pani Elphick drogę do światła – powiedziała Tash, jedząc chipsy, które wcześniej przygotowałam. Ważne, żeby zaspokajać także nasze potrzeby fizyczne.

– Jej duch się nie pojawi. – Patrick nachylił się i wrzucił sobie do ust całą garść chipsów. – Nie mamy takiej mocy.

– Będziemy mieli, jeżeli razem stworzymy krąg – odpowiedziałam. – Trzeba tylko wierzyć.

– A Herbert? – wtrąciła Tash. – Kochane biedactwo.

Uwielbia Herberta, Vee też, chociaż ma alergię na psy. Nawet Patrick uważa, że jest słodki. Herbert patrzył na nas rozbijającym wzrokiem. Tash myśli, że mój pies odwzajemnia jej uczucie, ale tak naprawdę po prostu ma ochotę na chipsy.

– Może z nami zostać? – zapytała.

– Będę przez niego kichać – powiedziała Venetia. Co wcale nie jest prawdą, bo nawet poważnie uczuleni ludzie nie mają alergii na pudle.

– Chyba lepiej będzie go zamknąć – uznałam. – Tylko by nam przeszkadzał. W kuchni będzie mu całkiem dobrze, jeżeli dam mu jeść.

Zwabiłam tam Herberta czipsami, a potem nasypałam mu do miski trochę psiej karmy. Mama pilnuje jego wagi bardziej niż swojej, ale pewnie się nie zorientuje, że dałam mu dodatkowy posiłek. Herbert wylizuje miskę do czysta.

W salonie zapaliłam świece, rozsypałam na stoliku trochę ziół i zgasłam światła. Wzięliśmy się za ręce; dłoń Tash była spocona, ale Patricka sucha i wyjątkowo silna.

Zaczęłam recytować formułkę, której nauczyła mnie pani Hughes:

– Ty, która żyłaś wczoraj, wołam cię, przyzywam myślą twoje myśli. Wyjdź z ciemności, wróć do światła, ukaz się.

Czekaliśmy. Świece zamigotały.

– Boję się – szepnęła Vee.

– Ciii!

Z początku pomyślałam, że Patrick miał rację i że się nie udało. Ale nie przerwaliśmy kręgu. Staliśmy dalej, trzymając się za ręce, a ja powtórzyłam wezwanie:

– Wyjdź z ciemności, wróć do światła, ukaz się.

Nagle po plecach przebiegł nam dreszcz. Poczułam, jak Tash obok mnie zadrżała. W pokoju robiło się coraz chłodniej. Drzwi otworzyły się i zamknęły. Świece zgasły i zostaliśmy w ciemnościach.

– Nie podoba mi się to – odezwała się Vee. – Przerwij.

– Nie wychodź z kręgu – poleciłam.

Czekałam przez całą minutę, a potem wygłosiłam zaklęcie, które miało uwolnić duszę pani Elphick:

– Ello, która żyłaś wczoraj. Dziękuję. Teraz odleć z tej ziemi i wstąp do świata duchów.

W pokoju natychmiast zrobiło się cieplej. Słyszałam, jak wszyscy oddychamy w mroku; Herbert cicho skomlał w kuchni. Oczekałam jeszcze chwilę, a potem puściłam ich ręce, żeby znowu zapalić świece.

Popatrzyliśmy na siebie. Wszyscy byliśmy w dziwnym stanie; to było coś pośredniego między szokiem, smutkiem i radością.

– Rany – wykrztusiła Tash. – To było... mocne.

Patrick wybuchnął głośnym śmiechem.

– Chyba już jej nie ma. Mówię o Elli.

– Na to wygląda – przyznałam. Poszłam włączyć górne światła i wpuścić do pokoju Herberta. Od razu podszedł do stolika i próbował zjeść liście. Podniosłam go i przytuliłam. Był ciepły i bardzo żywy.

Venetia ciągle dygotała.

– To naprawdę był jej duch?

– Cholera, pewnie, że naprawdę – odpowiedział Patrick. – Nie widziałaś, jak zgasły świece?

– Wszystko dobrze, kochana. – Tash objęła Vee. Poczułam przelotne ukłucie zazdrości, jak zawsze, gdy te dwie za bardzo się do siebie zbliżą. – Uwolniliśmy jej duszę. Ma już spokój. Nie będzie nas więcej niepokoić.

Patrick spojrzał na mnie z drugiej strony stolika.

– Co teraz robimy, Georgie?

Wzięłam zdjęcie Elli, złożyłam na pół i wsunęłam do kieszeni.

– Włączmy telewizor – zaproponowałam. – Obejrzymy sobie coś rozweselającego, na przykład *Przyjaciół*. Zamówię pizzę.

Patrick wyszedł po pizzę. Musiał dojechać do domu rowerem, a zrobiło się zimno. Po dziewczyny mama Tash przyjechała wpół do jedenastej.

– Dasz sobie radę sama? – szepnęła Tash, ale prawdę mówiąc, o niczym innym nie marzyłam.

Gdy tylko odjechały, wyłączyłam górne światła w salonie i poszłam na górę. Herbert został w korytarzu, bo czekał na mamę. Umyłam się, wyszorowałam zęby, wskoczyłam w piżamę i do łóżka. Potem otworzyłam laptop i zaczęłam pisać na MySecretDiary.

Dzisiaj wywoływalismy ducha. Brzmi to nieciekawie, jak punkt na liście rzeczy do zrobienia. Odrobić zadanie, wynieść śmieci, wywołać ducha. Ale tak naprawdę to była najbardziej niezwykła rzecz, jaka mi się przydarzyła. Epicka. Przełomowa.

Wszystko skrupulatnie przygotowałam. Opróżniłam pokój ze zbędnych przedmiotów, zapaliłam świece i rozsypałam ziola. Potem stworzyliśmy krąg, wzięliśmy się za ręce i wypowiedzieliśmy wezwanie. Z początku myślałam, że się nie udało, po chwili poczułam jednak, jak pokój wypełnia niematerialny chłód. Drzwi otworzyły się i zamknęły. Niebo i piekło huczały ognistym blaskiem. Królestwo umarłych stanęło otworem. W tym pokoju znalazły się z nami wszystkie anioły i diabły. Wiedziałam, że jeżeli się poddam, zostanę zupełnie pochłonięta przez ogień. Wypowiedziałam zaklęcie uwolnienia i duch zaraz nas opuścił. Ale wiedziałam, że jeżeli o mnie chodzi, nigdy już nie będę taka sama.

Przeczytałam ten fragment. Uznałam, że jest dobry. Podobało mi się zestawienie listy rzeczy do zrobienia z królestwem umarłych. Być może wydźwięk był trochę melodramatyczny, ale to, co się zdarzyło, było przecież melodramatyczne. W końcu otworzyliśmy portal do innego świata. Kliknęłam pole OPUBLIKUJ.

Niedługo potem usłyszałam, jak wchodzi mama i zabiera Herberta na ostatni spacer. Zamknęłam laptop i wzięłam jedną z książek o Harrym Potterze, które zawsze leżą przy moim łóżku. Gdy byłam już po pierwszym rozdziale, mama zapukała do drzwi. Zapytałam, czy miło spędziła wieczór. Powiedziała, że rozmawiała z Debrą o Elli. Chciałam ją poinformować, że Ella ma już spokój, ale to by wymagało zbyt wielu wyjaśnień. Powiedziałam coś pocieszającego i mama pocałowała mnie na dobranoc.

Zaczekałam, aż zgaśnie światło w korytarzu, a potem znowu wyjęłam laptop.

Rozdział 35

Naprawdę myśleliśmy, że po tym wszystko będzie dobrze. Pokazaliśmy pani Elphick drogę do światła i nikt nie powinien już umrzeć. Mama dalej jednak wyglądała na zestresowaną. Dzień po wywołaniu ducha zniknęła rano na kilka godzin, a kiedy wróciła, zachowywała się bardzo dziwnie. Ty i ja ugotowaliśmy niedzielny lunch, ale jakoś nie wydawała się wdzięczna. Później naprawdę już nie rozumiałam, o co jej chodzi, bo mówiła, że zabójca pani Elphick może się nią „interesować” i że musimy być bardzo ostrożne. Chciałam jej powiedzieć, że teraz najbardziej można się bać samego strachu, ale w końcu mruknęłam, że na pewno wszystko będzie dobrze. Mimo to denerwowała się, bo był wieczór fajerwerków i Herbert umierał ze strachu.

Obiecałam jej, że nie będę sama wracać do domu itd., itd. W tym tygodniu musiałam opuścić zajęcia z kreatywnego pisania, ale dałam Patrickowi jedno z moich opowiadań, żeby pokazał pani Hughes. Odprowadził mnie do biblioteki, gdzie miałam zobaczyć się z mamą, która wyraźnie nie była zachwycona tym, że widzi nas razem. Cały tydzień był taki klaustrofobiczny i ucieszyłam się, gdy tata zabrał mnie na weekend. Musiał zwolnić się na piątkowe popołudnie, żeby przyjechać po mnie do szkoły. Mama nie zamierzała ryzykować i jak zwykle pozwolić mi jechać pociągiem. Co złego mogłoby mnie spotkać w pociągu?

Miałam całkiem fajny weekend z tatą. Trochę się denerwuje z powodu śmierci pani Elphick; nie wiem, ile mama mu powiedziała. Tata naciska mnie, żebym przeprowadziła się do nich, ale nie jestem pewna, czy jego plan budzi taki sam

entuzjazm we Fleur. Mimo to była dla mnie bardzo miła. W sobotę zabraliśmy dzieci na basen. Ocean wbrew swojemu imieniu (ha, ha!) bała się wody, ale Tiger pluska się jak rybka. Jest cudowny. Taki słodki, uwielbia mnie i wszędzie za mną chodzi. Na sobotni wieczór Fleur umówiła opiekunkę i pojechaliśmy we trójkę (ja, tata i F.) na kolację do Chinatown.

Było super. W restauracji stoją jedynie dwa wielkie stoły i wszyscy siedzą razem. Nie ma noży i widelców, tylko pałeczki, nie ma nawet normalnego menu – parujące i aromatyczne potrawy pojawiają się jak wyczarowane. Tata cieszył się, bo jadło tam wielu Chińczyków – lubi, gdy coś jest „autentyczne” – a Fleur chyba była zadowolona, że może odetchnąć od dzieci. Piliśmy tylko jaśminową herbatę, ale na Fleur podziała tak, jakby w każdej filiżance była podwójna wódka.

– Jak tam twoje życie uczuciowe, Georgie? – zapytała, nadgryzając grzanekę z krewetkami.

– W porządku – odpowiedziałam ostrożnie. – Ciągle chodzę z Tyem.

– Masz jego zdjęcie?

Pokazałam fotkę w telefonie. Ty na plaży unosi do światła kamień – taki z dziurą pośrodku; pani Hughes mówi, że nazywają się kamieniami czarownic.

– Oj, przystojniak! – zawołała Fleur.

– Dla ciebie za stary – stwierdził tata, co było do przewidzenia.

– Mama tak nie uważa. Naprawdę go polubiła. – Trochę naciągany wniosek, ale mama rzeczywiście powiedziała, że woli Tya niż Patrycka.

– Jak się czuje twoja matka? – spytał naprawdę ciężkim głosem. Nie znoszę, kiedy tak o niej mówi, zamiast po prostu „mama”. Wydaje mi się to niegrzeczne.

– Dobrze. – Manipuluję ryżem i krewetkami, żeby znalazły się w mojej miseczce, i mam nadzieję, że odczyta sygnał.

Akurat.

– Pewnie ma teraz dużo stresu.

– Nic jej nie jest.

– Śmierć przyjaciółki to poważna sprawa. No i chyba podejrzewa, że ktoś ją śledzi.

Zabrzmiało to tak, jakby mama naprawdę traciła rozum.

– Spotyka się z kimś?

– Masz na myśli psychiatrę?

– Nie. – Moja sugestia wyraźnie go zszokowała. – Psychologa, terapeutę. Kogoś takiego.

– Nie.

Dopiero potem przyszło mi do głowy, że tata mógł pytać, czy mama spotyka się z jakimś mężczyzną – czy kogoś ma. W takim kontekście to musiało zabrzmieć naprawdę dziwnie.

Reszta weekendu była jednak w porządku. W niedzielę rano Fleur i ja wzięliśmy dzieci do parku. F. ugotowała pyszny lunch, po południu odrobiłam pracę domową, a około czwartej tata odwiózł mnie do domu.

Gdy weszliśmy, mama przywitała nas słowami, które mogły potwierdzać najgorsze obawy taty.

– Stało się coś strasznego.

– Cześć, mamo – powiedziałam. – Miałam super weekend. Dzięki, że pytasz.

– O co chodzi? – spytał tata takim tonem, jakby chciał dodać „tym razem”.

– Rick. Nie żyje.

Przerwałam powitanie z Herbertem.

– Pan Lewis?

– Tak. Został zamordowany. Tak jak Ella.

– Chryste – jęknął tata. – Co się dzieje w tej szkole?

Moim zdaniem to było trochę niesprawiedliwe, zwłaszcza że Ella została zamordowana w domu, ale okazało się, że zwłoki pana Lewisa znaleziono w szkole, i to w gabinecie R.M. Hollanda. Mama robiła, co mogła, żebym nie usłyszała tego szczegółu, ale oczywiście nie pozwoliłam wykluczyć się z rozmowy. Zauważyłam, że na pytanie, kto znalazł ciało pana Lewisa, odpowiada trochę

wymijająco. Czyżby to była ona? A jeżeli tak, to po co wałęsała się po szkole w weekend?

Kiedy tata przytulił mnie przed wyjściem, szepnął mi do ucha:

– Jeżeli będzie trzeba, przyjadę po ciebie o każdej porze dnia i nocy.

Mama naląła sobie wielki kieliszek wina i usiadła na kanapie, żeby przeżyć załamanie nerwowe. Popędziłam na górę wysłać wiadomość grupie. Mama mówiła, że to poufne, ale byłam pewna, że niedługo wszyscy się dowiedzą. I faktycznie, kiedy czatowaliśmy na WhatsAppie, dostałam SMS-a ze szkoły z informacją, że jutro jest nieczynna z powodu *nieprzewidzianych okoliczności*.

OMG nie wierzę że pan L nie żyje. – To była wiadomość od Tash.

Napewno seryjny zabójca. – Venetia. Ma problemy z ortografią.

Patrick się nie odzywał i myślałam, że się rozłączył, ale jakieś dziesięć wiadomości później wtrącił, że to *cholernie poważna rzecz*.

Kto teras – napisała Venetia. *omg powiedz mamie żeby uważała G.*

nie bądź głupia – zgasił ją Patrick.

Przecierz ktoś zabija nauczycieli angielskiego. – Wyczułam, że Venetia jest urażona.

Musimy powiedzieć pani Hughes – wstukałam. – *Będzie wiedziała co robić.*

Po zakończeniu czatu dostałam prywatną wiadomość od Patricka.

musimy pogadać.

Na rozmowę z Patrickiem musiałam czekać do wtorku. W poniedziałek przeżyliśmy chwilę wielkiej paniki, bo zaginął Herbert. Rano wyprowadziłam go na spacer. Doszliśmy do łąki, więc spuściłam go ze smyczy i zaczął zataczać koła i węszyć. Dostałam wiadomość od Patricka, więc stanęłam, żeby odpowiedzieć, a kiedy oderwałam wzrok od ekranu, Herbert zniknął. To było straszne. Wołałam go i wołałam. Pomyślałam, że może pobiegł do domu. Ale kiedy wróciłam, nie było go tam. Pobiegliśmy z mamą na łąkę, ale się nie pokazał, nie zareagował nawet na specjalny gwizd. Wpadliśmy w panikę. Mama powiedziała, co się stało,

naszym „ochroniarzom” z policji i zaraz pojechali go szukać. Ciągłe robiłam sobie wyrzuty, że to moja wina. Gdybym tylko nie patrzyła w ten telefon... Ale Patrick był roztrzęsiony, pisał, że policja go ściga, że czekali na niego pod domem. Zastanawiałam się, czy nie zmyśla, ale okazuje się, że nie. Policja naprawdę przyszła do niego do domu.

Herbert nadal nie wracał, więc mama zadzwoniła do groźnej detektyw Kaur, a ta rzeczywiście przyjechała. Nie mogłam w to uwierzyć. I okazała się genialna. Kazała się nam uspokoić i pomyśleć logicznie. Poszliśmy do ogrodu zajrzeć do szopy i detektyw Kaur (dla nas już Harbinder) usłyszała szczekanie psa. Dźwięk dobiegał od strony starej fabryki. Bałam się wejść do środka, ale Harbinder była nieustraszona. Znalazła otwarte drzwi i weszliśmy.

Od dawna podejrzewałam, że w fabryce są niespokojne duchy. Ludzie opowiadają, że kiedyś utopiła się tam w cemencie mała dziewczynka i w nocy słyhać jej płacz. Nie wiem, czy to prawda, ale na pewno działa tam jakiś poltergeist. Widziałam w nocy światła, słyszałam dziwne dźwięki, a fabryka ma w sobie jakiś smutek, podobnie jak Stary Budynek w szkole. Gdy weszliśmy do środka, wyczułam aktywność nadprzyrodzoną jak miazmat. Mama i Harbinder nic nie zauważyły. Były na tropie Herberta i nic innego się nie liczyło. Zabawne, nagle stały się bardzo do siebie podobne: miały tylko jeden cel, który dodawał im odwagi. Poczułam się jak płaczące się z tyłu dziecko, ale czasem, jak twierdzi pani Hughes, musimy słuchać głosu swojego wewnętrznego dziecka.

W końcu Herbert się znalazł, zamknięty w małym pokoju, gdzie najwyraźniej ktoś nocował. Harbinder była bardzo podniecona ujawnieniem kryjówki włóczęgi. Policja prawdopodobnie będzie próbowała zrobić go w zabójstwo. Mama była szczęśliwa, że odzyskaliśmy Herberta, ja też się cieszyłam. Zawiozliśmy go do weterynarza, bo skaleczył się w łapę, a po powrocie do domu położyliśmy na poduszce w salonie i dałyśmy mu wszystko, co najbardziej lubi: psie ciastka Bonio, piszczącą zabawkę, posłodzoną herbatę.

Poszłam na górę pisać w dzienniku i wysłać wiadomość do Patricka. Około wpół do siódmej przyszła do nas Harbinder i usłyszałam znajomy bulgot

nalewanego z butelki wina. Czyżby detektyw Kaur została przyjaciółką rodziny? Lubię ją i podziwiam, ale nie chciałabym, żeby za bardzo się do nas zbliżyła. Jej aura jest niebieska jak policyjne światła. Wydaje mi się, że nie cofnie się przed niczym, żeby dojść do prawdy.

Następnego dnia wróciliśmy do szkoły. Stary Budynek był zamknięty, a drzwi zabezpieczała prawdziwa taśma policyjna. Wszyscy byli strasznie nakręceni, a ponieważ stłoczyli nas w tym zakichanym Nowym Budynku, atmosfera była bliska wrzenia. Przed sprawdzaniem obecności zdążyłam zamienić z Patrickiem tylko parę słów.

– Wszyscy myślą, że jestem mordercą. – Wyglądał na jeszcze bardziej rozgorączkowanego niż dotąd, miał podkrążone oczy, nieumyte włosy. Zauważyłam też zarost na twarzy.

– Wcale nie myślą – powiedziałam.

– Wszyscy na mnie patrzą.

– Pewnie się zastanawiają, dlaczego ze sobą szepczemy. Może myślą, że chodzimy ze sobą.

Zaśmiał się.

– Zerwę z Rosie. To nie fair wobec niej.

– Nie melodramatyzuj.

– Serio, Georgie. Może ty i ja powinniśmy być razem. Ty jest dla ciebie za stary.

– Mówisz jak mój tata.

– Serio. On cię nie rozumie. A ja rozumiem. Jesteśmy tacy sami.

– Do zobaczenia – uciełam. – Muszę iść na lekcję.

Niektóre rzeczy lepiej przemilczeć.

Pan Sweetman urządził następny apel specjalny. Powiedział, że nie możemy skupiać się na tym, jak zginął pan Lewis, ale powinniśmy pamiętać, jak żył.

Akurat. Wszyscy myśleli tylko o morderstwie. Ktoś nawet spytał mnie wprost, czy nie podejrzewam, że to zrobiła moja mama.

– Jasne – odparłam. – Bo naprawdę chciała zostać szefem zespołu anglistów.

Większość ludzi wierzyła jednak w wersję z szalonym seryjnym mordercą.

– A jeżeli to jakiś były uczeń? – powiedziała Paige. – Ronnie Bellows naprawdę nie cierpiał pana Lewisa i był kompletnym świrem. Zawsze ubierał się na czarno i słuchał heavy metalu.

– No i super – rzuciłam. – Sprawa wyjaśniona. Sama zadzwonisz na policję czy ja mam to zrobić?

Uświadomiłam sobie, że rzeczywiście mogłabym zadzwonić na policję. Miałam w telefonie specjalny „numer alarmowy” do Harbinder.

Spotkaliśmy się z Patrickiem w czasie przerwy na lunch. Chcieliśmy iść na cmentarz, ale nauczyciele naprawdę ściśle przestrzegali zakazu opuszczania szkoły. Przypominało to ten wątek z *Harry’ego Pottera*, kiedy w Hogwarcie petryfikacji ulegają kolejne osoby i na końcu okazuje się, że to robota bazyliuszka: nauczyciele w parach patrolują korytarze, woźni pilnują bram, wszyscy rozmawiają o tym, kto może być sprawcą. W końcu trafiliśmy do pracowni plastycznej. Patrick powiedział, że musi popracować nad pracą zaliczeniową z plastyki, a ja – że muszę posiedzieć nad projektem z historii.

Usiedliśmy otoczeni przez okropne autoportrety namalowane przez siódmoklasistów. Sala pachniała farbami olejnymi i kredkami, co było dziwnie przyjemne. Praca Patricka naprawdę była dobra. Pejzaż morski z wielką postacią wynurzającą się z wody, wszystko utrzymane w tonacjach szarości i błękitu, pod pochmurnym, mrocznym niebem. Kojarzył mi się z książką, którą czytałam w dzieciństwie, *Żelaznym Olbrzymem*.

– To plaża w Shoreham w pogodny dzień – powiedział. Zobaczyłam, że podpisał obraz *Puma*, swoim alter ego ze świata science fiction.

– Chciałabym mieszkać bliżej morza – przyznałam.

– Moja okolica raczej by ci się nie spodobała. Większość to domki letniskowe. Tak naprawdę nikt tam nie mieszka na stałe. W dzień jest za cicho, a przez całą noc ryczą syreny statków.

– Co się wczoraj stało? – spytałam. – Mówiłeś, że przyszła do ciebie policja.

– Tak. Złapała mnie kamera monitoringu przed domem Elli Elphick.

– Boże. I podejrzewają, że ją zabiłeś?

– Sam nie wiem. Powiedziałem im, że widziałem Lewisa, i chyba ich to zaciekało. Możliwe, że to on zabił panią Elphick, ale teraz sam nie żyje. Policja pewnie myśli, że zamordowałem oboje.

– Masz alibi na sobotę wieczór?

Nie mogłam uwierzyć, że to powiedziałam. Pytałam przyjaciela, czy ma alibi na czas popełnienia zabójstwa. Patrick odwrócił się, żebym nie widziała jego twarzy.

– Tak. Dlatego w niedzielę chciałem z tobą pogadać. Wpadła do mnie Vee.

– Co?!

– Nic między nami nie ma – zapewnił, wyraźnie obronnym tonem, jak mi się wydawało. – Byłem sam i czułem się samotny. Rodzice Rosie nie pozwalali jej wyjść. Ty byłaś w Londynie u taty. Wysłałem Vee wiadomość i przyszła.

– Jak długo u ciebie była?

– Została na noc.

Nie odezwałam się. Z jednej strony byłam w szoku i niespecjalnie zadowolona. Ani przez chwilę nie wierzyłam, że nic się nie wydarzyło między Patrickiem a Venetią. Może i nie „chodzili” ze sobą, ale na pewno ze sobą spali. Byłam wściekła, że Venetia straciła dziewictwo wcześniej ode mnie i w dodatku utrzymała to w tajemnicy. Żadne z nich nie pisało słowa na MySecretDiary. Z drugiej strony cieszyłam się, że Patrick ma solidne alibi.

– Powinam już iść – powiedziałam.

Złapał mnie za rękę.

– Nie złość się, Georgie. To ciebie kocham.

– Przestań to powtarzać – odburknęłam. – Nie kochasz mnie. Jesteśmy jak brat z siostrą.

– Vee mówi, że w poprzednim życiu była moją siostrą bliźniaczką. Mówi, że mamy tę samą duszę.

– Chyba się przekonasz, że bliźnięta mają własne dusze.

Patrick ciągle trzymał mnie za rękę.

– Mam taki młyn w głowie, Georgie. Nie wiem, co myśleć.

– Możesz spytać swoją siostrę bliźniaczkę Venetię.

– Nie złość się – powtórzył. – Vee mówiła, że będziesz zła, jak ci powiem.

– Nie jestem zła.

Byłam wściekła.

Mama wciąż codziennie odwozi mnie do domu. Wydawała się mocno rozkojarzona i pewnie trudno się dziwić. Odebrałyśmy Herberta z ośrodka opieki i gdy tylko weszłyśmy do domu, uciekłam na górę. Kiedy stukiałam w klawisze, pracując nad wpisem w dzienniku, usłyszałam szczekanie Herberta i głosy na dole. Detektyw sierżant Kaur. Ciocia Harbinder. Nasza nowa najlepsza przyjaciółka.

Podkrađłam się bliżej schodów i zaczęłam nasłuchiwać. Harbinder mówiła o „dowodach znalezionych na miejscu zdarzenia”. Miała ze sobą listę „znaczących przedmiotów”, które były w gabinecie R.M. Hollanda tamtego wieczoru, gdy zginął pan Lewis. Poprosiła mamę, żeby jej powiedziała, czy widziała jakiś z nich. A więc to jednak mama znalazła zwłoki. Wiedziałam.

– Na biurku były trzy świece i garść liści i płatków z potpourri.

– Nie pamiętam, żebym widziała... – Głos mamy brzmiał niewyraźnie.

– Technicy znaleźli jeszcze to. Mam tu zdjęcie z miejsca zdarzenia.

Boże, szkoda, że nie mogę zobaczyć, co to jest. Na szczęście mama zadała to pytanie.

– Sprawdziłam. Podobno ten kamień nazywa się czarny obsydian.

Rozdział 36

Wiedziałam, co powinnam zrobić. Musiałam zobaczyć się z panią Hughes. Ale łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Mama ciągle pilnowała mnie jak kwoka. W końcu postanowiłam częściowo wtajemniczyć Tash. Powiedziałam jej tylko, że muszę się spotkać w cztery oczy z panią Hughes i że to pilne. Chyba domyśliła się, że chodzi o coś związanego z kreatywnym pisaniem. Spytała swoją mamę, czy w czwartek mogłabym przyjść do niej po lekcjach. Matki odbyły naradę i wyraziły zgodę. Dwa dni czekania to była męczarnia. W środę wieczorem wyskoczyłam z Tyem do knajpki w Steyning. Było fajnie, ale cały czas myślałam o tym, co mi powiedział Patrick: że powinnam być z nim, nie z Tyem. Czy to prawda? Czuję z Patrickiem więź, która nie łączy mnie z Tyem, ale z drugiej strony z nim czuję się bezpiecznie, a z Patrickiem nie zawsze. Ty odwiózł mnie do domu punkt o dziesiątej i mama była dla niego naprawdę miła: zaprosiła go na gorącą czekoladę, pytała go o pracę i dziadków. Zalatywało obciachem, ale widziałam, że chciała dobrze.

W czwartek wyszłam ze szkoły razem z Tash i czekałam na autobus do Chichester. Tash wysiadła na swoim przystanku, a ja zostałam i dojechałam do liceum. Szkoła West Sussex przypomina Nowy Budynek w Talgarth – jest nowoczesna, bez charakteru i wszędzie błyszczący się od szkła i plastiku. Mamie się podoba, bo mają dobre wyniki z egzaminów, ale ja raczej boję się tam iść. W Talgarth może i jestem „córką pani Cassidy”, ale przynajmniej jestem kimś. W liceum mogę kompletnie zniknąć w tłumie. W informatorze piszą, że „traktują uczniów jak dorosłych”, ale moim zdaniem się przeceniają. Jedyny plus będzie taki, że zostanę uczennicą pani Hughes.

Uprzedziłam ją, że przyjadę, więc czekała na mnie w jednej z klas. Wszystkie sale wyglądają tak samo. Ta miała na drzwiach tabliczkę B2 11-C. Bóg jeden wie dlaczego.

Pani Hughes sprawdzała prace pisemne, ale wstała, gdy weszłam. Bardzo się ucieszyłam na jej widok. W odróżnieniu od innych w ogóle się nie zmienia. Włosy upięła w zgrabny siwy kok, miała na sobie jasnoróżowy sweter z falbaniastym kołnierzem. Mama powiedziała, że wygląda „kiczowato”, ale dla mnie wszystko było trafione w dziesiątkę. Bezpieczne i ponadczasowe.

- Georgia. – Nigdy nie zdrabnia mojego imienia. – Jak się masz, moja droga?
- W porządku. – Usiadłam naprzeciwko niej. – Chociaż... nie bardzo.
- Rozluźnij się, Georgio. Oddychaj.

Zamknęłam oczy. Klasa pachniała jak wszystkie sale szkolne na świecie, ale dzięki obecności pani Hughes była bezpiecznym miejscem. Staralam się oddychać wolniej. Jej głos brzmiał bardzo cicho i łagodnie.

- O co chodzi, Georgio?

Otworzyłam oczy.

- O Patricka – powiedziałam.
- Ach, odkryłaś, jakie uczucia naprawdę żywi wobec ciebie.
- Nie. Tak...

Szczerze mówiąc, byłam trochę zbita z tropu. Nigdy nie przypuszczałam, że pani Hughes interesuje się tym, kto się komu podoba. I do tej dziwacznej rozmowy przed lekcjami, kiedy zasugerował, że powinniśmy być razem, a potem jego deklaracji w pracowni plastycznej nigdy nie sądziłam, że podobam się Patrickowi.

- Chodzi o zabójstwo pana Lewisa. Wie pani o tym?
- Tak, nawet odwiedziła mnie policjantka.
- Detektyw sierżant Kaur?
- Bystra młoda kobieta, ale pełna złości.

Opis pasował do Harbinder.

– No więc usłyszałam od Patricka... – Opowiedziałam o nim i pani Elphick. O tym, jak tamtego wieczoru widział przed jej domem pana Lewisa. O tym, że spędził noc z Vee, i o znalezieniu czarnego obsydianu w gabinecie Hollanda. – To był jeden z kamieni, które nam pani dała, żeby nas chroniły – dodałam. – Na pewno.

Patrzyła na mnie przez dłuższą chwilę, naprawdę patrzyła, a błękit jej oczu wyglądał jednocześnie łagodnie i przerażająco.

– Mówiłaś o tym komuś jeszcze? – zapytała.

– Nie.

– Słyszałaś, jak ta policjantka mówiła, że kamień został znaleziony na miejscu zbrodni?

– Tak.

– Podejrzewasz Patricka?

Bałam się tego pytania, ale pani Hughes zadała je tak spokojnie, że potrafiłam odpowiedzieć.

– Trochę. Lubił panią Elphick i nie cierpiał pana Lewisa za to, że wyrzucił go z jej klasy. A Patrick... no, jest w gorącej wodzie kąpany.

– Tak – odparła pani Hughes. – Czasem ma ciemną aurę. Ławo się zapala, szuka mocnych wrażeń. Może być niebezpieczny. Widać to w tym, co pisze.

– Ale potrafi być uroczy – zauważyłam, myśląc o tym, jak na urodziny dostałam od niego szparagi, bo wiedział, że to moje ulubione warzywa, albo gdy nagrał jakiś program o psie, bo przypominał mu Herberta. Myślałam o filmikach z serwisu Dodo o ludziach ratujących zwierzęta, o sytuacjach, kiedy razem wybuchał śmiechem na zajęciach kreatywnego pisania.

– Tak, jesteś jego dobrym aniołem – stwierdziła pani Hughes. – Otwierasz mu oczy na światło. Venetia... nie ma na niego tak zdrowego wpływu.

– Co mam zrobić? – zapytałam. – Wiem, że powinnam powiedzieć Harbinder, to znaczy detektyw Kaur, albo mamie. Ale nie chcę, żeby miał przez to kłopoty.

Pani Hughes bardzo długo milczała. Jest jedną z niewielu znanych mi osób, które potrafią siedzieć zupełnie nieruchomo. Potem powiedziała:

– Domyślam się, że wywołaliście ducha pani Elphick.

Wlepiłam w nią wzrok.

– Skąd pani wie?

Spodziewałam się usłyszeć, że wyczuła to w jakiś tajemny wiccański sposób, ona jednak wyjaśniła:

– Przeczytałam na MySecretDiary.

Nigdy nie przypuszczałam, że zagłąda na tę stronę. Rozmawialiśmy o niej na zajęciach, ale zawsze uważałam, że pani Hughes nie zniża się do takich rzeczy jak social media. Prawie nigdy nie korzysta z maila. Mam od niej setki ręcznie pisanych wiadomości. Przyszło mi na myśl, że jeżeli jest zarejestrowaną użytkowniczką, musi mieć nick.

– Bardzo dobrze napisane – pochwaliła z życzliwym uśmiechem. – Znakomite różnicowanie konstrukcji zdań.

– Dziękuję. – Zrobiło mi się przyjemnie i nie broniłam się przed tym uczuciem. – Skąd pani wiedziała, że chodzi o panią Elphick? Nie wymieniłam jej nazwiska.

– A o kogo innego? Poza tym wyczułam jakieś wyzwolenie. Jak gdyby w końcu została oddana żywiołom.

– Myśli pani, że to samo powinniśmy zrobić dla pana Lewisa?

– Niestety, Richard wciąż trzyma się ziemi – powiedziała pani Hughes. – Jest znacznie mniej rozwiniętą duszą niż Ella.

– Powinnam komuś powiedzieć o tym kamieniu? – spytałam.

– Czasem najlepsze jest milczenie – odparła. – Wszechświat zwykle sam potrafi rozwiązywać różne problemy.

Odetchnęłam z ulgą. Wszystko powinno się ułożyć.

Wysiadłam z autobusu na skrzyżowaniu, z którego do domu miałam krótki spacer. Bardzo wyraźnie widziałam mury starej fabryki, a za nimi lśniące w ciemności kredowe klify. Gdyby mama pytała, miałam powiedzieć, że podwoziła mnie mama Tash, ale nie mogła poczekać, bo musiała odebrać Fergus, irytującego młodszego brata T., po treningu piłkarskim. Szłam skrajem łąk, bo było tam pobocze, a drogą pędziły samochody. Była szósta, godziny szczytu jeszcze nie minęły, zestresowani ludzie wracali do domów swoimi bmw i audi. Gdy byłam mała, o siódmej musiałam chodzić spać i zawsze uważałam te późniejsze godziny za czas dla dorosłych. Słyszałam kiedyś, jak mama i tata rozmawiają na dole, piją wino i oglądają w telewizji bardziej wyrafinowane programy. Oczywiście dość szybko przestali rozmawiać i zaczęli na siebie syczeć, potem krzyczeć, a gdy miałam dziesięć lat, zostałyśmy z mamą same. Mimo to dźwięk czołówki *University Challenge* do dzisiaj wywołuje we mnie nostalgię.

Dlatego w ogóle się nie bałam. To przecież nie była straszna pora dnia.

Wtedy usłyszałam ten oddech.

Miałam w uszach słuchawki, więc z początku pomyślałam, że dźwięk pochodzi z podcastu, którego słuchałam. Ale zatrzymałam się i wyjęłam słuchawki. Sapanie dochodziło zza żywopłotu za moimi plecami, z ciemnych łąk. To był cichy, zwierzęcy odgłos, mimo to wiedziałam, że to nie zwierzę. Pomyślałam o opowiadaniu *Małpia łapka* i zmartwychwstałym stworzeniu, które przywlokło się przed drzwi dwojga starszych bohaterów. Pomyślałam o obrazie Patricka i istocie wynurzającej się z morza. Pomyślałam o słowach pani Hughes, że duch pana Lewisa ciągle trzyma się ziemi. Ruszyłam dalej i szłam coraz szybciej, ale oddech mnie gonił i cały czas był tylko kilka kroków za mną. Widziałam już nasz dom i światło w oknach, które oznaczało, że mama już jest; przed budynkiem stał jej samochód. Zaczęłam biec; mój oddech przyspieszył, jakby prześladowca mnie gonił.

Pokonywałam drogę zygzakiem, ledwie omijając wszystkie audi, a potem sprintem skręciłam w naszą boczną uliczkę. Oddech ucichł, a ja z bezpiecznej

kryjówki naszego ganku popatrzyłam w stronę łąk. Czy między drzewami poruszał się jakiś kształt? Ale wieczór był ciemny i niczego mi nie zdradził.

Zerwałem zaręczyny z Adą. Nie nadawałem się na towarzysza żadnej przyzwoitej osoby. Nie wychodziłem z pokoju; rzekomo pracowałem nad dysertacją, lecz w rzeczywistości pisałem historię, którą właśnie pana raczę, drogi młody przyjacielu. O Piekielnym Klubie i wigilii Wszystkich Świętych w zrujnowanym domu. O zwłokach i przysiędze przypieczętowanej krwią naszego towarzysza. O Ebrahimim i Collinsie. O nemezis, która prawdopodobnie mnie prześladowała. Bezustannie pisałem te słowa:

Puste jest piekło.

Gdy znowu nadszedł trzydziesty pierwszy października, byłem już wrakiem. Wiedziałem, że ludzie się mnie lękają. Opiekun naukowy próbował przemówić mi do rozumu (mimo że nienawidził mnie za to, jak potraktowałem Adę), a prodziekan poprosił mnie o rozmowę, podczas której uświadamiał mi konieczność zdrowego odżywiania się i regularnego zażywania ruchu. Mens sana in corpore sano[18]. Gdyby tylko znał mój prawdziwy stan ducha.

Czekałem przez cały dzień. Nie wychodziłem z pokoju, ponieważ wiedziałem, że nemezis i tak przybędzie, bez względu na to, czy zamknę się na klucz, czy nie. Wiadomość dotarła do mnie dopiero nazajutrz, w Dzień Wszystkich Świętych. Późnym wieczorem poszedłem na przechadzkę po mieście. Często wybierałem się na spacer o tej porze i krążyłem po cichych ulicach, sam na sam z własnymi myślami. Ale przed St John's College zobaczyłem kolegę, niejakiego Egremonta, który stał przed stróżówką i palił fajkę. Przypomniałem sobie, że był członkiem Piekielnego Klubu, ale minąłem go szybkim krokiem, nie chcąc się wdawać w rozmowę.

- Serwus! – zawołał za mną. – Byłeś przyjacielem Bastiana, prawda?
- Znałem go – odrzekłem ostrożnie, choć serce tłukło mi się w piersi.
- Słyszałeś, co go spotkało? To okropna wiadomość.
- Nie. Co się stało?

– Właśnie dowiedziałem się od jednej z posługaczek. Bastian jechał pociągiem. To był jeden z tych nowych składów, w którym są przejścia między wagonami. Właśnie przechodził z jednego do drugiego, gdy pociąg nagle się rozdzielił. Bastian został zmiażdżony pod kołami. Biedaczysko. Co za straszna śmierć.

Spojrzałem na Egremonta; zatrzymałem wzrok na jego bladej twarzy, a potem przenieśliem go na wpiętą w klapę odznakę z czaszką.

– Kiedy to się stało? – zapytałem.

– Za ledwie wczoraj – odparł. – Jestem pewien, że napiszą o tym w jutrzejszym „Timesie”.

Tydzień później dotarł do mnie wycinek z gazety ze znanym już dopiskiem.

Puste jest piekło.

[18]Łac. w zdrowym ciele zdrowy duch.

CZEŚĆ SIÓDMA

Clare

Dziennik Clare

Czwartek, 16 listopada 2017

Naprawdę mam już Simona powyżej uszu. Kto mu dał prawo, żeby traktować mnie tak protekcjonalnie, tak lekceważąco?

– Nie mogę stać z założonymi rękami, gdy mojej córce grozi niebezpieczeństwo. – Tak przed chwilą powiedział mi przez telefon.

Jego córce! Jakbym ja nie umiała dopilnować, by nic się jej nie stało. Tylko dlatego, że poinformowałam go o wieczorze spędzonym przez Georgie u Tash.

– Chyba uzgodniliśmy, że zawsze po lekcjach wraca z tobą do domu.

– Jest u Tash – powtórzyłam. – Mama Tash ją przywiezie.

– A co w ogóle wiemy o tej kobiecie? Powinnaś wcześniej spytać mnie o zgodę.

Pytać go o zgodę! Faceta, który mnie porzucił, związał się z o połowę młodszą od siebie kobietą i założył nową rodzinę. Zgoda, zanim poznał Fleur, byliśmy w separacji, a jeśli chodzi o ścisłość, jest od niego młodsza tylko o dziesięć lat. Ale fakt pozostaje faktem, że odkąd się z nią ożenił, stał się nadętym dupkiem. Na tym polega problem z prawnikami. Kiedy ludzie płacą ci za godzinę Bóg wie ile, zaczynasz myśleć, że twoje słowa są coś warte.

To mnie grozi niebezpieczeństwo, a Simon nie ma o tym bladego pojęcia – o dziennikach, o włóczędzie koczującym w starej cementowni, o tym, że to ja znalazłam przebitego nożem Ricka. Chce, żeby Georgie przeprowadziła się do niego, ale to się nigdy nie stanie. Jasne, lubi jeździć do nich na weekend, ale

podejrzewam, że Fleur traktuje ją jak opiekunkę i korzysta z jej pomocy, kiedy na przykład zabiera dzieci na basen i tak dalej. Georgie lubi przyrodnie rodzeństwo i chyba podoba się jej Londyn, jedzenie w Chinatown i cała reszta. Nie chce tam jednak mieszkać na stałe. Woli zostać ze mną.

Nie mówiłam jej o kłótni z Simonem. Wróciła od Tash trochę podenerwowana. Powiedziała, że martwi się o pracę domową, ale kiedy zaproponowałam jej pomoc, od razu odmówiła. W końcu co nauczycielka może wiedzieć o zadaniach domowych?

Praca też jest teraz koszmarem. Dzięki Bogu, że Susan, nauczycielka, którą zatrudniono w zastępstwie Ricka, sprawia wrażenie całkiem kompetentnej. Don do niczego się nie nadaje i w ogóle nie panuje nad klasami. Oprócz innych obowiązków mam jeszcze na głowie plan lekcji i prognozy wyników egzaminów. Nie wiem, jak szkoła może dalej funkcjonować, ale oczywiście musi, i w pewnym sensie tylko dzięki temu sama funkcjonuje. Żeby przez coś przebrnąć, trzeba przez to przebrnąć. Kto mi to ostatnio mówił?

Moją jedyną pociechą – prócz Herberta – jest Henry. Dzisiaj wieczorem znowu rozmawialiśmy na FaceTimie. Cudownie było zobaczyć go w pokoju w Cambridge, na tle witrażowego okna, w mniszej prostocie tego wnętrza. Nie zraził go taki drobiazg jak znalezienie zwłok na pierwszej randce. Chce się znowu ze mną zobaczyć. Muszę przyznać, że ta świadomość sprawia mi przyjemność.

Ale Simon... Nigdy, przenigdy nie pozwolę mu odebrać mi córki. Nie wierzę, że kiedykolwiek go kochałam. Czasem wydaje mi się, że moje życie zaczęło się psuć w dniu, w którym go poznałam.

Rozdział 37

Przez pewien czas życie wlecze się dalej. Herbert szybko wydobrażał, ale wciąż unosi łapę i nie chce postawić jej na ziemi, gdy Georgie szczebiotliwie mówi „biedny piesek” albo „dzielny bohater”. Nie chciała pojechać na weekend do Simona (ha, ha!) i spędziłyśmy ten czas spokojnie w domu. W sobotę wieczorem wyszła do kina z Tyem, ale wróciła przed jedenastą. Na niedzielny lunch poszłyśmy do Debry i Georgie z przyjemnością grała w piłkę z chłopcami i rozmawiała o książkach z Debrą i Leo. Czasem wydaje się taka żywa i inteligentna. W takich chwilach dochodzę do wniosku, że podjęłam słuszną decyzję co do jej edukacji – wszystko jedno, co sądzi o tym Simon.

Szkoła wciąż jest dla mnie udręką. Mam mnóstwo pracy, a uczniowie histeryzują, mnożą teorie na temat zabójstwa Ricka; często dochodzi do wybuchów płaczu albo agresji, choć niezbyt brutalnych. Pogrzeb zaplanowano na czwartek w kościele w Brighton, do którego chodzili z Daisy. Przynajmniej nie odbędzie się w naszej kaplicy. Nie sądzę, żebym potrafiła znieść widok kolejnej trumny wnoszonej do szkoły. Tony wybiera się na pogrzeb i uważa, że też powinnam jechać.

– Przecież byłaś... w to zamieszana.

Chodzi mu o to, że ja go znalazłam. Trzeba przyznać, że nie odniósł się ani słowem do tego, że o tak późnej porze znalazłam się w szkole, chociaż musiało to wyglądać podejrzanie. Chyba rzeczywiście powinnam jechać na pogrzeb Ricka, ale nie wiem, czy to wytrzymam. Może powiem, że beze mnie plan lekcji leży; to

prawie na pewno będzie prawda. Wszyscy jesteśmy przeciążeni, mimo dwojga nauczycieli na zastępstwie. Każdy robi jednak swoje i może to dziwne, ale wydaje się, że teraz stanowimy bardziej zgrany zespół niż dawniej, gdy mieliśmy Elle i Ricka. Kiedy jeszcze żyli... Anoushka i ja dalej mozolimy się z przedstawieniem, choć nie wierzymy, że kiedykolwiek będzie gotowe. Pippa w roli Audrey jest bardzo dobra, ale Bill nie zna tekstu, a Roślina przychodzi na co drugą próbę.

Nie miałam żadnych wiadomości od Harbinder, odkąd wpadła do nas, żeby mi powiedzieć o przedmiotach znalezionych „na miejscu zdarzenia”. Dzień wcześniej piłyśmy razem wino prawie jak przyjaciółki. Ale w środę, gdy wracam po kolejnym piekielnym dniu, przed domem stoi jej samochód.

– Czego ona chce? – pyta Georgie. W czasie jazdy zwykle niewiele się odzywa; siedzi podłączona do telefonu. Ożywia się tylko wtedy, gdy odbieramy Herberta z Doggy Day Care.

– Jeżeli mamy szczęście, to przyjechała z wiadomością, że złapali zabójcę i znowu wszystko jest dobrze – mówię.

– Śnij dalej, mammo.

Leje jak z cebra. Harbinder wysiada z samochodu z kapturem na głowie. Jest sama i zastanawiam się, czy to ma oznaczać, że nie przyjechała z oficjalną policyjną wizytą.

– Wejdz.

Próbuję ochronić parasol, by wiatr nie wywrócił go na lewą stronę. Georgie i Herbert już wpadli do środka. W korytarzu Harbinder zdejmuje kurtkę. Wygląda na równie zmęczoną jak ja: ma cienie pod oczami, włosy zebrane w kucyk.

– Chodźmy do kuchni – zapraszam. – Napijemy się herbaty.

Siadamy przy barku i słuchamy bębnienia deszczu w świetlik.

– Jak toczy się życie w Talgarth? – pyta Harbinder, częstując się ciastkiem.

– Boki zrywać – mówię. – Zabójstwo szefa zespołu anglistów ma cudowny wpływ na morale.

– Myślałam, że zostałeś szefem zespołu.

– Pełnię obowiązki szefa zespołu – poprawiam. – A to ogromna różnica. – Georgie jest na górze, więc sądzę, że mogę bezpiecznie spytać: – Co nowego?

– Dostaliśmy część raportów z analizy DNA – odpowiada. – Dlatego tu jestem.

Czuję się nieco rozczarowana, że nie wpadła po prostu napić się ze mną herbaty.

Harbinder wyjmuje z torby teczkę, ale jej nie otwiera, i swoim „profesjonalnym” głosem dodaje:

– Mamy sporo śladów DNA z posłania znalezione w starej fabryce. Na śpiworze było mnóstwo płynów fizjologicznych.

– Oszczędź mi szczegółów – proszę.

– Okay. W każdym razie wyniki odpowiadają śladom DNA zabezpieczonym na miejscu zdarzenia.

– Którym?

– W gabinecie R.M. Hollanda. Na zwłokach ofiary i na biurku znaleźliśmy ślady wydzieliny z nosa.

– Co to znaczy?

– Że prawdopodobnie zabójca kichnął – wyjaśnia Harbinder z kamienną twarzą. – Rzecz w tym, Clare, że osoba, która nocuje w starej fabryce, to ta sama osoba, która zabiła Ricka Lewisa.

– O Boże.

– Muszę ci to powiedzieć – ciągnie Harbinder z dłonią na ciągle zamkniętej teczce. – Radzimy ci wyjechać do jakiegoś bezpiecznego miejsca, najlepiej daleko od Sussex. Może do babci w Szkocji?

Parskam śmiechem. To kompletnie idiotyczny pomysł. Nie mogę wyjechać z Sussex, skoro tylko dzięki mnie zespół anglistów jeszcze się nie rozsypał. Widzę jednak w wyobraźni dom dziadków w Ullapool, odbłask światła na morzu, góry w oddali.

– Nie mogę zostawić pracy – oświadczam. – Naprawdę mamy braki kadrowe. Georgie też nie może sobie pozwolić na przerwę w nauce. To dla niej ważny rok.

– Może wystarczą dwa tygodnie – mówi Harbinder. – Poza tym nie ma ludzi niezastąpionych.

– Ja w tym momencie chyba jestem.

– Nauczyciele zawsze mówią, że uczniowie nie mogą pozwolić sobie na przerwę w nauce, i to zawsze jest nieprawda. Georgia prawdopodobnie więcej zyska, spędzając trochę czasu tylko z tobą, niż siedząc parę tygodni na nudnych lekcjach o rachunku prawdopodobieństwa.

– O czym rozmawiacie?

Stoję przy zlewie i nalewam wody, więc nie słyszę wchodzącej Georgie. Ma na sobie ten brzydki mundurek Talgarth, ale nagle wydaje mi się niewiarygodnie piękna. Jest bardzo blada, włosy spływają jej na plecy.

– Rozmawiamy o tym, żebyście wyjechały z mamą na jakiś czas – odpowiada bez zająknięcia Harbinder. – Miałabyś ochotę?

– Przecież nie mogę przestać chodzić do szkoły.

– Rany boskie, zrobili ci pranie mózgu – stwierdza policjantka. – Myślałam, że każdy chciałby skorzystać z okazji, żeby urwać się z lekcji.

Ku mojemu zaskoczeniu Georgie wybucha śmiechem.

– Naprawdę nie znoszę matmy. Zwłaszcza rachunku prawdopodobieństwa.

– Ja też – przyznaje Harbinder. – Ale, niestety, w pracy policji jest go sporo.

– Dlaczego radzisz, żebyśmy wyjechały? – pyta Georgie. Siada naprzeciwko Harbinder. Czuję się odsunięta na drugi plan jak barman w westernie. „Co cię gryzie, Buck?”

– DNA znalezione na miejscu zdarzenia odpowiada próbkom pobranym z posłania w fabryce – mówi detektyw.

To znacznie więcej, niż zdecydowałabym się powiedzieć córce. Próbuję zza linii bocznej zasygnalizować wątpliwości.

– Zidentyfikowaliście DNA? – zaciekawia się Georgie.

Harbinder się śmieje.

– To właśnie problem z dzisiejszą młodzieżą. Wiecie więcej o policyjnych procedurach niż ja. DNA nie jest zgodne z żadną próbką pobraną w śledztwie. Sprawdziliśmy też znanych przestępców z okolicy.

– Czyli to ktoś nieznajomy?

– Najprawdopodobniej tak.

Nie wiem, dlaczego wiadomość, że na wolności jest nieznany zabójca, miałyby mi przynieść ulgę, ale tak właśnie jest. Widzę, jak rozluźniają mi się zaciśnięte dłonie.

– Znaleźliście coś jeszcze na miejscu zdarzenia? – dopytuje się Georgie.

– Powiedziała ci już wystarczająco dużo – ucina Harbinder. – Wyrzucą mnie z magicznego kręgu.

Georgie śmieje się i wycofuje z kuchni. Harbinder zostaje, zjada jeszcze trochę ciastek i rozmawiamy o Herbercie. Dopiero potem zastanawiam się, po co tak naprawdę do nas wpadła.

Rozdział 38

W końcu jednak jadę na pogrzeb Ricka. Przypuszczam, że nie mogę się od tego wymigać. Siedzę między Tonym a Liz Francis, wicedyrektorką, i słucham, jak ludzie opisują Ricka jako człowieka „pełnego Bożego światła”. Okazuje się, że należał do rozśpiewanego i roztańczonego nurtu chrześcijaństwa. Nie zdawałam sobie z tego sprawy. Nabożeństwo odbywa się w miejscowym ośrodku kultury i podczas psalmu ludzie unoszą ręce. Muzyka jest całkiem niezła; solistka ma fantastyczny gospelowy głos, sięgający aż do balonów, które zostały u sufitu po Halloween. Pastor wygłasza ładną mowę.

– Bez wiary nie mamy nadziei na zmartwychwstanie i po naszej Wielkiej Sobocie nigdy nie nadejdzie świt Dnia Pańskiego. – Widzę, jak siedząca w pierwszym rzędzie Daisy Lewis z zapalem kiwa głową.

Nie wyznaję żadnej religii. Rodzice są ateistami, mimo że ojciec – którego rodzina pochodzi z Irlandii – został wychowany w duchu dość miękkiego katolicyzmu i mówiono mu rzeczy w rodzaju „święci są bardzo mili, może na czas Wielkiego Postu odstawimy słodycze”. W domu rozmawialiśmy o wierzących ludziach z poczuciem wyższości, z jakim antropologowie opisują tak zwane zaginione plemiona. Rodzice są wykładowcami na uniwersytecie i rozmowy tego rodzaju były ich ulubioną rozrywką. Czasem wołałam, żeby wreszcie umilkli i pozwolili mi czytać. Myślałam kiedyś, że może wcale nie byłoby źle być katoliczką. Przynajmniej ludzie na mszy nie gadają i w niedzielę miałabym ze dwie godziny spokoju. Poza tym jakaś forma edukacji religijnej pomogłaby lepiej

zrozumieć T.S. Eliota, nie mówiąc o Miltonie i Chaucerze. Mój brat Martin, lekarz, który w Boże Narodzenie zawsze jest „pod telefonem”, nie ma cierpliwości do takich rozmyślań. Wychowuje dzieci w duchu czystego racjonalizmu. Żadnych Wrózek Zębuszek, Świętych Mikołajów ani Dzieciątek Jezus. Na pewno zostaną scjentologami.

Simon i ja byliśmy mniej jednoznaczni i bardziej liberalni. Powiedzieliśmy Georgie, że niektórzy wierzą w Świętego Mikołaja i Dzieciątka i że to wspaniałe postacie uosabiające dobroć i szczodrość. O ile mi wiadomo, nasza córka nigdy nie tęskniła za katolicyzmem ani inną filozofią opartą na wierze w siły nadprzyrodzone. Ale patrząc dziś na Daisy, zastanawiam się, czy to rzeczywiście dobrze. Ona przynajmniej ma coś, co oddziela ją od ciemności.

Nie zostaję na stypie. Muszę wracać na popołudniowe lekcje, poza tym co mogłabym powiedzieć rodzinie i przyjaciołom Ricka? Przed wyjściem podchodzę do Daisy, żeby się przywitać i złożyć jej kondolencje. W odpowiedzi na moje nienaturalnie brzmiące zdania posyła mi spojrzenie pełne takiej pogardy i nienawiści, że miękną mi nogi.

Odwożę do szkoły Liz (Tony oczywiście został, by ścisnąć rękę i zapewniać wszystkim, jak bardzo mu przykro) i gdy zatrzymujemy się na jednych z licznych świateł przy biegnącej wzdłuż brzegu drodze z Brighton, pytam:

– Widziałaś, jak Daisy Lewis na mnie popatrzyła?

Liz milczy przez chwilę, po czym mówi:

– Musi jej być ciężko. Nie miała nikogo oprócz Ricka.

Lubię Liz i nie pozwolę, by tak łatwo wykręciła się od odpowiedzi.

– To nie wyjaśnia, dlaczego mnie nienawidzi.

– Przecież wcale cię nie nienawidzi. – Patrzy przez okno w stronę szkieletu ruin mola. – Po prostu jest o ciebie zazdrosna.

– Zazdrosna o mnie? Dlaczego?

– Na pewno wie, że Rick był w tobie zakochany.

– Rick nie był we mnie zakochany. – Zapala się zielone światło i gaśnie mi silnik. Autobus za nami trąbi. No i proszę, ile wart jest mit, że w Brighton mieszkają tylko wyluzowani zwolennicy ekologii.

Liz milczy, więc mówię:

– Wiesz, że romans miał akurat z Ellą.

– Wiem. Ale najpierw spodobałaś mu się ty. Pamiętam, jak go przed tym ostrzegałam. Biedny Rick. Lubiłam go, ale miał swoje słabości.

– I w ten sposób facetom uchodzi to na sucho, prawda? – odparowuję. – Wszyscy ich usprawiedliwiają. Rick zdradza żonę i każdy mówi: „Biedny Rick, po prostu nie umiał się oprzeć przewrotnym sztuczkom Elli”.

– Przecież tak nie powiedziałam – protestuje Liz.

– Wcale nie zachęcałam Ricka. Powiedziałam mu, że między nami nigdy do niczego nie dojdzie.

– Nie twierdzę, że go zachęcałaś – mówi. – Powiedziałam tylko, że Daisy najwyraźniej jest o ciebie zazdrosna. Rick miał obsesję na twoim punkcie, a ty nie chciałaś nawet jego oddania.

To jednak też brzmi jak krytyka. Przez resztę drogi prawie się nie odzywamy.

Znowu długi dzień. Po lekcjach mamy próbę. Przedstawienie odbędzie się za niecałe dwa tygodnie, ale muszę zastąpić tę przeklętą Roślinę dublerem, który ma metr osiemdziesiąt wzrostu. Georgie przychodzi obejrzeć próbę, między innymi dlatego, że w chórze jest Tash. Nie jestem zachwycona, gdy na miejscu obok córki siada Patrick O’Leary i szepcze do niej przez całą piosenkę *Somewhere That’s Green*. Pippa, która gra Audrey, dwa razy wybucha płaczem i ciągle na nich popatruje. Mam nadzieję, że nie jest następną zagubioną idiotką, która podkochuje się w O’Learym.

Gdy próba wreszcie się kończy, Georgie, Tash i Patrick zbijają się w ciasną grupkę. Pippa wygląda na zapłakaną.

– Dobrze się czujesz? – pytam. – Naprawdę świetnie wypadniesz. – To prawda. Problem jest z resztą.

– Nic mi nie jest, proszę pani. Kobięce sprawy, rozumie pani.

Za dużo informacji. Przywołuję jednak na twarz uśmiech troskliwej nauczycielki.

– Wracaj do domu i odpocznij. W poniedziałek próba całości. Moja Audrey ma zasuwać na pełnych obrotach. – Podnoszę głos. – Chodź, Georgie, pora na nas.

– Spoko, mamo, wrzuć na luz. – Parę osób się uśmiecha.

Znowu jedziemy do domu przez mleczną mgłę znad morza; punkty orientacyjne pojawiają się znikąd, między drzewami snują się upiorne obłoki. Georgie najwyraźniej prowadzi ciekawą rozmowę na WhatsAppie. Włączam Radio 4. Nadają *Archerów* i jakiś zmęczony męski głos mówi o sztucznym zapłodnieniu.

– Na litość boską... – Georgie odrywa wzrok od telefonu. – Naprawdę musimy tego słuchać?

Wyłączam radio. Takiej gęstej mgły jeszcze nie widziałam, mam wrażenie, że jedziemy w chmurach. Cementownia zupełnie zniknęła. Widzę tylko pomarańczowy blask trzech latarni na naszym żalonym kawałeczku drogi. Gdy wysiadam z samochodu, ledwie potrafię rozróżnić zarys drzwi wejściowych własnego domu.

Dlatego zupełnie zaskakuje mnie głos Harbinder, który nagle odzywa się z głębi białych oparów:

– Clare. Coś się stało.

Rozdział 39

– Co? – pytam. – Co się stało?

– Wejźmy do środka. – Zza Harbinder wyłania się Neil Winston. A więc wizyta ma charakter oficjalny.

– O co chodzi, mamó? – Georgie bierze mnie pod rękę. Niesie Herberta, który spędził długi dzień w psim hotelu.

– Masz klucze do domu? – Głos Harbinder jest prawie bezcielesny.

Oczywiście nie umiem znaleźć kluczy. Mam zdrętwiałe palce i po chwili policjantka musi wziąć ode mnie torebkę.

Wchodzimy do środka, Harbinder włącza światła i prowadzi nas do salonu. Neil zostaje odkomenderowany do kuchni z zadaniem zaparzenia herbaty. Teraz naprawdę zaczynam się niepokoić.

– Nie chcę, żebyś wpadła w panikę. – Tak brzmią jej pierwsze słowa.

– Chryste, teraz naprawdę wpadnę w panikę – mówię.

Zerka na Georgie, która siedzi na kanapie z Herbertem na kolanach.

– Chodzi o twójego byłego męża, Simona.

Tego akurat zupełnie się nie spodziewałam.

– Co się stało z Simonem?

– Został zaatakowany.

Georgie wydaje słaby krzyk.

– Jest w szpitalu – uspokaja ją szybko Harbinder. – Wyjdzie z tego.

Siadam obok Georgie i otaczam ją ramieniem.

– Co to znaczy „zaatakowany”?

– Ktoś czekał na niego pod jego biurem i pchnął go nożem. Simonowi udało się chyba krzyknąć, bo kilku przechodniów rzuciło mu się na pomoc i napastnik uciekł.

– Nożem. – Myślę o Ricku z przebitą piersią. O Harbinder, gdy mówiła o zabójstwie Elli. „Została pchnięta nożem. Wielokrotnie”.

– Mógł być przypadkową ofiarą – dodaje Harbinder. – Napaści nożowników to w Londynie prawdziwy problem. Ale musimy brać pod uwagę, że to ma związek z tobą.

– Przypuszczacie, że to ta sama osoba, która zabiła panią Elphick i pana Lewisa? – pyta Georgie.

Do pokoju wchodzi Neil z dwoma kubkami herbaty i ostrożnie stawia je przed nami.

– Clare, możemy zamienić słowo w cztery oczy? – pyta Harbinder.

– Nie – odzywa się Georgie zaskakująco zdecydowanym tonem. – Mam prawo wiedzieć, co się dzieje.

Detektywi wymieniają spojrzenia.

– Clare – mówi Harbinder – mogę zajrzeć do twojego dziennika?

– Dałam ci wszystkie.

– Na pewno zaczęłaś następny.

Myślę o *Notesie reportera*, który leży w szufladzie szafki nocnej na górze. Oczywiście, ma rację.

– O czym ona mówi, mamo? – dziwi się Georgie. – Jakiego dziennika?

– To nic ważnego – odpowiadam.

– Mogę go zobaczyć? – naciska Harbinder. – Proszę.

Herbert drepcze za mną na górę, jakbyśmy wybierali się na wycieczkę. Dziennik leży na pustej połowie mojego łóżka. Po stronie, na której nie śpię. Stronie, którą kiedyś zajmował Simon. Nie pamiętam, żebym go tu zostawiła.

Otwieram na swoim ostatnim wpisie.

Ale Simon... Nigdy, przenigdy nie pozwolę Simonowi odebrać mi córki. Nie wierzę, że kiedykolwiek go kochałam. Czasem wydaje mi się, że moje życie zaczęło się psuć w dniu, w którym go poznałam.

Pod spodem ta sama dłoń co zwykle dopisała pochyłymi literami: *Zostaw to mnie.*

Dziennik Clare

Piątek, 24 listopada 2017

Jesteśmy w nocnym pociągu do Inverness. Caledonian Sleeper. Podróż wydaje się zupełnie nierealna. Jeszcze wczoraj prowadziłam próbę przedstawienia i nie mogłam się doczekać weekendu. Dzisiaj Tony musi znaleźć jeszcze jedno zastępstwo, a Georgie i ja jedziemy do Ullapool. Wszystko zorganizowała Harbinder, łącznie z przedziałem klasy club room i podróżnymi zestawami kosmetyków. Przedział jest maleńki, ale zaskakująco wygodny, mamy świeżo wyprasowaną białą pościel i stoliczek, który po złożeniu staje się umywalką. Georgie leży na górze i słucha jakiegoś podcastu, a ja zajmuję parter i piszę te słowa na telefonie. Jest z nami Herbert i zajmuje prawie całą podłogę, ale zachowuje się nienagannie, jakby co dzień wsiadał do nocnego ekspresu, by pędzić przez cały kraj. W ciemności za oknami przesuwa się Anglia. Kiedy się obudzimy, będziemy już w Szkocji.

Wcześniej rozmawiałam z Simonem. Ciągle jest w szpitalu, ale jego życiu nic nie grozi. Wydawał się raczej zirytowany (chyba najlepszym słowem będzie „podminowany”).

– Policja przypuszcza, że to ma związek z tymi twoimi zabójstwami.

Moimi zabójstwami! Według policji ktoś przeszkodził mordercy w trakcie ataku i dlatego dla Simona skończyło się to stosunkowo niegroźnie: kilkoma ranami

kłutymi ramienia i klatki piersiowej. Mój były mąż z pewnością nie uważa, że skończyło się niegroźnie. Na pewno o wszystko obwinia mnie.

Nie mogę się doczekać spotkania z babcią, która daje mi poczucie bezpieczeństwa, znacznie większe niż rodzice. Poza tym w Szkocji, wiele kilometrów od szkoły, R.M. Hollanda i nieznajomego, który pisze w moich dziennikach, na pewno nic nie będzie nam groziło.

Otóż dziś jest rocznica tamtego dnia i tylko ja jeden pozostałem wśród żywych. Cóż za dziwna myśl, mój drogi młody człowieku. Jestem pewien, że pański żywy umysł już dawno rozpoznał typowy scenariusz zdarzeń i zwrócił uwagę na złowieszczą datę. Zapewne zachodzi pan w głowę: Po co on mi opowiada tę historię? Czyżbym został wybrany na świadka śmierci narratora?

Niech się pan nie lęka. Przecież nie zamierzam wznieść się w powietrze balonem ani próbować powozić dwukonnym powozem przez mokradła. Nie runę z wysoka na ziemię ani nie wywloką mnie z powozu rozbójnicy.

To prawda, że jadę pociągiem, ale nie zamierzam opuszczać tego wagonu.

CZEŚĆ ÓSMA

Harbinder

Rozdział 40

Uspokoiliam się, dopiero gdy zobaczyłam, jak obie wsiadają do pociągu. Mimo markowego czerwonego płaszczyka Clare wyglądały, jakby odjeżdżały stąd z falą uchodźców albo przesiedleńców. Georgia miała kurtkę z kapturem i wełnianą czapkę, na ramionach jak garb dźwigała plecak. Clare trzymała na smyczy Herberta, też ubranego w czerwony płaszczyk. Wcześniej sprawdziłam, czy wolno korzystać z sypialnego z psami. To podróż w bardzo przyzwoitych warunkach. Odjeżdżasz ze stacji Euston o dziewiątej, jesz kolację w pociągu, idziesz spać do przedziału i budzisz się w Szkocji. Szczerze mówiąc, byłam mocno zazdrosna.

Z samego rana pojechałam do Londynu na naradę z Policją Metropolitalną. Prowadzący śledztwo, detektyw inspektor Steve Hollings, powiedział mi, że Simon Newton został zaatakowany tuż po wyjściu z biura niedaleko Holborn. Mieści się przy wąskiej uliczce z budynkami zaadaptowanymi z dawnych stajni i oczywiście nie ma tam monitoringu. Ale Simon musiał krzyknąć i wszcząć alarm, bo napastnik uciekł; wcześniej zadał mu parę ciosów nożem. Dwie osoby idące na stację metra usłyszały zamieszanie i ruszyły na ratunek. Zobaczyły Simona, który usiłował dosięgnąć klamki biura, by się w nim schronić. Obficie krwawił, ale był przytomny. Po napastniku nie było ani śladu. Moim zdaniem to nasz sprawca. Wskazuje na to broń tego samego rodzaju, czyli naostrzony nóż kuchenny, porzucony na miejscu zdarzenia, bez żadnych odcisków palców. Napaść też wygląda podobnie – wykorzystanie okazji, brutalność, szybkość ucieczki.

– Przypuszcza pani, że to ten wasz? – spytał Hollings.

– Modus operandi wygląda tak samo, a wszystkie ofiary mają związek z tą samą kobietą.

– Mam nadzieję, że ma dobre alibi. – Hollings wstał i przeciągnął się. Należał do osób, które nie potrafią zbyt długo się nie ruszać. Byłam gotowa iść o zakład, że nosi smartwatcha Fitbit.

– Ma – potwierdziłam. To była prawda. Gdy Simon został zaatakowany, Clare prowadziła próbę przedstawienia w Talgarth, w tej samej zalatującej skarpetkami sali gimnastycznej / teatralnej, w której wystawialiśmy sztuki w naszych czasach. Chociaż sama nigdy w żadnej nie wystąpiłam. Natomiast grał w nich chyba Gary.

Wyszłam z komisariatu policji w Holborn i poszłam do szpitala uniwersyteckiego przesłuchać Simona. Nie był w najlepszej formie – nic dziwnego – ale trudno się zorientować, co Clare kiedykolwiek w nim widziała. Był bezbarwnym facetem drobnej budowy ciała, z przerzedzonymi włosami i nadąsaną miną. Jak jednak wspomniałam, to wszystko mogło mieć związek z jego obecnym stanem.

– Jestem detektyw sierżant Harbinder Kaur – powiedziałam. – Prowadzę śledztwo w sprawie zabójstw Elli Elphick i Ricka Lewisa.

– Clare opowiadała o pani – odparł Simon. Mówił z akcentem z Północy, czego zupełnie się nie spodziewałam.

– Ona też opowiadała o panu.

– Nie wątpię.

Niezdarnie poprawił się w łóżku. Klatkę piersiową i jedno ramię spowijały bandaże, na twarzy widziałam sińce i zadrapania. Zdrową ręką podrapał się w nos.

– Naprawdę sądzi pani, że to ma z tym związek? – spytał. – Że człowiek, który rzucił się na mnie z nożem, to ten sam, który zabił nauczycieli w szkole Clare?

– Sprawdzamy taką możliwość – powiedziałam ostrożnie. – Może pan podać jakieś szczegóły o napastniku?

– Nie bardzo. Było ciemno i wszystko stało się bardzo szybko. Wyszedłem z budynku i sprawdzałem wiadomości w telefonie, a on nagle na mnie skoczył.

– Jest pan pewien, że to był mężczyzna?

Zastanawiał się przez moment.

– Tak. Wysoki, mocno zbudowany. Zwalił mnie z nóg.

– Ile wzrostu mógł mieć pana zdaniem?

– Wysoki, wyższy ode mnie. To zresztą nietrudne.

Najwyraźniej trafiliśmy w czuły punkt. Simon nie był niski. Trudno ocenić, gdy leżał w łóżku, ale wyglądał na jakieś metr siedemdziesiąt pięć. Clare w butach na obcasach byłaby wyższa.

– Widział pan jego twarz?

– Nie.

– Był zamaskowany?

– Nie jestem pewien. Wiem, że to brzmi głupio. Ale na pewno nie widziałem jego twarzy. Musiał mieć kaptur albo maskę.

– To całkiem normalne, gdy ofiara nie potrafi sobie przypomnieć twarzy napastnika. – Normalne, ale irytujące. – Może za kilka dni coś się panu przypomni. Zwrócił pan uwagę na jego buty?

– Buty?

– Tak. Ja zawsze zauważam buty.

– Ja nie – odparł Simon. – Miał na sobie ciemną kurtkę, taką przeciwdeszczową, z membraną.

Pasowałyby do materiału znalezionej w domu Elli.

– Mówił coś? – zapytałam.

– Nie. – Simon się wzdrygnął. – To właśnie było okropne. Skoczył na mnie bez słowa. Jak zwierzę.

Jak zwierzę. Jak nienasycona bestia. Zadałam jeszcze kilka pytań, ale kręciły się przy nas pielęgniarki, a Simon wyraźnie się męczył. Gdy wstałam, zapytał:

– A co z Clare i Georgie? Przecież na pewno grozi im niebezpieczeństwo. Opiekujecie się nimi?

– Wyjeżdżają do babci Clare w Szkocji – poinformowałam. – Zarezerwowałam im bilety na wagon sypialny na dzisiaj.

– Ach, babcia ze Szkocji. – Simon oparł się o poduszki. – Clare uwielbia do niej jeździć. Dziwię się tylko, jak pani ją namówiła, żeby wzięła wolne.

– Łatwo nie było – przyznałam. – Ale nie możemy ryzykować.

– Proszę się nimi opiekować. – Simon zamknął oczy.

– Obiecuję.

Wychodząc, zobaczyłam wysiadającą z windy kobietę z dwojgiem dzieci. Wyjątkowo piękną, o mieszanym kolorze skóry i imponujących włosach układających się w afro. Byłam pewna, że to jego żona numer dwa. Co pociągało dwie olśniewające kobiety w facecie o tak przeciętnym wyglądzie? Heteroseksualistki są dla mnie czasem zagadką.

Wróciłam do Holborn, żeby popatrzeć na miejsce zdarzenia. Uliczka wciąż była odgradzona taśmą, ale niewiele tam było do zobaczenia. Sporo miejsc, w których napastnik mógł się schować: za pojemnikami na śmieci, w cieniu sąsiedniego budynku. Samarytanie nie widzieli go, ponieważ całkiem słusznie skupili uwagę na Simonie, który leżał na schodkach i krwawił. Na najniższym stopniu ciągle była czerwona plama.

Potem nie miałam nic szczególnego do roboty. Neil miał podwieźć Clare na pociąg i planowałam spotkać się z nimi na Euston o ósmej wieczorem. Bardzo potrzebowałam miejsca, w którym mogłabym usiąść i zebrać myśli. Mieliśmy już tyle materiału: DNA, próbkę pisma, narzędzie przestępstwa. Dlaczego nie jesteśmy nawet o krok bliżej od znalezienia sprawcy? Przeszłam High Holborn i Chancery Lane do Strandu. Sklepy były już pełne świątecznych ozdób: mikołajów, reniferów, błyszczących bombek. To już za miesiąc. Moi rodzice obchodzili Boże Narodzenie z takim entuzjazmem jak regularni chrześcijanie i w domu zasiadało się do rodzinnych biesiad, piło się i oglądało bzdury w telewizji. Miałam tylko nadzieję, że do tego czasu znajdziemy zabójcę, bo inaczej będę w paskudnym nastroju.

Po wypiciu morza kawy w różnych Costach trafiłam wreszcie do biblioteki przy Charing Cross. Biblioteki to cudowne miejsca. Można godzinami siedzieć z książką i nikt nie zawraca ci głowy. W tej przy Charing Cross było mnóstwo studentów z Chin i starszych ludzi czytających gazety; ze dwie osoby wyglądały na bezdomne. Usadawiłam się w kącie, żeby przejrzeć notatki. Zaczęłam jedną ze swoich list, z których często szydził Neil.

Potencjalni podejrzani:

1. Clare Cassidy

Argumenty ZA: mogła nie znosić Elli (z powodu pracy i Ricka). Nie lubiła Ricka za to, że ją prześladował. Odkryła ciało R. Jedyne osoba, która ma związek z Simonem Newtonem.

Argumenty PRZECIW: alibi (niezbyt mocne) na obydwu zabójstwa. Alibi na Simona. Wpisy w jej dzienniku (jeżeli sama nie jest ich autorką).

2. Patrick O'Leary

Argumenty ZA: silne uczucia do Elli i niechęć do Ricka. Widziany przed domem Elli w dzień jej śmierci. Słabe alibi na Ricka.

Argumenty PRZECIW: brak związków z Simonem, ma alibi (Clare potwierdziła, że był na próbie). Naprawdę mógłby zaplanować zabójstwa i robić wpisy w dzienniku Clare?

3. Tony Sweetman

Argumenty ZA: palant (niestety, tego faktu nie dałoby się udowodnić przed sądem).

Argumenty PRZECIW: alibi na Ellę. Przy Ricku pobyt za granicą. Brak związków z Simonem.

4. Ktoś inny z zespołu anglistów – Vera, Alan lub Anoushka

Argumenty ZA: mogli nie znosić Elli i Ricka. Znajq Burzę.

Argumenty PRZECIW: wszyscy mają alibi. Mamy próbki charakteru pisma i żadna nie odpowiada wiadomościom zostawionym przez sprawcę. Brak

związków z Simonem.

5. Bryony Hughes

Argumenty ZA: znała Ellę i Ricka. Wiadomo, że pokłóciła się z Ellą. Dziwaczka.

Argumenty PRZECIW: chyba nie za dobrze znała Ricka. Simona nie znała w ogóle. Brak racjonalnego motywu. Za słaba fizycznie?

6. Nieznajomy

Argumenty ZA: nieznane DNA w fabryce (ale nie mamy próbek DNA wszystkich podejrzanych).

Argumenty PRZECIW: motyw? Jak wpisał się do dzienników? No i – kto to jest, do cholery?

I to by było na tyle. Wydałam głośny jęk i jeden z bezdomnych spytał, czy dobrze się czuję.

Odprowadziliśmy Clare i Georgię na pociąg. Pożegnanie wypadło trochę niezręcznie. Nie byłyśmy na tak przyjacielskiej stopie, żeby się przytulać, ale uścisk dłoni wydawał się zbyt oficjalny. Skończyło się na tym, że poklepałam Clare po ramieniu, a do Georgii po prostu pomachałam. Najbardziej wylewna byłam wobec Herberta: zmierzwiłam mu sierść i poradziłam, żeby nie pakował się w kłopoty. Neil oczywiście uściskał całą trójkę. Potem wsiedliśmy do samochodu i ruszyliśmy do Sussex.

– W Szkocji przynajmniej będą bezpieczne – zauważył Neil. – Sprawdziłem, gdzie leży Ullapool, i okazuje się, że stamtąd wszędzie jest strasznie daleko.

– Ja też sprawdzałam. Przypominało mi *Balamory*.

– To znaczy? – Oto właśnie przewaga wynikająca z posiadania bratanic i bratanków. Lily jest za mała, by oglądać klasyczny program na CBBC.

Był piątkowy wieczór i na M23 panował spory ruch. Zastanawiałam się, dokąd jadą ci wszyscy ludzie. Przecież nie każdy z nich wybiera się do Brighton na

upojny weekend. Czy ludzie w ogóle jeszcze jeżdżą na upojne weekendy? Gdy minęliśmy starą bramę przy granicy miasta, powiedziałam:

– Zamierzam przenocować u Clare.

– Co? – Neil jechał ze stałą prędkością, sto dwadzieścia kilometrów na godzinę, ale po mojej zapowiedzi delikatnie przyspieszył.

– Dzisiaj zamierzam nocować u Clare. Jeżeli ktoś zakrada się do jej domu, żeby pisać w jej dzienniku, chcę tam być, żeby go dopaść. – Zabrałam ze sobą do Londynu piżamę, szczoteczkę i pastę do zębów oraz zmianę bielizny. Miałam to wszystko spakowane w torbie do pracy.

– Nie możesz tego zrobić – oświadczył Neil.

– Clare dała mi klucze – ciągnę, jakby w ogóle się nie odezwał. – Możesz mnie do niej podrzucić. Nie chcę stawiać swojego wozu pod jej domem.

– Harbinder, nie możesz tego zrobić. To niebezpieczne. Donna nigdy by ci nie pozwoliła.

– Dlatego nie zamierzam jej o tym mówić.

Rozdział 41

W końcu postawiłam na swoim, jak zwykle. Neil wysadził mnie przed domem Clare. Dochodziła jedenasta i latarnie były zgaszone. Na niebie nie było księżyca. W ciemności rysowały się niewyraźnie kontury fabryki i klifów.

– Przyjadę po ciebie punkt o ósmej – zaofiarował się Neil.

– Nie rób sobie kłopotu – odpowiedziałam. – Mogę podjechać do pracy autobusem.

– I tak po ciebie przyjadę – oświadczył stanowczo. – Gdyby coś się działo w nocy, zadzwoń. Będę miał telefon przy łóżku.

Otworzyłam drzwi i weszłam do domu. Dziwne uczucie znaleźć się tu bez Clare. Usiadłam w ciemności w szaro-niebieskim salonie i próbowałam wyobrazić sobie, że jestem nią i siedzę tu wśród pachnących świeczek, z klasyczną dziewiętnastowieczną powieścią w ręce, albo z podwiniętymi nogami na kanapie uzupełniam lakier na paznokciach, zastanawiając się, gdzie pójść do łóżka z tym profesorem z Cambridge. Spojrzałam na ekran telefonu. Dwie wiadomości od matki. Mówiłam rodzicom, że zostaję na noc w Londynie.

– W hotelu? – zapytała mama. – Uwielbiam hotele.

Chyba dwa razy w życiu mieszkała w hotelu, w tym raz podczas miesiąca miodowego. W pierwszym SMS-ie prosiła, żebym przywiozła jej *jedną z tych małych buteleczek szamponu*. W drugim zabraniała mi tego, bo tata twierdzi, że to drobna kradzież. Przez całe życie prowadzi sklep i jest obsesyjnie wyczulony na

złodziei. Może dlatego wstąpiłam do policji. Odpisałam mamie, że te kosmetyki wcale nie są takie fajne.

Zagrałam parę razy w *Panda Pop*, potem weszłam do kuchni. Lodówka cicho mruzczała, świetlik był granatowy. Nie chciałam zapalać gustownych reflektorków – jeżeli ktoś obserwował dom, powinien myśleć, że jest pusty – ale było wystarczająco jasno, żebym mogła zaparzyć sobie herbatę. Pomarańcza z bergamotką. Smakowała jak perfumy.

Po ciemku weszłam na górę. W pokoju Clare zapaliłam lampkę nocną, która rzucała na tyle dyskretne światło, że nie było go widać z zewnątrz. Pomieszczenie wyglądało tak, jak się spodziewałam: łóżko w kolonialnym stylu francuskim, drewniane meble pomalowane na biało, fotel z niebiesko-białą tapicerką, nowoczesna grafika w tonacjach błękitu i brązu, regał z wydaniem w miękkiej oprawie – w tym z tytułami, których nie miała ochoty pokazywać na dole (Georgette Heyer i Jilly Cooper) – oraz puszysty biały dywan, który przypominał nieco Herberta. Trochę pomyszkowałam. W szafce nocnej znalazłam ibuprofen i gaviscon. Pigulek antykoncepcyjnych nie było. Może weszła już w okres menopauzy. Nie widziałam tabletek nasennych ani przeciwdepresyjnych. Na regale stał dyptyk w srebrnych ramkach ze zdjęciami Georgii i Herberta. Ubrania w szafie były starannie złożone lub powieszzone. Nie było ich aż tak wiele. Zorientowałam się już, że Clare jest osobą, która bardziej ceni jakość niż ilość. Czarne, szare i białe plus czerwony, a może różowy zakiet. Swetry i bluzki były ułożone w szufladach pachnących lawendą. Zobaczyłam trochę zaskakująco seksownej bielizny. Parę listów podpisanych *twoja kochająca babcia*, które przechowywała razem z muszlami i suszonymi kwiatami. Od rodziców nie było nic. Cały pokój pachniał Clare. Jo Malone w wersji English Pear & Freesia.

Na piętrze były tylko dwa pokoje i łazienka. Weszłam do pokoju Georgii, który okazał się największym pomieszczeniem z oknem wychodzącym na drogę. Zamiast zapalać światło, włączyłam latorkę w telefonie. Czarno-biała kołdra z Harrym Potterem, różowa ściana jako „kolorowy akcent”, mnóstwo zdjęć G. i jej koleżanek, regał z książkami (byłam gotowa się założyć, że jest w każdym

pomieszczeniu, nie wyłączając łazienki), kolekcja miniaterek zwierząt, lakier do paznokci, kosmetyki do makijażu, parę świeczek i potpourri. To ostatnie mnie zastanowiło. Jaka młoda dziewczyna trzyma w swoim pokoju potpourri? Powąchałam; prawie zupełnie straciło zapach. Czy to ten sam rodzaj, który znaleziono w gabinecie R.M. Hollanda? Usiadłam przy biurku Georgii. Z takim zestawem nie było mowy o pretekstach, żeby nie odrabiać pracy domowej: długopisy w specjalnym metalowym pojemniku, lampa przegubowa Anglepoise, zakreślacze i samoprzylepne karteczki w każdym kolorze. Na ścianie wisiała tablica korkowa z planem lekcji i zbiorem widokówek, fotografii i inspirujących wizerunków pudli. Na biurku leżały książki. Jedną było szkolne opracowanie *Burzy*, drugą antologia opowiadań grozy. W tej drugiej kartką zaznaczono jakieś miejsce. Otworzyłam. *Nieznajomy* R.M. Hollanda.

– *Jeśli pan pozwoli – rzekł Nieznajomy – chciałbym opowiedzieć pewną historię.*

Georgia zabrała ze sobą laptop (widziałam, jak wkłada go do plecaka), ale przejrzałam plik luźnych kartek leżących w przeznaczonym do tego celu malowanym pudełku. Kserokopie materiałów ze szkoły (*Historia medycyny, Równanie oddychania*), jakieś notatki z zakreślonymi na kolorowo słowami i... Co to było?

...pierwsze morderstwo było najłatwiejsze. Przypadkowe spotkanie, nóż wszedł jak w masło, dwa ciała poruszyły się w ciemności. Padły tak szybko, z taką łatwością. Drugie wymagało zaplanowania. Nie można było już liczyć na przypadek. Tym razem chciałam zabić bliżej domu, spaść na nieświadomą niczego ofiarę jak nienasycona bestia. Bez pośpiechu zaczekam na właściwy moment. Patrząc na moje niewinne oblicze, nikt nawet się nie domyśla, co się za nim kryje. I ukazała mi się ofiara. Dziewczyna ze szkoły. Chyba koleżanka. Nazywała się Eva Smith. Czy Eva wyróżniała się czymś szczególnym? Czy nieświadomie nosiła na czole znak „ofiara”? Nie, była zwyczajna pod każdym względem. Siedziałam z nią na matematyce i patrzyłam, jak na papierze milimetrym rysuje serduszka. Serduszka i kwiaty, które czasem łączyły się ze sobą. Kiery, trefle, karo, piki.

Chciałam ją spytać, jakie jest prawdopodobieństwo, że siedząca obok ciebie dziewczyna, która czasem pożycza ci kątomierz albo mówi coś wesołego przy trudnym równaniu, pewnego dnia zatopi nóż w twojej tętnicy szyjnej, błyskawicznie pozbawiając cię życia?

Chryste. Takich kartek było kilka. Nie znalazłam na nich nazwiska autora ani żadnej notki, ale było jasne, że zostały wydrukowane ze strony internetowej. MySecretDiary.com. Wyjęłam telefon i otworzyłam ten serwis. Trzeba się było do niego logować, ale zajęło mi to kilka sekund. Podałam fałszywe dane, jakich używam w takich sytuacjach, Jenna Barclay. Hasło: Jennbar17. Nie wiem dlaczego, ale zawsze wydawało mi się, że to doskonałe nazwisko dla białej anglosaskiej dziewczyny. Jenna byłaby lubiana w szkole, nie zwracałaby na mnie uwagi, ale chodziłaby z Kushem; byłaby blondynką, miałaby piórnik pokryty futerkiem, zawsze paradowałaby w piłkarskiej bluzie swojego chłopaka z rękawami naciągniętymi na dłonie. Nie chodziłaby ze znakiem ofiary na czole. A teraz Jenna otworzyła internetowy sekretny dziennik. Okazuje się jednak, że nie był aż tak sekretny.

Miałam wrażenie, że czytam równocześnie setkę dzienników nastolatków. Połowę ekranu zalał potok słów. *Nie rozumie mnie... nienawidzę swojego odbicia w lustrze... pod dotykiem jego rąk trzęsę się jak galareta... dlaczego jestem taka... dlaczego nie mogę... dlaczego wszyscy...* Zamieściłam wpis jako Jenna.

*Jestem słodką blondynką. Wszyscy mnie kochają. Żyję sobie jak Barbie w kolorowym Barbie-świecie. Jestem tak idealna, że nigdy w życiu ani przez chwilę w siebie nie zwątpiłam. Dlaczego miałabym w siebie nie wierzyć? Wszystkie dziewczyny z magazynów wyglądają dokładnie tak jak ja. Hej, hej, hej. Nie sądziłam, by moja produkcja miała zdobyć Nagrodę Bookera. Wyglądało na to, że można tu zachować swój tekst w tajemnicy albo podzielić się nim z całym światem. Przeszukałam wszystkie udostępnione wpisy, sprawdzając, gdzie znajdę słowo masło, i po przejrzeniu mnóstwa anorektycznych introspekcji trafiłam: *Przypadkowe spotkanie, nóż wszedł jak w masło...* To było długie opowiadanie – albo krótka powieść – zamieszczone przez osobę podpisującą się *Mariana*. Czy*

Mariana to Georgia? Jeżeli tak, to dobrze wiedziała, jak napisać makabryczną opowieść. Okropną fantazję o morderstwie na lekcji matematyki. Przypomniałam sobie, że przecież Georgia nie lubi tego przedmiotu. Nie lubi rachunku prawdopodobieństwa. Jakie jest prawdopodobieństwo, że normalna, zrównowazona dziewczyna napisze coś takiego? Weźmy taki szczegół jak tętnica szyjna. Ella Elphick zmarła z powodu ran kłutych szyi. Dziewczyna z matematyki miała na imię Eva. Całkiem podobnie do Elli. No i *Nienasycona bestia*, podobno nieznana i niewydana powieść R.M. Hollanda. Czy Georgia mogła o niej wiedzieć?

Zajrzałam do szuflad w biurku i pod wydrukami zadań i zgód na wycieczki szkolne, które zapomniała dać matce, znalazłam jeszcze kilka stron powieści czy pamiętnika. Włożyłam je do jednej z wielu oznaczonych kolorami plastikowych teczek Georgii. Na samym dnie pliku kartek znalazłam coś jeszcze. Zdjęcie Elli Elphick. Wydruk ze strony na Facebooku. Ale nie to było ważne.

Ważne było to, że na fotografii zobaczyłam plamy krwi.

Nie było sensu dzwonić do Neila. Zamierzałam rano zabrać zdjęcie do laboratorium do analizy. Pamiętałam, o co spytała Georgia, kiedy powiedziałam jej o śladach na posłaniu w starej fabryce. „Zidentyfikowaliście DNA?” Nie miałam próbek jej DNA, ale miałam odciski palców. Mogłabym jeszcze raz porównać je z odciskami zabezpieczonymi na miejscu zabójstwa Ricka Lewisa, na świecach i czarnym kamieniu. Zeszłam na dół i znalazłam torebki do mrozonek. Włożyłam do jednej zaplamione krwią zdjęcie, a do drugiej garść potpourri.

Naprawdę sądziłam, że Georgia mogła zabić Ellę albo Ricka? Nie wiedziałam, chociaż niczego nie mogłam wykluczyć. W obu przypadkach miała alibi. Podczas zabójstwa Elli była w domu z matką, a kiedy został zamordowany Rick, odwiedzała ojca w Londynie. Nawet gdybym uważała, że jest zdolna zaatakować go w ciemnej uliczce, to w chwili napaści na Simona była w szkole i oglądała próbę przedstawienia.

Mogła jednak pisać w dzienniku Clare. Mogła dorzucić cytat z *Kobiety w bieli*, książki, którą nieraz widziała w domu. Myślałam o tej wysokiej i już pięknej dziewczynie w kaplicy na pogrzebie Elli: wyglądała na spokojną i opanowaną, w ogóle nie histeryzowała jak inni uczniowie. Przypomniałam sobie, że nie chciała wejść do starej fabryki, kiedy znalazłyśmy tam Herberta. Dlaczego? I czemu pisała o zabijaniu ludzi, o zadawaniu im ran nożem, który *wchodził jak w masło*?

Wróciłam do pokoju Clare i włożyłam do swojej teczki torebki z dowodami. Nie miałam ochoty się rozbierać, ale umyłam zęby i położyłam się kompletnie ubrana. Podłączyłam telefon do ładowarki i wsunęłam go pod poduszkę, wbrew ostrzeżeniom mamy, która twierdzi, że można od tego dostać guza mózgu. Nie zasunęłam zasłon i mimo ciemności na tle nieba widziałam zwałistą i groźną sylwetkę cementowni. Pomyślałam o tamtym wieczorze, gdy Gary i ja zobaczyliśmy damę w bieli i usłyszeliśmy wrzask, który odbił się echem w całym Domu Hollandów. Miałam niejasne przeczucie, że zbudzi mnie tu podobna okropność, ale w domu było cicho, więc po jakimś czasie zasnęłam i nic mi się nie śniło.

Rozdział 42

Kiedy Neil przyjechał po mnie, czekałam przy drzwiach. Zdążyłam już zadzwonić do laboratorium i poprosić o ponowne porównanie odcisków palców znalezionych w gabinecie Hollanda z odciskami pobranymi od Georgii.

W samochodzie opowiedziałam Neilowi o swoich odkryciach. Mój troskliwy partner przywiózł kawę i rogaliki, ale jadłam ostrożnie, bo obsesyjnie dba o porządek w samochodzie.

– Nie kupuję tego – oznajmił. – Przecież Georgia jest tylko dzieckiem.

– Ma piętnaście lat – uściśliłam. – I jest bardzo inteligentna. – Jest córką Clare, dodałam w myślach.

– Ale naprawdę przypuszczasz, że była zamieszana w te zabójstwa? – Neil podniósł głos i równocześnie prawie przekroczył dozwoloną prędkość na drodze do Chichester.

– Dała drastyczny opis zabójstwa – powiedziałam. – Z użyciem noża. Miała zdjęcie Elli poplamione krwią. No i przyjaźni się z Patrickiem O’Learym. Widziałam ich razem na pogrzebie Elli. To może być nastoletnia fascynacja czarną magią.

– Czarną magią? – Wskazówka prędkościomierza oscylowała w okolicach dziewięćdziesięciu na godzinę.

– Świece i zioła – rzuciłam. – W salonie Elli też stały świece, ale pomyślałam, że to taki typ kobiety. W domu Clare również jest ich pełno. Jak w cholernym kościele katolickim.

– Przecież mówiłaś, że takie kobiety jak one zawsze mają świece. Kelly jest taka sama. Wszędzie stoją świece do podgrzewania i miseczki z czymś pachnącym.

– Brzmi cudownie.

– Kobiece zamiłowanie.

– Ja nie rozstawiam świeczek po domu.

– Fakt, ale z tobą jest inaczej.

Nie musiał tego rozwijać. Mieszkałam z rodzicami, byłam Hinduską i lesbijką. Potrójne nieszczęście.

– Wydaje mi się, że powinniśmy jeszcze raz porozmawiać z Bryony Hughes – powiedziałam. – Zna Georgię i Patricka. Chodzą do niej na zajęcia z kreatywnego pisania. W opowiadaniu Georgii pojawia się postać Bryony. Wróżka to chyba ona. Poza tym Clare mówiła, że to dobra czarownica.

– Dobra czarownica? Chyba nie wierzysz w takie pierdoły.

– Ja nie wierzę – odparłam spokojnie. – Pytanie tylko, czy inni też nie.

Donna też nie była przekonana do mojej wersji, ale zgodziła się, żebyśmy przesłuchali Bryony Hughes. Zostawiłam w laboratorium zdjęcie i potpourri, a potem pojechaliśmy do liceum. Była sobota, więc teoretycznie szkoła nie pracowała, ale zadzwoniłam i powiedziano mi, że pani Hughes jest u siebie. W budynku krążyło sporo osób; na boisku toczył się mecz piłki nożnej i sądząc po kakofonii dobiegającej z parteru, trwały tam próby muzyczne. Pani Hughes przyjęła nas w gabinecie anglistów. Powiedziała, że chciała nadrobić zaległości w sprawdzaniu prac. Na biurku znowu piętrzyła się góra wypracowań. Zaangażowana nauczycielka, która najwyraźniej miała wielki wpływ na uczniów. Czy to możliwe, żeby namawiała ich do zabójstwa?

Przyjęła nas najuprzejmiej, jak można sobie wyobrazić.

– Sierżant Kaur. Wspaniale znowu panią widzieć. I...

– Detektyw sierżant Neil Winston. – Neil stał niemal na baczność. Kobiety takie jak Bryony Hughes wytręcały go z równowagi.

– Chcielibyśmy zadać pani kilka pytań na temat Georgii Newton – poinformowałam. – Jest w prowadzonej przez panią grupie kreatywnego pisania, zgadza się? Tej doborowej małej grupie. Razem z... – zajrzałam do notatek – Patrickiem O’Learym, Natashą White i Venetią Sherbourne. Wszyscy są uczniami Talgarth?

– O ile pamiętam, Venetia chodzi do St Faith.

– Słyszała pani o serwisie internetowym MySecretDiary?

– Owszem, to forum kreatywnego pisania.

– Widziała już pani te opowiadania? – Przesunęłam w jej stronę wydruki po blacie biurka.

Hughes przeczytała je z lekkim uśmiechem. Ze ścian krzyczały cytaty z Shakespeare’a. *To o krew woła: krew, mówią, krwi żąda*[19]. *Z niczego może być tylko nic*[20]. *Puste jest piekło*.

Hughes najpierw równiutko złożyła kartki, a potem potwierdziła:

– Tak, to praca Georgii. Chwilami wybitne pióro.

– Wybitne pióro? – zdumiałam się. – Przecież to o zabójstwie.

– Podobnie jak *Makbet* – odparła. – A z pewnością pani nie zaprzeczy, że to wybitne pióro, pani sierżant.

– Detektyw sierżant – poprawiłam. – Prowadzę śledztwo w sprawie dwóch zabójstw. Jeżeli więc uczennica gimnazjum, która znała obie ofiary, pisze o gwałtownej śmierci, interesuje mnie to. Dziwię się, że sama nie zwróciła pani uwagi na to powiązanie. Zna pani nazwisko Smith, Eva Smith?

– Tak.

– Tak?

– To postać ze sztuki J.B. Priestleya *An Inspector Calls*. Chociaż, ściśle rzecz biorąc, Eva nie pojawia się na scenie. To jeden z obowiązkowych tekstów Georgii do egzaminów.

– Jest pani pewna, że napisała to Georgia?

– Tak. Można poznać po jej manierze stylistycznej. I szczególnie medycznym. O ile pamiętam, Georgia jest wielbicieleką *Chirurgów*. To amerykański serial telewizyjny – dodała uprzejmie na widok naszych min.

Maniera stylistyczna. Niech Bóg ma nas w opiece.

– Kiedy odbyły się ostatnie zajęcia kreatywnego pisania dla tej grupy? – odezwał się Neil.

– W poniedziałek. Georgia nie mogła przyjść. Chyba matka ostatnio za bardzo jej pilnuje.

Jednak nie upilnowała, pomyślałam. Gdy Hughes wspomniała o matce, wyraźnie usłyszałam ton wrogości. Przypomniałam sobie, że Clare nie należała do jej przyjaciółek.

– No więc kiedy ostatni raz widziała pani Georgię? – zapytałam.

Hughes zawahała się i zanim udzieliła odpowiedzi, przygładziła włosy. Wyjątkowo czytelny sygnał fałszu.

– W zeszły czwartek – powiedziała. – Przyszła do mnie po lekcjach.

– Po co?

– Chciała pokazać mi swoje opowiadania. Traktuje pisanie bardzo poważnie.

– Możemy zobaczyć te opowiadania?

– Mam je w domu.

Zastanawiałam się, czy to kłamstwo.

– Kiedy ostatni raz widziała pani Patricka? – spytał Neil.

– Na zajęciach kreatywnego pisania w poniedziałek.

– On też jest dobrym pisarzem? – zapytałam.

– Obiecującym – przyznała Hughes. – Bardzo ekspresywnym.

Nie byłam pewna, co to znaczy, ale nie pytałam, by nie dać jej satysfakcji.

– Czy Patrick zamieszcza jakieś wpisy na MySecretDiary? – pytałam dalej.

– Tak. Chyba pod pseudonimem Puma.

Zawibrował mój telefon, ale zignorowałam to. Parę sekund później usłyszałam komórkę Neila; wyszedł z sali, żeby odebrać.

Bryony Hughes uśmiechnęła się do mnie.

– Przypomniała sobie pani spotkanie ze mną, kiedy chodziła pani do tej szkoły, Harbinder?

– Tak. Przeczytała pani opowiadanie, które napisałam. I przysłała mi wiadomość, że jest dobre.

Bóg jeden wie, po co napisałam opowiadanie do szkolnej gazetki. Nigdy wcześniej nie robiłam takich rzeczy. Nie sądziłam, że ktoś naprawdę poświęci czas temu knotowi, ale pani Hughes najwyraźniej to zrobiła. Przysłała mi kartkę – zdjęcie Muriel Spark przy biurku. No oczywiście. Panna Jean Brodie.

– To była historia o duchu z Domu Hollandów – ciągnęła. – Duchy bardzo mnie interesują.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, do sali wrócił Neil.

– Harbinder, musimy jechać.

Dałam pani Hughes wizytówkę i obiecałam, że będziemy w kontakcie. Powiedziała, że bardzo się cieszy. Gdy z hałasem schodziliśmy po schodach, Neil wtajemniczył mnie, co to był za telefon.

– Dzwoniła Olivia. Do komisariatu zgłosiła się jakaś pani Sherbourne. Podobno Venetia i Patrick zaginęli.

– Venetia to dobra dziewczyna – powiedziała Alicia Sherbourne. – Nigdy nie uciekłyby w taki sposób.

Alicia – blond włosy o popielatym odcieniu, kaszmirowy sweterek, obcisłe dżinsy i baleriny – była typową matką z Haslemere. Pamiętałam, że Venetia chodzi do St Faith, szkoły prywatnej, i na drabinie społecznej prawdopodobnie zajmuje miejsce o kilka szczebli nad Patrickiem O’Learym.

– Kiedy ostatni raz widziała pani córkę? – zapytał Neil.

– W piątek rano, kiedy wychodziła do szkoły. – Alicia wyjęła niewielką, obszytą koronką chusteczkę. – Mówiła, że przenocuje u koleżanki, Natashy. Miała stamtąd pojechać prosto na lekcję klarnetu o dziewiątej, ale jej nauczyciel zadzwonił z informacją, że się nie pojawiła. Zadzwoniłam do Natashy i jej matka powiedziała, że Venetii w ogóle u nich nie było.

– Co pani zrobiła potem? – spytałam. Dochodziła jedenasta, więc nie mieliśmy wątpliwości, że komisariat nie był jej następnym przystankiem.

– Wydzwaniałam do koleżanek, ale żadna jej nie widziała, a Georgie podobno jest w drodze do Szkocji. Potem zadzwoniłam do O’Learych.

– Patrick jest chłopakiem Venetii? – zapytałam.

– Nie! – Odpowiedź była gwałtowna i zdecydowana. – Venetia nie ma chłopaka. Nie jest taką dziewczyną.

Nie patrzyłam na Neila.

– W takim razie dlaczego zadzwoniła pani do O’Learych?

W milczeniu mięła w dłoni chusteczkę.

– Venetia знаła Patricka przez Natashę i parę innych dziewczyn z Talgarth.

Ostatnie słowa ociekały pogardą. Poczułam dumę, że też zaliczam się do dziewczyn z Talgarth.

– I Patrick też zaginął? – spytał Neil.

– Tak. Nie wrócił na noc do domu. Jego matka za bardzo się tym nie przejęła. „Pewnie jest u jakiegoś kumpla”. – Alicia starała się naśladować irlandzki akcent.

– Próbowwała się pani dodzwonić do córki?

– Tak. Ma wyłączony telefon. A nigdy go nie wyłącza. – Rozszlochała się na dobre.

Nie najlepiej reaguję na płaczących ludzi, więc poszłam poszukać Olivii. Przed pokojem przesłuchań czekała Donna.

– Przyszły wyniki z laboratorium – poinformowała mnie.

– Szybko.

– Jest identyfikacja. Na kamieniu były odciski palców Georgii. Na tym
znalezionym w gabinecie Hollanda. Czarnym obsydianie.

[19] *Makbet*, akt III, scena 4, przekład Józefa Paszkowskiego.

[20] *Król Lear*, akt I, scena 1, przekład Józefa Paszkowskiego.

CZEŚĆ DZIEWIĄTA

Georgia

Rozdział 43

Dziwnie się czuję w tym pociągu. Jakbym siedziała w kapsule mknącej w przestrzeni kosmicznej. Jesteśmy w tym maleńkim przedziale, mama leży przede mną, a Herbert na podłodze, i wydaje się, że na świecie nie ma nikogo oprócz naszej trójki. Zjadłyśmy kolację w wagonie restauracyjnym i w menu był nawet haggis. Mama skosztowała kawałek i powiedziała, że całkiem smaczny, ale próbuję zostać wegetarianką, więc podziękowałam. Kelner mówił z takim mocnym szkockim akcentem, że prawie w ogóle go nie rozumiałam. Ale powiedział, że jestem „morowa”. To chyba komplement, chociaż brzmi trochę głupio.

Leżymy już na swoich posłaniach, a pociąg ze stukotem pędzi przez noc. Nie mam zasięgu w telefonie, a wi-fi ciągle zanika, ale słucham podcastu, który ściągnęłam wcześniej, więc jest okay.

Chyba minęliśmy maszt jakiegoś przekaźnika, bo nagle odbieram trzy wiadomości. Jedną od Tya i dwie od Vee. Ty pisze: *Mam nadzieję że wszystko gra xo xo*. Vee pisze: *Gdzie jesteś?*, a potem: *Musimy pogadać*.

W pociągu, odpisuję. *W drodze do Szkocji*. Do informacji uprzejmie dołączam biało-niebieską flagę.

Odpowiedź od Vee przychodzi natychmiast. *Zadzwoń proszę. Musimy pogadać*.

Zanim jednak zdążę odpowiedzieć, zasięg znowu zanika.

– Georgie? – odzywa się z dołu mama. – Masz zasięg w telefonie?

– Nie. Właśnie się urwał.

– U mnie też. Chciałam zadzwonić do Fleur i zapytać, jak się czuje Simon.

Jej ton mnie zastanawia i nie jestem pewna, czy mówi prawdę. Wcześniej zerknęłam na jej telefon i zobaczyłam dwie wiadomości od Henry'ego Hamiltona.

– Tacie nic nie grozi – mówię. – Tak powiedziała mi Fleur.

– To prawda – potwierdza szybko. – Nic mu nie grozi.

– Jak myślisz, kto na niego napadł? – Nie wiem dlaczego, ale łatwiej mi o to zapytać, kiedy nie widzę jej twarzy.

– Nie wiem. Może to jakiś zwykły bandyta.

– Myślisz, że to ta sama osoba, która zabiła panią Elphick... to znaczy Ellę... i pana Lewisa?

– Nie wiem – powtarza. – Mam tylko nadzieję, że policja szybko złapie tego człowieka.

– Harbinder powiedziała, że chyba tak, bo już depczą mu po piętach.

– Tak – mówi mama. Ale czuję, że w to nie wierzy. Herbert popiskuje. – Nudzi się. Powinnam pospacerować z nim po korytarzu.

– Ja go wezmę – proponuję.

Nagle chcę się wyrwać z tego przedziału, gdzie mogę równocześnie dotknąć jednej i drugiej ściany. Zeskakuję na podłogę i przypinam Herbertowi smycz.

– Chodź, zwierzaku.

– Bądź ostrożna – prosi mama.

Korytarz jest pusty. Pociąg trzęsie się, pędząc w ciemności po torach. Z jaką prędkością jedzie? Sto pięćdziesiąt na godzinę? Trzysta? Herbertowi się to nie podoba. Skomle, gdy przechodzimy między wagonami; ja też nigdy tego nie lubiłam. Tego wrażenia, jakby wchodziło się na ziemię niczyją, gdzie od zguby dzieli cię tylko jeden fałszywy krok.

Dochodzę do wagonu restauracyjnego. Siedzi tam tylko jeden mężczyzna i czyta książkę. Widok kogoś bez telefonu wydaje mi się tak dziwny, że przystaję. Mężczyzna unosi wzrok.

– Serwus.

– Dobry wieczór – mówię. Jest stary, wygląda na jakieś pięćdziesiąt lat, ma długawe siwe włosy i brodę.

– Podoba mi się twój pies. – Ma staroświecki głos, wytworny i jakby papierowy.

– Nazywa się Herbert.

– Pięknie.

– Dziękuję. – Chcę od razu wracać do przedziału, ale zmuszam się, żeby przejść do końca wagonu i dopiero wtedy zawracam.

Wiem, że mężczyzna cały czas mnie obserwuje.

CZEŚĆ DZIESIĄTA

Harbinder

Rozdział 44

– Musimy pogadać z Georgią – powiedziałam. – Powinny już być na miejscu. Pociąg przyjeżdża do Inverness o wpół do dziewiątej.

– Stamtąd mają jeszcze pociąg do Ulla coś tam.

– Ullapool. – Próbowałam się dodzwonić pod numer komórki Clare, ale nie odbierała. Było wpół do dwunastej. O tej porze powinna już dotrzeć do domu babci.

– Myślisz, że te zaginione dzieciaki mają jakiś związek z naszą sprawą? – spytała Donna. – Venetia i Patrick?

– Możliwe. Wiemy, że Patrick podkochał się w Elli Elphick i przyznał, że był pod jej domem wieczorem w dniu jej śmierci. Wiemy też, że nie przepadał za Rickiem Lewisem.

Ogłosiliśmy komunikat o zaginięciu Venetii i Patricka. Neil powtarzał, że uciekli razem, ale nawet jeżeli byli parą, to jakie współczesne nastolatki uciekałyby razem, jak w piosence Abby? Przecież nic – z wyjątkiem snobizmu jej rodziców – nie mogłoby powstrzymać Venetii i Patricka przed tym, by byli razem. Oboje mieli już po szesnaście lat, byli starsi od Georgii.

– Nic nie wiąże Georgii z tymi zabójstwami – orzekła Donna. Martwiła się. Wiedziała o tym, bo nie zjadła swojego przedpołudniowego pączka. Leżał na biurku i lśniły na nim drobne plamki dżemu.

– Tyle że na miejscu zdarzenia znaleziono jej odciski palców – odparłam.

– Kiedy zginął Rick, była w Londynie – przypomniał Neil.

– Londyn nie jest tak daleko – zauważyłam, raczej dla ścisłości niż z przekonania.

– Potrzebujemy informacji o tych śladach krwi na zdjęciu – powiedziała Donna. – Miejmy nadzieję, że laboratorium niedługo poda nam wyniki. Jeżeli to krew Elli, Georgia będzie miała sporo do wyjaśnienia. Być może była obecna przy zabójstwie, jeżeli nawet sama go nie popełniła.

– Na pewno coś wie – stwierdziłam. – Czytałaś to jej opowiadanie?

– Tak, dość makabryczne – oceniła Donna. – Ale nastolatki lubią horrory.

– Sama byłam fanką Jamesa Herberta, nigdy jednak nie pisałam takich krwistych kawałków. Poza tym jest coś dziwnego w Bryony Hughes i tej grupie z zajęć kreatywnego pisania.

– Jedźcie pogadać z tą ostatnią dziewczyną – poleciła Donna. – Jak ona się nazywa? Natasha White. Musimy mieć nadzieję, że Patrick i Venetia się znajdą. Niedługo nadamy tej sprawie większy priorytet.

– Mama Venetii sprawia wrażenie osoby, która nie pozwoli, żebyśmy dali sobie spokój – zauważył Neil.

– Nie damy sobie spokoju – odparłam. – Jesteśmy już blisko. Na pewno.

Natasha White mieszkała w Steyning, w ładnym wiktoriańskim domu tuż za centrum miasteczka. Sama też była ładna; miała piegi i kręcone, sprężyste włosy, o jakich zawsze marzyłam. Jej matka Anna, która otworzyła nam drzwi, była bardzo podobna, choć jej loki i piegi trochę straciły wyrazistość. W tle ktoś tłukł gamy na fortepianie.

– Przepraszam – powiedziała na powitanie Anna. – W weekendy uczę prywatnie.

O co chodzi z tym, że wszyscy dziś biorą lekcje muzyki?

– Nie szkodzi – uspokoiłam ją. – Chcielibyśmy zamienić parę słów z Natashą.

– Chodzi o Venetię? – odgadła Anna. – Kiedy zadzwoniła do mnie Alicia, byłam w szoku.

– Domyśla się pani, gdzie ona może być? – zapytałam.

Anna White zaprowadziła nas do kuchni, gdzie panował swojski bałagan i gdzie dołączyła do nas Natasha. Prawdopodobnie salon był zajęty na lekcje fortepianu.

– Nie – odparła Anna. – Ale jest z Patrickiem, prawda? One wszystkie do niego wzdychają.

– Mamo! – rzuciła z wściekłością Natasha.

– No przecież to bardzo przystojny chłopak.

– Mamo...

Usiedliśmy przy stole. Anna przesunęła na bok pozostałości po śniadaniu.

– Przepraszam za ten chaos. Chcą państwo, żebym przy tym była? Mój mąż zabrał Fergus, naszego dziesięcioletniego syna, na mecz, a ja jestem w trakcie lekcji. Danny nie może wiecznie zarzynać gamy B-dur.

– To nie jest oficjalne przesłuchanie – powiedziałam. – Nie musi pani w nim uczestniczyć. – Zdawało mi się, czy na twarzy Natashy odmalowała się ulga? Po wyjściu jej matki spytałam: – Nie domyślasz się, gdzie mogą być Venetia i Patrick?

– Nie. – Ale odwróciła wzrok. Była ubrana w spodnie dresowe i bluzę z kapturem, ale nie zapomniała o tuszu do rzęs i konturówce.

– To prawda, że Venetia wzdycha do Patricka? – zapytał Neil.

– Tak – odpowiedziała. – Ale nieprawda, że wzdychamy wszystkie. Ja i Georgie traktujemy go jak brata. Zresztą Georgie ma Tya.

Ciekawe, czy Natasha kogoś ma. W wieku piętnastu lat nawet ja miałam chłopaka.

– Kiedy ostatni raz widziałaś Venetię?

– Na zajęciach z kreatywnego pisanie w poniedziałek.

– W domu mówiła, że będzie nocować u ciebie. Wiedziałaś o tym?

Cisza.

– Możesz nam powiedzieć. – Neil machinalnie zgarniał okruchy ze stołu. – Nie będziesz miała przez nas kłopotów.

– Tak, wiedziałam – przyznała dziewczyna. – Ale myślałam, że chce spędzić noc z Patrickiem. Tak jak weekend dwa tygodnie temu. Gdy został zamordowany pan Lewis.

Wymieniliśmy spojrzenia. Czy Natasha naprawdę nie rozumiała, co robi, ujawniając nam tę informację? Albo Venetia i Patrick mogą sobie nawzajem zapewnić alibi, albo oboje są w to zamieszani.

– Kiedy po raz ostatni któreś z nich się z tobą kontaktowało?

– Wczoraj wieczorem dostałam wiadomość od Patricka.

– Co napisał?

Natasha utkwiała w nas spojrzenie oczu podkreślonych czarną konturówką.

– Parę słów. *Puste jest piekło.*

– Muszę znowu pojechać do domu Clare.

– Po co? – Neil wiozł nas z powrotem do komisariatu i w napięciu marszcząc czoło, lawirował w weekendowym ruchu. Robiło się poważnie. Odebraliśmy telefon od Donny z wiadomością, że rodzice Patricka, w końcu zaniepokojeni, znaleźli w jego komputerze ślady wyszukiwania lotów do Szkocji.

– Właśnie przypomniałam sobie, że widziałam coś w pokoju Georgie.

Neil nie wysuwał dalszych zastrzeżeń; skręcił w wiejską drogę prowadzącą do starej cementowni i domków szeregowych stojących w szczerym polu. Wciąż miałam przy sobie klucze Clare, więc otworzyłam drzwi i weszłam, podczas gdy Neil czekał w samochodzie. W sypialni Georgii od razu podeszłam do tablicy korkowej. Wisiała tam pocztówka z dwoma rysunkowymi królikami trzymającymi różowy balon w kształcie serca.

Odwróciłam ją.

Chciałem tylko napisać, że cię kocham.

To był ten sam charakter pisma co w wiadomościach *Puste jest piekło*. Charakter pisma z dzienników Clare.

CZĘŚĆ JEDENASTA

Georgia

Rozdział 45

Kiedy się budzę, jesteśmy już w Szkocji. Wychylam się z posłania, żeby podnieść roletę, i nie wierzę własnym oczom, tak tu pięknie. Krajobraz jest jak z bajki: góry, lasy, gdzieniegdzie błysk morza, zamki na wysokich urwiskach, na nizinach wioski. Parę razy widzę jelenie pasące się pośród fioletowych wrzosów, a kiedy mijamy zatoczkę, na lśniących czarnych kamieniach wygrzewają się w słońcu foki. Na szczytach gór leży śnieg, ale niebo ma kolor najbardziej błękitnego z błękitów.

W nocy musiał wrócić zasięg, bo mam około dziesięciu wiadomości od Vee, jedną od Tya i jedną od Patricka. Od Vee są różne wersje *gdzie jesteś, musimy pogadać*. Ty pisze *Dobranoc xo xo xo*. Od Patricka przyszła wiadomość *Puste jest piekło*. Próbuję do niego zadzwonić, ale zasięg znowu zanikł.

– Georgie – słyszę z dołu głos mamy. – Nie śpisz już?

Herbert, który siedzi u niej, zaczyna szczeakać.

– Ciii – syczy do niego mama. – Jesteśmy w Szkocji?

– Tak. – Znowu podnoszę roletę. – Wygląda fantastycznie. Dlaczego jej nie pamiętam?

– Wcześniej zawsze leciałyśmy samolotem – wyjaśnia. – Nie widziałaś tego wszystkiego. Masz zasięg?

– Nie.

– Ja też nie.

– Do kogo próbujesz wysłać esemesa, mamó?

Założę się, że do Henry'ego, ale ona tylko się śmieje i mówi:

– Chodźmy na jakieś śniadanie.

Jemy w wagonie restauracyjnym jajecznicę, bekon i fasolę w sosie pomidorowym. Mama pije kawę, ja dwa kartoniki soku pomarańczowego. Rozglądam się za mężczyzną, którego widziałam wieczorem, ale go nie ma. Wyobraziłam go sobie? Czy to był „Nieznajomy z pociągu”? Duch R.M. Hollanda? Nakazuję sobie, żebym nie była idiotką. Rozwijanie wyobraźni to ważna rzecz, mówi pani Hughes, ale nie możemy pozwolić, by nami zawładnęła. Przypominam sobie wieczór, gdy usłyszałam czyjś oddech na pustych łąkach i ogarnęło mnie przerażające poczucie, że ktoś mnie śledzi. Zaczynam wariować? Jeżeli nie, to może rzeczywiście ktoś niewidoczny śledzi z ukrycia każdy mój krok. Jak to było w *Pieśni o starym żeglarzu? Jak ktoś, co po odludnej drodze / strwożony idzie w nocy: / Raz obróciwszy się, już tylko / Przed siebie zwraca oczy, / Bo wie, że przeraźliwy diabeł / Tuż za nim stale kroczy*[21].

Miły konduktor pozwala mamie wysiąść w Aviemore, żeby Herbert mógł zrobić siusiu. Boję się jak jeszcze nigdy dotąd. A jeżeli pociąg odjedzie bez nich? Albo znowu pojawi się tamten człowiek i zobaczę jego dziwny drapieżny uśmiech? „Podoba mi się twój pies”, powiedział, jak gdyby miał ochotę pożreć Herberta w całości. Ale wszystko dobrze się kończy. Mama wsiada z powrotem, niosąc Herberta, który skręca się z emocji. Konduktor zatrzaskuje drzwi i ruszamy dalej. Dojeżdżamy do Inverness tuż przed dziewiątą i musimy się spieszyć, żeby zdążyć na przesiadkę do Garve, stacji najbliższej Ullapool. Powoli się uspokajam. Za oknami przemyka Szkocja; po jednej stronie wrzosowiska, po drugiej morze. Nawet Herbert patrzy jak urzeczony. Ale gdy pociąg zatrzymuje się w Garve, wydaje mi się niemożliwe, że właśnie tu mamy wysiąść. To nie wygląda jak stacja, jak Victoria – ani nawet Chichester – to po prostu jeden żółty budynek i kładka dla pieszych w szczerym polu. Ale mama każe mi wysiąść i podaje mi Herberta. Potem zwinnie łapie walizkę. Jest pełna energii, wydaje się zupełnie inna niż jej wcielenie w Anglii. Może przez to powietrze – jest cholernie zimno.

Na parkingu stoi przedpotopowy range rover, a obok kobieta, w której w ogóle nie poznaję prababci. Ostatni raz widziałam ją w domu babci w Londynie i już

wtedy wydawała się naprawdę stara – teraz musi mieć prawie dziewięćdziesiąt lat – ale jest w dzinsach i kurtce Barbour i z całej siły mnie przytula.

– Georgie! Ach, wyrosłaś na cudną pannicę! Jak twoja mama.

– Dzień dobry. – Ogarnia mnie wstyd, sama nie wiem dlaczego. Ale mama, która nie przepada za gadaniem o głupstwach, terkocze jak nakręcona, więc to nie ma znaczenia, że się nie odzywam. Siadam z tyłu z Herbertem. Mama przedstawia sytuację.

– Po prostu musiałyśmy uciekać.

– Tu będziecie bezpieczne – mówi prababcia i gwałtownie skręca w bok, żeby nie zderzyć się z krową rasy highland.

Staram się odciąć od tego wszystkiego. Ella... dzienniki... Simon... szkoła... Rick... stalker... strach... Wypatruję Ullapool, przystani białych domów na skraju morza i na tle gór. Wygląda jak z czołówki programu telewizyjnego, który oglądałam w dzieciństwie. Zaczynam nucić melodię.

– *Balamory* – mówi mama. – Cieszysz się, że tu jesteś, Georgie?

– Tak. – Nocna podróż pociągiem wydawała się dziwna i surrealistyczna: wiadomości od Vee, nieznajomy z tym uśmiechem, Patrick wysyłający mi zdanie *Puste jest piekło*. Teraz czuję się, jakbyśmy wracały do życia. Słońce połyskuje na powierzchni wody i nawet krowy wyglądają dobrotliwie, uśmiechając się pod barwionymi henną grzywkami. Prababcia mówi o śniegu; wyższe wzniesienia są zupełnie białe.

– Dzisiaj jest bardzo ciepło – dodaje. – Jak na Bahamach.

Termometr w samochodzie pokazuje minus jeden.

Całkiem dobrze pamiętam jej dom. Stoi trochę dalej od reszty zabudowań, na cyplu otoczonym z dwóch stron wodą. Nie pamiętam pradziadka, ale podobno miał łódź i co dzień rano wiosłował przez port, żeby kupić gazetę. Herbert z entuzjazmem obszczekuje mewy. W oddali na otwartym morzu wolno sunie prom.

Prababcia pokazuje mi mój pokój na poddaszu. Łóżko jest przykryte patchworkową kołdrą, a na białych ścianach odbijają się refleksy wody. Są tam biurko, regał z książkami, nawet mały fotel na biegunach. Chcę tu zostać na zawsze, ale na dole czeka lunch: chleb, zupa i śmieszny ser zapakowany w szmatkę. Jeżeli naprawdę zacznie padać śnieg, może zostaniemy odcięte od świata. Może posiedzimy tu do Bożego Narodzenia.

Mama i prababcia zaczynają następną długą rozmowę. Znowu dziwię się, że mama staje się przy niej taka gadatliwa. Przy swojej matce – mojej babci – jest oschła i oszczędna w słowach. Teraz mówi o Henrym, profesorze z Cambridge. To nawet ciekawe – nie miałam pojęcia, że był z nią w tamten weekend, gdy pan Lewis został zamordowany – ale po jakimś czasie oczy zaczynają mi się kleić.

– Och, przecież jest wykończona – mówi prababcia. – Może pójdziesz na górę się zdrzemnąć, Georgie?

Z radością wracam do swojego pokoiku na poddaszu. Herbert idzie za mną i przykrywam nas oboje patchworkową kołdrą. Śnią mi się pociągi, staroświeckie jak w *Nieznajomym*. Próbuję uciekać: biegnę przez rozkołysane korytarze, odbijam się od ścian, przeskakuję koszmarną otchłań między wagonami. Ale on ciągle jest – niewidoczny, lecz zawsze w tej samej odległości za mną – porusza się spokojnie i bezlitośnie, obcy, a jednocześnie okropnie znajomy.

Kiedy się budzę, na dworze jest ciemno. Herbert siedzi i nasłuchuje.

Z dołu dobiegają głosy. Chyba ktoś zapukał do drzwi.

– Och, to ty – słyszę mamę. – Co ty tu robisz, u licha?

Herbert warczy – wydaje odgłos, jakiego nigdy u niego nie słyszałam, gardłowy, jak u znacznie większego psa. Odsłania zęby i przez chwilę prawie się go boję. Ruszam do drzwi i nagle słyszę potworny wrzask mamy:

– Georgie!

Rozlega się trzask drzwi na dole, a potem słychać miarowe, zdecydowane kroki. Wycofuję się w najdalszy kąt pokoju. Próbuję zawołać do siebie Herberta, ale ciągle stoi przy drzwiach. Przestał warczeć; wygląda, jakby czekał.

Drzwi gwałtownie się otwierają. Widzę ciemną postać, uniesiony nóż i Herberta, który śmiga naprzód jak mały biały pocisk.

Po chwili leży bezwładnie w kałuży krwi na podłodze, a nóż sunie w moją stronę.

[21] Samuel Taylor Coleridge, *Pieśń o starym żeglarzu* w przekładzie Zygmunta Kubiaka.

CZĘŚĆ DWUNASTA

Harbinder

Rozdział 46

Wyjechaliśmy z domu Clare w południe, a o trzynastej czterdzieści byłam już na pokładzie samolotu do Inverness. Zadzwoniliśmy do miejscowej policji i poprosiliśmy, żeby zajrzeli do Clare i Georgii w Ullapool. Chciałam tam jednak pojechać osobiście i Donna się zgodziła. Nigdy wcześniej nie korzystałam z krajowych lotów. Jeżeli chodzi o ścisłość, to leciałam samolotem dwa razy w życiu, raz do Indii, gdy miałam dziesięć lat, i raz do Barcelony na tak zwany romantyczny krótki urlop. Byłam zdumiona, jakie to proste. Nie miałam bagażu i przemknęłam przez kontrolę bezpieczeństwa, machając funkcjonariuszom legitymacją policyjną.

Siedzenie w samolocie było za to czystą torturą. Chciałam jak najszybciej znaleźć się na miejscu. Ciężko przeżywałam zakaz używania telefonów. Czytałam gdzieś, że te wszystkie historie o niekorzystaniu z komórek na pokładzie to bujda, ale wolałam nie ryzykować. A jeżeli sygnał zakłóci działanie radaru? No więc trzymałam na kolanach telefon przełączony na tryb samolotowy i próbowałam czytać artykuł o dziesięciu najlepszych plażach na świecie. Jak na ironię jedna z nich była w Ullapool. Siedzący obok mnie biznesmen z namaszczeniem stukał w klawisze laptopa, jakby świat mógł się skończyć, gdyby choć na sekundę przerwał pracę.

Wylądowaliśmy o piętnastej dwadzieścia, a o wpół do czwartej byłam na postoju taksówek, łokciami torując sobie drogę wśród współpasażerów. Czekał na mnie wóz policyjny.

– Detektyw sierżant Kaur? – Kierowca dorzucił kilkanaście dodatkowych „r”.

– To ja.

– Sierżant Jim Harris. – Wysoki trzydziestolatek miał ciemnorude włosy i dość drapieżną minę. Ucieszyłam się. Wyglądał na kogoś, kto szybko jeździ i nie zadaje zbyt wielu pytań.

– Jak długo jedzie się do Ullapool? – spytałam, gdy wyjechaliśmy z lotniska.

– Mniej więcej godzinę czterdzieści minut – powiedział Jim Harris. – Morowa trasa, jedna z najlepszych na świecie.

Być może miał rację. Na pewno mijaliśmy mnóstwo zieleni, góry i jeziora (powinnam je nazywać „loch”?). Ale myślałam tylko o tym, żeby zdążyć do Clare i Georgii. Jim mówił, że miejscowa policja była w domu pani Cassidy i wszystko wyglądało w porządku, ale ciągle miałam złe przeczucie, które ciążyło mi jak zimny kamień w żołądku. Próbowałam do nich dzwonić, ale żadna nie odbierała.

– Och, tam jest kiepski zasięg – wyjaśnił Jim. Naprawdę powiedział „och”.

Gdy dotarliśmy do Ullapool, było już ciemno i lśniły światła portu. Trzeba przyznać, że Jim niewiele mówił podczas jazdy, a teraz sprawnie pokonywał wąskie uliczki i skręcił na wąski cypel otoczony z dwóch stron wodą. Dom Cassidych stał na jego końcu. W pokoju na poddaszu paliło się światło. Pomyślałam o *Nieznajomym* i światłach w zrujnowanym domu, o migotaniu, które widziałam w starej fabryce, o błędnych ognikach, o duchach martwych dzieci wołających z morza.

Wyskoczyłam z auta, zanim się zatrzymało. Przed domem stały dwa samochody: zdezelowany range rover i czerwona toyota aygo. Drzwi wejściowe były otwarte – nie jest to dobry znak w Szkocji w zimowy wieczór. Pobiełam sprintem ścieżką, wołając:

– Clare! Georgie!

Z dołu, zza drzwi zastawionych ciężkim krzesłem, dobiegały krzyki, ale wiedziałam, że muszę biec na górę. Na szczycie schodów stanęłam przed

uchylonymi drzwiami pokoju, w którym wysoki młody człowiek stał z uniesionym nożem nad przerażoną Georgią. U jej stóp leżał zakrwawiony Herbert.

Skoczyłam na mężczyznę, ale był tak wielki, że tylko się zachwiał. Chwyciłam rękę trzymającą nóż, lecz odepchnął mnie tak mocno, że uderzyłam głową w podłogę. Pozbierałam się i znowu rzuciłam się na niego. Na dole słychać było wrzaski i – Bogu dzięki – ciężkie kroki policjanta na schodach. Jim Harris powalił napastnika efektowną szarżą rugby, a ja uklęknęłam mu na piersi, żeby wyrecytować stawiane mu zarzuty.

– Ty Greenall, jesteś aresztowany pod zarzutem zabójstwa Elli Elphick i Ricka Lewisa oraz usiłowania zabójstwa Simona Newtona i Georgii Newton.

CZEŚĆ TRZYNASTA

Harbinder i Clare

Rozdział 47

Harbinder

Pomyślałam o pocztówce, gdy Natasha wspomniała o Tyu. Georgie miała chłopaka, który przysyłał jej obrazki milutkich króliczków i serduszek. Kiedy zobaczyłam pismo, już wiedziałam. Pojechaliśmy prosto do pubu, gdzie pracował Ty, i usłyszeliśmy, że wziął parę dni wolnego.

– Ma pan jego adres? – spytałam.

– Nie – odparł szef ze strapioną miną – ale można było na nim polegać. Nigdy nie spóźnił się na swoją zmianę.

To dlatego, że mieszkał kawałek dalej, koczując w starej cementowni. Przyznał się do tego, gdy przesłuchiwałam go na posterunku policji w Garve.

– Mieszkałem w fabryce. Obserwowałem Clare. W nocy zapalałem świece i patrzyłem na nią. Kocham ją.

– Kiedy to się zaczęło?

Szczegółowe przesłuchanie chciałam przeprowadzić dopiero po odstawieniu Tya do Sussex – uważałam, że Neil i Donna zasługują, by wziąć w nim udział – ale kilku rzeczy musiałam się dowiedzieć od razu.

– Pracowałem jako barman w Hythe – powiedział. – Clare przyjechała do hotelu na szkolenie dla nauczycieli. Zakochałem się w niej od pierwszego wejrzenia. Używałem klucza uniwersalnego, żeby dostać się do jej pokoju i czytać jej dziennik. Wtedy podjąłem decyzję. Potrzebowała ochrony. Pojechałem za nią do

Sussex i znalazłem pracę w pubie. W miasteczku poznałem Georgię. Była pijana... jak na mój gust jest trochę za bardzo rozbrykana, Clare musi się tym bardzo martwić... więc postanowiłem zostać jej chłopakiem i zająć się nią. I dzięki temu oczywiście znaleźć się bliżej Clare. – Uśmiechnął się, jak gdyby to było najlogiczniejsze na świecie, a nawet godne najwyższego uznania.

Był wysokim facetem, przystojnym nawet mimo sińców na twarzy po starciu z Jimem Harrisem. Ale gdy tylko spojrzałam mu w oczy, wiedziałam, że obrona będzie się powoływać na nieczytalność.

– Dlaczego zabiłeś Ellę Elphick? – zapytałam.

– Denerwowała Clare – rzucił bez wahania Ty. – Opowiadała jej w kółko o chodzeniu do łóżka z żonatym mężczyzną, zmuszała ją, żeby brała na siebie całą pracę w szkole. Zachowywała się jak dziwka. Rick nie był od niej lepszy. Clare napisała w dzienniku, że go nienawidzi. No więc jego też zabiłem. Zadzwoiłem do niego i powiedziałem, że wiem coś o Elli. Robił w spodnie ze strachu. Myślał, że powiem jego żonie o skoku w bok. Kazałem mu usiąść na krześle, a potem udusiłem go drutem. Starłem się, żeby te zabójstwa wyglądały jak w *Nieznajomym*. Znalazłem to opowiadanie w pokoju Georgii i wiedziałem, że to jeden z ulubionych tekstów Clare. Oczywiście oprócz *Kobiety w bieli*.

Znowu ten uśmiech.

– A Simon Newton? I Georgia? Nie mogłeś myśleć, że Clare chce ich śmierci. Przecież Clare uwielbia córkę.

– Pisała, że była szczęśliwsza, zanim poznała Simona, zanim urodziła się Georgia – tłumaczył Ty. – Simon ciągle ją denerwował, nazywał złą matką, opowiadał o nowej żonie i dzieciach. W każdym razie musiałem się pozbyć ich obojga, żebyśmy mogli zacząć z Clare od początku.

Byłam coraz bardziej zmartwiona. Jeżeli dalej będzie wygadywał takie rzeczy, na pewno trafi do zakładu psychiatrycznego zamiast do więzienia o zaostrzonym rygorze, na jakie zasługiwał. Kiedy jednak rozmawiałam z policją w Kent, gdzie Ty mieszkał u dziadków, dowiedziałam się, że dostał ostrzeżenie za stalking kobiety,

notabene swojej byłej nauczycielki angielskiego. Nawet jeśli nie mogliśmy wykorzystać tego w sądzie, incydent przemawiał za tym, że Ty Greenall to typ zabójcy, który obserwuje ofiarę, czai się, a potem rzuca się do ataku.

Zostawiłam go pod czułą opieką szkockiej policji i pojechałam do hotelu Caledonian Thistle, w którym zarezerwowałam pokój. Clare proponowała, żebym zatrzymała się u jej babci, ale uznałam, że panie Cassidy przeżyły już wystarczająco dużo, żeby jeszcze znosić moje towarzystwo. Poza tym byłam straszliwie zmęczona. Hotel był nowoczesny i nijaki, właśnie taki, jakiego chciałam. Po drodze kupiłam frytki i popiłam je puszką irn bru, który zgodnie z obietnicą Jima naprawdę smakował opiłkami żelaza. W hotelu wzięłam prysznic i włożyłam gryzący biały szlafrok, który wisiał w szafie. Potem rozciągnęłam się na łóżku i zadzwoniłam do Neila.

– Cały czas podejrzewałem, że zabójcą będzie ktoś z bliższego kręgu – powiedział.

– Taaa, jasne. Do samego końca myślałeś, że to Patrick O’Leary.

– Słyszałaś już o Patricku i Venetii? – spytał.

– Nie.

– Uciekli, żeby wziąć ślub. Próbowali się dostać do Gretna Green. Szkocka policja zgarnęła ich w hotelu Travelodge w Edynburgu.

– Gretna Green jest chyba w Dumfriesshire, nie?

– Tak. Nie zdążyli jeszcze ustalić, jak się tam dostać. Łatwo było ich znaleźć, bo zdradzili swoją lokalizację na Facebooku.

– Idioci – rzuciłam.

– No wiesz, młodzi zakochani i tak dalej – odparł Neil.

Już prawie spałam, ale zostało mi na tyle energii, żeby zadzwonić do mamy i powiedzieć jej, gdzie jestem. Spytała, czy widziałam potwora z Loch Ness. Wyjaśniłam jej, że wyjechał na wakacje.

Clare

Harbinder i ja idziemy po białym piasku nad zatoką. Jest śliczny poranek, morze połyskuje jak na widokówce, w oddali ciemnieją góry.

– Mam wyrzuty sumienia – mówię. – Nie pamiętałam Tya z Hythe, chociaż przypominam sobie, że w czasie kłótni Ella mówiła, że barman robił do mnie maślane oczy.

– Nie musisz się obwiniać – przekonuje mnie Harbinder. – Przecież nie mogłaś wiedzieć.

– Nie podobało mi się, że Georgie chodzi z Tyem, ale tylko dlatego, że jest od niej znacznie starszy. Pomyślałam sobie nawet, że jest z nim bezpieczniejsza. Chryste.

– Wracając do ważniejszych spraw – zmienia temat Harbinder – czy Herbert z tego wyjdzie?

– Weterynarz mówi, że nic mu nie będzie. Na szczęście nóż nie uszkodził żadnych ważnych narządów. Herbert ma dziewięć żyć, jak kot.

– Zachował się bardzo dzielnie, kiedy rzucił się na Tya.

– Tak. Uwielbia Georgie. Byłby gotów oddać za nią życie. Za nas obie. – Muszę przystanąć, żeby otrzeć łzy.

– Kiedy aresztowaliśmy Tya, miał na ręce dość głębokie rany gryzione – informuje Harbinder.

– To dobrze.

– Co Georgie sądzi teraz o Tyu?

– Jest w strasznym szoku, ale dzisiaj rano rozwodziła się nad tym, że trzeba mu wybaczyć. Nie wiem, czy jestem już na to gotowa. – Georgie wieczorem zabrano do szpitala, ale nie odniosła żadnych obrażeń fizycznych i po kilku godzinach została wypisana. Dzisiaj rano mówiła o przebaczeniu i odkupieniu, „bo inaczej to on wygra, rozumiesz?”. Babcia, która siedziała ze mną zamknięta w salonie i słuchała moich wrzasków, kiedy myślałam, że moja córka zaraz zostanie

zamordowana na górze, też była spokojna i przygotowała nam wszystkim sude śniadanie.

– Potrzebujecie energii.

Zabawne, jak podobne do siebie są babcia i Georgie. Nigdy wcześniej nie zwróciłam na to uwagi.

– Oczywiście to Ty zajął się Herbertem, kiedy skaleczył się w łapę, prawda? – domyślam się.

– Tak – mówi Harbinder. – Pamiętaj, w głębi duszy ten chłopak wmówił sobie, że robi tylko to, czego pragniesz. Wiedział, jak kochasz Herberta. Na pewno nigdy nie krytykowałaś w dzienniku swojego psa.

– To prawda – przyznaję. – Pisałam tylko, że go strasznie Kocham i jest mi bardzo drogi. Boże, czuję się okropnie. Jakbym pisała czarną listę.

– Niepotrzebnie. Nie prosiłaś Tya, żeby w twoim imieniu zaczął masowo mordować ludzi. I nie zamierzałaś nikomu dawać dzienników do czytania.

– A *Nieznajomy*? Musiał go czytać. Stamtąd przecież wziął cytaty i... i sposób zabójstwa Elli i Ricka. – Wczoraj wieczorem Harbinder powiedziała mi, jak zginął Rick.

– Dostał go od Georgie. Twoja córka ma obsesję na punkcie tego opowiadania i Ty prawdopodobnie znalazł egzemplarz w jej pokoju. W fabryce było mnóstwo książek, w tym *Kobieta w bieli*, egzemplarz *Burzy*, który należał do Georgie, i kilka wydań *Nieznajomego*. Czytanie w nadmiarze może być niebezpieczne.

Nie wiem, czy żartuje, czy mówi poważnie.

– Przypuszczamy, że pomysły ze świecami i potpourri wziął od Georgie i jej przyjaciół. Zabrał też jej czarny obsydian. Nie wiemy po co. Podobno Bryony Hughes rozdała te kamienie wszystkim członkom grupy z zajęć kreatywnego pisania. Dla ochrony. Widziałam taki u niej w gabinecie, gdy ją przesłuchiwałam.

Wczoraj wieczorem Georgie w końcu zaczęła mówić o Bryony Hughes; plotła, że jest dobrą czarownicą, że nauczyła ją uwalniać dusze. Odnotowałam w pamięci, żeby dowiedzieć się o tym czegoś więcej i zabronić jej chodzenia na te spotkania

w liceum. Ale jednocześnie przykro mi na myśl, że przez ten cały czas czytała i pisała teksty literackie, a ja nic o tym nie wiedziałam.

– Na kamieniu były odciski palców Georgie – dorzucza Harbinder. – Dlatego przez pewien czas brałam ją pod uwagę.

– O Boże. Podejrzewałaś Georgie?

– Nie bardzo. Ale w jej pokoju znalazłam zaplamione krwią zdjęcie Elli. Okazuje się, że to zwierzęca krew, dzisiaj rano dostaliśmy wyniki analizy. Przypuszczam, że Georgia miała tę fotografię w kieszeni, kiedy znalazłyśmy Herberta ze skaleczoną łapą.

Przypominam sobie, jak siedziałyśmy u weterynarza, a Georgie trzymała na rękach Herberta. Naszego małego bohatera.

– Ciebie też przez chwilę podejrzewałam – wyznaje Harbinder. – Bardziej mi pasowałaś do typu sprawcy.

– Serdecznie ci dziękuję.

– Ale potem skupiliśmy się na Patricku O’Learym. Podkochał się w Elli i miał powody, żeby nie cierpieć Lewisa. Wiedzieliśmy, że był pod domem Elli wieczorem tamtego dnia, w którym zginęła. A potem zniknął, co zwykle jest stuprocentowym sygnałem winy. Wysłał do Natashy wiadomość ze zdaniem *Puste jest piekło*. Widocznie uznał, że to dobry żart.

– Taką samą wiadomość wysłał do Georgie – mówię. – Znaleźliście Patricka i Venetię?

Harbinder przewraca oczami.

– Tak. Zatrzymali się w Travelodge w Edynburgu i kombinowali, jak się dostać do Dumfries i Galloway. Dzisiaj przyjeżdżają po nich rodzice. I pomyśleć, że mogli się pobrać w Gretna Green, gdyby tam dotarli. Co się dzieje z tymi dzisiejszymi dziećmiakami?

– Georgie twierdzi, że Venetia jest wielbicielką Georgette Heyer – zauważam. – Jej bohaterki zawsze uciekają, żeby wyjść za mąż wbrew woli rodziców.

– Jeżeli chodzi o ścisłość, to Georgette Heyer podchodzi do małżeństwa bardzo praktycznie – odpowiada Harbinder i nie po raz pierwszy mnie zaskakuje. – Nigdy nie zapomina, że pieniądze też są potrzebne. Zawsze trochę mi przypominała indyjską matkę.

– Nigdy bym nie przypuszczała, że lubisz romanse.

– Jestem raczej fanką horrorów. – Kopniakiem posyła kamyk na płyciznę. – Ale bywało, że sięgałam po coś innego.

– Ty do wszystkiego się przyznał? – pytam. Mam nadzieję, że jeżeli tak, to Georgie i ja nie będziemy musiały zeznawać przed sądem.

– Śpiewa jak trzech tenorów – mówi Harbinder. – Z trudem go powstrzymałam, żeby nie wypaplał wszystkiego szkockiej policji. Chcę, żeby zostawił to mnie i Neilowi. Dzisiaj wieczorem wracam z nim samolotem do Sussex. Pewnie będę się świetnie bawić przykuta kajdankami do zabójcy. No ale mogło być gorzej. Mogłabym na przykład trafić na wieczór panieński.

– Zobaczymy się, kiedy wrócę? – Nie chcę opuszczać Ullapool, ale do końca trimestru zostały jeszcze trzy tygodnie. Powinnam wyjechać w poniedziałek.

– Nie będziesz się mogła mnie pozbyć – zapowiada Harbinder. – Po takich sprawach zawsze jest mnóstwo sprzątanina.

– To chyba niemożliwe, żeby życie wróciło do normy – zauważam – ale pewnie wróci.

– Norma jest moim zdaniem przereklamowana. Ale tak, życie będzie się toczyć jak zwykle. Zawsze tak jest.

Dochodzimy do końca plaży i spoglądamy na zatokę. Zbliża się przypływ. Nasze stopy odcisnęły w ubitym piasku płyciutkie dołki, które za kilka minut zostaną zupełnie zmyte.

Nic na tym świecie nie pozostaje w ukryciu na zawsze.

Epilog

Trzeci raz

W milczeniu wchodzimy po krętych schodach. Są ferie świąteczne i szkoła jest zamknięta, ale daleko w dole słychać tykanie zegara i skrzypienie rozprężających się desek podłogi.

– Bez zwłok wygląda inaczej – odzywa się Harbinder. Zawsze potrafi doskonale zepsuć atmosferę.

Tony wyjechał na północny wschód, żeby pokierować szkołą stowarzyszoną, niezależną od władz lokalnych. Nową dyrektorką Talgarth została Liz Francis; poprosiła mnie, żebym starała się o stanowisko jej zastępczyni. Chce zlikwidować ten gabinet i urządzić tu pracownię komputerową. Zapewne ma rację, ale szkoła nie będzie już taka sama bez ducha R.M. Hollanda.

Georgie wchodzi do pokoju i zbliża się do biurka. Przystaje na chwilę, by spojrzeć na fotografie w ramkach, a potem robi coś, na co ja nigdy bym się nie odważyła: siada na krześle Hollanda.

– Georgie, nie siadaj tu. – Nie mogę zapomnieć dwóch poprzednich wizyt w tym pokoju. Jako ostatni to miejsce zajmowali manekin (dziękuję ci, Patricku O’Leary) oraz zamordowany Rick.

– Czemu nie? – dziwi się Georgia. – To dobre miejsce. Ma dobrą energię. Czuję, że mogłabym tu napisać coś mocnego.

To jeden z największych szoków minionych kilku tygodni. Fakt, że moja córka jest pisarką. Pokazała mi niektóre swoje opowiadania i choć tematyka wydaje mi się trochę niepokojąca, Georgie bez cienia wątpliwości ma talent. Zapewne powinnam podziękować Bryony Hughes za rozwijanie tych zdolności, mimo to nie chcę, żeby moja córka chodziła na prowadzone przez nią zajęcia po lekcjach.

– Może w takim razie sama powinnam tu siadać – mówię. – Czasem myślę, że nigdy nie skończę książki o Hollandzie.

– Henry Hamilton uważa, że skończysz. – Georgie posyła mi przebiegły uśmiezek.

Widziałam się z Henrym w zeszłym tygodniu i wciąż z entuzjazmem podchodzi do tego projektu. Ku mojemu zaskoczeniu wciąż z entuzjazmem podchodzi też do mnie.

Z nadzieją, że się nie rumienię, mówię:

– Zdaniem Henry’ego w St Jude może się kryć więcej dokumentów. Jeżeli uda mi się rozwiązać zagadkę żony i córki Hollanda, to może być niezły materiał.

– Nie tak łatwo rozwiązuje się zagadki – odezwała się Harbinder. – Spytaj pierwszego lepszego policjanta.

– Tobie udało się rozwiązać – zauważa Georgia. Ciągle siedzi, trzymając dłonie płasko na podkładce na biurko. Jej ciemne włosy, oświetlone nisko wiszącym zimowym słońcem, które ma za plecami, przywodzą na myśl aureolę. Wygląda pięknie, jak postać z obrazu prerafaelitów, i zaskakująco dorośle. Myślę, że za kilka lat wyfrunie z domu.

– Ty chyba ułatwił mi zadanie, kiedy próbował cię zabić. – Harbinder podchodzi do czerwonej ściany, żeby obejrzeć dagerotypy.

Sprawa Tya ma wejść na wokandę wiosną. Ponieważ chłopak przyznaje się do wszystkich zarzucanych mu czynów, Harbinder przypuszcza, że Georgie i ja nie będziemy musiały zeznawać. Moja córka wciąż twierdzi, że mu wybacza, ja jednak nie doszłam jeszcze do tego etapu. Ciągle myślę o Elli i jej rodzicach, o Daisy Lewis, o Simonie, którego podobno wciąż dręczą wspomnienia napaści. Tylko

Herbert – Bogu dzięki – wyszedł z tego bez szwanku. Przeżycia nie odcisnęły na nim piętna. Georgie kupiła mu na święta kostium renifera.

– Co to za zagadka żony i dziecka? – pyta Harbinder. – Może mogłabym ją wam rozwiązać. – W jej głosie brzmi nuta pewności siebie osoby, która właśnie zgłosiła się do egzaminu na detektywa inspektora.

– Żona Hollanda, Alice, prawdopodobnie popełniła samobójstwo – wyjaśniam. – A o córce nie wiemy nic. Pisarz wspomina Marianę w listach i jest wiersz dedykowany *pamięci nieodżałowanej M.*, ale nigdzie nie ma informacji o dacie narodzin ani śmierci dziewczynki, nikt nie odszukał jej grobu. W jednym ze znalezionych przez Henry’ego listów Holland pisze, że Mariana *odziedziczyła skazę matki*. To może oznaczać depresję albo chorobę psychiczną. Nie wiemy.

– Raz widziałam ducha Alice – oznajmia Harbinder. – Opowiadałam wam?

Georgie i ja wlepiamy w nią wzrok.

– Nie – mówię. – Nic nie wspominałaś.

– To był zimowy trymestr, miałam piętnaście lat. Całowałam się w jednej ze starych klas ze swoim chłopakiem, Garym Carterem. Panem Carterem, nauczycielem geografii – wyjaśnia Georgii.

– O Boże. – Moja córka zasłania oczy. – Obrzydliwe.

– No więc całowaliśmy się jak szaleni, gdy nagle w sali zrobiło się zimno. Wyszliśmy na korytarz i zobaczyliśmy biały kształt. Śmignął obok nas, rzucił się przez balustradę, a potem usłyszeliśmy potworny wrzask. To wszystko.

– Czy po tym, jak widzieliście ducha, ktoś umarł? – pytam z lekkim sarkazmem, przypominając sobie szkolną legendę.

– Och, tak – odpowiada Harbinder. – Pewnie, że ktoś umarł.

– To była ona. – Twarz Georgie płonie. – Alice Holland. Powinniśmy spróbować nawiązać z nią kontakt. Nie jest tu szczęśliwa, chce stąd odejść.

– Nie – mówię głośniej, niż zamierzałam. Słyszałam już wszystko o tak zwanym uwolnieniu ducha Elli. Czwórka nastolatków zabawia się z nieumarłymi,

gdy powinna zjadać pizzę i oglądać *Przyjaciół*. Za to też obwiniam Bryony Hughes.

– W porządku – mówi Georgia. – Wyluzuj, mamó. W końcu to ty zamierzasz o niej pisać. Czyli chyba trudno powiedzieć, że dasz jej spokój, prawda?

– To nie to samo – ucinam. – Ale jeżeli rozwiążę zagadkę Mariany, może to będzie coś w rodzaju uwolnienia jej duszy.

– A, o to chodzi. Już to rozwiązałam – informuje Georgia.

Wstaje i podchodzi do ściany z dagerotypami. Pokazuje niewielką czarno-białą fotografię zawieszoną na wysokości oczu. Harbinder patrzy na mnie i obie podchodzimy bliżej.

– *Z Marianą* – czyta podpis Georgia.

– Ale na zdjęciu nie ma nikogo innego – zauważa Harbinder.

– Przyjrzyj się uważniej, asie wśród detektywów.

Pochylamy się i pierwsza zauważa to Harbinder.

– Pies.

Na środkowym planie zdjęcia widać biały kształt, który niemal zlewa się z szarą trawą. Ale to na pewno pies, nieokreślonej rasy, z jednym postawionym i jednym opadającym uchem oraz ogonem dziarsko zakręconym nad grzbietem.

– Skaza jej matki – mówi Georgia. – Założę się, że chodziło o zakręcony ogon.

– Hodowcy nazywają go czasem wesołym ogonem.

– Ładnie – stwierdza Harbinder.

– Mariana. Holland pisze, że stale dodaje mu otuchy – przypominam sobie – że jest łagodnym, dobrym aniołem.

– Brzmi dokładnie jak opis Herberta – mówi Georgia pieszczotliwym głosem, jakim zwraca się do naszego psa.

– Pisał też, że Marianie podobała się jego powieść, *Nienasycona bestia*.

– To akurat rozumiem – przyznaje. – Często czytam Herbiemu swoje rzeczy. Uważa, że jestem genialna.

Patrzymy wszystkie na fotografię, na mężczyznę i jego psa siedzącego na trawniku, na chwilę z przeszłości utrwaloną przez nieznaną widmową rękę.

R.M. Holland

Nieznajomy

– Jeśli pan pozwoli – rzekł *Nieznajomy* – chciałbym opowiedzieć pewną historię. Przed nami przecież długa podróż, a sądząc po kolorze nieba, przez dłuższy czas nie opuścimy wagonu. Możemy więc sobie uprzyjemnić czas opowiadaniem, prawda? Doskonała rzecz na wieczór pod koniec października.

Jest panu wygodnie? Herbertem proszę się nie przejmować. Nie zrobi panu krzywdy. Po prostu denerwuje go ta pogoda. Na czym to ja skończyłem? Może odrobinę brandy na rozgrzewkę? Nie przeszkadza panu, że częstuję z piersiówki?

Ta historia przydarzyła się naprawdę. Nie uważa pan, że to najlepszy rodzaj opowieści? Co więcej, przydarzyła mi się, gdy byłem młodym człowiekiem. Mniej więcej w pańskim wieku.

Byłem studentem w Cambridge. Studiowałem oczywiście teologię. Moim zdaniem żaden inny kierunek nie jest istotny, może z wyjątkiem literatury angielskiej. Sen i my z jednych złożeni pierwiastków. Spędziłem na uniwersytecie prawie cały trymestr. Byłem nieśmiałym chłopakiem z prowincji i czułem się samotny. Nie należałem do elegantów, do tych młodzieńców z białymi muchami na szyjach, którzy kroczyli przez dziedziniec, jak gdyby cieszyli się przywilejami samego Boga. Trzymałem się z boku, chodziłem na wykłady, pisałem prace i zaprzyjaźniłem się z innym stypendystą na moim roku, cichym chłopakiem, który, nie uwierz pan, miał na imię Gudgeon. Co tydzień pisałem do matki. Chodziłem do kaplicy. Tak, w tamtych czasach byłem wierzący. Można mnie wręcz było nazwać dewotem – „dewem”, jak wtedy mówiliśmy. Dlatego zdziwiłem się, że otrzymałem zaproszenie do *Piekielnego Klubu*. Zdziwiłem się i ucieszyłem. Oczywiście wcześniej dużo o nim słyszałem. O nocnych orgiach, o tym, jak posługaczki traciły

przytomność na widok tego, co zastawały w pokojach, o tajemniczych śpiewach z Księgi umarłych, o pogrzebanych kościach i otwartych grobach. Słyszało się też inne historie. W Piekielnym Klubie zaczynało wielu ludzi, którym potem powiodło się w życiu: przewinęli się przez niego politycy – w tym chyba dwóch ministrów – pisarze, prawnicy, naukowcy, magnaci biznesu. Zawsze można ich było poznać po dyskretnej odznace: małej czaszce wpiętej w lewą klapę. Zgadza się, takiej jak ta.

No więc cieszyłem się, że zaproszono mnie na ceremonię inicjacji. Wyznaczono ją na trzydziestego pierwszego października. Oczywiście w wigilię Wszystkich Świętych. Tak, dzisiaj też jest ten dzień. Jeśli ktoś wierzy w zbiegi okoliczności, ten mógłby uznać za nieco ponury.

Wracam do historii. Otóż ceremonia była prosta i odbywała się o północy. Jakżeby inaczej. Trzej nowicjusze mieli iść do zrujnowanego domu, który stał tuż obok uczelnianego parku. Po kolei zawiązywano nam oczy i wręczano świecę. Kazano nam wejść do domu, wspiąć się po schodach i zapalić świecę w oknie na podeście piętra. Potem mieliśmy krzyknąć, ile sił w płucach: „Puste jest piekło!”. Po wypełnieniu zadania wszyscy trzej mogliśmy zdjąć opaski z oczu i dołączyć do kolegów. Potem był czas na hulanki i swawole. Gudgeon... czy wspominałem, że jednym z tej trójki był biedny Gudgeon? Bał się, bo bez okularów prawie nic nie widział. Powiedziałem mu jednak, że przecież i tak wszyscy mamy opaski na oczach. Człowiek może widzieć, jak świat ten idzie, bez pomocy oczu.

Zimno panu? Wiatr się wzmaga, prawda? Proszę spojrzeć, jaką kanonadą śnieg tłucze w okna. Ach, pociąg znowu się zatrzymuje. Bardzo wątpię, czy dzisiaj dojedziemy dalej niż tu.

Odrobinę brandy? Śmiało, proszę się ogrzać, możemy wspólnie okryć się moim pledem. Podczas tych podróży zawsze przygotowuję się na najgorsze. To dobra maksyma życiowa, młody człowieku. Zawsze przygotuj się na najgorsze.

Na czym to ja skończyłem? Ach, tak. No więc Gudgeon i ja wraz z trzecim kolegą – nazwijmy go Wilberforce – zbliżyliśmy się do domu. Trzej pełnoprawni członkowie Piekielnego Klubu wręczyli nam opaski. Oczywiście byli zamaskowani,

ale dwóch poznaliśmy po głosach. To był lord Bastian i jego prawa ręka, Collins. Trzeci mówił z cudzoziemskim akcentem, zapewne arabskim.

Pierwszy opaskę nałożył Wilberforce. Ze świecą i pudełkiem zapalek w rękach kierował się w stronę zrujnowanego domu, potykając się jak ślepiec. Czekaliśmy i czekaliśmy. Wokół nas był zimowy wiatr. Owszem, taki jak ten. Czekaliśmy całe wieki, aż wreszcie w niszy okiennej dostrzegliśmy migoczący płomyk świecy. W ciemnościach dobiegło nas ledwie słyszalne wołanie:

– Puste jest piekło!

Wznieśliśmy radosny okrzyk, który odbił się echem od milczących kamiennych murów. Gudgeon powoli zdjął okulary i nasunął na oczy opaskę.

– Powodzenia – powiedziałem.

Uśmiechnął się. Dziwne, że właśnie teraz to sobie przypominam. Uśmiechnął się i wykonał dziwny gest, rozkładając szeroko dłonie jak sklepikarz zachwalający towar. Widzę to tak wyraźnie, jakby stał teraz przede mną. Lord Bastian lekko go popchnął i Gudgeon jako drugi ruszył chwiejnym krokiem po oszronionej trawie.

Czekaliśmy i czekaliśmy, i czekaliśmy. Rozległ się krzyk nocnego ptaka. Ktoś kaszlnął, ktoś inny stłumił śmiech. Oddychałem z trudem, choć właściwie nie wiedziałem dlaczego.

Czekaliśmy i w końcu w oknie błysnęła świeca.

– Puste jest piekło!

Odpowiedzieliśmy gromkimi wiwatami.

Nadeszła moja kolej. Podano mi świecę i zapalki. Nasunąłem opaskę na oczy. Noc natychmiast stała się nie tylko ciemniejsza, ale też chłodniejsza, bardziej nieprzyjazna. Bastian nie musiał mnie popychać, abym ruszył w drogę. Pragnąłem, by już było po wszystkim. Gdy jednak nie widzi się drogi, marsz może trwać bardzo długo. Nabrałem przekonania, że zmierzam w niewłaściwym kierunku, że w ogóle nie trafiłem do zrujnowanego domu, ale chwilę później usłyszałem za sobą głos Bastiana:

– Prosto przed siebie, durniu!

Wyciągnąłem ręce i niepewnie ruszyłem dalej.

Wymacałem kamień. Dotarłem do ściany domu. Sunąc dłońmi po fasadzie, po omacku znalazłem puste miejsce. Wejście. Potknąłem się o próg i runąłem na kamienną posadzkę, ale przynajmniej znalazłem się w budynku. Wewnątrz wiatr nie był tak dokuczliwy, ale chłód przeciwnie, jakby się wzmógł. I ta cisza! Dźwięczała wokół mnie i odbijała się echem wśród murów, ciążyła na mnie, przygniatała do ziemi. Wiedziałem, że niemal zginam się wpół jak żebrak pod brzemieniem swojego worka. Słyszałem własny oddech, nierówny i chrapliwy. To był mój jedyny towarzysz, kiedy ostrożnie, powoli posuwałem się w stronę schodów.

Ile stopni? Powiedziano mi, że dwadzieścia, ale po piętnastym straciłem rachubę. Dopiero gdy stanąłem na nieistniejącym schodku, uświadomiłem sobie, że jestem na podeście. Przypuszczałem, że Gudgeon albo Wilberforce przywitają mnie szeptem, ale milczeli. Czekali. Postąpiłem krok naprzód. Musiałem znaleźć okno i doprowadzić do końca tę farsę. Moje dłonie badały tynk na ścianie przede mną, dopóki... Tak! Znalazłem drewniany parapet. Zdjąłem opaskę i zziębniętymi palcami potarłem o draskę zapałkę, by zapalić świecę. Potem nalałem na parapet odrobinę wosku i ustawiłem ją pionowo.

– Puste jest piekło! – Zauważyłem, jak słabo brzmi mój głos. Dopiero wtedy odwróciłem się i ujrzałem u swoich stóp martwe ciała.

Usłyszałem wrzask, który odbił się echem w korytarzach opuszczonego domu, i zdałem sobie sprawę, że to ja krzyczę. Mój przyjaciel Gudgeon leżał martwy u moich stóp. Kilka metrów dalej Wilberforce. Zbadałem im tętno, przyciskając palec do szyi, wiedziałem jednak, że nic już nie można zrobić. Jakaś istota napadła na tych ludzi niczym bestia z piekła rodem i ich zamordowała. Pierś Gudgeona czerwieniała od krwi w miejscach, gdzie wiele razy został ugodzony nożem. Miał szeroko rozłożone ręce i na jego dłoniach – och, co za potworna profanacja! – ujrzałem rany przypominające stygmaty Najświętszego Pana Naszego. Z początku przypuszczałem, że Wilberforce też został przebity sztyletem, ale gdy przyjrzałem mu się uważniej w migoczącym blasku świecy, przekonałem się, że został uduszony

i ma na szyi zaciśniętą białą tkaninę, w której wyglądał nadzwyczaj upiornie. Jednakże nie uciekł przed nożem zabójcy. W jego piersi tkwiła rękojeść sztyletu.

Dygotałem, blask świecy tworzył na ścianie szalone kształty, a ja przez kilka minut stałem sparaliżowany ze strachu. Bo demon, który zamordował moich towarzyszy, z pewnością był gdzieś w pobliżu. Czy teraz rzuci się na mnie ze szkarłatnymi od krwi rękami i nożem?

Ale w zrujnowanym domu panował spokój. Nie słyszałem nic prócz chrobotu szczurów biegających piętro wyżej. Nagle dobiegł mnie krzyk z zewnątrz:

– Co tam się dzieje?! – Po chwili Collins, Bastian i ten trzeci wbiegli po schodach. Wciąż miałem w ręce świecę, więc najpierw zobaczyli moją śmiertelnie bladą twarz oświetloną widmowym blaskiem, a dopiero potem ich oczom ukazała się naprawdę przerażająca scena.

Na to, co stało się później, spuszczyć zasłonę – nie, nie zasłonę, a grubą kurtynę. Chciałem poinformować o wszystkim władze kolegium, ale lord Bastian zwrócił mi uwagę, że wówczas wplączemy się w kłopoty, może nawet zostaniemy relegowani. Poza tym, mówił, gdyby wieść o tym się rozniosła, Piekielny Klub nie byłby zadowolony. Dwaj pozostali chyba bardzo liczyli się z tą opinią, a musi pan pamiętać, że wszyscy byli ze starszych roczników. Krótko mówiąc, zostałem przekonany, że najlepiej będzie wycofać się z tego straszego domu i wrócić na uczelnię, jak gdyby nic się nie stało. Ciała oczywiście zostaną znalezione i odbędzie się dochodzenie, ale zaprzeczmy, że wiemy cokolwiek o tym, co się tam wydarzyło. Nigdy więcej nie będziemy mówić o tej nocy.

– Musimy przysiąc – rzekł Bastian, a potem ku mojemu przerażeniu ukląkł i jakby w makabryczny sposób naśladując niewiernego Tomasza badającego Pana Naszego, włożył palce do rany w dłoni Gudgeona.

– Przysięgnijcie – rozkazał. – Przysięgnijcie na jego krew.

Wyobraża pan sobie tę scenę? Blask świecy, za murami wiatr przybiera na sile, a Bastian stoi z krwią Gudgeona na rękach. Musieliśmy chyba częściowo postradać zmysły, tylko tym mogę to wyjaśnić. Bastian przycisnął do naszych czoł unurzany

we krwi kciuk jak ksiądz posypujący popiołem głowy wiernych. „Pamiętaj, prochem jesteś i w proch się obrócisz”.

– Przysięgam – mówiliśmy po kolei. – Przysięgam.

Co się potem działo? Och, młody człowieku, nie trzeba robić tak przestraszonej miny. Upływał czas, bo czas nigdy nie przestaje płynąć. Znalaziono ciała. Policja prowadziła dochodzenie, ale mordercy nie odnaleziono. Nikt mnie nigdy nie pytał, co robiłem tamtej nocy. Prodziekan bardzo starał się mnie pocieszyć po śmierci przyjaciela, a ja zgodnie z prawdą mówiłem, że jestem załamany. Współczuł mi, ale podzielił się ze mną porażającym cytatem z Homera, którym bez wątpienia wspierał się stoicyzm. Cierp, serce, przecię nieraz gorsześ przecierpiało. I na tym się skończyło. Consummatum est.

Tak przynajmniej sądziłem.

Proszę posłuchać, jak wyje wiatr. Wydaje się, jakby kołysał pociągami, prawda? Jesteśmy tu jednak bezpieczni. Wagonów nie łączą przecież drzwi. Nikt nie może wejść ani wyjść. Jeszcze kropelkę brandy?

Co się stało potem? Otóż prozaiczna prawda jest taka: właściwie nic szczególnego. Rodzice Gudgeona zabrali jego ciało i został pochowany w rodzinnym Gloucestershire. Nie uczestniczyłem w pogrzebie. Nie wiem, co się stało z Wilberforce'em. Jak już wspominałem, policja nie odnalazła mordercy. Rok później ruiny tamtego domu zostały zburzone. Kontynuowałem studia. Stałem się samotnikiem i chyba zdziwaczałem. Gdy przechodziłem dziedzińcem albo siadałem w jadalni, studenci obrzucali mnie osobliwymi spojrzeniami. „To on”, usłyszałem kiedyś czyjś szept. „To tamten”. Przypuszczam, że stałem się „tamnym” dla większości osób w Peterhouse, być może nawet dla samego siebie.

Rzadko widywałem Bastiana i Collinsa. Zostałem oficjalnie przyjęty do Piekielnego Klubu, nie uczestniczyłem jednak w ich spotkaniach ani w niesławnym Krwawym Balu, który urządzali raz do roku. Większość czasu spędzałem w swoich pokojach albo w bibliotece. Jedyne studentami, z jakimi utrzymywałem kontakty,

byli członkowie klubu strzeleckiego. Przynajmniej w ich towarzystwie udawało mi się spędzić parę godzin w miłej koleżeńskej atmosferze.

Ukończyłem studia z najwyższą notą, co dało mi ogromną satysfakcję. Doszły mnie słuchy, że lord Bastian został relegowany, a Collins nie uzyskał dyplomu. Byli jednak w innych kolegiach i nasze drogi dawno się rozeszły. Rozpocząłem doktoranturę i kontynuowałem samotnicze kawalerskie życie, które prowadziłem już od paru lat.

Nagle, w pierwszym trymestrze studiów doktoranckich, otrzymałem dość dziwny list. Był listopad, przejmująco zimny dzień; pamiętam, jak szron trzeszczał pod butami, gdy szedłem do stróżówki, by odebrać pocztę. Nie dostawałem zbyt wielu listów. Od czasu do czasu pisała do mnie matka, abonowałem również kilka naukowych czasopism teologicznych. Nic więcej. Tego dnia jednak przyszło coś innego. List opatrzony znaczkiem z zagranicy i adresowany dziwnym, pochyłym pismem. Otworzyłem go z pewnym zaciekawieniem. W kopercie znalazłem wycinek z perskiej gazety. Oczywiście nie znałem perskiego alfabetu, ale w liście było tłumaczenie napisane tą samą dłonią co adres. Artykuł informował o śmierci niejakiego Amira Ebrahimiego, który zginął w zagadkowym wypadku podczas lotu balonem. Ze wzniesieniem się w powietrze nie było najmniejszych kłopotów, ale w trakcie lotu Ebrahimi wypadł z zawieszanej pod balonem gondoli, runął na ziemię i poniósł śmierć. Obracałem list w dłoniach, zastanawiając się, dlaczego ktoś pomyślał, że zainteresuje mnie to makabryczne zdarzenie. Dopiero wtedy zobaczyłem napis na odwrocie kartki. Puste jest piekło. I przypomniałem sobie, że ostatni z tej trójki, towarzysz Bastiana i Collinsa, nazywał się Ebrahimi.

Tamten.

Oczywiście śmierć Ebrahimiego mną wstrząsnęła. Pamiętam, jak stałem bez ruchu z wycinkiem z gazety w ręce, a potem wróciłem do pokoi, położyłem się w łóżku i dygotałem. Kto przysłał mi ten nieszczęsny artykuł? Kto zapisał tłumaczenie smukłym, pochyłym pismem? I kto dopisał na odwrocie słowa Puste jest piekło? Czyżby Bastian? Może Collins? Wydawało się to niemożliwe, ale ktoś inny mógłby wiedzieć o Piekielnym Klubie i tamtej strasznej nocy?

Przez kilka następnych dni zastanawiałem się nad tymi pytaniami. W istocie nie myślałem o niczym innym. Ostatecznie jednak pokonałem lęki i żyłem dalej jakby nigdy nic. Cóż innego mógłbym począć? Poza tym byłem młody, cieszyłem się zdrowiem i tężyzną. Rozumie pan, drogi młody przyjacielu? Tak, widzę, że doskonale. Młodość jest arogancka i to jej święte prawo. Było mi przykro z powodu śmierci Ebrahimiego – i szczerze opłakałem stratę mojego przyjaciela Gudgeona – ale nie mogłem nic zrobić, by przywrócić im życie. Kontynuowałem więc studia, a nawet zacząłem się starać o względy pewnej młodej damy, córki mego opiekuna naukowego. Tamtej wiosny życie miało słodki smak, tym słodszy, że towarzyszyła mi świadomość, iż umknąłem spod ostrza śmierci. Wówczas bowiem byłem przekonany, że udało mi się umknąć.

Ależ ten wiatr wyje.

„Co się zdarzyło potem?” Och, odwieczne pytanie bez odpowiedzi. Oto kwintesencja opowieści, nieprawdaż? „Proszę, przeczytaj jeszcze jedną stronę”, błaga dziecko tuż przed snem. Zrobi wszystko, by uchronić się przed grozą, która czai się w mroku. A pan nie tak dawno zostawił za sobą dzieciństwo, drogi młody przyjacielu. To zupełnie naturalne, że chce pan wiedzieć, co się zdarzy w następnym rozdziale.

Minął kolejny rok. Zaręczyłem się z Adą, córką swojego opiekuna naukowego. Zacząłem pracować nad dysertacją, która dotyczyła herezji albigensów. Uczyłem także studentów; w gruncie rzeczy byłem solidnym i nudnym wykładowcą. Czasem słyszałem, jak o mnie szepczą; udawało mi się wyłowić słowa „Piekielny Klub” i „morderstwo”. Tamtego roku postanowiłem jednak nie poddawać się ciemności. I zyskałem przyjaciela. Tak jest, mówię o tym oto zwierzęciu, które jest teraz ze mną w wagonie. Herbert to najwspanialszy towarzysz moich udręk. Wierniejszego i bardziej lojalnego próżno szukać wśród akolitów rodzaju ludzkiego.

Minęła jesień, a z nią wigilia Wszystkich Świętych. Wyznaję, że odetchnąłem z ulgą, gdy ten straszny dzień minął bez żadnego incydentu. Ale kilka tygodni później usłyszałem rozmowę posługaczek w korytarzu i wyłowilem nazwisko „Collins” oraz słowo „zabity”.

Wypadłem z pokoju jak burza i w uniesieniu, które je zdumiało, zapytałem srogo:

– O kim rozmawiacie?

– O panu Collinsie, dawnym studencie King's College, proszę pana – padła odpowiedź. – Rozmawiamy o tym, jak umarł. To nie była naturalna śmierć.

– Co się stało? – spytałem, czując, jak od stóp do głów oblewa mnie chłód. Collins, towarzysz lorda Bastiana, studiował w King's College.

– Został zamordowany, proszę pana. Siedział na koźle własnego powozu i jechał przez mokradła. Wyjechał z Ely zdrów jak ryba i ruszył do Cambridge. Nikt nie wie, co się zdarzyło, ale dzień później znaleziono jego konia biegnącego samopas, lecz ciągle zaprzęzonego do powozu. Wysłano na poszukiwania ludzi i znaleźli pana Collinsa w rowie. Miał poderżnięte gardło.

– Kiedy to się stało?

Odpowiedziała mi starsza z posługaczek:

– W noc poprzedzającą Wszystkich Świętych, proszę pana. Pamiętam, bo Bert, który był na poszukiwaniach, powiedział, że widok konia galopującego samotnie, jakby ścigała go sfora wściekłych psów z piekła rodem, naprawdę mrozi krew w żyłach.

W następnym tygodniu dotarł do mnie wycinek z gazety. Mężczyzna z Cambridge zamordowany na mokradłach. Przy nagłówku widniał sporządzony odręcznie dopisek: Puste jest piekło.

Zerwałem zaręczyny z Adą. Nie nadawałem się na towarzysza żadnej przyzwoitej osoby. Nie wychodziłem z pokoju; rzekomo pracowałem nad dysertacją, lecz w rzeczywistości spisywałem historię, którą właśnie pana raczę, drogi młody przyjacielu. O Piekielnym Klubie i wigilii Wszystkich Świętych w zrujnowanym domu. O zwłokach i przysiędze przypieczętowanej krwią naszego towarzysza. O Ebrahimim i Collinsie. O nemezis, która prawdopodobnie mnie prześladowała. Bezustannie pisałem te trzy słowa:

Puste jest piekło.

Gdy znowu nadszedł trzydziesty pierwszy października, byłem już wrakiem. Wiedziałem, że ludzie się mnie lękają. Opiekun naukowy próbował przemówić mi do rozumu (mimo że nienawidził mnie za to, jak potraktowałem Adę), a prodziekan poprosił mnie o rozmowę, podczas której uświadamiał mi konieczność zdrowego odżywiania się i regularnego zażywania ruchu. Mens sana in corpore sano. Gdyby tylko znał mój prawdziwy stan ducha.

Czekałem przez cały dzień. Nie wychodziłem z pokoju, ponieważ wiedziałem, że nemezis i tak przybędzie, bez względu na to, czy zamknę się na klucz, czy nie. Wiadomość dotarła do mnie dopiero nazajutrz, w Dzień Wszystkich Świętych. Późnym wieczorem poszedłem na przechadzkę po mieście. Często wybierałem się na spacer o tej porze i krążyłem po cichych ulicach, sam na sam z własnymi myślami. Ale przed St John's College zobaczyłem kolegę, niejakiego Egremonta, który stał przed stróżówką i palił fajkę. Przypomniałem sobie, że był członkiem Piekielnego Klubu, ale minąłem go szybkim krokiem, nie chcąc wdawać się w rozmowę.

– Serwus! – zawołał za mną. – Byłeś przyjacielem Bastiana, prawda?

– Znałem go – odrzekłem ostrożnie, choć serce tłukło mi się w piersi.

– Słyszałeś, co go spotkało? To okropna wiadomość.

– Nie. Co się stało?

– Właśnie dowiedziałem się od jednej z posługaczek. Bastian jechał pociągiem. To był jeden z tych nowych składów, w którym są przejścia między wagonami. Właśnie przechodził z jednego do drugiego, gdy pociąg nagle się rozdzielił. Bastian został zmiażdżony pod kołami. Biedaczysko. Co za straszna śmierć.

Spojrzałem na Egremonta; zatrzymałem wzrok na jego bladej twarzy, a potem przeniosłem go na wpiętą w klapę odznakę z czaszką.

– Kiedy to się stało? – zapytałem.

– Zaledwie wczoraj – odparł. – Jestem pewien, że napiszą o tym w jutrzejszym „Timesie”.

Tydzień później dotarł do mnie wycinek z gazety ze znanym już dopiskiem.

Puste jest piekło.

Otóż dziś jest rocznica tamtego dnia i tylko ja jeden pozostałem wśród żywych. Cóż za dziwna myśl, mój drogi młody człowieku. Jestem pewien, że pański żywy umysł już dawno rozpoznał typowy scenariusz zdarzeń i zwrócił uwagę na złowieszczą datę. Zapewne zachodzi pan w głowę: po co on mi opowiada tę historię? Czyżbym został wybrany na świadka śmierci narratora?

Niech się pan nie lęka. Przecież nie zamierzam wznieść się w powietrze balonem ani próbować powozić dwukonnym powozem przez mokradła. Nie runę z wysoka na ziemię ani nie wywloką mnie z powozu rozbójnicy.

To prawda, że jadę pociągiem, ale nie zamierzam opuszczać tego wagonu.

Ach, mój drogi młody człowieku. Ależ nieruchomo pan siedzi. To oczywiście brandy. Atropa belladonna, czyli pokrzyk wilcza jagoda. Obawiam się, że będzie pan miał dziwne halucynacje, że wzrok panu osłabnie. Jestem pewien, że już w tej chwili przechodzę w pańskich oczach metamorfozę, staję się rozmyty i niewyraźny. Być może już całkiem zniknąłem. Choć komu rozstrzygać, co jest rzeczywiste, a co nie? Jak cytowałem wcześniej, człowiek może widzieć, jak świat ten idzie, bez pomocy oczu. Ależ obłąd widzę w pańskich źrenicach, które już zupełnie zasnuła czerń. Rzecz jasna, nie może się pan ruszyć. Przykro mi. Wolałbym, by nie musiało do tego dojść. Ale bez względu na to, kim jest demoniczna istota, która łaknie mojej krwi – ta sama, która odebrała już życie Gudgeonowi, Wilberforce’owi, Ebrahimiemu, Collinsowi i Bastianowi, która przelała krew już tak wielu – otóż ten stwór nie zazna spokoju, dopóki nie zabierze jeszcze jednej duszy. Oczywiście pragnie mojej. Miałem umrzeć tego dnia, w noc poprzedzającą Wszystkich Świętych. To miał być mój dzień zapłaty. Puste jest piekło, a wszystkie diabły są tutaj. Demon czeka. Jest głodny. Mówią mi o tym wyjący wiatr i rozszalała burza. Sądzę jednak, że wystarczy pańska niewinna dusza.

Niech się pan nie lęka. Koniec nie będzie bolesny. Któż wie, co nas czeka po tamtej stronie? Może po prostu skróciłem pańską podróż do niezmqconego szczęścia. Mam taką nadzieję. Naprawdę.

Żegnaj, drogi towarzyszu podróży.

Podziękowania

R.M. Holland jest całkowicie fikcyjną postacią, a Dom Hollandów nie istnieje, chociaż co nieco zawdzięcza budynkowi West Dean College, gdzie uczę kreatywnego pisania. Ma się rozumieć jednak, że lokatorzy Domu Hollandów nie mają oczywiście jakichkolwiek związków z żadną żyjącą czy zmarłą osobą. Przy drodze do Steyning stoi opuszczona cementownia, lecz otoczenie zostało znacznie zmienione, by współgrało z opowieścią.

Jestem ogromnie wdzięczna Radhice Holmstrom za jej uwagi i opinie, zwłaszcza związane z Harbinder i jej rodziną oraz kulturą, z jakiej się wywodzą. Dziękuję również Lesley Thomson za nieustające wsparcie i zgodę na wykorzystanie imienia Herberta, jej ukochanego i nieodżałowanego pudła. Herbert żyje na tych stronicach i w swoim następcy, Alfredzie.

Ta powieść to dla mnie nowe przedsięwzięcie i jestem wdzięczna wszystkim w Quercus za wsparcie i entuzjazm. Szczególne podziękowania kieruję do mojej wspaniałej redaktorki, Jane Wood, wspominając tamten lunch w Brighton, gdy niebo przybrało żółty kolor, a mnie pierwszy raz zaświtał pomysł na *Puste jest piekło*. Serdecznie dziękuję Therese Keating, Hannah Robinson, Olivii Mead, Laurze McKerrell, Katie Sadler, Davidowi Murphy'emu i całemu zespołowi. Jak zwykle dziękuję mojej fantastycznej agentce, Rebecce Carter, na której zawsze mogę polegać, oraz wszystkim w agencji Janklow & Nesbit.

Tej powieści kibicowali również od samego początku moi amerykańscy wydawcy. Ogromne dzięki dla Naomi Gibbs i wszystkich w Houghton Mifflin Harcourt, a także dla mojego amerykańskiego agenta Kirby'ego Kima.

Jak zawsze serdecznie dziękuję i czule ściskam mojego męża Andrew i moje dzieci, Alexa i Juliet. Tę książkę dedykuję Alexowi i Juliet oraz Gusowi, mojemu

kotu, który towarzyszy mi nieustannie i jest dla mnie bardzo wymagającą muzą.

EG

2018